

Matthew Hongoltz-Hetling

# NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Jak w amerykańskim miasteczku nie powstała  
libertariańska utopia (i co nieco o baribalach)

przełożyła Aleksandra Paszkowska



Wydawnictwo Krytyki Politycznej

Matthew Hongoltz-Hetling

# NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Jak w amerykańskim miasteczku nie powstała  
libertariańska utopia (i co nieco o baribalach)

Przełożyła Aleksandra Paszkowska

Wydawnictwo Krytyki Politycznej



*Dla Kimberly, która od osiemnastu lat wypełnia nasz dom  
życzliwością, rozumem, moralnością i miłością*

## PROLOG

# **Strażak i niedźwiedź**

*Wydaje się dziwne, że niedźwiedzie – tak przepadające za wszelkim mięsem – w obawie przed strzelbą, ogniem i trucizną nie atakują nigdy człowieka, chyba że w obronie młodych. Jakże łatwo i bezpiecznie mógłby niedźwiedź nas porwać, gdy odpoczywamy we śnie.*

— John Muir, *My First Summer in the Sierra* [Moje pierwsze lato w górach Sierra Nevada], 1911[1]

Latem 2016 roku strażak nabrał przekonania, że niedźwiedź śledzi jego ruchy.

Gdzieś tam wysoko, na linii drzew, zwierzę musiało chyba przez całe lato obserwować dawny budynek szkoły przy Slab City Road oraz krzątającą się wokół niego wysoką, szczupłą postać strażaka.

Jak inaczej John Babiaryz miałby wytłumaczyć te wszystkie przypadki, kiedy oddalał się, by szybko załatwić jakąś sprawę w miasteczku, a po powrocie odkrywał, że rozklekotany kurnik, stara jabłonka i prowizoryczna zagroda dla owiec zostały odpowiednio: odkurzone, odgałęzione i odowczone?

Nawet kiedy sytuacja z baribalem wymknęła się spod kontroli, Babiaryz nie zadzwonił do nadleśnictwa. Szukanie pomocy u władz nie było w jego stylu.

Babiarza poznałem, kiedy badałem pasmo tajemnic Grafton, malutkiej miejscowości schowanej w lasach zachodnich obrzeży stanu New Hampshire. Do tej liczącej sobie około 560 gospodarstw domowych odseparowanej, jednorodnej, wiejskiej społeczności (97 procent grafitników to biali; czarni stanowią zero procent) ludzie dołączają, by odnaleźć wolność.

W ciągu minionych dwudziestu lat Grafton dwukrotnie pojawiło się w ogólnokrajowych wiadomościach. W 2004 roku chwilowo poświęcono mu uwagę jako polu jednego z najambitniejszych eksperymentów społecznych we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych, tak zwanemu Free Town Project [Projekt Wolne Miasto]: skupieni wokół idei wolności libertarianie z różnych zakątków kraju oznajmili, że przeprowadzą się do Grafton, by „uwolnić” je spod dławiącego jarzma władz państwowych. Złą sławą okryło się ponownie w 2012 roku, kiedy to wyszła stamtąd pierwsza, odkąd można sięgnąć pamięcią, wiarygodna współczesna relacja z ataku baribala na człowieka w New Hampshire.

Wydarzenia te zdawały się niepowiązane, połączone jedynie wspólną scenerią posępnych nowoangielskich lasów. Jak jednak miałem się wkrótce przekonać, losy wieloletnich mieszkańców Grafton, libertarian wybawicieli oraz nadzwyczajnie przedsiębiorczych niedźwiedzi czarnych splatało ze sobą coś więcej niż szutrowe drogi meandrujące po dzikich wzgórzach i dolinach.

Kursując po Grafton z długopisem i notesem w dłoni, poznałem kilkoro mieszkańców, między innymi: Jessicę Soule, weterankę wojny w Wietnamie, która stała się wyznawczynią kontrowersyjnego przywódcy religijnego wielebnego Sun Myung Moona; Adama Franza, komunistę i pokerzystę, który marzył o założeniu społeczności surwiwalowców; Panią od Pączków, życzliwą i gościnną starszą osobę, która poprosiła mnie

o anonimowość; Johna Connella, robotnika fabrycznego z Massachusetts na misji danej od Boga; i oczywiście Johna Babiarza, strażaka, libertarianina, który otworzył bramy Grafton przed Free Town Project, a potem poświęcił dekadę na wyjaśnianie całej koncepcji swoim sąsiadom nielibertarianom.

Kiedy odwiedzam Babiarza w pewien sobotni poranek w 2017 roku, zaprasza mnie do domu, jednoizbowego dawnego budynku szkoły z 1848 roku. Babiarz odnowił go i zamontował panele słoneczne. Pośród roślin doniczkowych i różnych politycznych staroci zaśmiecających niewielką kuchnię dostrzegam przeznaczoną do wbicia w trawnik tabliczkę zachęcającą do głosowania na Harry'ego Browne'a<sup>[2]</sup> w wyborach prezydenckich w 1996 roku.

Sam Babiarz również ubiegał się o stołek – kilkakrotnie. On jest politykiem, ja – dziennikarzem. Obaj wiemy, że uśmiech w rozmowie pozwala chwilowo zatuszować odmiennosc poglądów. Stoimy więc w jego kuchni, uśmiechając się i kiwając głowami. On wyjaśnia, jak libertariańska filozofia nieograniczonych praw osobistych i majątkowych krzyżuje się z kwestią zarządzania niedźwiedziami. Oznajmia, że problemy miasteczka z baribalami to naturalny skutek niekompetencji władz.

– Jeśli rząd nie wywiązuje się ze swojego zadania, ludzie go zastąpią – mówi, podśmiewając się.

Babiarz ma bardzo charakterystyczny śmiech. Wsłuchując się w niego, myślę o klaunie Krustym z animowanego serialu *Simpsonowie*. Działa na mnie rozbijająco. Wkrótce łapię się na tym, że zgadzam się z Babiarzem. A niech ten rząd!

Babiarz został postrzelony raz, nie w trakcie swojej służby w Siłach Powietrznych USA, ale na własnym podwórku. Podczas polowania na bażanty zdeorientowany myśliwy trafił go w dupę.

– Czy bolało? Chryste, facet miał szczęście, że sam nie wyciągnąłem broni i nie odpowiedziałem ogniem – mówi, nawiązując do rozsianego po posesji ukrytego arsenału.

Następne uśmiechy. Zaczynam lubić Babiara. A niech tego myśliwego!

Wreszcie mój rozmówca dochodzi do tematu niedźwiedzia, który go obserwował. Latem 2016 roku popadli w konflikt nierozwiązywalny łatwym kompromisem: czy baribal ma prawo zjeść wszystkie kury Babiara? Czy żadnej?

Gospodarz pokazuje mi dwa kurniki zamieszkiwane przez około trzydziestkę ptaków. Feeria barw ich piór wskazuje na pomieszenie ras. Są prążkowane rocki (wysoka nieśność, apodyktyczność wobec innych ras), orpingtony (jaja duże, usposobienie przyjazne) i ameraukany (jaja błękitne, odporność na chłód). Lokatorki często się jednak zmieniają, niedźwiedź bowiem zazwyczaj porywa trzy czy cztery na raz.

Gdy baribal zaczął przebijać się przez ściany starszego kurnika, strażak postanowił ścisnąć wszystkie ptaki w nowym, solidniejszym. Ale jedna kura, która do tamtego momentu przeżyła aż trzy czy cztery ataki niedźwiedzia, nie chciała dać się tam zapędzić.

– Była nieuchwytna – mówi Babiara ze śmiechem.

Ja też się śmieję. A niech tę kurę!

Minęło kilka dni, a Babiaraowi wciąż nie udawało się zdybać ptaka. Pewnego popołudnia, gdy wspiał się na zbocze w pobliżu budyneczku gospodarczego, dojrzał o dziesięć metrów od siebie niedźwiedzia goniącego w kółko za ptakiem manewrującym po trawie pomiędzy starym kurnikiem a traktorem.

Kura, czarny australorp (dobrze się niesie, sprowadza na ludzi baribale), spostrzegła Babiara – i w jego stronę. A niedźwiedź za nią.



Gdy dosłownie rzuciła się strażakowi w ramiona, zwierzę przystanęło, dopiero teraz być może dostrzegłszy Babiara. Człowiek i niedźwiedź spojrzeli na siebie. Babiara wiedział, że w budyneczku tuż obok, między szafką na dokumenty a niszczarką, stoi oparty o ścianę AR-15. Czy zdąży dobiec do karabinka?

– Nawet o tym nie myśl – powiedział do niedźwiedzia. – Kolego, broń mam pod ręką i... i zaraz cię zdejmę.

Po długiej, napiętej chwili niedźwiedź odszedł spokojnym krokiem w stronę bagien, minawszy należącą do gospodarza tarczę strzelecką.

– Nie bał się – zaznacza Babiara. – A to jest, to jest... No, to już jest problem.

Inni graftednicy, w tym wielu takich, którzy mieli już z baribalami do czynienia, podobnie wypowiadają się o swoich przeżyciach. Niedźwiedź był śmiały. Nie wydawał się przestraszony. Przyglądał im się i namyślał, a dopiero potem odchodził. W końcu zorientowałem się, że mieszkańcy powinni byli przewidzieć pierwszy współczesny atak baribala w Grafton. Co więcej, należało spodziewać się również kolejnych ataków.

To nie było ostatnie spotkanie Babiara z tym konkretnym osobnikiem. Mówi mi nawet, że to jego osobisty Moby Dick.

– Jakoś tak wyszło, że przygody z niedźwiedziami mam od kilkudziesięciu dobrych lat – opowiada. – Może, tu cytuję, to moja diabła dusza. Nie wiem.

Z pewnością było tak, że coś niezwykłego prześladowało Grafton. Coś, co ma moc obracania bliźniego przeciwko bliźniemu, wolności przeciwko bezpieczeństwu, człowieka przeciwko zwierzęciu. Ale diabła dusza czająca się za uśmiechem Babiara? To zdawało się mało prawdopodobne.

Patrzemy po sobie i wybuchamy śmiechem.

---

[1] Cytaty w przekładzie tłumaczki, o ile nie zaznaczono inaczej.

[2] Dwukrotnego kandydata Partii Libertariańskiej, który w 1996 roku otrzymał 0,5 procent głosów, a w 2000 roku 0,4 procent głosów. Browne zasłynął z tego, że odmówił przyjęcia państwowych dotacji na kampanię wyborczą. Przypisy dolne pochodzą od tłumaczki.

KSIĘGA PIERWSZA

## Na skraju puszczy

*Oswoił niedźwiedzicę chłop,*

*Misię posłuszną, miłą,*

*A że miłości czuła w bród,*

*To hojnie go darzyła.*

*Czułości swej dowiodła snadnie*

*(Choć, trzeba przyznać, dość niezgrabnie).*

*[...]*

*Uważna misia, widząc, że*

*Na panu giez usiada,*

*Znienacka muchę capnąć chce*

*I zmiążyć w pył owada.*

*Nie widzi sensu w byciu miękką,*

*Gdy kamień leży tuż pod ręką.*

*[...]*

*Choć smutna, nasza misia wszak*

*Rozumkiem nie grzeszyła,*

*Stwierdziła więc: – Giez mnie zwiódł,*

*Lecz przecież w coś trafiłam!*

*Czyli to mężne dokonanie*

*Uspokoilo żal i łkanie.*

— Guy Wetmore Carryl, *The Confiding Peasant and the Maladroit Bear* [O  
ufnym chłopie i niezdarnej niedźwiedzicy], 1898

## Konsumpcja kotów

*[Ojciec] powinien pamiętać ten niezwykły wieczór, gdy zostawił mnie przy stodole na polu, które nazywaliśmy „Polem Góry”. Zobaczyłam wtedy między krzewami nos niedźwiedzia, tylko nos. Wyglądał wcale jak nos wieprza, jednakowoż byłam z tego bardzo niezadowolona.*

— z listu Willi Cather do Elsie Cather, 1911

Gdyby Jessica Soule wiedziała, jak bardzo blisko są niedźwiedzie, oczywiście, że nie wyszłaby z domu tego popołudnia – niezależnie od tego, jak cholernie gorąco by się zrobiło w dużym pokoju. Gdyby tylko to wiedziała, do zjedzenia kota prawdopodobnie by nie doszło.

Soule mówi, że o grafted baribalach jako czymś niezwykłym pierwszy raz pomyślała latem 1999 roku. Dla wielu mieszkańców miasteczka to był już kolejny zły rok w niekończącym się chyba paśmie złych lat nadszarpujących kruche więzi międzyludzkie w tej społeczności.

Pierwsza połowa roku upłynęła pod znakiem poważnej suszy. Każda roślina w lesie, czy to najpotężniejszy dąb, czy najcieńszy kosmyk porostu, poczuwszy brak wilgoci, skryła doroczne bogactwo owoców i zieleni. Leśnym stworzeniom zajrzał w oczy niedostatek. Większość z nich gasiła pragnienie wodą z mętnych stawów i strumyczków pozostałych po niegdyś

rwących potokach. Ale brak pożywienia codziennie spychał je coraz bliżej skraju desperacji.

U ludzkich mieszkańców Grafton wysychały studnie, a sianokosy wstrzymano. Nieliczni rolnicy, którzy jeszcze pozostali w miasteczku, przyglądali się skarłalej trawie. Wbrew wszelkim dowodom wciąż mieli nadzieję, że wyrośnie coś, co będzie można skosić.

Nadzieje jednak powoli więdły.

W lipcu do suszy doszła fala upałów, która spaliła spragnioną wody trawę na brązowy wiór; w warzywnikach pomidory, które miały to nieszczęście, że znalazły się bezpośrednio w słońcu, dosłownie upiekły się na krzakach. Widmo pożaru czaiło się wszędzie: mógł rozgorzeć od źle zgaszonego ogniska czy samozapłonu kilku nasączonych naftą szmat w starej stodole.

Niewielu graftedych ma w domu klimatyzację, więc inaczej walczą oni z upałem. Często jak Soule siadają wieczorami przed domem z butelką piwa w dłoni i rozkoszują się tym, że robi się chłodniej, czasem szybciej dzięki wyczekiwany podmuchom letniego wiatru.

Gdy słońce schodziło za horyzont, Soule otwierała frontowe drzwi swojego charakterystycznego domu z widocznym belkowaniem. Szła usiąść przy stole piknikowym stojącym na podwórku za domem. Towarzyszyli jej jedynie najnowsi członkowie rodziny: trzy kocięta, niedawno porzucone przed domem w środku nocy przez nieznaną sprawców. Baraszkowały w trawie u jej stóp. Dom Soule zawsze pokrywał pył z Wild Meadow Road – suchej szutrowej drogi biegnącej w pobliżu, a ochrzczonej tak jeszcze przez pierwszych białych osadników w regionie.

Płynne srebro *Temaskikos*, lipcowego księżycy, zwanego tak przez rdzennych mieszkańców tych ziem – Abenaków, cicho spływało po pniach drzew i łagodnie powlekało ziemię. Zapadał zmierzch.

Tymczasem od Soule i jej kociąt odrywały się pióropusze mikroskopijnych cząsteczek zapachu, które unosiły się w przegrzanym, lipcowym powietrzu. Przedryfowawszy na drugą stronę trawnika, meandrowały pośród leśnych krzewów i drzew jak kusząca woń szarlotki w starym filmie rysunkowym. Wreszcie jakiś znikomy ułamek tych cząsteczek porwał ostry, chrapliwy podmuch powietrza. Dostarczył je do nozdry bestii, gdzie prawdopodobnie wywołały one tę samą fizjologiczną odpowiedź, co widok pachnącej lazanii czy antrykotu u głodnego człowieka.

Soule nie zdawała sobie sprawy z tego, że ktoś ją wyniuchał. Czuła się błogo. Melodia świerszczy i pokaz stłumionych świateł świetlików uwalniały ją od zmartwień dnia i rozluźniały umysł.

Właśnie za sprawą takiej wolności życie w Grafton było czymś szczególnym. Tutaj można było być jednostką i nie spotykać się specjalnie z ocenami sąsiadów, choćby dlatego, że porządne odległości między domami wygłaszały większość krytyki.

Myśli Soule urwały się, gdy spostrzegła, że coś pędzi w jej stronę, coś tak ciężkiego, że poczuła pod sobą drgania suchej ziemi wywołane tętentem łap.

Zanim zdołała zareagować, niedźwiedź znalazł się o parę metrów od niej. Nie wybrał sobie jej – może dlatego, że gdy podszedł zbyt blisko, trochę stracił rezon. (Potężna czterdziestopięciolatka raz już obroniła się szpadlem przed napaścią dużej, zajadłej łasicy). W 1999 roku graftońskie baribale jeszcze nie miały tyle śmiałości, by zaatakować kobietę postury Soule.

Niedźwiedź przeleciał tuż koło niej i biegł dalej do lasu. Szelest opadłych liści pod jego łapami nagle znalazł nowy kontrapunkt w postaci

gorączkowego pomiaukiwania kociąt – kociąt Jessiki – teraz uwięzionych w pysku zwierzęcia.

Za linią drzew baribal znowu dał się dostrzec: zwalista sylwetka na tle księżyca. Zatrzymał się nad strumieniem biegnącym w głębi posesji Soule. Wokół zjawily się inne, mniejsze cienie. To była matka z młodymi.

Soule powiedziała mi, że mogła tylko patrzeć ze zgrozą, jak wykańczały zdobycz. Odgłosów nigdy nie zapomni.

Przechesywała wysoką trawę na skraju lasu w poszukiwaniu trzeciego kocięcia, a przy tym starała się rozglądać na wszystkie strony, na wypadek gdyby wróciły niedźwiedzie, które zniknęły jej z oczu.

– Amber! – szeptała teatralnie. Powoli nawoływała coraz głośniejsze, coraz bardziej błagalnie, ale bez skutku. Poturbowaną, chowającą się pod dywanem z liści Amber znalazła dopiero rano.

\*\*\*

Atak na kocięta Soule – niezwykle rzadki przykład pożarcia kota domowego przez niedźwiedzia – już sam w sobie byłby czymś dziwnym. Ale Soule powiedziała mi, że to był dopiero początek.

Niedźwiedzica, która zjadła jej kocięta, najwyraźniej zasmakowała w pupilach. Nauczyła tego dwójkę swoich młodych i wkrótce niedźwiedzica rodzina żerowała na kotach w okolicy Soule.

To, że nie mówiono o tym więcej, jest chyba mniej zaskakujące, niż się wydaje.

Choć świat wyobraża sobie, że Grafton to jedno małe miasteczko w lesie, tak naprawdę dzieli się ono na jeszcze mniejsze, historycznie odrębne wsie, które odzwierciedlają ład poprzedniej epoki. Graftończycy mówią o sobie, że mieszkają w East Grafton, Grafton Center, Grafton Village, Slab City (odważnie nazwanym *city* przez mieszkańców, których



policzyć można dosłownie w tuzinach) czy też w West Grafton. Każda wieś to samodzielna okolica odseparowana od innych lasem.

Wieś Soule, zbudowana wokół Wild Meadow Road, nazywa się Bungtown (Szpuntowo) – od szpuntu czy dwóch, które w tym miejscu wyskoczyły z przewożonych na wozie beczek, w efekcie czego droga została porządnie zaprawiona alkoholem.

Poza Bungtown mało kto skojarzył spadek populacji kotów domowych z obecnością niedźwiedzi. Natomiast tutejsi mieszkańcy bardzo przejęli się apetytem niedźwiedzi na koty.

Zadawali sobie pytanie: czy nie jest tak, że konsumpcja kotów może stanowić wstęp do konsumpcji ludzi?

Podjęli środki ostrożności.

Na spacerach z psami unikali ścieżki biegnącej wzdłuż starych, zardzewiałych torów kolejowych, a także innych miejsc, w których często widywano niedźwiedzie. Przed pracą w ogrodzie przypinali do pasa kaburę, tak na wszelki wypadek. Zaczęli też bardziej pilnować małych dzieci – może pamiętając o tym, co zdarzyło się 27 kwietnia 1905 roku, kiedy to dwuletni Elwin Braley na chwilę zniknął swojej matce z oczu, wbiegłszy podczas zabawy za róg domu w ich gospodarstwie w Bungtown. Mały Elwin wydał z siebie krzyk – matka mówiła później, że trudno było powiedzieć, czy krzyczał z radości, czy ze strachu – i nikt nigdy go już nie zobaczył. Matka winiła kuguara albo może niedźwiedzia. Wielu miejscowych winiło matkę, choć nie stanęła przed sądem.

W każdym razie kotożerne niedźwiedzie były tylko jedną z wielu przykrości fatalnego roku 1999 w Grafton. O czerwcowej suszy i lipcowej fali upałów szybko zapomniano we wrześniu, kiedy śmiertelne żniwo zebrał huragan Floyd, który przetoczył się przez region, zrywając linie elektryczne, odzierając dachy z dachówek i wrywając drzewa

z korzeniami. W ciągu kilku dni wysuszone na wiór miasteczko znalazło się pod wodą. Powódź osiągnęła skalę, jaka może się zdarzyć raz na pięćset lat. Wymyła drogi, tworząc koleiny głębokie nawet na dwa i pół metra. Część miejscowych została odcięta od świata. Drogowców Grafton, ekipę małą i źle wyposażoną, szybko przytłoczył nawał pracy, która czekała ich, gdy woda się cofnęła. Z wściekłości ktoś wybił wszystkie szyby w jedynej miejskiej śmieciarce, co stanowi przykład typowej komunikacji obywateli Grafton z lokalnym samorządem.

Zainteresowałem się Grafton właśnie z powodu historii Jessiki Soule o kotożernych niedźwiedziach. Pracowałem jako reporter w regionalnym dzienniku „Valley News”. Natychmiast uwiódł mnie pomysł, że populacja graftońskich niedźwiedzi może przejawiać zachowania mieszczące się gdzieś na skali od rzadkich do niesłychanych.

Początkowo sceptycznie podszedłem do informacji, ile miejscowych kotów miały zjeść niedźwiedzie, a nawet że w ogóle doszło do takiego wydarzenia. Nikt nie utrwalił tego na filmie. A nawet gdy lasy New Hampshire upomną się o jakiegoś pupila, winą zazwyczaj obarcza się inne zwierzęta, na przykład kojoty. Pewien ekspert od odnajdowania zwierząt powiedział mi:

– Pewność możesz mieć tylko, jeśli znajdziesz szczątki.

Zacząłem zwracać uwagę na ogłoszenia o zaginionych kotach z Grafton: zarówno te internetowe, jak i plakaty przyszpilone do drzew w mieście.

„Biały kot z ciemniejszymi, pręgowanymi łatami, a może kilkoma czarnymi. Ma na imię Abby. [...] Bardzo za nią tęsknimy” – głosiło jedno z nich. Inne błagały o wieści na temat Buddy (duży, rudy, długowłosey), Bryce’a (pasiasty, brązowoczarny z białymi skarpetkami) i Brothera („Pierwszy raz tak zaginął i jesteśmy zrozpaczeni”).

Wyglądało na to, że coś wynurza się spod ściółki i porywa koty, gdy tylko ich właściciele się odwrócą. Jeśli rzeczywiście odpowiadały za to niedźwiedzie, mieszkańcy Grafton mieli do czynienia z plagą.

Albo – jak miałem się wkrótce przekonać – z dwiema plagami.

## Perypetie podatkowe

*Gdy ojciec mój tu osiąść miał,  
To były kresy świata,  
Pantery ryk nocami grzmiał,  
Niedźwiedź prosięta zmiatał.*

— Abraham Lincoln, *The Bear Hunt* [Polowanie na niedźwiedzie], 1847

Koloniści z Nowej Anglii prowadzili wojnę podjazdową z miejscowymi niedźwiedziami, na długo zanim zaczęli ścierać się z monarchią brytyjską. Latem 1776 roku o sile wroga przekonał się w sposób brutalny i dojmujący pewien młody człowiek – Eleazar Wilcox.

Życie nie oszczędzało atletycznego młodego małżonka od poprzedniej jesieni, kiedy to jako dwudziestopięciolatek wyprowadził się ze swojego domu na wybrzeżu oceanu w stanie Connecticut na zalesioną granicę kolonii w New Hampshire. Brak dróg – zanotował historyk regionu – „wymuszał najlichszą strawę i najprostsze życie”. Osadnicy musieli obyć się kleikiem z fasoli, skórzanym odzieniem i samodzielnie wykonanymi sprzętami. „Należało oczyścić ziemię z gęstwiny drzew, zanim można było zasiać jakikolwiek plon, i dniem i nocą wygłądać niedźwiedzi i wilków, które czaiły się wokół chat z bali”.

Choć na rubieżach przebywał od niedawna, Eleazar wiedział tyle, że gdy wychodzi z bezpiecznej chaty, musi włożyć do kieszeni spodni kilka

kul do muszkietu. Pewnego dnia na początku lata wyszedł na swoje pastwisko. Wtedy pierwszy raz dojrzał ogromnego niedźwiedzia. Znajdował się około siedmiu długości samochodu od niego (taka miara skonsternowałaby naszego bohatera, bowiem samochodu jeszcze wówczas nie wynaleziono). Eleazar wydobył kulę z kieszeni i wypalił z chirurgiczną precyzją: jeden celny strzał w głowę.

Niedźwiedź upadł ciężko. Kiedy jednak Eleazar dobiegał do zwłok, podniosły się z ziemi, zupełnie nie jak zwłoki, i krwawiąc, popędziły do lasu.

Pościg za niedźwiedziem byłby głupotą. Oczyszczone pastwiska, dalekie widoki i porządne domy stanowiły niewielką, jasną oazę bezpieczeństwa. Tuż za nią, w krainie niedźwiedzi, w cieniu świerków czarnych, choin, dębów i orzeszników, zawsze panował półmrok. Zdarzały się obszary pokryte rozłożystymi jodłami balsamicznymi o igliwiu tak gęstym, że widoczność spadała niemal do zera; gdzie indziej rozpościerały się błota i cierniste gęstwiny. Wszystko to służyło niedźwiedziom i ograniczało możliwości człowieka.

Gdyby jednak zastanowić się nad sprawą głębiej, niebezpieczniejszy od niedźwiedzia zapuszczającego się do twojej osady jest tylko zraniony niedźwiedź zapuszczający się do twojej osady.

Eleazar zwrócił się o pomoc do znajomego te tereny przyjaciela, Joshui Osgooda. We dwóch weszli do wilgotnego po wiośnie lasu i podążyli szlakiem schnących plam lepkiej krwi. Po kilku milach płyn stał się rzadszy – świeża krew. Wtedy – aby zwiększyć szansę oddania celnego strzału – mężczyźni się rozdzielili. To dlatego Eleazar był sam, gdy niedźwiedź zaszarżował. Muszkiet – fatalnym zrządzeniem losu – nie wypalił.

Jedna relacja głosi, że niedźwiedź uderzył Eleazara w głowę. Ten upadł, a następnie podniósł się na klęczki. Wtedy baribal napał na niego z góry. Inna z kolei mówi, że gdy zwierzę łapą wytrąciło z ręki Eleazara muszkiet (który przyszłe pokolenia zachowały jako poznaczony pazurami rodzinny skarb) i chwyciło mężczyznę, ten ścisnął dłonią język bestii i zawołał o pomoc.

Osgood przybiegł w samą porę, by uratować Wilcoxowi życie. Młody osadnik wrócił do żony na noszach, z uszkodzonym kręgosłupem i czterdziestoma dwiema powierzchownymi ranami. Przeżył, ale nigdy w pełni nie wrócił do zdrowia. Minęło wiele lat, zanim para doczekała się dzieci. Przez resztę życia mężczyzna cierpiał na występujące od czasu do czasu „niedźwiedzie napady”, jak sam je nazywał.

Eleazar Wilcox był jednym z wielu osadników, którzy odkryli wszechobecność niedźwiedzi w prastarych lasach New Hampshire. Współczesne mapy roją się od Niedźwiedzich Wzgórz, Niedźwiedzich Dolin, Niedźwiedzich Stawów, Niedźwiedzich Potoków i Niedźwiedzich Strumieni. Dwa różne górzyste obszary nazwano Niedźwiedzim Światem, Niedźwiedzia Wyspa na jeziorze Winnepesaukee zawdzięcza zaś swoją nazwę zwycięskiej krwawej bitwie grupy mierniczych uzbrojonych w broń palną i noże z czterema baribalami w 1772 roku.

Niedźwiedziom ludzkie osady przyniosły mile widziane urozmaicenie krajobrazu.

– Usadawia się pomiędzy dwoma rzędami kukurydzy – skarżył się jeden z mieszkańców – i łapami łamie łodygi czterech najbliższych kęp roślin, zginając je w swoją stronę, tak by kolby leżały obok siebie, a następnie je pożera. Przechodząc przez pole w taki sposób, niszczy wielkie ilości kukurydzy.

Poza kukurydzą niedźwiedzie lubiły słodkie jabłka. Licznie napadały na drzewka owocowe. Wyjadały kolejne chlewy prosiąt. Czasem zdawało się, że całemu rolnictwu Nowej Anglii grozi zniknięcie w gardzielach baribali.

Co gorsza, jeśli nie znajdowały się pod bezpośrednim ostrzałem, niedźwiedzie raczej nie okazywały strachu przed bladymi naczelnymi, które osiedliły się wśród nich. Jednego z polujących na zwierzęta mieszkańców hrabstwa Grafton, Jonathana Marstona, niedźwiedź zapędził na drzewo, pod którym następnie koczował całą noc. (Z pomocą osadnikowi przyszła grupa poszukiwawcza, która ostatecznie przerwała patową sytuację). Niedźwiedzie przeszukiwały stodoły i zagłędały do kuchni. Masywne węzły niedźwiedziego mięsa patrzyły, jak chodzące ludzkie mięso gotuje soczyste kawałki owczego mięsa.

Czasem nawet sami ludzie zostawali posiłkiem.

Pod koniec pewnego sierpniowego dnia 1784 roku mężczyzna nazwiskiem Leach zobaczył, jak niedźwiedź porywa z pastwiska jego ośmioletniego syna i ciągnie go w zarośla. Przerażony Leach zaatakował za pomocą drewnianego kołka, lecz ten „złamał mu się w dłoni; a niedźwiedź, porzuciwszy łup, obrócił się ku rodzicowi, który – z boleścią – zmuszony był wycofać się i wezwać pomoc”.

Po niespokojnej nocy grupa poszukiwawcza krótkim śladem krwi doszła do ciała chłopca – z rozerwanym gardłem i jednym zjedzonym udem. Niedźwiedź wyszedł z zarośli i próbował odgonić ludzi. Obalili go gradem kul, a potem spalili ciało niczym demona, który w przeciwnym razie mógłby powrócić.

\*\*\*

Nocą utrzymanie niedźwiedzi z dala od osad było prawie niemożliwe. Budowanie pułapek z bali i świńskich podrobów jako przynęty wymagało

dużego nakładu pracy i sprawdzało się tylko miejscowo. Szabrujący niedźwiedź zabiłby psa wyszkolonego na tyle, by przez noc pilnować spłachetka kukurydzy, zanim jego pan nadciągnąłby z bronią. Niektórzy rolnicy sami strzegli stad czy upraw przez całą noc, ale było to zbyt niebezpieczne i – jak zapisała czyjaś ręka – „zbyt uciążliwe, by robić to stale”.

Ktoś wpadł na pomysł, żeby „umieścić naładowaną broń i rozciągnąć przez pole linkę połączoną ze spustem, tak aby niedźwiedź przechodząc, napiął linkę, pociągnął spust i sam się zabił”. Choć było to sprytne, brutalna wada takich pułapek szybko stała się oczywista.

„Osoby niepowiadomione o urządzeniu – pisał współczesny – mogą, przechodząc przez pole, zabić się albo zranić. Zaiste, ten sposób rozstawiania pistoletów w niektórych przypadkach okazał się dla ludzi zabójczy”.

Angielscy królowie, oddzieleni od kolonistów oceanem, nigdy w pełni nie pojęli palącego charakteru amerykańskiego problemu z niedźwiedziami. Nie inaczej zresztą było z szeregiem innych niedogodności. Korona Brytyjska nie zajęła się niedźwiedziami, co wynikało z wiary w siłę wyższą. Wiara ta była bowiem naturalną cechą ówczesnych Brytyjczyków – przez tysiąclecia zabicie niedźwiedzia mogło być usankcjonowane przez państwo jedynie, jeśli dokonywano go w imieniu bogów czy monarchów.

Prawo to służyło rządzącym dużo lepiej niż rządzonym. Amerykańscy rewolucjoniści, którzy jako pierwsi zaczęli szeroko rozpowszechniać idee filozofa Johna Locke’a, nie dali sobie wciskać kitu, co znalazło wyraz w Deklaracji niepodległości i Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Przejęli stołki dyktatorów, oświadczając, że prawo do rządzenia nie bierze się z boskiego nadania, ale ze zgody rządzonych.



Chwilę po przyjęciu tej nowinki, którą w gruncie rzeczy była koncepcja osobistych praw, porewolucyjni przywódcy Ameryki zajęli się problemem niedźwiedzi. Wkrótce jednak pojęli dylemat, którego podstawy sami wprowadzili w życie: jak zabijać niedźwiedzie w imię wolności?

Nakaz zabijania niedźwiedzi trąciłby monarchizmem. Natomiast finansowanie kosztownych, państwowych oddziałów antyniedźwiedzich wymagałoby nałożenia nowych podatków – a tego ludzie nie lubią.

Prawodawcy wpadli więc na inne, niedrogie rozwiązanie, które jednak respektowało prawo jednostki do swobodnego działania. Ustalono nagrody za głowy niedźwiedzi. Za jednym pociągnięciem pióra ta kapitalistyczna innowacja zamieniła każdego uzbrojonego osadnika w potencjalnego łowcę nagród, który mógł wymienić na gotówkę „głowę niedźwiedzia” z obojgiem uszu.

A gdy kochających wolność mieszkańców New Hampshire poproszono, by chwycili za broń przeciwko niedźwiedziom, hrabstwo Grafton poszło na wojnę.

Pewna gospodyni w środku nocy napadła na niedźwiedzia z siekierą. Joseph Hatch, zapamiętany jako muskularny, przyłapał dwie niedźwiedzice i cztery młode na jedzeniu jego kukurydzy i rzucił się na nie ze szpikulcem. Trzymał je w szachu, póki nie ustrzelił ich sąsiad. Inni osadnicy wabili niedźwiedzie kulami łożu, w które wbijali haczyki na ryby ostrzami wygiętymi na zewnątrz, tak aby dosłownie rozerwać zwierzętom wnętrzności. Myśliwi celowali do nich z drzew. Po dwóch traperów przywiązywało ciała niedźwiedzi do tyczek i tak niosło je do domu. Para wyrostków znalazła niedźwiedzia tkwiącego na wysokiej sośnie nieopodal domu. Rodzinny muskiet nie miał mechanizmu odpalającego, więc odpalili oni proch gorącym pogrzebaczem. Wieść niesie, że tamtego roku misiowe mięso uratowało rodzinę przed śmiercią głodową.

Zabijanie niedźwiedzi nie traciło popularności na długo po tym, gdy już przestało być konieczne z powodów praktycznych. Chłopcy dorastali, marząc o zastrzeleniu niedźwiedzia, co urosło do rangi rytuału przejścia. Mężczyźni w średnim wieku zabiciem zwierzęcia potwierdzali swoją męskość. Starzy grasowali po lasach z gotową do wystrzału bronią, by pokazać, że wciąż mają w sobie to nieuchwytnie „coś”, co inaczej uchwycić można, tylko kiedy opuści się spodnie i sięgnie po centymetr.

Richard „Dick” French chełpił się, że zabił więcej niedźwiedzi niż którykolwiek inny mieszkaniec hrabstwa Grafton. A Jonathan Marston – po wspomnianej nocy na drzewie obłożonym przez baribala – twierdził, że „zabił więcej tych niedźwiedziech dzikusów” niż ktokolwiek inny w Ameryce. Nie zapisano liczb ofiar każdego z mężczyzn, ale musiały być one astronomiczne, biorąc pod uwagę sumy przypisywane tym, którzy nie rościli sobie pretensji do tak wielkiego żniwa.

Po tym jak Benjamin Locke, pobożny metodysta z hrabstwa Grafton, został wyparty z własnego gospodarstwa przez baribale, jego wuj Tom Locke zabił ich szesnaście w jednym sezonie. W innym miejscu hrabstwa pewien Szkot chwycił niedźwiedzie w ogromny stalowy potrzask, który jego dziad sprowadził ze Szkocji w 1727 roku. Szkot naliczył czterdzieści dziewięć upolowanych zwierząt, w tym dwustukilowca.

Skoro zabijanie niedźwiedzi świadczyło o męskości, brak takiej sprawności mówił o czymś wręcz przeciwnym. W 1815 roku Jonas Galusha, starający się o reelekcję gubernator sąsiedniego stanu Vermont, dumnie ogłosił, że upoluje osławionego niedźwiedzia przezwanego „Starym Śliskoskórem” przy użyciu nieznannej dotąd metody. Galusha wysmarował się zapachem niedźwiedzicy i udał do lasu po to tylko, by pędem wrócić do swej świty z depczącym mu po piętach niedźwiedziem. (Wybory przegrał).

W 1783 roku amerykańscy koloniści eksportowali do Anglii 10 500 niedźwiedzich skór. Do roku 1803 liczba ta przekroczyła 25 tysięcy. Jedna skóra kosztowała około 40 szylingów. W miarę kurczenia się populacji niedźwiedzi krajobraz utracił swoją tajemniczą władzę nad duszami miejscowych. Nieprzystępne lasy regionu stały się nieświadomą kopią afrykańskiej sawanny, na której niegdyś rozplenili się ludzie.

Paramilitarne grupy zaczęły się zapuszczać do najdalszych bastionów niedźwiedzi. W Andoverze banda „tylu mężczyzn, ilu tylko udało się skłonić do udziału w bitwie”, z obawy przed utratą owiec szturmowała górzysty, poznaczony parowami obszar Ragged Mountain przez dwa kolejne lata. „Podczas ostatecznych łowów poniósł się taki hałas okrzyków i wystrzałów, że ocalałe zwierzęta, których kilka widziano, najprawdopodobniej uciekły ze strachu” – zapisano.

Trwało to lata. Trwało to dekady. Zabito tysiące zwierząt, niedźwiedzia po niedźwiedziu; zrąbano miliony drzew, pień po pniu. Sprzedano surowce warte miliardy dolarów, skóra po skórze, bal po balu. A gdy wszystko się skończyło, osadnicy wychowywali wnuki w nowym świecie, zbudowanym na prochach leśnej głuszy, która – jak się wydawało – została pokonana.

\*\*\*

Do tego wrzącego kotła niedostatku i niedźwiedzich napaści wpadli pierwsi osadnicy Grafton. Wojskowi, kapitanowie Joseph Hoyt i Aaron Barney, przywieźli setkę jabłoni, swoje rodziny oraz kilka tuzinów podobnych im optymistów. Mieli nadzieję zbudować sobie nowe życie w rojącej się od niedźwiedzi dolinie rzeki Connecticut.

W tej obszarpanej grupie znaleźli się Eli Haskins, weteran wojny o niepodległość w podeszłym wieku szesnastu lat; Jonathan, brat kapitana Hoyta, z zawodu szewc (który miał zginąć z głową zmiażdżoną kołami

wozu zaprzęzonego w woły); kilku rolników o monosylabicznych nazwiskach, takich jak Smith, Dean, Cole i Gove; oraz syn Barneya, Jabez Barney, który poślubił pewną młodą kobietę taktownie nazywaną w historii hrabstwa „panną Barney” (byli spokrewnieni).

W pierwszych, kluczowych dla osady latach Hoyta, Barneya i wielu innych sprawnych mężczyzn wzywano do służby w milicjach dowodzonych przez Jerzego Waszyngtona, generała nowo utworzonego Kongresu Kontynentalnego. Kobiety pozostawały na miejscu, by opiekować się dziećmi i chorymi, podczas gdy „nocą lasy rozbrzmiewały wyciem i zmaganiem wilków i innych wściekłych zwierząt” – jak zapisał miejscowy historyk.

Osadnicy nienawidzili niedźwiedzi syczącą, rozpaloną do białości nienawiścią, która bierze się z życia w ciągłym strachu. Było jednak coś, czego nienawidzili nawet bardziej: podatki.

Założyciele Grafton nie po to weszli w paszczę tej przeklętej dziczy, żeby płacić podatki. Właściwie to ich entuzjazm dla jakichkolwiek regulacji był raczej niewielki.

Zaczęli od tego, że zupełnie zignorowali wielusetletnie, tradycyjne prawo miejscowych Abenaków i po prostu kupili ziemię od jednego z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, Johna Hancocka, i innych spekulantów. Hancock natomiast nabył tę ziemię od króla Jerzego Trzeciego. Ten zaś dostał ją od Boga.

Gdy tylko Abenaków usunięto z pola widzenia, następne na liście spraw Grafton było obalenie króla Jerzego, któremu – jak się okazało – Bóg nadał również prawo do nakładania uciążliwych podatków i wprowadzania niechcianych przepisów. Wielka Brytania ogłosiła na przykład, że każda strzelista sosna wejmutka rosnąca w kolonii New Hampshire i nadająca się na maszt okrętu wojennego stanowi własność Korony. Dekret ten wywołał

tak zwane zamieszki sosnowe. Mieszkańcy Grafton i okolic odebrali broń szeryfowi rojaliście i jego zastępcy, wychłostali ich różgami i wysłali do domu na koniach, którym – w akcie nietrafnie wymierzonego gniewu – zgolono sierść i obcięto uszy.

Osadnicy, zdecydowanie nastroszeni przeciwko podatkom i prawu, nazwali swoją miejscowość na cześć Augustusa FitzRoya, trzeciego księcia Grafton. Słynący z popędliwości brytyjski arystokrata zasłużył się tym, że zaproponował, by Korona nie nakładała tylu podatków na amerykańskich kolonistów.

Szala zwycięstwa w wojnie o niepodległość przechylała się na stronę sił Waszyngtona. Do dumnych graftońskich rewolucjonistów przeciwpodatkowych doszły jednak niewiarygodnie złe wieści. Kongres Kontynentalny, tak jak wcześniej Brytyjczycy, zamierzał ściągać podatki z Grafton.

Skoro wystawiono im nowe wezwanie do zapłaty za niejasną usługę „ochrony”, wielu graftończyków uznało, że nastąpiła po prostu wymiana niechcianych panów. Tak więc, gdy byli już poza zasięgiem zarówno Abenaków, jak i królewskiego prawa, mieszkańcy Grafton zajęli się unikaniem podatków Stanów Zjednoczonych. Ta dążność trwa do dziś.

Zaledwie w rok po proklamowaniu Deklaracji niepodległości z Grafton wypłynęło najwcześniejsze świadectwo niechęci tej miejscowości do podatków, które przetrwało do naszych czasów. W maju 1777 roku przywódcy społeczności wystąpili z petycją, w której przekonywali ówczesną Radę New Hampshire, że powinni zostać zwolnieni z opłat.

Nawet jeśli weźmiemy poprawkę na wciąż obowiązującą w tamtym okresie swobodę w zakresie ortografii, petycja odznaczała się fantastycznym półanalfabetyzmem. Zaczęło się z przytupem – autorzy przekręcili nazwę swojego stanu jako „New Hampsheir” – i poszło z górki.

Do urzędników zwracali się różnie: „Wielmożni Panowie”, „Wielmorzni panowie”, aż wreszcie „Welmorzni Panowie”.

„Z tej okazji kożystajonc, informujemy Wielmorznych Panów, że żondacie od Nas więcej niż My morzemy dać” – pisali. Swoje wezwanie do zawieszania opodatkowania kończyli z większą dozą dumy niż poprawności: „za tem dość”.

Petycję, podpisaną przez dziewiętnastu mieszkańców Grafton, w tym Barneyów, dostarczono konno do Rady New Hampshire, ale nie uzyskano odpowiedzi.

Dwa lata później miasteczko wysłało kolejny, jeszcze mozolniej sformułowany (i równie poznaczony błędami) wniosek o ulgi podatkowe. Ten spisał Jabez Barney. Najwyraźniej jego małżeństwo z kuzynką nie zdyskwalifikowało go jako kandydata na pisarza miejskiego Grafton.

„Gdybyś my zmuszeni zostali do Zapłaty podatku nam Nałorzzonego i ktury Mamy zapłacić przemyenił by on Nas w Spektak Żałości dla Wszystkich ludzkich Ystot większość Tuteyszych w tej Głuszy wyedzie tak ciężki Żywot że ich nieomal Ostawił z Niczem” – pisał.

Choć listom nadawano brzmienie próśb, nadzorcy stanowego skarbcza nie mogli nie zauważyć, że kolejne terminy mijały, a poborów z Grafton jakoś nie było widać.

W rzeczywistości petycje stanowiły część prostego planu w dwóch krokach.

1. Wnieść o to, żeby nie płacić podatków.
2. Po prostu ich nie płacić.

Podatnicy grali na zwłokę przy płaceniu, a urzędnicy załamywali ręce przy rządzeniu. Rada New Hampshire też doświadczała presji finansowej. Nie stać jej było nawet na wynagrodzenia dla swojego skromnego personelu.

Pierwszy jej przewodniczący, absolwent Harvardu Mesch Weare, zdawał się zdezorientowany samą myślą, że prości prowincjusze mogą beczelnie unikać podatków.

W pełnym zaniepokojeniu (choć ortograficznie nienagannym) liście przewodniczący Weare skarżył się, że „hrabstwo Grafton poza dwiema lub trzema miejscowościami nie płaci podatków od kilku już lat, nie posiada sądów ani żadnych stosownych praw. [...] Trudno uwierzyć, że ciągną pertraktacje”.

Hoytom i Barneyom może brakowało harwardzkiego dyplomu, ale rozumieli, że nie mogą przez wieczność odpierać poborców Weare'a. Dlatego uczynili to, co na ich miejscu zrobiłaby każda inna społeczność ludzi rozsądnych.

Zagłosowali za odłączeniem się od państwa.

Okazja do takiego prawoburstwa nadarzyła się w styczniu 1781 roku, kiedy to przywódcy Vermontu zaprosili przedstawicieli kilkunastu przygranicznych miejscowości, w tym Grafton, na oficjalny zjazd. Vermont, choć wysłał posiłki do walki z Brytyjczykami, formalnie był niezależną republiką i nie zaliczał się do trzynastu zrzeszonych kolonii Stanów Zjednoczonych.

Na zjeździe jego delegaci zaproponowali, że mogą poszerzyć granice tak, by objęły one Grafton i sąsiednie miejscowości. Dzięki temu graftończycy uwolnią się od wszelkich zobowiązań wobec Stanów Zjednoczonych. Przedstawiciele miasteczek niezwłocznie zagłosowali przeciwko tej najwyraźniej absurdalnej propozycji i szykowali się, by siodłać konie na powrót do domu.

Wtedy otworzyły się drzwi. Stał w nich spóźniony przybysz, pułkownik Ethan Allen. Jako gorąckrwisty gospodarz, który – zakuty w okowy – przez prawie trzy lata przebywał w odosobnieniu, będąc

brytyjskim jeńcem wojennym, Allen dobrze rozumiał pragnienie wolności graftedziaków.

Napomknął im o „zalecie dołączenia do Vermontu, dzięki czemu uniknęliby ciężkiego brzemienia Podatków”.

– Cóż – zapytali delegaci Grafton (mrukliwie i sceptycznie, jak możemy sobie wyobrazić) – a co z podatkami w Vermoncie?

– Obywatele Vermontu – odparł Allen z wyższością – nie płacą żadnych podatków. Kufry republiki napełnia sprzedaż ziemi i domów skonfiskowanych lojalistom Wielkiej Brytanii.

Owszem, ta żyła złota kiedyś musiała się wyczerpać, ale pomysł opuszczenia New Hampshire przestał się wydawać taki śmiechu warty. Właściwie to Grafton było oczarowane tym projektem. Uczestnicy zjazdu pospiesznie zmienili swoją decyzję. Tym razem zagłosowali za tym, by z propozycją secesji udać się do swoich miejscowości. Gdy tylko wyborcy w Grafton usłyszeli o braku podatków w republice tuż za rzeką, potwierdzili decyzję i wybrali Russella Masona na swojego przedstawiciela w Zgromadzeniu Vermontu.

Tymczasem w Radzie New Hampshire przewodniczący Weare, już ze zszarganymi nerwami z powodu nieustępliwości podatkowej Grafton, otrzymał zdumiewające doniesienie: generał brygady z Vermontu Peter Olcott zrekrutował na obszarze Grafton dziesięcioletni oddział mężczyzn, by bronić prawa Vermontu do wycofania się z wojny o niepodległość, a nawet sprzymierzenia z Brytyjczykami.

Wobec widma pobicia przez prostaków Weare zwrócił się o pomoc do Jerzego Waszyngtona, będącego wtedy u szczytu władzy i wpływów. Niewzruszony Waszyngton, który wciąż bił się z Brytyjczykami, poprzysiągł, że jeśli Vermont nie ulegnie, to on „obróci się plecami do



wspólnego wroga, a całe swoje siły poprowadzi przeciwko temu Państwu i zniszczy je doszczętnie”.

Niestety sytuacja przedstawiała się nieco inaczej, niż wyobrażali sobie graftednicy. Allen pomachał im przed nosem republiką wolną od podatków, a tak naprawdę jego celem było uzyskanie przez Vermont statusu stanu USA. Roszczenie Vermontu do ustalonego terytorium New Hampshire dawało mu kartę przetargową przeciwko ewentualnym staraniom New Hampshire o wchłonięcie Vermontu. W tych wielkoskalowych manewrach dyplomatycznych pomiędzy New Hampshire, Vermontem, Wielką Brytanią i Kongresem Kontynentalnym Grafton było zaledwie pionkiem.

Negocjacje ciągnęły się przez wiele miesięcy. Tymczasem graftednicy próbowali się przyzwyczaić do życia równocześnie w hrabstwie Grafton (New Hampshire) i w hrabstwie Grafton (Vermont).

Jakby komplikacji było mało, każdy z dwóch stanów wyznaczył własną listę szeryfów spornego terytorium. Latem i jesienią dwa wymiary sprawiedliwości współżyły w napiętym rozejmie. Każdy z szeryfów realizował nakazy sądowe swojego stanu. Koniec rozejmu nastąpił w listopadzie 1781 roku. Wtedy Isaac Griswold, zastępca szeryfa egzekwujący prawo Vermontu, aresztował Enocha Hale'a, szeryfa egzekwującego prawo New Hampshire.

Ruszyło domino eskalacji. Region Grafton zaczął mobilizować się przeciwko New Hampshire. Gdy powiedziano przewodniczącemu Weare'owi, że sześciuset uzbrojonych mężczyzn jest gotowych bronić przed nim tych terenów, ten rozkazał milicji New Hampshire, by zwerbowała tysiąc żołnierzy na wojnę domową.

Ostatecznie uniknięto rozlewu krwi dzięki negocjacom. Vermont spuścił z tonu, kiedy obiecano mu przy stole, że zyska status stanu.

Pozbawione sojuszników Grafton nie mogło liczyć na to, że wytrzyma pod naporem amerykańskiej milicji. Bez entuzjazmu zaakceptowało więc władzę stanu New Hampshire. Niemniej rząd amerykański – tak jak wcześniej Brytyjczycy – miał na wieki wieków pozostać dla Grafton okupantem, któremu mieszkańcy będą stawiać opór.

Do rozwiązania pozostawała kwestia należności podatkowych.

Russella Masona, zwolnionego z obowiązków w Zgromadzeniu Vermontu, wyznaczono na nowego „Pisaża miejskiego” Grafton (jak sam o sobie pisał). W 1783 roku Mason wystosował do władz podatkowych New Hampshire nową petycję.

„Spoglondamy na wielmożnych panów jako Strórzy naszych Praw: Oczy nasze szukajom odwas Ociążenia w tym czasie Nie Pokoju: I Błagamy welmożnych panów o Ulge” – pisał Mason.

Takiej niewypłacalności „nigdy Lud Wolny niedoświatczał nasze Podatki som Wysokie & Niema w Miasteczku Piniendzy by Wywiązać sie z Dwódziestej nawet części Podatku & Zdaje sie on Tak Ogromnym”.

Wiedząc jednak, że musi – aczkolwiek niechętnie – dać Stanom Zjednoczonym jakiś dowód poddaństwa, Grafton wysunęło nową propozycję. Mieszkańcy oświadczyli, że zamierzają zapłacić należność w zbożu zamiast w gotówce.

Jeśli z administracji Weare’a nadeszła jakaś odpowiedź, zaginęła w pomroce dziejów.

## Logiczny libertarianin

*Szanowny Panie,*

*przyjmij Pan wyrazy mojej wdzięczności za Łuk i strzały, któreś mi Pan w swej życzliwości przysłał, jak również za dwa niedźwiedzie Grizli, które przyjąłem i zachowuję tutaj w dobrym zdrowiu.*

— Thomas Jefferson, list z 1807 roku dotyczący niedźwiedzi grizli, które przez krótki czas mieszkały na trawniku Białego Domu (a następnie zostały przez Jeffersona oddane pewnemu człowiekowi, który nie zdołałszy ich oswoić, zastrzelił je)

Gdy John Babiaryz, syn polskich imigrantów, dorastał w latach 60. i 70. XX wieku w Southington w stanie Connecticut (z angielskim jako drugim językiem), jego rodzinny dom nawiedzały widma szaleńczych, despotycznych rządów.

– Podczas drugiej wojny światowej moja matka i mój ojciec byli prześladowani przez władze – opowiada. – Ojciec został zesłany na Sybir przez komunistów, a matka skazana na nazistowski obóz koncentracyjny.

Babiaryz, wychowany w nieufności do rządów przekraczających swoje kompetencje, od młodości uważa na znaki mogące świadczyć o osuwaniu się Ameryki w autorytaryzm. Po wyjściu z domu rodzinnego przez chwilę pracował jako analityk komunikacji radiowej w Siłach Powietrznych USA, ale wytrzymał tylko cztery lata. Odkrył w sobie smykałkę do rodzącej się dopiero dziedziny, którą było wówczas programowanie komputerowe,

oparty na logice wszechświat, gdzie poprawne odpowiedzi wyłaniały się z konstelacji jaskrawozielonych liter jarzących się na tle czarnej abstrakcji. Dołączył do działającej w kalifornijskim Sacramento grupy informatyków. Należały do niej również największe nazwiska programowania, zanim jeszcze stało się ono dziedziną powszechnie znaną.

– Gdybym tam został, zbratałbym się zapewne z tymi geniuszami z Doliny Krzemowej – mówi.

Podjął jednak pracę w firmie Data Products, gdzie projektował *software* i *hardware*. Wreszcie założył własną informatyczną firmę consultingową, zajmującą się głównie projektami automatyzacji w fabrykach. W 1987 roku, cztery dni po swoich trzydziestych pierwszych urodzinach (i chwilę przed obiadem), Babiaryz rozpoczął realizację zlecenia konsultacyjnego w rozległej siedzibie firmy Aetna znajdującej się przy Farmington Avenue naprzeciwko katedry św. Józefa w Hartfordzie (Connecticut).

Jak zwykle pewny siebie Babiaryz przysunął się do atrakcyjnej kobiety.

– Przynajmniej przez okna nikt nie wyskakuje – zagaił.

– Chyba nie – odparła. Miała na imię Rosalie. Powierzono jej zadanie pokazania Johnowi jego stanowiska pracy. Miała też zaprowadzić go na lunch.

Babiaryz dodał, że chyba wie, dlaczego nikt nie rozbija się o bruk.

– Okna się nie otwierają! – zauważył. Puenta wywołała zduszony śmiech. Niewiele, ale to już coś.

Każdego innego dnia dowcip o tym, że Aetnie brakuje samobójców, byłby czymś dziwnym. Ale to był poniedziałek 19 października – tak zwany czarny poniedziałek. Giełda pogrążyła się w panice największej od przeszło pięćdziesięciu lat. A Babiaryz konsultował działalność dywizji inwestycyjnej w Aetnie, która zarabiała dla firmy najwięcej pieniędzy.

– Ludzie latali po biurze i krzyczeli: „Rynek pada!” – wspomina Babiarcz.

Kiedy inwestorzy – znani także jako hiperracjonalne maszyny obliczeniowe napędzane *haute cuisine* i dobrymi winami – patrzyli na gwałtowny spadek wykresu, powinni byli pamiętać o tym, by większą wagę przykładają do długoterminowej tendencji wzrostowej na giełdzie niż do hysterii tego dnia. Od swoich białych, wykrochmalonych koszul poczuli nagle kwaśny zapach potu. Ludzie – ludzie inteligentni, znający się na giełdzie i zajmujący się nią od dekad – działali irracjonalnie.

Może się to wydać dziwaczne, że Babiarcz, którego inwestycje również zależały od sytuacji na giełdzie, umiał zachować spokój, choć zawodowi inwestorzy byli w rozsypce. Babiarcz należy jednak do pewnej grupy ludzi, która nawet traderów prześcignie w logice – jest libertarianinem.

Libertarianie mają pewną wizję Ameryki. Zakłada ona szeroko pojętą wolność osobistą, mikry rząd oraz czystość rynku, który sam rozwiązuje problemy takie jak zmiana klimatu, nierówności edukacyjne czy rosnące koszty opieki zdrowotnej.

Zamiast wierzyć w wartości religijne czy moralny obowiązek pomagania słabszym, libertarianie wierzą w racjonalizm. Przeprowadzone w 2012 roku badanie różnic osobowości pomiędzy republikanami, demokratami a libertarianami wykazało, że w rozwiązywaniu problemów politycznych logikę i zdolności poznawcze najbardziej cenią właśnie libertarianie.

Utworzona w 1971 roku Partia Libertariańska jak magnes przyciąga setki tysięcy Amerykanów podobnych Babiarczowi: takich, którzy cenią logikę i nie ufają autorytarnym rządowi.

W 1988 roku flagowy polityk partii – były członek Izby Reprezentantów USA Ron Paul – zdobył zaledwie 0,5 procent głosów

w wyborach prezydenckich. Tak stał się jasny zasadniczy problem logików. Jak przenieść te nieprzeciętne umiejętności myślenia z obrzeży sceny politycznej w sam jej środek? Trzeba pokazać swoim emocjonalnym, mniej trzeźwo myślącym rodakom, jak wspaniałe byłoby społeczeństwo pod przywództwem libertarian.

Problem ten wciąż zaprzętał głowy członkom partii w 1992 roku, kiedy to Babiarez ożenił się z Rosalie (również libertarianką). Postanowili, że wysoki podatek dochodowy w Connecticut to dobry powód, żeby wyjechać z tego stanu.

\*\*\*

Po krótkim pobycie w Vermoncie Babiarezowie szybko zorientowali się, że jednak New Hampshire to lepszy cel dla tych, którym przyświeca idea „Żyj Wolny lub Zgiń” – tak ukochane motto tego stanu, że kiedy w latach 70. pewien świadek Jehowy zakrył słowa „lub zgiń” na swojej tablicy rejestracyjnej, ponieważ obrażały jego uczucia religijne, władze stanowe posłały go do aresztu.

Mimo że szczytą się logicznym myśleniem, libertarianie darzą prawa osobiste namiętnością graniczącą z fanatyzmem. Babiarez podszedł do motta New Hampshire równie poważnie, co dosłownie.

„Dla mnie słowa «lub zgiń» oznaczają, że jako jednostka zobowiązujesz się do [...] walki z jakąkolwiek siłą, która cię od tego powstrzymuje, aż do dnia swojej śmierci” – pisał. „Śmierć nie jest najgorszym złem; poddaństwo być może tak. Szybka śmierć jest niczym w porównaniu z latami okrucieństwa, biedy i niewolnictwa wynikającymi z systemu, który wyzuwa z ludzkiego ducha”.

W 1993 roku John i Rosalie pojechali na samochodową włóczęgę. Znaleźli się na dalekiej szutrowej drodze biegnącej przez skąpo zaludnioną

część Grafton znaną jako Slab City. Poczuli się, jak gdyby przejechali samochodem w czasie i trafili w dobę rewolucji w Nowej Anglii, kiedy to wolność przeważała nad poddaństwem, a liczba drzew przewyższała liczbę podatków.

Spostrzegli znak NA SPRZEDAŻ wbity w szczególnie malowniczym miejscu z efektownym widokiem na Smith Mountain oraz strumyk i pola uprawne na pierwszym planie. Na posesji wznosił się niewielki, ceglany budynek szkoły.

Wkrótce wykręcili numer do June Burrington, kobiety konkretnej, głowy pewnego starego graftońskiego rodu. Odchowawszy dzieci w Slab City, June wyprowadziła się z budynku szkoły do położonego wysoko gospodarstwa przy Tunnel Road, po drugiej stronie Grafton.

W listopadzie tamtego roku rodziny Burringtonów i Babiarów podpisały umowę sprzedaży szkoły. Następnie przez sześć miesięcy John i Rosalie przewozili cały swój dobytek na pace niewielkiego pick-upa.

Tu, w Grafton, wreszcie mogli być wolni. Zamontowali na szkole panele słoneczne, posadzili warzywa i eksperymentowali z rolnictwem: pszczołami i świniami, szklarnią, kurami, indykami i owcami. Przystąpienie do ochotniczej straży pożarnej było dobrym wentylem dla chłopięcego entuzjazmu Babiarza. Na akcjach ratunkowych wchodził w rolę jak bohater z filmu akcji. Swoją codzienny zawód zaczął natomiast wykonywać bardziej na własną rękę i ekscentrycznie. Nową małą firmę komputerową nazwał Intergalactic Software; po niej była Endor Communications (od ojczystej planety Ewoków w *Gwiezdnych wojnach*), którą prowadził z budynku gospodarczego na terenie szkoły i wykorzystał do tego, by przyłączyć Grafton do internetu.

John i Rosalie układali sobie nowe, wspólne życie. Tymczasem na wiosennym śniegu i błocie wzdłuż najważniejszych szlaków miasteczka

coraz gęściej ścieliły się odchody i ogromne odciski łap. Kosze na śmieci stawały się celami nocnych najazdów. Wkrótce po porwaniu kociąt Jessiki Soule John i Rosalie zaczęli mieć własne niedźwiedzie problemy.

– Obiecałem jej – powiedział mi raz, kiedy żona siedziała u jego boku – że ani chwili nie będzie się ze mną nudzić.

– I teraz ja o takie chwile błagam – odparowała Rosalie z kamienną miną.

Niedźwiedzie przewracały ich drewniane ule i dobrały się do miodu. Nie martwili się, ale postanowili zabezpieczyć elektrycznym ogrodzeniem pod wysokim napięciem swój najnowszy gospodarski eksperyment: dorodnego czarnego barana oraz owcę. Baran był, jak mówi John, „niesforny” – zawsze szukał okazji, żeby ubóść pana, niejasne było tylko, czy z gniewu, czy dla sportu.

Długo nie pożył. Pewnego dnia, wróciwszy z wezwania do remizy, Babiaryz odkrył jego brutalnie rozdarte na strzępy ciało.

– Niedźwiedź po prostu go zmasakrował – opowiedział mi potem. – To miejsce jest bardzo...

Tu umilkł. Jasne było, że oddalenie Grafton od władzy centralnej jest tyleż czarujące, co wymagające. Niedźwiedzie zmartwienia Babiaryza wzmagają jeszcze fakt, że Grafton rozdarte było pomiędzy dzikim otoczeniem jak z epoki osadników a koniecznością przestrzegania nowoczesnych przepisów dotyczących dzikich zwierząt. Według libertariańskich ideałów John Babiaryz mógłby pójść za przykładem Eleazara Wilcoxsa sprzed ponad dwustu lat: zrealizować swoją wolność do pogoni za niedźwiedziem, który mu zabił barana. Natomiast zgodnie ze stanowym prawem ochrony przyrody mógł jedynie strzelać do niedźwiedzi czynnie zagrażających jego własności – co zresztą można różnie



interpretować. Choć Babiaryz nigdy bezprawnie nie zabił baribala, trudno nie zauważyć, że nie zgadza się z prawem.

– Czuje, że na mojej posesji mam prawo chronić swoją własność i jej bronić – mówi. – Jeśli zobaczę niedźwiedzia sprawiającego problemy, załatwię sprawę. A potem możemy się o to kłócić w sądzie.

Kiedy nie odganiał niedźwiedzi od swoich uli, Babiaryz nurzał się w stanowej polityce. Szybko awansował w szeregach niewielkiej Partii Libertariańskiej stanu New Hampshire. W 2000 roku pierwszy raz ogłosił swoją kandydaturę na stanowisko gubernatora. Było to możliwe dzięki udanej mobilizacji libertarian do zebrania tysięcy podpisów potrzebnych do wpisania kandydata na listę. W październiku 2000 roku Babiaryz wystąpił w telewizji C-SPAN<sup>[3]</sup> wraz z gubernatorką demokratką Jeanne Shaheen i dwojgiem innych kandydatów. Jego zaistnienie na scenie narodowej było ogólnie niezręczne. Nie mrugał i brzmiał sztywno, potykał się, recytując wyćwiczone odpowiedzi.

Ale były też mocniejsze momenty. Przedstawił zasadnicze dogmaty Partii Libertariańskiej publiczności, która prawdopodobnie wcześniej ich nie znała. „Prawdziwym zadaniem rządu”, mówił, „jest ochrona indywidualnych praw własności”. Wyraził moralny sprzeciw libertarian wobec podatków dochodowych, od sprzedaży i od własności.

Najlepiej na tle wprawnych oponentek i oponenta zaprezentował się, gdy spojrzał w kamerę i powiedział:

– Rząd nie jest rozwiązaniem. Jest problemem.

Chociaż uzyskał jedynie trochę ponad 1 procent głosów, w 2002 roku wystartował ponownie. Tym razem miał już kapitał polityczny, który pozyskał wcześniej, i zebrał około 3 procent głosów. To sześć razy więcej niż Ron Paul w wyborach prezydenckich. To lepszy wynik niż niemal każdy dotychczasowy kandydat libertarian na gubernatora

w którymkolwiek ze stanów. W swym nieustającym dążeniu do wylansowania libertarianizmu w głównym nurcie polityki New Hampshire Babiaryz poczuł, że jest u progu osiągnięcia czegoś wielkiego – gdyby tylko mógł dalej pomnażać swój elektorat.

Potrzebował skądś wytrzasnąć więcej libertarian.

## Kwartet kolonistów

*Mogłabym równie dobrze szamotać się z niedźwiedziem lub  
dyskutować z wariatem. Nie miałam innego sposobu jak biec do  
okna i ostrzec ofiarę przed oczekującym ją losem.*

— Emily Brontë, *Wichrowe wzgórza*, 1870[4]

Był luty 2004 roku. Furgonetka telepała się od jednej małej, zamarzniętej miejscowości w New Hampshire do drugiej. W środku czterech mężczyzn pokrzepionych tytoniem, alkoholem i posiadaniem broni palnej pławiło się w kółku wzajemnej adoracji. W każdą rozmowę wplatał się wątek przekonania, że Partii Republikańskiej brakuje jaj, by na poważnie zająć się wolnością.

Tak jak John Babiarz – podróżujący byli libertarianami. Do najzdradliwszych przeszkód w rozwoju partii należy jej determinacja w podążaniu ciągiem logicznym w każde mroczne miejsce, do którego ciąg ten by prowadził, niezależnie od panujących w społeczeństwie obyczajów. Z jednej strony mamy więc filozofię, o której można powiedzieć, że dała podwaliny założycielskich dogmatów Ameryki, z drugiej strony trudno nie zauważyć, że ta sama filozofia wciąż prowadzi do szczerych dyskusji na temat tego, czy kanibalizm za zgodą jedzonego powinien być legalny.

W ciągu trzydniowej podróży skład pasażerski furgonetki się zmieniał, ale naczelna czwórka była w pojeździe przez cały czas.

Tim Condon, elokwentny, choć nieco pompatyczny pięćdziesięcioletni prawnik (tak jak programiści, prawnicy czują się w języku logiki jak ryby w wodzie), od trzydziestu lat był działaczem politycznym. Jako żołnierz marines służył w Wietnamie, a potem wrócił do domu i zafascynował się tekstami konserwatywnego polityka Barry'ego Goldwatera (który później miał przerzucić most pomiędzy republikanami a libertarianami).

Condon przyleciał do New Hampshire z rodzinnej Florydy – podobnie jak Larry Pendarvis, najstarszy z mężczyzn, bo sześćdziesięcioletni. Pendarvis podróżował pod pseudonimem Zach Bass, prawdopodobnie dlatego, aby nikt nie skojarzył go z jego przeszłością. Pracował kiedyś w biurze wydziału zdrowia Departamentu Zdrowia i Usług Rehabilitacyjnych stanu Floryda. Stanowisko stracił nagle, kiedy współpracownicy, podejrzliwi wobec jego skrytości przy korzystaniu z komputera, znaleźli na dysku pliki, za które usłyszał 129 zarzutów posiadania pornografii dziecięcej[5]. Osobowość Pendarvisa czasem przedstawiano mi jako rozdwojoną: na żywo był zdystansowany, ale w internecie zmieniał się w obelżywego trolla. Podczas procesu sądowego o posiadanie pornografii dziecięcej oskarżyciel pokazał sędziemu i obrońcy listę cech Pendarvisa spisaną na kartce dużego notesu. Znalazły się pośród nich słowa takie jak „nieśmiały” czy „milczenie”. Po obejrzeniu listy obrońca stwierdził, że nie sprzeciwia się przekazaniu jej ławie przysięgłych. Wtedy oskarżyciel po kryjomu poprawił długopisem słowo „milczenie” tak, by widniało tam „zbocheniec”. Prawnika Pendarvisa zaskarżył takie działanie i wyrok uchylono. Pendarvisa puszczono wolno. Prasa donosi, że oddał się przedsiębiorczości: założył firmę matrymonialną sprowadzającą Amerykanom żony z zagranicy, głównie z Filipin. (Sam Pendarvis był na

tamten moment żonaty siedem albo osiem razy; to zależy, czy krótki okres bigamii policzymy jako jedno małżeństwo czy dwa osobne).

Po wylądowaniu w New Hampshire Condon i Pendarvis spotkali się z Bobem Hullem, wąskoustym, zamożnym, trzydziestoosmioletnim biznesmenem z New Jersey, znanym z cichego sposobu bycia i zamiłowania do mody z czasów disco.

Kompanię marzeń zamykał brodaty właściciel furgonetki – Tony Leks. Myślący czterdziestoosmioletek o łagodnym głosie był wśród nich jedynym mieszkańcem New Hampshire. Przeprowadził się w 1979 roku z Chicago. Z zawodu był programistą, ale coraz bardziej pochłaniała go myśl o zostaniu instruktorem strzelectwa.

Wielu libertarian odczuwa silną więź z początkami Stanów Zjednoczonych. Postrzegają ten czas jako utopijny złoty wiek, kiedy rząd był mały, a ludzie wolni. Łączność z czasami beztroski wydawała się tym silniejsza, im głębiej wjeżdżali w las, wymieniając się historiami o wolności. Tak jak ojcowie założyciele USA, mężczyźni trzymali broń pod ręką i nigdy nie zapominali o swoich prawach osobistych. I tak jak ojcowie założyciele, zamierzali po ojcowsku coś założyć.

Czterech marzycieli wpadło na pomysł, jak rozwiązać trapiący ich od dziesiątków lat problem z wprowadzeniem libertariańskich poglądów do głównego nurtu polityki. Zjawili się w New Hampshire, by położyć fundamenty pod najśmielszy eksperyment społeczny we współczesnej historii USA: Free Town Project.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, setki wolnomiasteczkowców skoncentrowałyby swoją siłę wyborczą w jednym miejscu i dokonały politycznej metamorfozy. Zmieniłyby małe amerykańskie miasteczko z sennej i nieatrakcyjnej gęstwiny uciążliwych regulacji w sobiepańskie kresy cywilizacji, gdzie – jak obiecywała strona internetowa stworzona

przez Pendarvisa – obywatele będą dysponować pewnymi niezbywalnymi prawami, takimi jak prawo do posiadania więcej niż dwóch wraków samochodów na posesji, prawo do hazardu, prawo do wagarów, prawo do handlu narkotykami oraz prawo do stosunków kazirodczych.

Aha, a do tego Pendarvis dążył do zabezpieczenia prawa do handlu organami oraz prawa do stawania do pojedynków, a także uzyskanego z boskiego nadania, lecz niedocenianego prawa do organizowania tak zwanych walk meneli, czyli płacenia bezdomnym i biednym symbolicznych sum za potyczki na pięści. Logika to dziwna rzecz.

Stworzenie pierwszego Wolnego Miasteczka Ameryki było projektem tak ambitnym w swoim rozmachu, że zdawało się od początku skazane na niepowodzenie. Zaiste, prawie każdy taki eksperyment społeczny w dziejach poniósł spektakularną porażkę. Większość prób zawiązania zaplanowanej społeczności wymagała jednak sztucznego zaludnienia miejsca niezamieszkanego, na przykład obszaru pustyni czy wyspy. W 1972 roku milioner z Nevady wraz z przyjaciółmi libertarianami wzięli w niepodległe władanie jedną z wysp u wybrzeży Nowej Zelandii (któremu to roszczeniu rychło położyło kres nowozelandzkie wojsko).

Realizację utopii ogranicza rzadkie występowanie wizjonerów o głębokich kieszeniach. Zbudowanie nowej społeczności od zera wymaga milionów czy nawet miliardów dolarów wydanych na infrastrukturę i pokonanie przeszkód związanych z faktem, że nikt wcześniej w danym miejscu nie zamieszkał. Henry Ford, który swoją linią produkcyjną rozpoczął rewolucję w motoryzacji, przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy jego niedoszłą amazońską utopię, Fordlandię, pochłonęły tropikalne choroby roślin i ludzi, zderzenia kultur i niechęć brazylijskiego rządu.

Czterech libertarian, którzy przyjechali do New Hampshire, miało cieńsze portfele od Forda i innych niedoszłych utopistów. Wpadli oni

jednak na rozwiązanie, które ich zdaniem miało szansę przenieść Free Town Project ze sfery marzeń w oparach marihuany do rzeczywistości.

Zamiast budować od zera, chcieli opanować władzę i infrastrukturę istniejącej miejscowości. Tak jak wirus wścieklizny opanowuje mózg znacznie większego od siebie organizmu i zmusza go do działania przeciwko własnym interesom, ci libertarianie zamierzali zastosować tylko odrobinę presji, by całą miejscowość nakierować ku wolności.

To, że idealna do tego miejscowość będzie leżeć gdzieś w New Hampshire, czyli pod dewizą „Żyj Wolny lub Zgiń”, wydawało się niemal przesądzone. W kraju złożonym z humorzastych stanów z zapędami niepodległościowymi New Hampshire należało do najbardziej humorzastych i skłonnych do incydentów. Znajduje się ono w grupie pięciu stanów, w których nie ma podatku od sprzedaży; jest jednym z dwóch, w których kadencja gubernatora trwa tylko dwa lata, i jedynym stanem w regionie Nowej Anglii, który wciąż dopuszcza karę śmierci. (Od 1939 roku nikomu jej nie wymierzono, ale najwyraźniej tutejsi lubią mieć taką możliwość).

Ale którą miejscowość wybrać? Libertarianie jeździli po okolicy, chodzili po ludziach, szukali miejsca idealnego. Roxbury wydawało się atrakcyjne, ale nie miało dużo ziemi na sprzedaż, co utrudniałoby kolonizację. W Lempster wystawiono na rynek nieruchomości stary zajazd dla dyliżansów, który mógłby być obiecującym przystankiem dla nowo przybyłych rewolucjonistów. Jednak gdy się tam wybrali, ktoś im powiedział, że miasteczko ma w planach przyjęcie przepisów zagospodarowania przestrzennego: prawa budowlanego zabezpieczającego budynki przed popadnięciem w ruinę i pożarem. A to absolutnie przekreślało plany libertarian.

„Zagospodarowanie przestrzenne może zostać użyte przez istniejące lokalne siły polityczne jako etatystyczna broń do blokowania wszelkiej dużej imigracji [...] do miasteczka” – pisał Condon w poście o wyjeździe na swoim blogu. „Ponadto zaistnienie zagospodarowania przestrzennego sugeruje, że dzisiejsza ludność sprzyja wścibstwu. Nie chcemy więc mieć z nią nic do czynienia”.

W sumie rozważyli i odrzucili dwadzieścia miasteczek: za zimne, za mało ziemi, za dużo przepisów i tak dalej.

Potem dotarli do Grafton, 120 kilometrów kwadratowych poszarpanej krainy niedźwiedzi w najdalej wysuniętych na południe rejonach hrabstwa Grafton. Tam w ciągu poprzednich pięciu lat Jessica Soule i jej sąsiedzi w Bungtown patrzyli, jak mnożą się ślady baribali: odchody, tropy i gościnne występy. Kiedy jednak koloniści wjechali na drogę numer cztery, jedyną twardą szosę prowadzącą do Grafton, nie spotkali niedźwiedzia. W kwestii biznesu też niewiele dało się tu zaobserwować. Nie było kawiarni, restauracji ani handlu detalicznego. Wyjątek stanowił jeden tradycyjny sklep wielobranżowy z zapadającym się drewnianym gankiem i pojedynczym dystrybutorem paliwa.

Bez wątplenia w tym miejscu znieawidzona przez Condon „wścibska” obywatelska hardość była w odwrocie. Tak naprawdę wyglądało na to, że poza sklepem wielobranżowym w Grafton nie ma innych wartych uwagi obiektów należących do społeczności. W Grafton Center znajdował się nazwany od niego kościół (wzniesiony w 1798 roku), a przy szosie leżała atrakcja w postaci nieczynnej kopalni Rugglesa, w której dawniej wydobywano mikę na użytek komercyjny. Z budynków należących do samorządu w oczy rzucały się jedynie biblioteka publiczna i remiza, która *de facto* służyła również za stację ratownictwa medycznego oraz miejsce spotkań mieszkańców.



To na parking remizy Lekas zjechał wreszcie furgonetką z drogi numer cztery. Libertarianie wyszli z wozu, rozprostowali nogi i kręgosłupy. O tej miejscowości wiedzieli tyle, ile ona o nich, czyli nic. Choć przyszli koloniści wchodzili do publicznego budynku, by dyskutować o sprawie, która jak najbardziej dotyczyła interesu publicznego, samo spotkanie miało charakter zdecydowanie prywatny. Nikt nie wiedział, że przyjechali – nikt poza Johnem i Rosalie Babiarzami.

Koloniści weszli do budynku i przemierzali krótki korytarz, mijając kilkoro drzwi prowadzących do biur szefów wydziałów, w tym komendanta straży pożarnej. Korytarz otwierał się na przepastną halę, gdzie obok pojazdów straży pożarnej i pogotowia ustawiono plastikowy stół i składane krzesła. Dołączyli do Babiarzów przy stole. Śnieg z parkingu topił im się na butach i rozlewał na betonowej podłodze w małe kałuże.

Grafton od razu zabrzmiało obiecująco. John Babiarz powiedział im, że rodowici mieszkańcy miasteczka są „przeciwni biurokracji” oraz „wrodzy planom zagospodarowania przestrzennego” i innym wścibskim przepisom.

To było dobre. Poczuli też, że mogliby potraktować Grafton jak swoją piaskownicę – plac zabaw pod niewielkim albo wręcz żadnym nadzorem federalnym. Niezwiązane ze światem zewnętrznym ani torami kolejowymi, ani handlem Grafton stanowiło mały skrawek cywilizacji schowany między drzewami. A ponieważ było w nim znacznie więcej ziemi niż ludzi, przyszli osadnicy mieli do dyspozycji wiele wolnych działek.

Koloniści i ich gospodarze wspólnie ustalali strategię jawnego przejęcia władzy w samorządzie miasteczka. Grafton posiadało mniej niż ośmiuset zarejestrowanych wyborców, z czego większość nie chodziła do urn. Stwierdzili, że do istniejącej bazy podobnie myślących miejscowych musiałoby dołączyć tylko kilkudziesięciu nowych wyborców, by przechylić szalę na rzecz nowego porządku.

– Czy byłoby możliwe zaprzestanie finansowania miejscowego okręgu szkół publicznych?

– Już się o tym mówi – zapewniła Rosalie, kadrowa w okręgu regionalnym.

W pewnym momencie rozmowę przerwał Merle Kenyon, szef policji w Grafton (i jej jedyny pełnoetatowy pracownik), przechodząc przez halę. Kenyon, zawsze do ludzi, przystanął, by pogawędzić z nimi przez chwilę, i wrócił do swoich zajęć.

Po odejściu Kenyona koloniści stwierdzili, że nie wygląda on na kogoś, kto nachodzi ludzi i zatrzymuje ich za przestępstwa bez ofiar. Poza tym „szef policji to w Grafton urząd obieralny – napisał później Condon – więc gdyby nadużywał swojej władzy, mógłby zostać przegłosowany”.

Condon i reszta zapytali swoich gospodarzy: czy mają „jakikolwiek opory dotyczące tego, że czereda dzikich libertarian najedzie na ich cichą miejscowość? [...] Czy powinniśmy wybrać Grafton na miejsce Free Town Project?”.

– Oczywiście – odpowiedziała Rosalie.

Nie jest jasne, czy w tamtej chwili Babiarczowie w pełni zdawali sobie sprawę z tego, że libertarianie rządzą się tymi samymi zasadami co wampiry: raz zaproszeni do domu, nigdy się nie wycofają.

John się uśmiechnął.

– Oczywiście! – odpowiedział. – Dlaczego nie?

Gromada sąsiadów libertarian mogła tylko mu pomóc wykonać misję polegającą na budowie infrastruktury dla Partii Libertariańskiej w New Hampshire – a może nawet pomóc mu zostać pierwszym w kraju gubernatorem libertarianinem. A poza tym, by odwołać się do logiki, zarówno wolnomiasteczkowcy, jak i wieloletni graftończycy nienawidzili podatków.

## Co mogło pójść nie tak?

---

[3] Amerykański kanał C-SPAN transmituje na żywo wydarzenia polityczne takie jak obrady Kongresu, konferencje prasowe w Białym Domu czy właśnie debaty. Jest to usługa publiczna świadczona nieodpłatnie przez telewizję kablową.

[4] Emily Brontë, *Wichrowe wzgórza*, przeł. Janina Sujkowska, Świat Książki, Warszawa 2015, s. 174.

[5] Zgodnie z prawem karnym obowiązującym w stanie Floryda sprawca usłyszał osobny zarzut za każdy plik.

## Ożywiony odzew

*– Aż, ty samodzielny niedźwiedziu – powiedział pustelnik. – Nie ma dnia, żeby rozmowy, które tu prowadzę, nie utwierdziły mnie w moim celu; nie ma dnia, żebym nie dostrzegł we wszystkim, co tu słyszę i widzę, jaką słuszność i moc mam w utrzymywaniu tego celu.*

— Charles Dickens, *Tom Tiddler's Ground* [Ziemia Wojtka Wiercipięty], 1861

– Pojedynczo! – krzyczała prowadząca, rozpaczliwie pragnąc utrzymać porządek, zanim odczuwalnie paskudny nastrój w pomieszczeniu wymknie jej się spod kontroli.

W Nowej Anglii walne zebrania miejskie są najczęściej sennym ćwiczeniem z postaw obywatelskich i być może najczystsza postacią demokracji bezpośredniej, jaka pozostała w Stanach Zjednoczonych, wywodzącą się jeszcze z najwcześniejszego okresu amerykańskich kolonii. Gdy pojawi się jakaś pilna sprawa, urzędnicy wybrani przez mieszkańców miasteczka silą się na wszelką pompę, godność i ceremonialność, na jaką ich stać, i spraszają całą społeczność do jednego dużego pomieszczenia. Ci, którym zechce się przyjść, pełnią funkcję zarówno wyborców, jak i prawodawców. Mają władzę proponowania wiążących prawnie działań i podsuwania poprawek do wniosków zgłaszanych przez sąsiadów.

Obrady te to dla niewielkiej społeczności okazja do pokazania, że – jeśli da się jej cugle władzy – wzniesie się ona powyżej nieudolności polityków

w Waszyngtonie.

Jest to również okazja do poniesienia spektakularnej porażki.

– Pojedynczo! – powtórzyła moderatorka. – Proszę podnosić ręce!

Na zewnątrz ktoś oparł o ścianę budynku trumnę – milczącą groźbę – z zaparkowanym obok karawanem do kompletu.

Był 19 czerwca 2004 roku. Zaledwie cztery miesiące wcześniej Grafton zostało wybrane jako lokalizacja Free Town Project. I już sprawy chyliły się ku niepowstrzymanej katastrofie.

Wszystko zaczęło się w lutym w ekscytującej atmosferze wielkich tajnych planów.

Po rozmowie z Babiarzami na początku 2004 roku Hull, Condon i inni założyciele Wolnego Miasteczka byli podnieceni. Oto nadarzyła się szansa stworzenia modelowej społeczności libertariańskiej, która mogła zaprezentować sukcesy tej ideologii i nauczyć cały naród, że opresja władzy państwowej to nie jest jedyna droga.

Bob Hull po cichu nabył kilka połaci ziemi, w tym starą farmę Hoytów. W połowie maja dokupił dziewięćdziesiąt pięć hektarów wzdłuż drogi numer cztery. Planował pozwolić libertarianom mieszkać na tej ziemi albo na stałe, albo tymczasowo, zależnie od prywatnych umów wynegocjowanych z każdym indywidualnie. Drogę dojazdową do jednej ze swoich działek ochrzcił aleją Wolności.

Koloniści zaczęli również pracę nad gromadzeniem masy krytycznej libertarian. Należało przekonać ludzi, by przeprowadzili się na to pustkowie bez fryzjerów, kin, pizzerii, kortów tenisowych, koncertów, zasięgu komórkowego czy dostępnych stanowisk pracy – by podać tylko kilka przykładów z niekończącej się listy rzeczy, których brakowało w Grafton. Condon i Pendarvis stworzyli strony internetowe opisujące projekt w samych superlatywach. Tłumaczyli, że przyjazd do Wolnego Miasteczka

stanowi szansę uczestnictwa w doniosłym momencie libertariańskiej historii politycznej. Puścili też w obieg numer telefonu do przyjaznego libertarianom miejscowego agenta nieruchomości. Ogłosili, że ułatwią nowo przybyłym wolnomiasteczkowcom aklimatyzację, kierując ich do tymczasowych mieszkań, urządzając powitalne imprezy i starając się skontaktować ich z miejscowymi pracodawcami.

W wąskich granicach internetowych „forów wolności” libertarianom z całego świata nagle zaczęło się zdawać, że każdy, komu naprawdę zależy na wolności, mieszka w New Hampshire, przeprowadza się do New Hampshire albo rozważa przeprowadzkę do New Hampshire.

Wolnomiasteczkowcy w swoim przekazie nawiązywali do złotego wieku wolności z okresu rewolucji, kiedy to Amerykanie zakładali własne osady w Nowej Anglii, a każda z nich dźwięczała obietnicą przyszłości ukutej samodzielnie przez mieszkańców.

Ale tak naprawdę oczywiście nie ustanawiali żadnej wcześniej nieodkrytej granicy cywilizacji. Podobnie jak niegdyś Anglicy przerąbawali się przez gęstwinę kontynentu, który błędnie uznali za Nowy Świat, libertarianie ingerowali w istniejącą od dawna rdzenną społeczność, która nie uważała ich ani za nieszkodliwych kolonistów, ani za wyzwolicieli, tylko za najeźdźców.

Chociaż oczywiście większość ludzi w New Hampshire – i większość ludzi w ogóle – nie miała zdania na temat libertarian. Nie wiedziano nawet, że nadchodzą.

Wiosną 2004 roku, kiedy parę pierwszych samochodów wolnomiasteczkowców przetoczyło się drogą numer cztery, nikt poza Babiarami i kilkorgiem innych sympatyków nie wiedział, co się święci.

Plan nie rzucił się nikomu w oczy, dopóki miejscowa pisarka Lisa Shaw nie natknęła się na niego w internecie i nie zaczęła bić na alarm. Na każdy

adres w miasteczku wysłała list, w którym opisała projekt w negatywnym świetle. (Wiadomość „była bardzo złośliwa” – skomentował później Condon).

Gdy tylko mieszkańcy Grafton wykryli ten niewielki wycinek cyberprzestrzeni poświęcony planom libertarian – publiczne fora dyskusyjne i strony internetowe – tajemnice się skończyły. Wiadomości o Free Town Project trafiły do lokalnej prasy, stąd do regionalnej, a wreszcie do ogólnokrajowej.

Pewien mieszkaniec Grafton w wywiadzie telewizyjnym oskarżył wolnomiasteczkowców, że „próbują nam wepchnąć wolność do gardła”. Libertarianie namiętnie powtarzali sobie ten cytat, kpiąc z nielogicznego pomysłu, że ktokolwiek mógłby negatywnie postrzegać wolność. Oskarżycielskie słowa można było odebrać jako wczesne ostrzeżenie przed kłopotami. Jednak większość wolnomiasteczkowców wciąż zakładała, że w swojej podatkofohii graftończycy potraktują ich jako wyzwolicieli i politycznych pobratymców. Condon, podobnie jak wielu innych organizatorów, spodziewał się, że „ludzie Grafton przyjmą nas z otwartymi ramionami”.

Ramiona wielu graftończyków pozostawały jednak uparcie zamknięte. Nie było nic dziwnego w tym, że żyjąca w miasteczku mniejszość liberałów i zwolenników władzy państwowej osłupiała z oburzenia. Libertarianie natknęli się na inną niespodziankę w postawach miejscowych: wielu konserwatystom, zwolennikom państwa minimalnego, w których wolnomiasteczkowcy upatrywali sojuszników, również się to wszystko nie podobało.

Dużym problemem była na pewno strona internetowa Pendarvisa. Gdy wzywał on wolnomiasteczkowców do zdruzgotania „autorytarian i etatystów”, wojowniczy ton działał na oddanych libertarian jak okrzyk

bojowy. Natomiast jeśli chodzi o nawiązywanie porozumienia ze społecznością... Cóż, powiedzmy, że nie przysłużył się sprawie. W imieniu uczestników projektu Pendarvis powiedział otwarcie, że wolnomiasteczkowcy zamierzają zmiażdżyć „autorytarian i etatystów”. W środowisku libertarian nazwanie kogoś „etatystą” – zwolennikiem ingerencji silnego państwa – stanowi prawdziwą obelgę, wywołującą podobnie ostre reakcje obronne jak nazwanie kogoś rasistą. Pendarvis poprzysiągł również, że zmusi Grafton do wyjścia z okręgu szkolnego oraz zalegalizuje między innymi handel organami, kanibalizm i pojedynki.

– I nagle ludzie zorientowali się, co on tam opowiada – mówi Babiarez. Jak wielu innych wolnomiasteczkowców sugerował tym samym, że ocenianie Free Town Project po poglądach wyrażonych na stronie internetowej Free Town Project jest wielką niesprawiedliwością. – Ludzie to wyłapali i uznali za argument usprawiedliwiający ich ksenofobię.

Aby ugłaskać oburzonych i pozyskać nowych zwolenników, Condon i garść innych wolnomiasteczkowców zgodzili się objaśnić swój plan na spotkaniu informacyjnym z mieszkańcami.

W sobotę 19 czerwca pierwszym znakiem, że walne zebranie Grafton może skończyć się kłopotami, było to, że wybrane miejsce – dawny budynek szkoły pełniący funkcję ratusza – okazało się za ciasne. Sala najpierw się zapełniła, potem przepełniła, a do godziny rozpoczęcia, czyli 13.00, prawie pękła w szwach. Na zewnątrz ludzie głośno narzekali, że odmawia im się prawa do uczestnictwa w spotkaniu.

Zebranie przeniesiono do remizy oddalonej o niecałe trzy kilometry. Sznur pick-upów zajechał na parking, a ich pasażerowie zaczęli wlewać się do sali, w której ustawiono nierówne rzędy składanych krzeseł. Przy wejściu setki mieszkańców miały okazję dostrzec karawan i trumnę



ozdobioną znakiem życzącym Free Town Project, by „spoczywał w pokoju”.

Takie były nastroje miejscowych.

Wkrótce po otwarciu spotkania przez moderatorkę przed tłumem stanął libertarianin Mike Lorrey – duży, potężny, łysiejący. Tłumaczył, że mieszkańcy nie mają się czego obawiać ze strony członków Free Town Project.

– Powiem tak: to są tacy ludzie, że gdybyście państwo mieli ich za sąsiadów, bylibyście z tego dumni – powiedział Lorrey. Nie uspokoił tym tłum. Po jego słowach po morzu rozgniewanych twarzy przetoczyła się fala szyderczego śmiechu.

Jeden ze słuchaczy wstał i oznajmił Lorrey’emu, że sam przeprowadził się do Grafton, ale nie próbował robić przy tym przewrotu. Mówił podniesionym głosem. Nie było to nic szczególnego. Zdawało się, że każdy w tym pomieszczeniu podnosi głos.

– Co wy chcecie tu zrobić? – krzyknął.

Logicy, uzbrojeni w cały arsenał rozsądnych argumentów (i broni palnej zresztą pewnie też), szybko zrozumieli, że zebrani nie garną się do nauki o libertarianizmie.

John Babiarez siedział w tłumie z innymi graftończykami i wstawał od czasu do czasu, by przyblokować część gniewnych pytań. Na krześle obok niego milczała Rosalie.

– Do tej chwili nie wiedziałem, w jaki sposób Hitlerowi udało się rozpalić ludzi, by poparli wojnę – komentuje dziś John. Mówi o mentalności stadnej. – To było ciekawe, bo całkowicie oparte na emocjach. Logika i rozum wyleciały przez okno.

We dwoje czuli coraz większy dyskomfort podczas tej dyskusji. Sąsiedzi rozrywali ich na strzępy.

– Trudno się to wspomina – przyznaje Rosalie.

– Na zebraniu byli ludzie, których znaleźliśmy jakieś dziesięć lat – mówi John. – I nagle zostałem diabłem wcielonym? Wow.

Pomimo wszystkich sygnałów ostrzegawczych wolnomiasteczkowcy się nie przygotowali. Ogniste natarcie z sali pełnej wścibskich sąsiadów stanowiło przeciwieństwo tego, czego spodziewali się po Grafton znanym im z opowieści. Przed spotkaniem Babiaryz powiedział im, że graftończycy „przeważnie trzymają się z daleka od innych. [...] Każdy chodzi własnymi drogami”. Nawet Lisa Shaw, najwyraźniej przeciwniczka libertarian, mówiła o „miasteczku pustelników”.

Graftończycy, z którymi przyszło się skonfrontować libertarianom, zdecydowanie nie wyglądali na pustelników. Zdawali się chętni finansowaniu biblioteki i remizy ze swoich podatków i utrzymywaniu takich filarów społeczności jak sklep wielobranżowy czy dostojny, stary kościół w Grafton Center.

Swoim najbardziej prawniczym tonem głosu Condon usiłował uspokoić mieszkańców, mówiąc, że libertarianie nie będą dążyć do podjęcia takich kroków jak prywatyzacja dróg (po której każdy musiałby płacić za utrzymanie odcinka drogi przy swoim domu albo wykonywać prace samodzielnie).

– Chcemy, żeby kochający wolność ludzie wspólnie się tu przeprowadzili, a potem wszystko już będzie zależało od nich – obiecywał. W odpowiedzi usłyszał gwizdy i zaczepki.

– Nie oceniajcie nas po tym, co mówi Zach Bass – prosił Lorrey, posługując się pseudonimem Pendarvisa. (Tymczasem tego samego dnia Bass powiedział reporterowi New Hampshire Public Radio, że należy zlikwidować publiczną oświatę, bo „nie może być tak, żeby ktoś był zmuszony do płacenia za naukę cudzych dzieci”).

Po trzech godzinach męczarni, wypełnionych wściekłymi wystąpieniami, spotkanie wreszcie się wypaliło.

Mieszkańcy Grafton przemówili mniej więcej jednym głosem. Nadali jasny sygnał: nie chcemy was tutaj.

Czyli było po wszystkim. Libertarianie źle ocenili Grafton. Free Town Project był skończony, zanim się w ogóle zaczął.

Tyle że wcale nie był.

\*\*\*

Po wszystkim libertarianie zebrali się, żeby porozmawiać o tym, co się stało.

Wolnomiasteczkowcy wyobrażali sobie niezmaconą niczym wymianę poglądów, w ramach której przedstawiliby miejscowym zalety życia bez władzy. Pod tym względem spotkanie okazało się totalną klapą.

– Jeden powiedział nawet: „Szkoda, że tam pojechaliśmy. Gdybyśmy tylko się nie zgodzili z nimi spotkać. [...] To była woda na młyn miejscowych” – opowiada Rosalie Babiarz.

Choć niektórzy bronili Pendarvisa jako człowieka, który nie owija w bawełnę, wielu zniechęconych libertarian winiło właśnie jego za zogniskowanie rozmowy wokół większości najbardziej zapalnych tematów, takich jak walki meneli. Partia Libertariańska New Hampshire, która uważała się za ugrupowanie zupełnie odrębne od Free Town Project, wysłała Pendarvisowi e-maila w ostrych słowach oskarżającego go o retoryczne „zatrucie studni” w Grafton.

„Mieszkańcy Grafton są uzbrojeni, niebezpieczni i bardzo na pana wkurzeni” – pisał John Barnes z partii stanowej. Polecił Pendarvisowi trzymać się z dala od New Hampshire. „Z pewnością nie będziemy pana chronić”.

Choć Pendarvis nigdy nie zrzekł się libertariańskich ideałów, pospiesznie porzucił swoje plany względem New Hampshire i zniknął z oczu opinii publicznej.

Szybkie ucichnięcie Pendarvisa kontrastowało z reakcją Tima Conдона, którego wojowniczość również czasem budziła zastrzeżenia. (Niektórzy libertarianie winili go za publikację na blogu posta, który przyciągnął do projektu niepożądaną uwagę). Po spotkaniu tylko dołał oliwy do ognia. Reporter miejscowej gazety usłyszał Condoną mówiącego do innych libertarian, że zebranie wypełnił „wściekły tłum ksenofobów i wieśniaków”. Condon wytłumaczył się reporterowi, że to był tylko żart.

W jeszcze bardziej konfrontacyjny ton uderzył pewien post na forum opublikowany po zebraniu z konta przypisywanego Condonowi.

„Tylko dlatego uprzejmiem nie powiedziałem [głośnemu przeciwnikowi projektu] «pierdol się, gnido», że staraliśmy się zachować spokój i ogładę wobec wszystkich” – pisał Condon.

Babiarz z kolei komentuje, że prawdziwymi ekstremistami na tym spotkaniu byli etatyści, którzy tylko wykorzystali Pendarvisa do tego, by przedstawić libertarian jako fanatyków.

– Istnieje pewna frakcja, która, cytuję, chce rozbudować rząd. Dostrzegła okazję, żeby odmalować libertarian jako anarchistów, czy kogo tam jeszcze, i w ten sposób ich zniszczyć – mówi.

Ładunek emocjonalny sprawił, że niektórzy zaczęli proponować przeniesienie projektu do innej miejscowości – w New Hampshire albo w ogóle bardziej na zachód, gdzie powitanie z otwartymi ramionami wciąż pozostawało żywą możliwością. Jednak im więcej o tym mówili, tym bardziej wierzyli, że głos społeczności zasłyszany na zebraniu nie był tak jednomyślny, jak im się wydawało.

Może widzieli tylko pewną frakcję Grafton. Condon stwierdził, że to oczywiste, kto pokazał się na zebraniu. Demokraci. „Nawet miasteczko pustelników ma swoich etatystów” – rozmyślali libertarianie.

W miarę postępu rozmów zaczęli wierzyć z coraz większą nadzieją, że jad, który się na nich wysączył, niekoniecznie reprezentował opinie większości grafitończyków.

Przecież – choć przyszła na nich pokrzywić znaczna liczba ludzi – logika mówi, że jeszcze większa liczba musiała zostać w domach. W lasach musiały żyć jeszcze setki grafitończyków, którzy swoją nieobecnością wyrażali albo milczące poparcie, albo przynajmniej neutralność.

Cicha leśna większość.

Pustelnicy.

Choć libertarianie nie mieli specjalnie dowodów na poparcie tej tezy, ustalili, że gdyby Free Town Project poszedł naprzód, to tamci ludzie pomogliby im podkopać miejscowe struktury władzy.

Grafton wciąż jeszcze można uwolnić, skonstatowali. Jeszcze może zostać pierwszym Wolnym Miasteczkiem Ameryki.

I co do tego – jak się okazało – logicy mieli całkowitą rację.

## Duchowa dozorczyńi

*Purytanin nienawidził igrzysk niedźwiedzich nie dla bólu  
niedźwiedziowi sprawianego, ale dla przyjemności jakiej widzowie  
doznawali.*

— Thomas Macaulay, *Dzieje angielskie*, 1848[6]

Gdy graftednicy chcieli z czymś porównać Free Town Project, naturalnie przypominało im się pewne lato na początku lat 90. Na Wild Meadow Road zapanował nietypowy ruch w kierunku jej dalekiego, wysokiego krańca. Sąsiedzi opowiadali, że podwórko starego gospodarstwa wypełniały samochody i kampery z rejestracjami spoza stanu, a z nich wylewały się dziesiątki uśmiechniętych, pozdrawiających się nawzajem ludzi. Niektórzy goście byli Azjatami. Wyglądało to na sektę.

Gdy podejrzliwi graftednicy sprawdzili księgi wieczyste działki w stosownym urzędzie, odkryli, że gospodarstwo zakupił Kościół Zjednoczeniowy, międzynarodowa organizacja, o której zrobiło się głośno w latach 70., ponieważ urządała masowe ceremonie zaślubin prowadzone przez charyzmatycznego przywódcę wielebnego Sun Myung Moona.

Obecność Kościoła nie spodobała się wielu miejscowym. W ślad za ogólnokrajowymi mediami publikującymi niepoehlebne opisy Kościoła Zjednoczeniowego zaczęto rozpowszechniać mroczne plotki o „domu

moonistów”. Obcy ludzie sprzedawali kwiaty przy drodze numer cztery. Bardziej jak sekta to już nie mogło wyglądać.

Gdy spytałem Jessicę Soule, tę, której kocięta porwał niedźwiedź z domu przy Wild Meadow Road, o społeczność założoną przez moonistów w Grafton, wybuchła śmiechem.

– Powiem tak – odparła. – To ja byłem naczelną moonistką.

\*\*\*

Jej droga do Kościoła Zjednoczeniowego – a zarazem do Grafton – zaczęła się w piątkowy poranek latem 1974 roku. Obudziła się i usiłowała połączyć sygnały napływające do jej zmysłów: twardą ziemię pod swoim dwudziestoletnim ciałem, liściaste gałązki rosnące tuż przy twarzy, tępy ból pustego żołądka i odległy – ale nie bardzo – odgłos szybkich kroków na chodniku.

Gdy rozwiały się opary snu, Soule wyczołgała się z krzewów rosnących wokół siedziby władz stanu Ohio w Columbus. Podniosła się. Z nogawek dżinsów wystawały bosa stopy. Zastanawiała się, jak przeżyje następny dzień bezdomności.

„Jak mogłeś pozwolić, żeby mi się to stało?” – spytała Boga. Była na ulicy od czterech dni. Czy pięciu? Ale Bóg nie odpowiedział.

Przez kolejnych kilka godzin Soule spacerowała bez celu i przysiadła na ławkach, rozmyślając o tym, jak daleką drogę przeszła od swojego dzieciństwa w kościelnej wspólnoty w Massachusetts. Jej rodzinie przewodził ojciec, zamożny prawnik. Ona kiedyś marzyła o pracy lekarki. Marzenia nie trwały długo. Gdy skończyła czternaście lat, rodzice się rozwiedli, a ona zamieszkała z kuzynostwem.

Kiedy miała osiemnaście lat, myślała, że jej życie właśnie zmienia się na lepsze. Zaciągnęła się do marynarki wojennej. W bazie morskiej

w Filadelfii zakochała się w innym rekrucie. Jednak w ciągu następnych dwóch lat doznała serii niewyjaśnionych ataków padaczkowych, w wyniku czego zwolniono ją ze służby. Wyszła za tego mężczyznę, ale nieznacznym problem rozpoznany przez nią jako alkoholowy okazał się poważnym problemem narkotykowym. Po nieprzyjemnej kłótni uciekła z ich mieszkania. Od tamtej pory spała pod siedzibą władz stanu.

Siedziała przygnębiona na ławce, patrzyła na przejeżdżające obok trolejbusy, przechodzących ludzi, biznesmenów i robotników z bokobrodami jedzących drugie śniadanie, turystów patrzących w górę na wysokie budynki i rodziców prowadzących do parku swoje dzieci i zwierzaki na dawkę letniego ruchu. Każdy dokądś szedł. Każdy dokądś zmierzał.

Soule podjęła decyzję. Wybrała sobie chyba odpowiednie miejsce na krawężniku. Stała przodem do pędzących pojazdów. Kiedy nadjeżdżał autobus, zaczęła do ostatniej chwili, a potem wybiegła na ulicę, przed jego maskę.

– Dobrzy są ci kierowcy autobusów w Ohio – opowiada. Źle wyliczyła czas i autobus nawet jej nie dotknął. – Wdepnął hamulec i do mnie wyskoczył.

– Wiem, co chciałaś zrobić – powiedział kierowca, zaganiając ją do środka pojazdu. Udała niewiniątko, ale usadził ją między dwiema kobietami i zabrał na pętlę. Tam powiedziała mu, że próba samobójcza była wynikiem przejściowej, szalonej myśli. Odeszła w swoją stronę. Ale już planowała znaleźć inne, lepsze miejsce, gdzie autobus będzie jechał szybciej.

Przy wyjściu z pętli zatrzymała ją para młodych kobiet. Dały jej ulotkę. Już się odwracała, gdy w ucho wpadły jej ich obce akcenty. Jedna była z Francji, druga z Niemiec.



– Przyjdiesz dziś wieczorem na spaghetti? – zapytały niezgrabnym, ale przyzwoitym angielskim.

To było pytanie dla niej. Soule nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła. Zaraz potem dziewczyny zawiozły ją samochodem na teren Uniwersytetu Ohio i zaprowadziły do sali konferencyjnej buzującej od młodzieńczej energii. Zanim podano jedzenie, wszyscy zwrócili się w kierunku podium z przodu pomieszczenia.

– Wstał taki Japończyk. Powiedział, że Bóg jest zarówno męski, jak i żeński – relacjonuje Soule. Pomyślała wtedy o swoich dzinsach, drobnym akcie buntu wobec kościelnych wspólnot, w których dorastała.

Po kolacji zaproszono ją na cały weekend, by została i posłuchała następnych wystąpień. W piątek wieczorem Soule nie wiedziała, co myśleć o przekazie. W niedzielę wieczorem najbardziej na świecie chciała poświęcić swoje życie Kościołowi.

„Podoba mi się tu” – stwierdziła. „Ci ludzie są raczej dobrzy. Niektórzy może trochę naiwni albo nieco egzaltowani, ale w taką niszę mogę się wpasować”.

Weekendową konferencję zorganizował Kościół Zjednoczeniowy. Wtedy miał około pięciu tysięcy wyznawców, głównie młodych ludzi zrażonych do przemian społecznych lat 70.

Soule wprowadziła się do dawnego domu bractwa studenckiego na kampusie uniwersyteckim wraz z setką innych nowych członków Kościoła. Mężczyźni mieszkali na jednym piętrze, kobiety na drugim. Kupowali jej odzież i dawali jeść – ale dla Soule ważne było kształcenie duchowe.

– Nauki były dla mnie całym światem – mówi.

Spróbowała pojednać się ze swoim mężem, ale on nie był w stanie zachować mocnej postawy trzeźwości narzuconej przez Kościół. Gdy się

potknął, Soule znacznie łatwiej było odwrócić się od niego niż od nowych towarzyszy i towarzyszek.

Choć nie stał się jeszcze znany na cały kraj, Kościół Zjednoczeniowy już spotykał się z krytyką wymierzoną w nietypowe praktyki oraz wyznawane poglądy polityczne. Moon wykorzystywał swoje wpływy i majątek do propagowania twardych antykomunistycznych przekazów w mediach. Poza zbudowaniem zabarwionego wiarą imperium biznesowego miał ostatecznie zostać miliarderem i pozyskać siedem milionów wyznawców.

We wrześniu Soule załadowała się do autobusu z innymi wiernymi. Jechali do Nowego Jorku, gdzie zaplanowano wystąpienie samego Moona. Nasłuchawszy się o jego imponującej prezencji, odkryła, że jest znacznie niższy, niż sobie to wyobrażała. Coś jednak ją w nim urzekło.

– Przerwał przemówienie, spojrzał na mnie i się uśmiechnął, pewnie dlatego, że tak wytrzeszczałam oczy – opowiada. – Przerwał, uśmiechnął się i tak charakterystycznie dla Azjatów kiwnął głową.

To było elektryzujące.

– Dziewczyny po obu moich stronach, z tej samej grupy, poszturchiwały mnie i ćwierkały: „Spojrzał na ciebie! Spojrzał na ciebie!”.

Po wszystkim wysoko postawiony członek Kościoła zaprosił Soule do dołączenia do Moona i innych przywódców organizacji w jego pokoju hotelowym. Zaproszenie okazało się pierwszym z wielu. Moon został mentorem Soule. Zachęcał ją do odbudowania relacji z rodzicami i skończenia studiów. Na jego zaproszenie wraz z setkami innych członków i członkiń Kościoła przeprowadziła się do seminarium teologicznego w Barrytown (stan Nowy Jork). Tam często stykała się z dziećmi Moona.

Gdy o Kościele było coraz głośniejsze w całym kraju, widziała, że media wciąż ponawiają pytania, czy mooniści torturują pobratymców albo poddają

ich praniu mózgu. Agenci rządowi nagabywali ją, zadając pytania o to, co tak naprawdę dzieje się wśród wysokich rangą wyznawców. Soule wydawały się one niemądre. Nie działo się nic prócz duchowych nauk.

– Ludzie mówią, że był potworem. Ale nie, nie był. Był najmilszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam – mówi. – Wyprowadził mnie na prostą.

W 1975 roku, po ponadrocznym pobycie Soule w Barrytown, Moon powiedział swoim młodym uczniom, że nadszedł czas, by ponieśli nauki Kościoła w świat. Wielu wysłał na misje do innych krajów. Innym, również Soule, powiedział, by znaleźli własną ścieżkę.

Zacząła od założenia Family Unity Network, organizacji *non profit* w mieście Minneapolis. Gdy ta się zamknęła, Soule poszła pracować do opieki społecznej w Wareham (Massachusetts). Tam została na wiele lat. Czasem rozmawiała z Moonem przez telefon albo przychodziła na jego wystąpienia, kiedy przyjeżdżał do Bostonu.

Gdy w 1982 roku Moon był sądzony za unikanie podatków, zyskał sobie wsparcie znanych przywódców religijnych oraz świeckich libertarian. Po ogłoszeniu wyroku Soule już chciała w proteście przykuć się łańcuchem do ogrodzenia więzienia. Przyjaciele z Kościoła odwiedli ją od tego. Mniej więcej rok później Moon został zwolniony i wrócił do przewodzenia sektą.

Rodzina Moona dalej budowała swoje biznesowe imperium. Jeden z jego synów, Kook Jin Moon, wykazał się niezwykłymi zdolnościami menadżerskimi. W 1993 roku założył małą fabrykę broni Kahr Arms, której główna hala produkcyjna mieściła się w Worcester (Massachusetts). Następnie zaczął kierować innymi interesami rodziny, na przykład produkcją sprzętu wojskowego dla armii południowokoreańskiej czy też hodowlą żeń-szenia.

– Był wielkim entuzjastą prawa do posiadania broni – komentuje Soule.

Wielebny Moon czarno widział średnioterminowe perspektywy instytucji rządowych mających bronić prawa i porządku. Uważał, że społeczeństwo jest na skraju załamania. Powiedział Soule, że broń pomoże wyznawcom bronić się przed chaosem, który nieuchronnie nastąpi.

\*\*\*

Latem 1994 roku zadzwonił do niej pracownik administracyjny Kościoła. Soule miała trzydzieści dziewięć lat i mieszkała w stanie Massachusetts, w Lynn. Powiedział jej o letnim kempingu Kościoła, rekolekcyjnym ustroniu na wiejskich terenach New Hampshire. Wyjaśnił, że niechęć ze strony miejscowych, graftedników, robi się problematyczna. Za każdym razem, gdy Kościół wysyłał kogoś do organizacji wyjazdu, osoba ta zastawała zdewastowany, pusty budynek: zbite szyby w oknach, braki w wyposażeniu, czasem bezmyślny wandalizm.

Soule bez wahania zgodziła się przeprowadzić do New Hampshire, by sprawować nadzór nad posesją. Jej misją stała się całoroczna obecność oraz udowodnienie sąsiadom z Grafton, że mooniści to przyzwoici sąsiedzi.

Kiedy przyjechała, przeszła się po starym gospodarstwie w Bungtown. Niewielkie sypialnie, ogromne piece opalane drewnem, nowoczesna dobudówka, której używali jako sali wykładowej. To, że Grafton było tak odizolowane od świata i licznie odwiedzane przez sarny i dzikie indyki, było porywające. Soule codziennie wybierała się na jakąś przejażdżkę. Pokochała uczucie wiatru we włosach. Tak jak już niejeden człowiek, Kościół uznał Grafton za miejsce, gdzie można podążać za marzeniami poza zasięgiem sił prześladowających wielebnego Moona.

– To było pośrodku niczego – wyjaśnia Soule. – Stwierdziłam, że skoro nie ma tu tabliczek z nazwami ulic, to rząd mnie nie znajdzie.

Gdy odbywał się obóz letni albo wyjazdowe rekolekcje, dom wypełniał się dziećmi z miasta. Kto się nie mieścił, spał w namiotach i kamperach na siedmiu hektarach działki. Pomiędzy turnusami biuro Kościoła w Bostonie dzwoniło czasem do niej i polecało przygotować pokoje dla wiernych, którzy potrzebowali tymczasowego mieszkania.

Nie minęło dużo czasu, aż Soule na własnej skórze przekonała się o konflikcie między Kościołem a miejscowymi. Pytano ją, czy w „domu moonistów” odbywają się orgie.

– Wie pan, co to jest abstynencja? – odparowywała. – W naszym Kościele jest wymagana, żeby wziąć ślub.

A to jeszcze były pozytywne spotkania. Jeden sąsiad pokazywał jej środkowy palec za każdym razem, gdy przejeżdżała. W nocy ktoś samochodem przewrócił skrzynkę pocztową Kościoła. Potem drugi raz. Wtedy zamontowała skrzynkę na betonowym słupku.

– Za trzecim razem rozbił pick-upa – mówi. – I został aresztowany.

Soule wyrobiła licencję na broń i kupiła sobie pistolet. W duchu uważała miejscowych za troglodytów, ale organizowała wydarzenia kościelne otwarte również dla nich i rozdawała żywność potrzebującym graftedom. Niektórzy tutejsi przez lata wspominali dzień, w którym Kościół za darmo dawał homary.

Napięcie między moonistami a miejscowymi spotęgowała kwestia tego, czy posesja przy Wild Meadow Road jest wolnym od podatku kościołem, czy podlegającym opodatkowaniu miejscem zamieszkania Soule. Ostatecznie zwyciężył Kościół Zjednoczeniowy, który jako organizacja cieszył się już wtedy ugruntowaną pozycją. Relacje znów się poprawiły.

Po dwóch latach w Grafton Soule wygrała proces przeciwko Ministerstwu do spraw Weteranów, które początkowo odrzuciło jej wniosek o zasiłek. Gdy otrzymała dużą sumę pieniędzy jako rekompensatę za wiele

lat niewypłaconych świadczeń, kupiła za nią własny dom przy tej samej drodze, oddalony od posesji zaledwie o kilka mil. Parę lat później Kościół zamknął kemping, ale Soule nie wyjechała. Zakochała się w lasach na wzgórzach Grafton i nieograniczonych możliwościach samotnych szutrowych dróg.

Nie przypuszczała nawet, że jej kocięta wkrótce padną ofiarą niedźwiedzi. A choćby dopuściła taką możliwość, to nigdy nie wpadłaby na to, że ten dziwny incydent okaże się początkiem problemów z niedźwiedziami.

---

[6] *Tomasza Babingtona Macaulaya Dzieje angielskie od wstąpienia na tron Jakóba IIgo*, przeł. Władysław Bentkowski, Skład Główny Księgarni Gebethner i Wolf oraz Redakcyi „Kłósów”, Warszawa 1873, s. 131. Pisownia oryginalna.

## Niedźwiedzia nauka

*Widział w Wiedniu jak [niedźwiedź] tworzył łapą w sadzawce sztuczny prąd wody, aby zbliżyć do swój klatki kawał chleba, unoszący się na powierzchni sadzawki. Tu oczywiście instynkt nie gra żadnej roli, bo przecież zwierzęta te nie potrzebowałyby uciekać się do takich środków [...], gdyby znajdowały się w swoich puszczech, a nie w menażerji.*

— Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka*, 1871[Z]

W tym samym czasie, w którym wolnomiasteczkowcy zabierali się do kształtowania społeczności według swoich preferencji, miejscowe niedźwiedzie pracowały nad własną utopią.

Początkowo grasowały niewidoczne, nocą, jak psotne skrzaty wychodzące z lasu. Zamiast jednak naprawiać buty albo prząść złoto ze słomy, rozłupywały kompostowniki, rozrywały ule i wylizywały zaschnięte plamy wołowego tłuszczu z grillów, by zniknąć z pierwszym promieniem wschodzącego słońca. Mieszkańcy Bungtown nerwowo obserwowali, jak seria napadów na stuletnią stodołę zmniejsza kolonię wolno żyjących, zahartowanych, stodołowych kotów z dwudziestu do zera.

Ludzie zaczęli również zgłaszać inne incydenty, niezupełnie pasujące do zwyczajów baribali. Pewnej nocy w Bungtown Dave Thurber, weteran wojny w Wietnamie, wiedziony nieprzyjemnym przeczuciem, uchylił

zasłone w salonie i zobaczył niedźwiedzia, który człapał przez podwórko z tyłu domu, zostawiając za sobą w śniegu głębokie ślady pazurów.

Już samo to było dość nienaturalne. W środku nowoangielskiej zimy baribal – a ściślej: normalny baribal – powinien być pogrążony we śnie. Przez co najmniej pięć miesięcy leży w gawrze. Jego puls spada do ospałych ośmiu uderzeń na minutę. Nie je, nie pije, nie defekuje i nie oddaje moczu aż do czasu, gdy ciepło wiosny przyniesie obietnicę nowej roślinności, którą można by zjeść.

Temu niedźwiedziowi daleko było do nieprzytomności. Podszedł do wysokiego metalowego słupa, do którego szczytu Thurber przyczepił wypełniony cennymi kaloriami karmnik dla ptaków. Po szybkim rozprawieniu się ze słupem baribal z łatwością strącił swój łup na ziemię, a następnie rozplatał plastikowy kaczan i wysypał ziarna.

Gdy już zaczynał jeść, wyboistą szutrową drogą zbliżył się samochód. Długie światła prześliznęły się po podwórku jak więzienny reflektor omiatający spaceriak w poszukiwaniu uciekających skazańców. Thurber dostrzegł, że niedźwiedź faktycznie zachował się jak uciekinier. Zwinnie uniknął strumieni światła, przypłaszczwszy się do ziemi tuż poza ich zasięgiem, w cieniu dużej śnieżnej zasy. Gdy tylko światła przemknęły dalej, wrócił do karmnika, ostrożnie zlizął pozostałe ziarna i udał się w stronę najbliższych sąsiadów – być może kocięj stodoły – by zobaczyć, co tam dają.

Przeżycie Thurbera z niedźwiedziem było zaskakujące, ponieważ zwierzę nie szukało kryjówki na widok człowieka. Nie: ono po prostu unikało światła.

Oznaczało to, że niedźwiedź wiedział, że ludzie przechodnie widzą tylko tam, gdzie pada światło.



Co z kolei wskazywało na to, że niedźwiedź miał umysłową zdolność pojmowania fizycznych właściwości swojego otoczenia tak, jak jawiłyby się one człowiekowi, i podejmowania stosownego do tego działania. Według naszego powszechnego rozumienia zwierzęcej inteligencji czyniłoby to z tego konkretnego osobnika jakiegoś niedźwiedziego geniusza.

W pewnym sensie ewolucja nadaje każdej żywej istocie wybitny talent do wyciskania życia z każdego środowiska: im bardziej ekstremalny adres ekologiczny, tym większa pomysłowość. Weźmy na przykład żaby. Żłota żaba panamska [*Atelopus zeteki*], której cichych odgłosów godowych nie słyhać w huku wodospadów, posługuje się gestami jak alfabetem semaforowym. Występująca w Nowej Anglii rzekotka różnobarwna potrafi przetrwać zamarznięcie prawie na kość. Przez całą zimę jej organy wewnętrzne przechowują się jak małe kawałeczki suszonej wołowiny w lodowym grysie płynów ustrojowych.

Tego rodzaju zmyślne biologiczne rozwiązania są jednak domeną specjalistów. W porównaniu z nimi jeszcze wyższą inteligencją wykazują się niektóre istoty żywe, na przykład te, które wyhodowały sobie w toku ewolucji szare komórki niezbędne do przetrwania w całym szeregu środowisk. Do takich rozwiązujących problemy gatunków należą ludzie. Baribale też.

Niedźwiedzie czarne dostały od natury tyle anatomicznych darów, że trudno sobie wyobrazić, dlaczego w ogóle miałyby rozwiązywać jakiegokolwiek problemy. Ich duże, wyposażone w poduszki stopy niosą je przez bagna jak wysłużone trapery. Każdy but kończy się pięcioma tępych pazurami rozmiaru scyzoryka, mogącymi karczować pnie i kopać jamy albo wspinać się po drzewach do bukowych orzechów. Dzięki swojej ogromnej sile (potrafią zgiąć wpół drzwi do samochodu) i rozmiarom (w New

Hampshire myśliwi zabili osobniki ważące ćwierć tony; rekord USA wynosi prawie 402 kilogramy) mogą polować na różne mniejsze stworzenia, jeśli nadarzy się okazja, w tym również na cielęta łośi i jeleni. Jedyną poza ludźmi istotą, która zje baribala, jest większy baribal (przy czym badacze nie rozumieją powodów kanibalizmu wśród niedźwiedzi czarnych).

Mają bystrzejszy wzrok od ludzi (i do tego widzą w ciemnościach), dwukrotnie czulszy słuch i nosy zdolne wyniuchać zwłoki oddalone o trzydzieści kilometrów (w czym są siedmiokrotnie lepsze od ogara).

Trudno więc umknąć czujności baribala, a jeszcze trudniej umknąć przed samym niedźwiedziem. Uciekając przed kuguarem, można wskoczyć do wody, przed nosorożcem – schronić się na drzewie, aligatora prześcignąć. Jednak przeciętny niedźwiedź czarny pływa szybko i wspina się sprawnie. Gdyby baribal dostrzegł Usaina Bolta już na dwudziestym piątym metrze rekordowego sprintu na sto metrów, i tak doskoczyłby do najszybszego człowieka na świecie jeszcze przed metą.

Trzeba podkreślić, że niedźwiedzie atakują rzadko. Statystycznie rzecz biorąc, łatwiej się udusić, wpadłszy do wielkiego silosu z kukurydzą, niż paść ofiarą łap niedźwiedzia.

Niemniej współcześnie dochodzi do ataków, i to z poważnymi skutkami.

Cynthia Dusel-Bacon, trzydziestojednoletnia geolożka, bez wątpienia kobieta twarda, w 1977 roku prowadziła pomiary w alaskim buszu. Dostrzegła agresywnie nastawionego niedźwiedzia czarnego pędzącego w jej kierunku. Dusel-Bacon machała rękami i krzyczała aż do chwili, gdy baribal przewrócił ją na ziemię. Potem postanowiła udawać martwą, żeby niedźwiedź nie uznał jej za zagrożenie. Była to brzemienna w skutki błędna ocena sytuacji – jak stwierdzili później eksperci. Wążący prawie

osiemdziesiąt kilogramów niedźwiedź zapewne wcale nie widział w niej zagrożenia. Był po prostu głodny. Kiedy przestała walczyć, wciągnął ją między drzewa i zaczął zjadać żywcem. Podczas gdy jedne części jej ciała znikały w gardzieli niedźwiedzia, drugie heroicznie sięgały po urządzenie komunikacyjne, żeby zaalarmować partnera na tym obszarze. Inni geolodzy na czas dolecieli helikopterem i przestraszyli zwierzę, dzięki czemu uratowali kobiecie życie. Dziś na YouTube można obejrzeć filmiki niezłomnej Dusel-Bacon, na których pokazuje, jak kroić marchewkę, myć naczynia i ubierać się, korzystając z dwóch protez rąk.

Na posesje mieszkańców Grafton z niepokojącą regularnością zapuszczała się odżywiająca populacja niedźwiedzi. Dlatego kwestia niedźwiedziej inteligencji stanowiła dla nich istotny składnik pytania, którego większość ludzi nigdy nie musi sobie zadawać: jak daleko jest najbliższy baribal?

Odpowiedni szacunek do tępej siły zwierzęcia to jedno. Mieszkanie tuż obok takiego, które jest w stanie otaksować twój dom chłodnym okiem zawodowego włamywacza, to zupełnie co innego.

Graftończycy nie pierwsi zajęli się problemem niedźwiedziego ilorazu inteligencji. Podejrzewający tutejsze baribale o niezwykłą bystrość mieli sojusznika w postaci nieobliczalnego naukowca Bena Kilhama, jednego z czołowych ekspertów od niedźwiedzi na świecie.

Kilham („zaklinacz niedźwiedzi” z filmu dokumentalnego o pandach, którego narratorką była aktorka Kristen Bell) posługuje się wieloma kontrowersyjnymi metodami wykorzystywanymi też na przykład przez znaną prymatolożkę Jane Goodall. Nadaje badanym niedźwiedziom imiona, przypisuje ich zachowaniu motywacje emocjonalne i zapewne nie musiałby specjalnie się starać, by dostać wyróżnienie w księdze rekordów Guinnessa

za największą liczbę poniesionych nieśmiertelnych ugryzień niedźwiedzi.

Kiedy Kilham nie mieszka w lesie z niedźwiedziami, śpi w swoim ludzkim domu, położonym niespełna czterdzieści kilometrów od Grafton.

Wielu graftedników, John Babiarz też, polecało mi porozmawiać z Kilhamem. Zadzwońłem więc do niego, żeby dowiedzieć się, czy niedźwiedzie są wystarczająco inteligentne, by unikać świateł przejeżdżającego samochodu, wybadać gospodarstwo, porwać kota i robić wiele innych rzeczy, o których opowiedzieli mi tutejsi, a które zdały mi się nieprawdopodobne.

Kilham (który, tak się składa, kiedyś projektował broń palną) odpowiedział na kilka moich pytań, a potem oświadczył, że jeśli chcę dowiedzieć się więcej o psychologii niedźwiedzia, powinienem kupić książkę wnikającą w jej subtelności. Polecał zwłaszcza jedną pod tytułem *In the Company of Bears* [W towarzystwie niedźwiedzi], dostępną na Amazonie za 24 dolary 49 centów. Napisał ją Ben Kilham.

Nikt tak jak Kilham nie miał okazji przyjrzeć się tajemnicom życia niedźwiedzi. Zawarty w książce żywy opis złożoności ich społeczeństwa sugeruje, że niedźwiedzie są jeszcze inteligentniejsze niż znające język migowy naczelne.

Kilham przypisuje niedźwiedziom samoświadomość, zdolność liczenia do dwunastu (naczelnym udaje się tylko do trzech) i współpracę w organizowaniu niedźwiedziego wymiaru sprawiedliwości. Opowiada, że potrafią pamiętać odległą przeszłość, zastanawiać się nad prawdopodobieństwem wystąpienia wydarzeń w odległej przyszłości oraz komunikować się ze sobą nawzajem i współczuć. Kilham pisze, że jedna cierpiąca na niedostatek samica potrafi nawet wejść w niezwykle

skomplikowane negocjacje, prosząc inną, lepiej radzącą sobie matkę o adopcję jej młodego.

Po przeczytaniu książki Kilhama oraz innych tekstów naukowych byłem całkowicie przekonany, że niedźwiedzie są wystarczająco inteligentne, by wykorzystywać wysoki poziom rozumowania do rabunku kalorii ludziom. Sama tęga głowa nie wyjaśnia jednak pewnych zachowań, o których opowiadali mi tacy graftednicy jak na przykład Tom Ploszaj.

Wkrótce po przeprowadzce do tej miejscowości w 2008 roku Ploszaj (jak się to wymawia? jak najrzadziej się da) postanowił przejść szlakiem z Hardy Hill Road do Pinnacle, wysokiego szczytu górującego nad doliną, w której leży Grafton. Ploszaj (tak naprawdę wymawia się: plo-żaj) słyszał o pokruszonej betonowej platformie na szczycie oraz pozostałościach fundamentów kilku dawnych domostw po drodze. Takie jest Grafton: ci, co wiedzą, gdzie szukać, potrafią znaleźć ukryte w lesie pamiątki po poprzedniej epoce, jak wraki statków zanurzone w oceanie z drzew. Są cmentarze w różnych stadiach rozpadu, mury odbijające echem przeszłość opuszczonych farm, zabite deskami szkoły, niedziałające młyny i kopalnie, których puste w środku kamienne kości wbijają się w góry. Wszystko to świadczy o absolutnej porażce stu lat prób podbicia dzikiej przyrody.

Ploszaj mówi, że nie jest libertarianinem. Nie wierzy w żadną partię polityczną. Ale chodzi na ich spotkania i podziela wiele ich przekonań na temat wolności. Kiedy przyjechał do Grafton w ramach Free Town Project, Babiarz załatwił mu tymczasowe miejsce do mieszkania i posadę w ochotniczej straży pożarnej.

– To John pomówił ze mną szczerze. Powiedział: „Potrzebujemy cię tutaj” – opowiada Ploszaj. – Nigdy wcześniej nie walczyłem z pożarami. John był wobec mnie gościnnie. Przedstawił mnie swoim przyjaciołom.

W pewnym momencie wędrówki na Pinnacle Ploszaj usiadł na ziemi, żeby zerknąć na kompas i mapę fizyczną. Wydawało mu się, że jest sam, ale ciszę przerwało coś jak ludzkie chrząknięcie. Gdyby nie ten dźwięk, nigdy nie dostrzegłby niedźwiedzia stojącego około dwudziestu metrów od niego. Czarne futro i jaśniejszy, brązowy nos wtapiały się w leśny krajobraz.

Ploszaj zamarł. Baribal patrzył na niego uważnie, jakby oceniał jego reakcję na chrapnięcie. Po kilku długich, napiętych chwilach spokojnie odszedł. Ploszaj udał się w przeciwną stronę.

Doznał czegoś, co zaczynałem wtedy nazywać „ewaluacją”. Opisano mi to wielokrotnie: zamiast dać nogę, najwyraźniej nieprzestraszony baribal przypatrywał się człowiekowi i rozważał swoje możliwości, a potem oddalał się spokojnym krokiem.

To była tylko kwestia czasu, zanim któryś niedźwiedź postanowi się nie oddalić.

---

[Z] Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka*, przeł. Ludwik Masłowski, Księgarnia Polska, Lwów 1884, s. 107.

## Stanowczy surwiwalowiec

*Niedźwiedzie stały się dla nas tak dokuczliwe, że za nierozsądne uważam posyłanie człowieka samojeden z jakąkolwiek sprawą, zwłaszcza jeśli musi przy tem przejść przez zarośla. [...] Z obawy przed wypadkami rozkazałem, by zawsze spali z bronią przy sobie.*

— dziennik kapitana Meriwethera Lewisa, 1805

Wolność.

Wolność!

Niechętni posłuszeństwu liberałowie akurat temu wezwaniu nie potrafili się oprzeć. Magnes wolności przyciągał ich głęboko w graftedną głąszę.

Ci, którzy przeprowadzili się tam pod szyldem Free Town Project w latach 2004–2009, byli wolnymi rodnikami, nieprzywiązanymi specjalnie do swojej sytuacji mieszkaniowej, bo albo mieli za dużo pieniędzy, albo za mało.

W tych pierwszych latach optymizm lał się jak wino. Każdy ekstremistyczny pogląd związany z Free Town Project złożono na lubieżne barki wygnanego Pendarvisa, by wszyscy pozostali mogli być czysti i wolni od grzechu.

Kilka miesięcy po krzykach na zebraniu miasteczka projekt został mocno podbudowany, kiedy nikt inny jak gubernator New Hampshire Craig Benson zawitał na grillu w domu Johna Babiarsza (składka 25 dolarów).

Ścisnął dłonie wszystkim wokół, a niektórych libertarian nawet objął, łapiąc się ich kurczowo jak etatysta-liberał brzytwy. Benson, który powołał Babiara do grupy zadaniowej zajmującej się obcinaniem kosztów, oczarował wolnomiasteczkowców, mówiąc jasno, że ucieszy go napływ libertarian – nie tylko do Grafton, ale i do całego stanu. Rozwinięty przez gubernatora czerwony dywan dał im nadzieję, że ich poglądy – dotychczas marginalne na scenie politycznej – znajdą miejsce w głównym nurcie.

Nikt nie wie dokładnie, ilu libertarian przeprowadziło się do Grafton za sprawą Free Town Project. Dane ze spisów ludności wykazały, że w latach 2000–2010 liczba mieszkańców miasta wzrosła o ponad dwieście osób. Samych libertariańskich kolonistów mogło być jednak mniej – albo więcej.

Free Town Project był przedsięwzięciem zdecydowanie męskim. Choć do ruchu dołączyło kilka rodzin, działały w nim głównie pojedyncze osoby, w tym przede wszystkim mężczyźni. W populacji całych Stanów Zjednoczonych, New Hampshire oraz hrabstwa Grafton przeważają kobiety. Natomiast do 2009 roku w miasteczku Grafton mieszkało 608 mężczyzn i 488 kobiet. Był to najwyższy współczynnik maskulinizacji w tym stanie. A ponieważ wiele graftonek, mieszkających tam od lat, było raczej w starszym wieku, nierównowaga w strukturze płci pogłębiała się wśród młodych. W miasteczku mieszkało tylko 39 dwudziestokilkulatek oraz aż 105 dwudziestokilkulatek. Wielu mężczyzn przedstawiało się barwnymi przezwiskami albo tylko nazwiskiem, tak jak Redman, Chan, Szalony Ruski czy brodaty Richard Angell, libertariański działacz przeciwko rutynowemu obrzezaniu mężczyzn, który w pewnym momencie kazał się nazywać Dickiem Angelem[8]. Wolnomiasteczkowcy poważnie przeliczyli się przynajmniej w jednym aspekcie: założyli, że marka Grafton jako tego jedyne Wolnego Miasteczka przyciągnie tylko libertarian.

Nie przewidzieli takich przyjezdnych jak Adam Franz.



Przed spotkaniem z Adamem parkuję na poboczu wijącej się po lesie nieutwardzonej drogi i idę w dół podjazdem w stronę jego rozklekotanego kampera. Teoretycznie nadaje się on do jazdy, ale wygląda osowiale, jak gdyby ściółka leśna była jego łóżem śmierci. Wkrótce uchylają się drzwi i wychylają się rude wąsy Franza. Jest rozmemłany i wygląda, jakby potrzebował jakiejś mieszanki kofeiny, zioła i alkoholu, żeby wygładzić chropawość głosu. W dłoni ma rewolwer.

Po kilku minutach uwag wstępnych zaczyna mi opowiadać, jak przyniósł magnum .357 do swojego ulubionego sklepu z bronią, by skonsultować z właścicielem możliwość wymiany na coś większego: taurusa judge [sędzia] .410.

Różnica kalibru odnosi się do średnicy pocisku: .357 pamięta czasy prohibicji, kiedy to kule miały przebijać drzwi samochodów gangsterów handlujących alkoholem, podczas gdy większą .410 (która spokojnie pasuje do strzelby) spopularyzowała wśród wielbicieli broni informacja, że sędziowie w stanie Floryda zamawiają ten kaliber do obrony przed przestępcami szalejącymi w sali sądowej.

Franz, pytając właściciela sklepu o radę, nie myślał ani o gangsterach, ani o sędziach.

– Mówię do niego: „Co byś polecił na niedźwiedzie?”.

Właściciel sklepu – z którym Franz się kolegował – odwrócił pytanie. Każdy z tych dwóch rewolwerów może przedziurawić kudłatą skórę niedźwiedzia i jego organy. Chodzi bardziej o to, na jakie strzelanie do baribali nastawia się Franz.

– W gruncie rzeczy wybór należy do ciebie – powiedział Franzowi. – Zaczniemy od tego, że .357 ma znacznie dalszy zasięg.

Natomiast taurus judge da większą pewność, jeśli niedźwiedź podejdzie tak blisko, jak podszedłby złodziej samochodów.

– Im będzie bliżej, tym go szybciej i mocniej uszkodzisz.

Tak postawione pytanie sprawiło, że Adam został z wolnością wyboru.

– Wiesz co? – odparł. – Interesują mnie tylko wtedy, kiedy są blisko. Nie mam zamiaru do nich, kurwa, strzelać z pięćdziesięciu stóp.

Teraz ma właśnie judge'a z magazynkiem wypełnionym na przemian dużymi czterystadziesiątkami i jeszcze większymi, długimi czterdziestkami i pięćkami do colta (to ulubiona amunicja uczestników współczesnych kowbojskich zawodów w strzelectwie dynamicznym; zawodnicy w kostiumach rodem z Dzikiego Zachodu: bandanach, kowbojkach i kapeluszach, strzelają do celów uporzonych na wyjętych spod prawa rzezimieszków. Udział biorą głównie dorośli mężczyźni).

– Ta – potwierdza Adam – to jest na niedźwiedzie.

Podoba mi się płynąca z jego inteligencji pewność siebie i nieustająca, przyjazna energia przerzucająca go pomiędzy tematami. Napomyka o swoich kwalifikacjach, które jednak nie wyjaśniają w pełni, z czego teraz żyje. Studiował ekonomię porównawczą, projektował programy komputerowe, uzyskał święcenia kaznodziejskie. Jako dwudziestolatek, około 2001 roku, grał w pokera. Najpierw w barach Filadelfii i kasynach Atlantic City, potem w salonie pokera niedaleko domu z dzieciństwa w Seabrook (New Hampshire). Tam pokłócił się z mocno wytatuowanym rockandrollowcem.

Adamowi poszcęściło się w rozdaniu. Wtedy muzyk się na nim wyżył.

– Pierdolony osioł! – krzyczał. – Gra na najwyższą parę z dziesiątką jako kickerem. Jebany dzieciak nawet nie wie, jak się pisze „poker”.

To zirytowało Adama.

– Pizdeczka – mówi dziś. – I prawie mu najebałem. Nie uderzyłem go tylko dlatego, że zaraz obok stał ochroniarz.

Pokerowa passa się jednak skończyła. Adam zaliczył nieudane małżeństwo, a zawodowo poszedł w kilku różnych kierunkach, z czego w żadnej pracy nie zagrzał miejsca.

Wtedy miał wizję: postanowił założyć społeczność survivalowców – samowystarczalnych ludzi żyjących z tego, co daje im ziemia.

– Osobiście jestem wielkim fanem badań nad rdzennymi Amerykanami, mam trochę ich krwi w żyłach i tak dalej, więc chciałbym dojść do takiego etapu – opowiada. – Chciałbym zupełnie wyjść „poza system” albo nawet żyć „bez systemu”, jak ja to nazywam. Czyli bez prochu strzelniczego, bez elektryczności, bez benzyny czy innych ropopochodnych. Polowanie z łukiem. Mówiąc krótko: nie potrzebujemy niczego, czego sami nie jesteśmy w stanie zrobić albo zbudować.

To była wizja doskonałej samowystarczalności. Wizja wolności.

Naturalnie wybrał Grafton, gdzie właśnie ogłoszono Free Town Project, a oddziały policji liczyły sobie od jednej w porowach do dwóch osób.

– Nikt nam tu nie wtyka nosa i nie bruździ – opowiada. – To jest miejsce, w którym możesz robić, co chcesz. Być, kim chcesz. I niczym się nie martwić.

Przywiązanie Adama do survivalu bierze się z jego innych przekonań. Podobnie jak przywódcy Kościoła Zjednoczeniowego wierzy na przykład, że społeczeństwo wkrótce się posypie, i to nie tylko w Grafton, ale na całym świecie. Adam szacuje, że ogół ludności wpadnie w panikę mniej więcej cztery dni po skończeniu się jedzenia w sklepach.

– Ci od podziemnych schronów – wyznaje mi Franz – są mimo wszystko trochę stuknięci. Przede wszystkim, co zrobisz, kiedy skończą się konserwy? Kiedy wystrzelasz kule? To nie jest plan długoterminowy. Znacznie lepiej przyswoić sobie najbardziej podstawowe ludzkie

umiejętności zbierackie i łowieckie; całkowicie wrócić do życia w przyrodzie.

Adam kładzie nacisk na to, że nie jest libertarianinem. Choć sam nieustannie posługuje się politycznymi etykietkami, odczuwa dyskomfort, gdy ktoś usiłuje zaszufladkować jego. Nie nazywaj go liberałem. Amerykańscy liberałowie są „za bardzo – zdecydowanie za bardzo – na prawo ode mnie”.

Od czasu, gdy wymyślił swoją wspólnotę intencjonalną, przewano go już ateistą, surwiwalowcem, komunistą, anarchistą i anarchokomunistą. Jego naczelnym poglądem politycznym jest przekonanie, że kapitalizm to gówno.

– To nie władza niszczy kapitalizm. To kapitalizm niszczy władzę. Według mnie to chyba oczywiste – mówi. – Jeśli od rządu odejmiesz kapitalizm, dostajesz po prostu przedstawicielstwo ludzi. Jeśli od kapitalizmu odejmiesz rząd, dostajesz niewolnictwo.

Mimo że ten pogląd stawia go po zupełnie przeciwnej stronie niż ta, której gotowi byliby bronić libertarianie z Free Town Project, łączy ich wspólny cel. Nacisk na wolność w Grafton tworzy taką przestrzeń – jak przekonuje Adam – która pozwala skrajnej lewicy i skrajnej prawicy wspólnie pracować nad demontażem norm społecznych przy minimalnej interwencji władz.

– Jeśli chodzi o zdemolowanie tego systemu, to cały czas jestem z wami – deklaruje. Przewiduje, że kiedy zgasną światła, kapitaliści szybko zjedzą się nawzajem. W ustach Adama to raczej nie przerośnia.

– A gdy już będzie po wszystkim, gdy na stercie zakrwawionych kości stanie ostatni człowiek na ziemi, może do mnie przyjść i jakoś się dogadamy – mówi Adam. – Czy nie taki będzie finał kapitalizmu? Wielki,

gruby, biały facet, który siedzi samotnie na stercie zakrwawionych kości i płacze, bo nikt mu teraz nie zrobi kanapki?

Pomimo różnicy zdań na temat wolnego rynku Adam zgadza się z libertarianami w pewnych kwestiach, w tym żywotnej obronie prawa do posiadania broni. Jest ono zresztą punktem stycznym między bardzo liczną grupą mieszkańców New Hampshire, nawet tych, którzy nie wdziewają regularnie skórzanych kowbojskich czapsów, by strzelać do kartonowych rabusiów z prawdziwych pistoletów.

Wbrew lewicowej reputacji regionu Nowej Anglii broń cieszy się szczególnymi względami w New Hampshire. Długowieczna tradycja myśliwska współistnieje tu z zamiłowaniem śmietanki towarzyskiej do pistoletów.

W 2012 roku stan New Hampshire zanotował najwyższy wskaźnik posiadania broni maszynowej *per capita* w całym kraju – czego notabene nie da się przypisać wyłącznie obecności libertarian. Dane federalne wskazały, że w stanie tym znajdowało się prawie 10 tysięcy zarejestrowanych sztuk broni. Oznacza to, że gdybym znalazł się w New Hampshire w wypełnionej po brzegi sali kinowej na trzysta miejsc, by obejrzeć najnowszy remake *Życzenia śmierci*, gdzieś w tej ciemności siedziałoby statystycznie dwóch właścicieli zarejestrowanych pistoletów maszynowych, którzy napawaliby się fabułą i – jeśli Bruce Willis się spisze – coraz bardziej ekscytowali możliwością, że znajdą się kiedyś w sytuacji, gdy otwarcie ognia będzie jedynym szlachetnym wyjściem.

W Grafton, w ciągu kilku lat po rozpoczęciu Free Town Project, kulturowo przyjęta praktyka wożenia strzelb myśliwskich w pick-upach została poszerzona o znacznie lepiej widoczną i w pewnym sensie bardziej niepokojącą praktykę nieskrywanego noszenia rewolwerów i innej broni

nieprzeznaczonej do polowania podczas załatwiania codziennych spraw w miasteczku.

W sklepie wielobranżowym i punkcie odbioru odpadów (gdzie miejscowi przywożą swoje śmieci, bo ich podatki nie finansują wywozu) wolnomiasteczkowcy zaczęli się pokazywać „z pistoletem pod każdą pachą” – jak podsumował to jeden z tutejszych. Na zogniskowanych wokół kościoła zebraniach mieszkańców w uprzejmym niegdyś tonie wypowiedzi pojawiło się napięcie. Obywatele dyskutowali o poprawkach i wnioskach pod podwójnym nadzorem: wolnomiasteczkowców z pistoletami kalibru dziewięć milimetrów w widocznych kaburach oraz uzbrojonych funkcjonariuszy z biura szeryfa hrabstwa Grafton, które postanowiło na wszelki wypadek kogoś wysłać.

Franz uważa, że ludzie noszący broń na widoku kompromitują prawa, których chcą bronić. Doprowadza go to do furii (podobnie zresztą jak wiele innych rzeczy).

– Wy dupki – peroruje – wy idioci z kaburami na wierzchu, kiedy nie ma ku temu żadnego powodu. Ludzie czują się przy was niezręcznie. Ludzie przez was nie lubią broni. Przez was głosują przeciwko broni. Za wasze kabury płacimy prawami. Jesteście nieodpowiedzialni. Myślisz, że jesteś, kurwa, kowbojem i że jak łazisz z pistoletem przy biodrze, to masz wielkiego kutasa. Nie. Nie. Weź go włóż pod kurtkę, kurwa. Jeśli sądzisz, że naprawdę go musisz nosić ze sobą, włóż go, kurwa, pod kurtkę jak normalny człowiek. Uszanuj wrażliwość innych.

Adam mówi, że zwłaszcza graftończycy ucierpieliby na utracie prawa do posiadania broni, bo oni potrzebują jej znacznie bardziej niż większość. Pistolet jest bodaj jedyną przewagą, jaką człowiek z Grafton ma nad baribalem z Grafton. Dlatego Adama tak denerwują ludzie noszący broń na widoku.

– Mieszkam z jebanymi niedźwiedziami. Potrzebuję mojej broni – argumentuje. – Rozumiesz. Tak na wszelki wypadek, potrzebuję, kurwa, broni. A jeśli stracę do niej prawa, to nie będę za to ścigał pieprzonych liberałów, tylko tych czubków, którzy to zaczęli i, kurwa, tych liberałów sprowokowali.

Chwilę później Adam przyznaje, że jego też można zobaczyć z judge'em przy pasie – ale tylko wtedy, gdy przejedzie się obok jego kampera na odludziu.

– Od czasu, gdy niedźwiedzie zaczęły sprawiać coraz większe problemy, zawsze mam rewolwer przy sobie. U siebie na posesji zawsze broń na widoku, rozumiesz? Albo mam ją w kaburze na ramieniu, albo przy boku. Więc mnie tak naprawdę można zobaczyć z bronią częściej niż większość ludzi.

Wreszcie przyznaje, bez specjalnie widocznego wstydu, że jego judge czasem rzuci się komuś w oczy w innych częściach miasteczka.

– Raz czy dwa razy zapomniałem go zdjąć, jak szedłem do sklepu – dodaje. – Mój kolega Donny też czasem zapomina.

Adam pozwala mi potrzymać swój rewolwer. Ciężar jego zaufania w mojej dłoni naprawdę mnie wzrusza. Potem odbiera mi go i milknie na chwilę. Chce coś powiedzieć, zanim go schowa.

– I, hm... – mówi, uśmiechając się błogo – kurwa, kocham ten przedmiot.

Każdego dnia Grafton zdawało mi się coraz bardziej wypełnione. Wypełnione niedźwiedziami. Wypełnione libertarianami. Wypełnione bronią. I coraz bardziej wypełnione ludźmi, którzy kochali niedźwiedzie, libertarianizm, broń albo jakąś inną kombinację tych trzech rzeczy – i w których coraz bardziej wzrastała gotowość, by walczyć o to, co kochają.

Aha, i jeszcze pączkami. Pączków też przybywało.

---

[8] W XX wieku w Stanach Zjednoczonych noworodki płci męskiej standardowo podlegały obrzezaniu. Dziś większość Amerykanów jest obrzezana, choć liczba wykonywanych zabiegów w XXI wieku spada z roku na rok. Tematowi towarzyszą kontrowersje: Amerykańska Izba Pediatrów zaleca zabieg, natomiast aktywiści nazywają go „krzywdą” i ostrzegają przed negatywnymi skutkami. Stąd wybrany przez Dicka Angela pseudonim: zdrobnienie od imienia Richard brzmi tak samo jak „fiut” [*dick*], toteż całość można odczytać jako Anioł Penisów.



## Sympatyczka stworzeń

*Myślał, że widzi w łóżku swym  
Karetę z czwórka koni.  
Gdy spojrział znów, ujrzał, że go  
Niedźwiedź bez głowy goni.  
„Biedaczek – rzekł – pewnie chce jeść;  
Widać to jak na dłoni!”*

— Lewis Carroll, *Przygody Sylwii i Bruna*, 1889[9]

Pewnego ranka latem 2004 roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpędzał się Free Town Project, Pani od Pączków karmiła swoje zwierzęta zwykłą poranną porcją ziarna, psiej karmy, wody z cukrem, kociej karmy i oczywiście całego pudełka pączków (kupionego w miejscowym Market Basket). Potem z mężem pojechali z wizytą w sprawie krowy.

Po przeprowadzce do Grafton w pogoni za wolnością para urządziła sobie duży, zadbane ogród z warzywnikiem i sadem jabłoniowym. Kupili dwie krowy, które Pani od Pączków nazwała Margerytka i Królowa. Kiedy Królowa zmarła, Margerytka pogrzyżała się w żałobie.

Następnego dnia Pani od Pączków zastała Margerytkę płaczącą, samotną.

Krowa dalej płakała następnego dnia.

I następnego. I kolejnego.

Dni przeciągały się w tygodnie. Wydawało się, że żal Margerytki nigdy nie minie. Pani od Pączków była w kropce.

Prawie miesiąc po śmierci Królowy Pani od Pączków natknęła się w lokalnej gazecie na artykuł, który dał jej do myślenia. Pisano o mężczyźnie z drugiej strony rzeki Connecticut – z Corinth w Vermoncie – który nie potrafił zadbać o krowę.

Wielu szczegółów nie podano, ale wyglądało na to, że człowiek ten, Chris Weathersbee, dał jednemu ze swoich cielaków umrzeć z głodu. Brat młodego wołu, Monty, również nie miał się za dobrze.

Myśl o umierającym wołu zmobilizowała Panią od Pączków do działania. Zadzwoiła do Weathersbeego. Wkrótce ich głosy splatały się na linii telefonicznej: jej uprzejmy, jego szorstki od podejrzliwości.

– Chciałabym przysposobić pańskiego wołka – oznajmiła Pani od Pączków.

Weathersbeemu ten pomysł nie spodobał się tak szybko, jak być może na to liczyła.

– Nic o pani nie wiem – odparł.

Po artykule w gazecie sąd opinii publicznej wydał na niego wyrok. Nie był więc pewien, po której stronie stała jego rozmówczyni.

Pani od Pączków wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mam u siebie krowę. Jest samotna.

Nastąpiła chwila milczenia. Dusze rozważały możliwość zbratania się.

– Może go pani wydzierzawię – zgodził się Weathersbee. Umówili się, żeby przyjechała sobie obejrzyć Monty’ego. Potem właściciel się rozłączył. Do przewiezienia krowy przez granicę stanu Pani od Pączków potrzebowała zaświadczenia od weterynarza, ale żaden nie zgodził się spotkać z nią w gospodarstwie Weathersbeego. Gdy z mężem jechali na farmę, nie wiedzieli, czego się spodziewać.

Weathersbee, wtedy sześćdziesięciokilkuletni, urodził się w Wielkiej Brytanii. Był synem Mary Lee Settle, aktorki, a potem szanowanej autorki powieści historycznych. To ona kupiła ziemię w Corinth. Gdy w 1997 roku Weathersbee przeprowadził się na posesję matki, żyły tam tylko trzy kozy.

Myślał, że zamieni te jedenaście hektarów farmy w azyl dla kóz – co licowałoby z jego buddyjską wizją świata. Przyjmował bezdomne anglonubijki i kaszmirki. A ponieważ uważał, że izolowanie, kastrowanie i ubijanie meczących podopiecznych jest niehumanitarne, pozwalał im się bez skrępowania mnożyć, z której to swobody kozy chętnie korzystały.

Po czterech latach, w 2001 roku, na posesji mieszkały 252 kozy. Weathersbee – znany wtedy jako Koźlarz – poświęcał większość dnia na opiekę nad nimi.

Gdy Pani od Pączków z mężem wjeżdżali na zagracony i zabłocony podjazd dumnego niegdyś wiejskiego domu, Weathersbee już od dawna był całkowicie przytłoczony opieką nad kozami. Nikt nie odpowiedział na ich nawoływania i pukanie do drzwi.

I tak oto, niczym Złotowłosa, tylko w pewnym wieku, Pani od Pączków ostrożnie wślizgnęła się do domu. Stała na dziwnie, organicznie nierównym podłożu.

W domu nie zauważyli nikogo. To znaczy: żadnego człowieka.

Poprzedniej zimy Koźlarz zaczął obawiać się o to, czy nowo narodzone koźlęta przetrwają niespotykane mrozy. Przeniósł więc młode do środka. A skoro tak, to karmiące matki też. I najstarsze kozy. I chore, i delikatne. W sumie w przedłużającym się kozim nocowaniu wzięło udział siedemdziesiąt osobników. Pozwolił im zostać w domu, póki się nie ociepliło.

Jednak – jak przekonała się Pani od Pączków i jak w przyszłości mieli opisać dom kolejni goście – mrozy odeszły, a kozy zostały.

Tuż za frontowymi drzwiami kozy chodziły po domu bez celu, z kuchni i do kuchni, w kółko po salonie, w górę i w dół po schodach. Kury dziobały blaty w kuchni. W salonie jedna koza stała na uszaty fotelu nad śpiworem ułożonym na podłodze, gdzie ponoć sypiał Koźlarz deptany racicami niespokojnych zwierząt.

Pani od Pączków zorientowała się, że nierówne podłóże składało się z warstw słomy i koziego gówna. Koźlarz pozwolił im dojść do takiej grubości, że goście niemal uderzali głową w sufit. Kobieta wraz z mężem wycofali się przez kuchnię i poszli do stodoły, wciąż poszukując tajemniczego gospodarza, którego nieobecność powoli stawała się niepokojąca.

O ile dom sprawiał wrażenie rodem ze zwiastuna horroru, stodoła stanowiła produkcję pełnometrażową. Jak gdyby jakiś prastary Cthulhu otrzymał ofiarną misę wielkości stodoły wypełnioną koźliną i cisnął ją na ziemię, obrzydzony gigantyczną masą gówna i kozich trupów pomieszanych z żywymi zwierzętami.

Opisując mi później, ile zwłok widziała, Pani od Pączków zdobyła się na charakterystyczną dla siebie dyplomację.

– On się starał, wie pan – mówiła życzliwie. – Miał problem.

Gdy Koźlarz wreszcie się pojawił, Pani od Pączków przekonała go, by oddał jej Monty’ego. Zawiozła wychudzonego wołu do weterynarza i pojechała do domu.

To było chyba ostatnie zwierzę z gospodarstwa Koźlarza, które czekał dobry los. Działacze praw zwierząt, sąsiedzi, urzędnicy stanowi – nikt nie miał tej smykałki co Pani od Pączków. Nikt nie potrafił skłonić Koźlarza do pokojowego rozstania z podopiecznymi. Władze dały mu do zrozumienia, że jeśli nie zacznie lepiej o nie dbać, zostaną skonfiskowane.

„Odpowiedziałem: «Stawię opór wszystkimi dostępnymi środkami»” – relacjonował Koźlarz magazynowi „Goat World” [Kozy Świat]. „Jeśli przyjdzie szeryf, będzie musiał mnie zastrzelić”.

Czara goryczy przelała się kilka dni przed Bożym Narodzeniem 2004 roku, kiedy ktoś – możliwe, że zirytowany sąsiad – strzelił jednej z kóz w pysk i zostawił ciało na podwórzu u Koźlarza.

Zaledwie kilka dni później Koźlarz – który wciąż miał zmierzyć się z prawnymi konsekwencjami oskarżenia o okrucieństwo wobec zwierząt – załadował do swojego niewielkiego samochodu tyle kóz, ile zdołał, i uciekł. Najwyraźniej wylądował w Ohio i od nowa zaczął kozi cykl. W kolejnym roku zbiegł bowiem z tego stanu, pozostawiając władzom do odkrycia 220 żywych kóz i 80 martwych.

Podążająca szlakiem kozich trupów, ciągnącym się przez cztery stany, policja doścignęła go wreszcie w Wirginii Zachodniej. Gdy go aresztowano, miał przy sobie szesnaście kóz (w tym jedną w zamrażarce). Został pozbawiony zwierząt i zniknął z oczu opinii publicznej.

Nie wiedząc nic o gorszym czasie czekającym Koźlarza, Pani od Pączków jechała z mężem do domu. Rozmyślali o człowieku, który wydał się trochę niezgrany z rzeczywistością.

Tak czy inaczej, Pani od Pączków już cieszyła się na tę szczęśliwą chwilę, kiedy będzie mogła przedstawić Monty’ego pogrążonej w smutku Margerytce. Miała też oczywiście nadzieję, że Monty dogada się z jej niedźwiedziami.

Hmmm.

Jej niedźwiedziami.

\*\*\*

Trudno sobie wyobrazić, co poczuł wołek Monty, kiedy zszedłszy z przyczepy, ujrzał leśne gospodarstwo Pani od Pączków. Jego przeszłość zniknęła w ciemnościach chaotycznej, zasłanej gównem farmy Koźlarza, na której jego brat dosłownie umarł z głodu.

Teraz Monty stał na jasnym zboczu wzgórza. Obszerną pochyłość pastwiska opływały ptasie trele. Każdy szczegół świadczył o trosce, miłości i porządku. Piękny dom górował nad starannie utrzymanymi rabatkami i owocującymi jabłoniąmi. Porośnięta wysokimi kępami traw łąka była bujna i schludna jednocześnie, a ton głosu Pani od Pączków – ciepły i kojący.

Wokół karmników wypełnionych po brzegi nasionami słonecznika ćwierkały gromadki sikorek i junków. Z lasu regularnie wychylały się sarny i dzikie indyki, by podgryzać jabłka, które spadły z drzew, i przystrzyżoną zieleń.

Zamiast legionów meczących, zagłodzonych kóz towarzyszami Monty'ego miało być teraz kilka przyjaznych psów i kotów. I oczywiście urocza Margerytka, tłusta od ziarna i słodkiej koniczyny, zadowolona, że może ją żuć, chroniąc się w cieniu przed letnim upałem.

Można się było spodziewać, że po przeprowadzce z koziego piekła do krowiego nieba Monty będzie wierzgał z radości i baraszkował na miękkiej trawie. Zamiast tego położył się, oparł duże już rogi o ziemię i przewrócił oczami tak, by patrzyły w głąb czaszki.

Trudno było powiedzieć, co mu dolega. Czy trudny żywot odcisnął na jego zdrowiu takie piętno, że nie potrafił ustać na nogach? Czy to jakiś krowi syndrom sztokholmski sprawiał, że tęsknił za Koźlarzem? A może niepokoiło go, że idylliczne otoczenie pokrywał ciężki, niewidoczny całun woni niedźwiedzia?

Tego Pani od Pączków nie wiedziała. Jasna była tylko głębia jego rozpacz.

– Chciał umrzeć – mówi.

Wiedząc, że jeśli krowa nie stoi o własnych siłach, jej życie jest zawsze zagrożone, Pani od Pączków błagała go, żeby wstał. Ale Monty nie słuchał.

Poszła po ręczny wózek i wsunęła jego krawędź pod wołka, jak gdyby był lodówką do przewiezienia. Monty dalej nie słuchał.

Wreszcie zadzwoniła po pomoc znajomego, który znał się na bydle. „Może się wzdał?” – zapytał mężczyzna.

Pani od Pączków tego nie wiedziała.

Gdy znajomy przyjechał, podszedł do Monty’ego z nożem w dłoni, zastanawiając się, czy to nie wzdęcie. Jeśli tak, to mógłby zrobić otwór w boku Monty’ego, by zmniejszyć ciśnienie gazów. Z wózkiem pod sobą i nożem przed oczami Monty wreszcie przekalkulował. Podjął mądrą decyzję (tę, dzięki której jego skóra pozostała nietknięta) i wstał na drżące nogi.

– Był piękny – mówi Pani od Pączków. Nie przeszkadzało jej nawet to, że kłócił się z Margerytką. Musiała ich w końcu z tego powodu odseparować. Ważne było, że wół przeżyje.

Nie tylko Monty miał zastrzeżenia do zadbanej posesji Pani od Pączków. Dianne Burrington (córka June Burrington, która dorastała w dawnym budynku szkoły, zakupionym potem przez Babiarczów) zapatrywała się na nią podobnie.

Burrington odnosiła się do gospodarstwa tak samo nieufnie jak Monty. Dla niej problemem były niedźwiedzie.

Niektórzy mieszkańcy Grafton dokładają wielu starań, by zniechęcić niedźwiedzie do wchodzenia na ich posesje. Kupują groźne psy i montują elektryczne płoty. Burrington, która poszła w ślady swojej matki i hoduje

owce, za pomocą traktora zakopywała padłe zwierzęta głęboko w ziemi. Gdy ziemia zamarzała i już nie dało się kopać grobów, kobieta woziła trupy starą gruntową drogą, by zrzucić je za poszarpaną wychodnią skalną znaną jako Aaron's Ledge, gdzie było gęsto od niedźwiedzi.

Burrington powiedziała mi, że kiedy pewnego dnia przejeżdżała obok domu Pani od Pączków, spojrzała w dół stoku pastwiska z tyłu budynku.

– Po prostu widziałam na brązowo. Powiedziałam do siebie: „Jezu!”.

Burrington bezskutecznie spróbowała policzyć kłębiące się niedźwiedzie.

– Nie wiem dokładnie, ile tam na dole było zwierza. Ale dużo, bardzo dużo.

Reakcja ta nie zaskoczyłaby Pani od Pączków. Rozumiała, że większość ludzi boi się niedźwiedzi. Ona też przecież kiedyś się bała.

---

[9] Lewis Carroll, *Przygody Sylwii i Bruna*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003, s. 38.



## Wdrażanie wolności

*Towarzysko Ahab był niedostępny. Choć formalnie należał do świata chrześcijańskiego, był mu jednak całkowicie obcy. Żył na świecie tak, jak ostatni z szarych niedźwiedzi żyje w skolonizowanym Missouri. I podobnie jak ów stary Logan kniej, kiedy wiosna i lato przeminą, zagrzebie się w wydrążonym pniu drzewa i tam przeżywa zimę ssąc własne łapy, tak też i dusza Ahaba, w dobrze surowej, burzliwej starości zamknięta w wydrążonym pniu jego ciała, żywiła się posepnymi łapami jego przygnębienia!*

— Herman Melville, *Moby Dick*, 1851<sup>[10]</sup>

Atak przypuszczany przez libertarian na obyczaje Grafton nie był specjalnie skoordynowany. Zdawało się, że codziennie któryś z wolnomiasteczkowców wypruwa kolejną nitkę z tkaniny tradycyjnego życia w Grafton i energicznie za nią pociąga, chcąc splątać wątek.

Gdy libertarianie napotkali opór ze strony miejscowych, zrzucili go na karb niewiedzy. „Wkrótce każdy dostrzeże”, powiedzieli sobie, „że życie jest lepsze, gdy rząd nie wtrąca się w sprawy obywateli”. Jednak ich oświatowe wysiłki powstrzymywała uparta ariergarda obywatelsko nastawionych mieszkańców, którzy zdawali się uważać, że to sami wolnomiasteczkowcy stanowią główną przeszkodę w ich dążeniu do życia w świętym spokoju.

Wiele lat później John Babiaryz dostrzega ten dysonans. Tłumaczy, że libertarianie specjalizują się w logice, ale najczęściej mają trudności komunikacyjne.

– Ruch libertariański jest bardziej intelektualny, jeśli tak można powiedzieć – objaśnia. – Tym ludziom brakuje umiejętności porozumiewania się na takim ludzkim poziomie.

Faktycznie: to samo badanie psychologiczne, w ramach którego ustalono, że libertarianie bardziej miłują logikę niż demokraci czy republikanie, wykazało również, że mają mniej więzi towarzyskich i są mniej uczuciowi. „Libertarian cechuje niższy stopień posiadania szerokich więzi społecznych, typowych dla liberałów, jak również niższy stopień posiadania ścisłych więzi społecznych, typowych dla konserwatystów” – pisali autorzy. Spekulowali przy tym, że naturalnych samotników może pociągać ideologia polityczna celebrująca wolność. Libertarianie nie byli więc najlepiej wyposażeni do tego, by nieść mieszkańcom Grafton kaganek wolności, ale przynajmniej się starali. I to jak się starali.

Zaczęli od konstruowania kultury od samych fundamentów. Zawsze starali się przyprawić swoją zagorzałość szczyptą humoru: jeździli samochodami z indywidualnymi tablicami rejestracyjnymi, na przykład z napisem LES GOV[11]; przezywali się „jeżozwierzami” (spokojnymi zwierzętami, które niebezpiecznie jest atakować) i organizowali doroczne Święto Jabłka, na którym dzieci odpalały domowej roboty flagi ONZ od ogniska, a rodzice wiwatowali. Publikowali w internecie filmiki, jak konfrontują się z urzędnikami i policjantami za prawdziwe albo wyobrażone zniewagi. Pewien starszy graftedniczek wstawił instruktaż nad instruktażem z domowej stomatologii: pośród rehotu znajomych własnoręcznie za pomocą kombinerek wyrwał sobie ząb (co w jego przypadku równało się mniej więcej połowie uzębienia).

Choć libertarianie dochodzili swoich praw na każdym kroku, trudno było powiedzieć, czy krokami tymi zbliżali się rzeczywiście do stworzenia pierwszego Wolnego Miasteczka Ameryki.

Na corocznych zebraniach mieszkańców libertarianie poddawali pod dyskusję różne nowe pomysły z nadzieją, że znajdą wspólny język z długoletnimi mieszkańcami. Zablokowano ich dążenia, by wycofać Grafton z regionalnego okręgu szkolnego, oficjalnie potępić *Manifest komunistyczny* i zakończyć finansowanie biblioteki publicznej. Libertarianom udało się jednak doprowadzić do przegłosowania uchwały tnącej wynoszący milion dolarów budżet miasteczka o 30 procent oraz do negatywnego rozpatrzenia wniosku o finansowanie rady seniorów hrabstwa. Nie zdołali zgromadzić wystarczającej liczby głosów, by zlikwidować komisję planowania przestrzennego, ale obsadzili ją libertarianami, przez co praktycznie storpedowali jej prace.

Pewna potyczka podczas zebrania mieszkańców powinna przejść do historii. Niejaki Rich Blair zdenerwował się wnioskiem libertarian, by obwieścić Grafton „strefą wolną od ONZ”. Jednak zamiast po prostu zagłosować przeciwko temu pomysłowi, Blair wniósł poprawkę zastępującą słowa „Organizacja Narodów Zjednoczonych” w każdym miejscu uchwały imieniem pewnego bohatera serialu animowanego. W ten sposób ostatecznie odbyło się głosowanie nad dokumentem mającym chronić mieszkańców miasteczka przed „opodatkowaniem bez reprezentacji poprzez zakaz wprowadzania w granicach miasta jakichkolwiek podatku, należności, opłaty, narzutu czy innego obowiązku finansowego przez SpongeBoba Kanciastoportego”.

Nie wszyscy wolnomiasteczkowcy pozostali członkami ruchu. Niezłomni „ojcowie założyciele”, tacy jak Bob Hull, utrzymali swoją pozycję. Ale inni, na przykład Larry „Zach Bass” Pendarvis, skierowali

taran swojej retoryki w inne strony. Pendarvis głośno opowiadał się za prawami kobiet – choć raczej nie wykraczał poza ich bardzo wąski zakres, obejmujący głównie prawo do chodzenia bez biustonosza i innej bielizny oraz prawo do sprzedaży seksu. Gdy został wypchnięty z Free Town Project, Pendarvis sprzedał na eBayu pewną florydzką wyspę, którą wcześniej nabył w podejrzanych okolicznościach. Zarobione pieniądze wykorzystał do promowania podobnej enklawy wolności w hrabstwie Loving w Teksasie (gdzie go bez ogródek odtrącono). Gdy stało się jasne, że nad Pendarvisem stale unosi się chmura chaotycznej przeciwności, niektórzy libertarianie zaczęli dociekać, czy czasem nie jest on prowokatorem wysłanym przez jakąś agencję federalną, mającym infiltrować i rozbić grupy ekstremistów.

Tymczasem uczestnictwo Mike'a Lorrey'ego we Free Town Project zeszło na drugi plan wobec nowego przedsięwzięcia: kupna i sprzedaży nieruchomości w rzeczywistości wirtualnej Second Life. Twierdził, że udało mu się tam przekuć inwestycję w wysokości 200 dolarów w nawet 250 tysięcy rocznego dochodu w prawdziwych dolarach. Kiedy jednak Lorrey miał spięcie z Linden Labs, właścicielem platformy Second Life, jego konto ostatecznie zawieszono, a „wirtualne nieruchomości” skonfiskowano.

Lorrey i Pendarvis usunęli się z eksponowanych pozycji we Free Town Project. Pojawiły się natomiast nowe twarze, kolejny poczet sztandaru wolności.

Na przykład wolnomiasteczkowiec Bill Walker, znany na wolnościowych forach internetowych pod nazwą użytkownika „topgunner”, został zatrzymany przez policjanta wczesnym rankiem w październiku 2008 roku za zbyt głośny wydech samochodu, gdy jechał swoją mazdą pick-upem ulicą miasta Manchester (New Hampshire). Podczas kontroli

funkcjonariusz zauważył, że Walker ma u pasa dwa naładowane pistolety oraz liczne magazynki amunicji, a na sobie kamizelkę kuloodporną. Pasażerka, a jednocześnie właścicielka pick-upa, Sharon „Ivy” Ankrom również miała przy sobie broń palną (oraz pozwolenie). Para nie wyjaśniła swojego uzbrojenia inaczej, niż przypominając, że według amerykańskiej konstytucji jest ono legalne.

Ankrom doprowadziła sprawę o złamanie przepisów ruchu drogowego aż do Sądu Najwyższego Stanu New Hampshire częściowo na podstawie teorii prawnej, że wymaganie posiadania prawa jazdy jest niezgodne z konstytucją, ogranicza bowiem prawo do swobodnego przemieszczania się. Przegrała.

Ankrom nie była jedyną osobą z Grafton, która spróbowała nagłaśniać ideały wolnomiasteczkowców w sądzie. W 2006 roku Babiaryz pozwał tę miejscowość za kwestię proceduralną związaną ze staraniami liberałów o miejsce w komisji planowania przestrzennego.

Tom Ploszaj, strażak, który natknął się na niedźwiedzia podczas wędrowki na Pinnacle, dołączył do wolnomiasteczkowca Jeremy’ego Olsona i kilku innych powodów w pozwie przeciwko Grafton o obstrukcję wniosków. Chodziło o takie wnioski, jak: nakazanie komendantowi policji, by nie egzekwował praw związanych z marihuaną, likwidację konieczności posiadania pozwolenia na psa oraz polecenie urzędnikom państwowym, by w żadnej sprawie nie współpracowali z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. Przegrali.

Po tym, jak Babiaryz poniósł porażkę w sądowej batalii z miastem, wraz z Hullem pozwali hrabstwo Grafton, aby powstrzymać wzrost płac szeryfa i trzech innych pracowników hrabstwa o 2,3 procent. Przegrali. Złożyli apelację w Sądzie Najwyższym Stanu New Hampshire. Gdzie przegrali. Zmiany dotyczące Grafton nie ograniczały się jednak do łatwo

dostrzegalnej sfery publicznej, czyli zebrań miasteczka i sal sądowych. Pewnego dnia, kiedy jeździłem wiejskimi drogami Grafton, odkryłem, że najbardziej dramatyczne zmiany strukturalne kryją się za bezmiernym kamuflażem szeleszczących liści.

\*\*\*

Obozowisko jest niewidoczne z drogi nawet wczesną wiosną, gdy gałęzie drzew są nagie, a bagnisty stok pokryty warstwami sprasowanego śniegu. Dopiero kiedy powoli wprowadzam samochód pod górę po skalistym, rozoranym koleinami podjeździe, dane mi jest zobaczyć ukryty świat przyczep kempingowych, airstreamów i kamperów służących za domy ludziom, którzy tu mieszkają – głównie mężczyznom i chyba wszystkim uzbrojonym. Pośród usypanych stert błotnistej ziemi stoi przykryta czapczką śniegu koparka, jak zapomniana zabawka w piaskownicy. Kiedyś właściciel działki chciał wybudować tutaj porządny dom, ale ponoć zrezygnował z tego na rzecz otwarcia sklepu z bronią (do czego też nigdy nie doszło).

Przyjechałem spotkać się z Ploszajem, który wyłania się z jednej z przyczep wraz ze znajomym, piosenkarzem folkowym z włosami związanymi w kucyk, Johnem Redmanem. Wyglądają niedbale.

– Jak na mnie patrzysz, to widać, że mam ten styl na włóczęgę – mówi do mnie w pewnym momencie Ploszaj. – Tak się ubieram.

Właściciel przyczepy, w której mieszkają, jeszcze śpi, więc rozmawiamy u mnie w samochodzie: Ploszaj na siedzeniu pasażera, a Redman za mną. W czasie rozmowy mam widok na obóz, który ani trochę nie wygląda jak porządny dom czy sklep z bronią. Wyobrażam sobie, jak by to było tu mieszkać. Powiedziano mi, że poza tym obozem okoliczny las stanowi kryjówkę dla współczesnych bimbrowników, czyli hodowców

marihuany i producentów metamfetaminy, którzy swój proceder uprawiają we względnym spokoju, wiedząc, że obywatele negatywnie zareagowaliby na zbyt agresywne egzekwowanie prawa przez jedynepełnoetatowego policjanta miasteczka. Tutaj jednak nie widzę ani śladu handlu narkotykami, a na pewno nie z udziałem Ploszaja, który poważnie i szczerze chce pomóc mi zrozumieć dynamikę graftońskiej polityki.

Tymczasem Redman, miłośnik festiwalu Burning Man<sup>[12]</sup>, stara się głównie nie znudzić. Raz po raz wtrąca w rozmowę różne kontrowersyjne stwierdzenia, a w pewnym momencie – bez specjalnej zapowiedzi czy pretekstu – z impetem kładzie mi na desce rozdzielczej zapasowy magazynek z kulami 0,45 cala.

– Mam historię o kuku – opowiada Redman gardłowo, zaciągając na południową modłę. – Przedwczoraj widziałem jednego, jak tędy leciał. Do góry nogami! Bawił się przednio. Krakał i leciał do góry nogami. Po prostu dla zabawy... Widziałem w życiu setki tysięcy ptaków. Ale nigdy takiego, który z radością by leciał do góry nogami.

Ploszaj i Redman przyzwyczaili się już do nocnych wizyt niedźwiedzi poszukujących uli i śmieci.

– Były ich tutaj trzy. Obijały nam kosze – mówi Redman. – Wyjąłem swój wielki pojemnik pieprzu kajeńskiego, taki do restauracji. Używam masy przypraw, jak gotuję. Kupiłem go sobie w sklepie z wyposażeniem dla gastronomii. Piętnaście dolców. Posypałem nim wnętrze tego cholernego kosza. I to by było na tyle.

Ploszaj, starając się trzymać faktów, poprawia go.

– To nie był kosz – przypomina – tylko kontener pełen pustych puszek.

– Nie pustych – protestuje Redman.

– Tych odzyskanych puszek – powtarza Ploszaj cierpliwie.

– Nie – odpiera rozdrażniony Redman. – To robił szop. A szopa zastrzeliłem. Ale niedźwiedzie obijały się tam przy koparce i niszczyły, że hej... To się zdarzyło trzy razy.

– Potem kupiliśmy sobie lepsze kosze – uzupełnia Ploszaj.

– A potem robiliśmy użytek z pieprzu – oponuje Redman.

Ploszaj zwraca się przodem do mnie, daremnie usiłując w ten sposób wykluczyć Redmana z rozmowy.

– I lepsze kosze – mówi.

Redman dodaje, że przyłapał niedawno baribala na grzebaniu w koszach i zastosował (według mnie zbędnie) odważny krok w postaci podejścia do niego i tupania, aż zwierzę uciekło.

– To była nasza wina – wyjaśnia Ploszaj. – Bo nam się rozluźniła dyscyplina z tymi koszami na śmieci.

Gdy kończę wywiad, cofam samochód po błotnistym podejździe i kieruję się na szosę z szeroko otwartymi oknami (by rozwiać zapach włóczęgi). Myślę o tym, jak obóz – zanurzony w atmosferze indywidualizmu i przejściowości – kontrastuje ze stabilnymi, rodzinnymi domami najczęściej występującymi w krajobrazie sąsiednich miejscowości.

Gdy pytałem innych graftedychów o tę nietypową sytuację mieszkaniową, którą tam zastałem, dowiedziałem się, że to niejedyny taki obóz w pierwszym Wolnym Mieście Ameryki. Gdy libertarianie z całego kraju pakowali manatki i zjeżdżali się do Grafton, ich najbardziej nagłą potrzebą było najczęściej mieszkanie. Niektórzy mogli sobie pozwolić na kupno domu, ale wielu, pozbawionych takiej możliwości, trafiało do jednego z szeregu wyrastających w lesie obozów. Domy budowali sobie oni z jurt, kamperów, przyczep i namiotów, kopuł geodezyjnych i kontenerów transportowych. Niektórzy, jak europejscy koloniści 225 lat wcześniej, wybrali samotne życie w pustelniach zaszytych w kniei jak chatki wiedźm.



Inni, jak Redman i Ploszaj, zbierali się na działkach funkcjonujących jako wieczne pola namiotowe ze zmieniającą się grupą mieszkańców.

Całkowity brak przepisów zagospodarowania przestrzennego oraz prawa i nadzoru budowlanego odciążył graftedników od konieczności wykazania, że ich nowe domy nadają się do zamieszkania i nie grożą pożarem. Te prowizoryczne rozwiązania złożyły się na rodzaj wolnego rynku ostatecznego. Ludzie swobodnie krążyli pomiędzy obozowiskami w zależności od tego, co w danej chwili najbardziej cenili: ogrzewaną przyczepę, jurte dla jednej osoby, lepszych współlokatorów. Przy okazji zawiązywali kolejne przyjaźnie i przenosili idee polityczne.

Oczywiście wszystkie te poczynania stanowiły obiekt żywego zainteresowania pewnego segmentu stałej populacji mieszkańców miasteczka, czyli niedźwiedzi. Z perspektywy baribali wyglądało to tak, że na ich leśnym terenie nagle wykiełkowała szachownica szwedzkich stołów. Każdy obóz obfitował w kalorie. Metodą prób i błędów zwierzęta szybko nauczyły się, że nowi sąsiedzi są niechętni do dzwonienia po leśników i zgłaszania niedźwiedzich najść. Każda enklawa wolnomiasteczkowców – jak wnioskowały – woli rozwiązywać problem na swój własny, konstytucyjnie chroniony sposób.

I nie we wszystkich obozach mieszkańcy kupowali sobie lepsze kosze.

---

[10] Herman Melville, *Moby Dick czyli Biały Wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 199.

[11] Skrót od „less government”, czyli „mniej rządu”.

[12] Burning Man to odbywający się dorocznie festiwal alternatywnego stylu życia, gromadzący kilkadziesiąt tysięcy osób na pustyni Black Rock w Nevadzie. Jest atrakcyjny dla miłośników samowystarczalności, ponieważ na czas jego trwania uczestnicy sami

wznoszą miasteczko namiotowe i są współodpowiedzialni za życie społeczności, a po wszystkim nie powinni pozostawić śladu.

## Pomysłowy pastor

*Poranek był jasny i obiecujący. Przed ich odjazdem odprawiono mszę w kaplicy, wzywając ochrony Świętego Ignacego przed wszelkim ewentualnym złem, a zwłaszcza przed niedźwiedziami, które, jak ogniste smoki dawnych dziejów, zdawały się chować nieprzemoloną wrogość wobec Kościoła Świętego.*

— Bret Harte, *Legenda Monte Del Diablo*, 1863

W 2010 roku John Connell, lat pięćdziesiąt, stał w letnim skwarze przed największym historycznym skarbem miasteczka: kościołem w Grafton Center. Same belki – wielkie bale wyrąbane ze starych kasztanów amerykańskich, które dziś już prawie zniknęły z krajobrazu okolicy Grafton – warte były majątek, ale nikt nie śniłby nawet o ich sprzedaży. W ciągu stulecia rozmodleni graftończycy uświęcili drzewo. Napuchło od wody święconej, oblało się płynnym złotem zaślubin, namaściło świętymi olejami i skłoniło pod smutnym ciężarem tysiąca trumien.

Jeśli przejeżdżający przez Grafton drogą numer cztery w ogóle zauważają miejscowość, to właśnie dzięki temu ostatniemu skinieniu głowy w stronę jankeskiego tradycjonalizmu: budowli, której dwukondygnacyjna dzwonnica i dwuspadowy dach górują nad żwirowym parkingiem i urokliwym, trawiastym pasem zieleni.

Connell przyglądał się samochodowi, który właśnie wjechał na parking. Wsiadł z niego jeden z miejskich radnych, przyjaźnie go pozdrawiając. Connella to nie zaskoczyło. Zdawało się bowiem, że mówi o nim prawie każdy w miasteczku. Przez to, czego dokonał.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej Connell, libertarianin, był jednym z wielu ludzi, na których wrażenie zrobiła majestatyczna obecność kościoła. Ale on wyszedł poza niezobowiązujące ochy i achy i poszedł o krok dalej. John Connell, robotnik fabryczny z Massachusetts nieznanym prawie nikomu w miasteczku, zakupił kościół w Grafton Center.

A teraz zjawiał się ten radny. Pod przykrywką powitania Connella w społeczności starał się wyczuć jego zamiary związane z przyszłością kościoła. Gdy tylko zaliczyli absolutne minimum wstępnej pogawędki, radny przeszedł do rzeczy.

– Co pan zrobi, gdy dostanie pan wezwanie do zapłaty podatku? – zapytał.

– Hm... – komentuje później Connell w relacji z tej rozmowy. Gdy mówi, każde jego słowo nosi znak wodny proletariackiego akcentu z okolic Bostonu, który nawet najprzyjaźniejszą z wypowiedzi podszywa tonem typu „nie podskakuj mi”. – Ciekawe traktowanie kogoś, kto próbuje uratować budynek kościoła – wspomina cierpko, podkreślając słowo „ciekawe”, tak by nikt nie wątpił w jego znaczenie.

Jednak tego dnia odpowiedział na pytanie radnego własnym pytaniem. „Nie nakłada się podatków na kościoły, prawda?” – zapytał Connell.

– A on spojrzał na mnie i pewnie myślał: „O kurka, skoro to jest koleś od wolności, to kupuje sobie go tylko po to, by uniknąć podatków”.

Fakt, że władze miasteczka tak zainteresowały się zamiarami Connella, nie był pozbawiony ironii. Wszak gdyby one same chętniej otworzyły

kieszenie, historyczne miejsce zgromadzeń nigdy nie zostałyby wystawione na sprzedaż i zakupione za grosze przez człowieka z zewnątrz.

Przyczyny tego kłopotliwego położenia można szukać w nietypowych okolicznościach powstania kościoła w 1796 roku, kiedy to graftońscy wyborcy – zawsze chętni planom szybkiego uniknięcia podatków – odmówili finansowania budowy sali zebrań dla miasteczka. Zgodzili się natomiast kupić kilka ław do planowanego kościoła, co nie tylko pomogło wiernym zbudować świątynię, lecz także sprawiło, że budowla częściowo stała się własnością publiczną.

Przez grubo ponad sto lat kościół współdzielili podatnicy i wierni. Nieprzerwana litania litanii parafian przeplatała się z wnioskami i głosowaniami podczas zebrań miejskich, które odbywały się w tych uświęconych murach. Jako ośrodek życia zarówno religijnego, jak i obywatelskiego, budynek został nazwany przez świeckich Centralnym Domem Spotkań.

Mijały dekady. Przez lata nieruchomości przechodziła przez ręce różnych wspólnot religijnych, a status prawny budynku stał się mętny. Gdy budowla wymagała remontu, przypomniano podatnikom Grafton, że chętniej korzystali z przestrzeni, niż za nią płacili. W 1856 roku, aby rozwiązać kwestię odpowiedzialności za koszty napraw i uniknąć zbędnego mieszania państwa z Kościołem, miasteczko i parafia zgodziły się rozdzielić budynek na dwie części – jak w scenie z familijnego sitcomu, w której dziecięcy pokój dzieli się za pomocą długiego paska taśmy klejącej. Z czasem jednak ten poziom odpowiedzialności finansowej zdał się podatnikom nadmierny. W 1963 roku zrzekli się wszelkich roszczeń wobec kościoła w Grafton Center. Woleli mówić o swoim użytkowaniu tej przestrzeni jako o dzierżawie.

Skoro miasteczko zostało zaledwie lokatorem, budynek w całości trafił w ręce malejącej populacji wiernych. W latach po ogłoszeniu Free Town Project Kościół kongregacyjny w Grafton Center, który przez kilkadziesiąt lat był właścicielem nieruchomości, wyniósł się gdzie indziej (na granicę z miasteczkiem Danbury) i przyjął nową nazwę.

Przywódstwo Kościoła, które nie potrzebowało już budynku, zaproponowało, że sprzeda go Grafton.

Skorzystanie z szansy kupienia nieruchomości (którą historyk Grafton Ken Cushing nazwał „duszą miasteczka”) i możliwości decydowania o jej losach wielu wydało się oczywistością. Jednak wydanie przychodów z podatków na tak podejrzanie sentymentalny pomysł jak ochrona „charakteru” miasteczka spotkał się ze sprzeciwem rosnącej populacji libertarian. Wolnomiasteczkowcy połączyli siły z niechętnymi podatkom stałymi mieszkańcami Grafton. Stworzyli znaczną, głośną większość, która wyraziła swoje zdanie na temat przeznaczenia kościoła. Ostatecznie miasteczko odrzuciło ofertę.

Co niezwykle, przywództwo Kościoła odpowiedziało na odmowę jeszcze szczerzejszą propozycją. Zapytało, czy miasto chce przejąć nieruchomość za darmo.

Co jeszcze bardziej niezwykle, miasteczko powiedziało nie.

Wszystko znów rozbiło się o pieniądze. Ponieważ Grafton nie miało przepisów prawa budowlanego, miejscowość nigdy nie dokonała formalnej inspekcji budynku. Pytania o koszty jego utrzymania pozostawały więc bez odpowiedzi. Kościół mógł równie dobrze stać przez kolejne setki lat, jak i lada chwila spłonąć w pożarze, zostać zalany czy po prostu zapaść się w wyniku upływu czasu. Nie było innego sposobu, by się tego dowiedzieć, niż opłacenie inspekcji. „Po miasteczku krążyły plotki, że budynek grozi zawaleniem” – mówi Deb Clough, miejscowa bibliotekarka.

– Z tego powodu radni orzekli, że to będzie studnia bez dna – opowiada Clough.

Kościół wystawił więc pusty już budynek na sprzedaż dla wszelkich zainteresowanych.

Zaledwie kilka tygodni później – niektórzy powiedzą, że w dowód boskiej opatrności, inni powiedzą, że w dowód chaotycznego i przypadkowego charakteru wszechświata (a jeszcze inni powiedzą, że jako całkowicie przewidywalny skutek wystawienia nieruchomości o nieocenionej wartości historycznej za marne grosze) – budynek wpadł w oko Johnowi Connellowi.

Connell urodził się w Salem (Massachusetts) w 1960 roku. Przez prawie trzy dekady, począwszy od skończenia szkoły średniej w 1978 roku, pracował na dwunastogodzinne zmiany w Stahl Chemical, garbarni skóry mieszczącej się między pubem a zakładem blacharsko-lakierniczym w mieście Peabody. W połowie 2000 roku miał miejsce pożar w reaktorze chemicznym w fabryce. Connell mówi, że pozostał w budynku dłużej, niż pozwalało na to bezpieczeństwo, żeby pomóc opanować ogień.

– Wystawiłem się na działanie różnych paskudnych rzeczy – wspomina. – Miałem dziwne objawy i bardzo, bardzo, bardzo martwiłem się o swoje zdrowie. Myślałem, że może umrę.

Przez kilka lat Connell mobilizował się do tego, by zjawiać się na swojej zmianie, ale „był często zmęczony i źle się czuł” – relacjonowała internetowa stacja radiowa w audycji na temat Connella, wieloletniego miłośnika muzyki. (Stacja promowała muzykę graną przez i dla miejscowych libertarian w ramach szerszych dążeń do zbudowania kultury wolności w Grafton). Connella nie interesowało leczenie dolegliwości za pomocą medycyny konwencjonalnej, którą określił jako „ścieżkę

medyczo-przemysłową”. Nie chciał też pozwać firmy. To nie było w jego stylu.

– Płacono mi za pracę – mówi. – To podejmowałem ryzyko.

Connell nie był może pewien swojego zdrowia po odejściu z fabryki, natomiast na pewno wiedział, że chce uciec od ogłupiającego kieratu w Peabody. Podczas wizyt w stanie wyznającym dewizę „Żyj Wolny lub Zgiń” znalazł podatny grunt do wyrażania swoich bardziej artystycznych i duchowych tendencji. Przeprowadził się więc na tymczasową kwaterę w Salem (New Hampshire). Wszedłszy na ścieżkę oświecenia, Connell odkrył, że praca nad zdrowiem emocjonalnym pomaga mu radzić sobie ze zdrowiem cielesnym. Przebaczył tym, którzy go skrzywdzili. Zaczął medytować. Odnalazł Boga (teraz mówi, że to Bóg odnalazł jego).

Po duchowym przebudzeniu mówi:

– Wróciło mi dobre zdrowie. Nie czułem się lepiej od czasu, gdy byłem nastolatkiem.

Odmłodzony Connell nie był pewien, co dalej. Odznaczał się wyjątkową mieszanką pasji: do libertariańskiej polityki, sztuki i wiary chrześcijańskiej. Czuł, że predysponuje go to do czegoś ważnego, ale nie wiedział do czego konkretnie.

Obraz zaczął mu się rysować wyraźniej, kiedy podczas dłuższego pobytu u przyjaciół libertarian w Grafton spostrzegł stojący przed kościołem znak NA SPRZEDAŻ. Kiedy tak podziwiał architektoniczny sznyt gzymsów, którymi wykończono dach i kondygnacje dzwonnicy, nagle owładnął nim pomysł, że powinien zakupić ten budynek. Mówi o tym jako o głosie, czymś, co do niego mówiło. „Stary, po prostu to zrób” – szeptał głos. „Bo jak nie, to gdzie reszta twojego życia? Chcesz spojrzeć wstecz i powiedzieć do siebie: szkoda, że tego nie zrobiłem?”



Connell nie skontaktował się z żadnym prawnikiem czy bankiem, tylko złożył ofertę w wysokości 57 500 dolarów. To była większość jego funduszu emerytalnego, a przy tym nie miał pojęcia, co zrobi z budynkiem, jeśli sprzedaż dojdzie do skutku. Głos w głowie upewniał go jednak w tej decyzji. „Nie bój się” – mówił.

Ale Connell się nie bał. Czuł głównie spokój i radość.

Przyjęto jego ofertę. Do momentu, kiedy dokumenty były już przetworzone i Connell gawędził z radnym przed kościołem tego letniego dnia, miał w głowie szkic swojego powołania.

Oświadczył, że były kościół Grafton Center pozostanie kościołem. Za ręcznie wykonanymi drewnianymi drzwiami będą się odbywać regularne nabożeństwa. Budynek będzie też służył Connellowi do przedstawiania jego artystycznej i duchowej ekspresji. Choć formalnie nie ma żadnego wykształcenia w tym kierunku, on, John Connell, będzie mieszkał w kościele jako zakrystian i pastor. I – jak poprzysiągł – nie będzie płacił podatków.

Co by się nie działo.

\*\*\*

Sto lat przed tym, jak wzrok Connella w ogóle spoczął na kościele w Grafton Center, w miasteczku żył człowiek o imieniu Louis i krzyczał z dachu świata.

Był 1904 rok. Pod nim rozpościerała się narzuta w kratę z zieleni i brązu przedzielonych niskimi, kamiennymi murkami. Grupki białych, puchatych kropek pasły się, nie wiedząc o niczym, a zabawkowe koniki ciągnęły wozy wielkości dropsów pomiędzy domkami z pudełek od zapalek. Las, który niegdyś zagrażał osadnikom, już nie istniał. W jego

miejscu leżała sielska dolina, gwarna od rolnictwa, wytwórstwa, szkolnictwa i kaznodziejstwa.

– „Muszę stanąć na mym posterunku, udać się na basztę”[13] – grzmiał Louis z całym dostojeństwem, jakie udało mu się wykrzesać.

Louis dokładnie nazywał się Louis Banks, a jeszcze dokładniej wielebny Louis Albert Banks. Był to doktor teologii, uznany metodysta, który w wieku czterdziestu siedmiu lat miał za sobą ciąg życiowych przygód, takich jak rozpoczęcie studiów w wieku jedenastu lat, otrzymanie postrzału podczas walki po stronie imigrantów w zamieszkach przeciwko Chińczykom w Seattle, besztanie właścicieli saloonów i wyzyskiwaczy za ich udział w ucisku biednych oraz odległe trzecie miejsce w wyborach na gubernatora Massachusetts w 1893 roku.

Gdy Banks trafił do Grafton, zastał tam zamożną społeczność korzystającą z dobrodziejstw kapitalizmu i wytępienia niedźwiedzi. Miejscowość przyciągnęła Banksa z tych samych powodów co Connella: było tu pole do działania. W licznych książkach swojego autorstwa Banks jasno wyłożył, że wolność stanowiła dla niego świętą zasadę. Jedno z dzieł zadedykował rodzicom, „którzy w moim umyśle i sercu zaszczerpili [...] własną miłość do wolności i nienawiść do niewoli”.

Lud Grafton, podobnie kochający wolność, pozostawił już za sobą mroczny okres osadnictwa. Liczba niedźwiedzi z impetem zmalała (myślano, że na zawsze), liczba ludzi zaś urosła. Pomiędzy 1786 a 1800 rokiem populacja Grafton się podwoiła: z 354 osób do 682. Do roku 1860 znów wzrosła niemal dwukrotnie: do 1259 osób. Pod Banksem rozpościerało się 190 czynnych gospodarstw różnych rozmiarów o przeznaczeniu rolniczym. Wiele z nich wykorzystywało pociągi towarowe kursujące po nowo wybudowanej kolei Northern Rail, by dostarczać na

rynek tony wełny, ziemniaków, drewna opałowego, cukru klonowego i nabiału, i osiągało przy tym spore zyski.

W swoim złotym wieku Grafton szczyliło się trzema urzędami pocztowymi, jedenastoma szkołami, mleczarnią, czternastoma kopalniami oraz piętnastoma zakładami przemysłowymi, przetwarzającymi wszystko od ziarna po tkaniny. (Największy z nich, tartak, produkował ponad milion stóp deskowych drewna rocznie). Duże złoża gliny pod Slab City wykorzystano do budowy pół tuzina długich na dziesięć metrów pieców do wypalania węgla drzewnego, które zapełniły las, ziemię i czyste powietrze cegłami i smogiem.

Gdy postanowił przeprowadzić się do Grafton, Banks mógł rozważyć kupno kilku atrakcyjnych nieruchomości. W Bungtown wystawiono na sprzedaż osiemdziesięciohektarową farmę Martinów (nazwaną po kołodzieju Nelsonie Martinie oraz jego żonie, znanej serowarce), a na niej piękny, tradycyjny dom wiejski, solidną stodołę o belkowej konstrukcji, dwieście klonów cukrowych oraz szereg urokliwych zabudowań, w tym liczne szopy oraz warsztat. W tym samym mieście najwspanialszą stodołę w miasteczku, tak porządną i okazałą, że mówiono o niej „Wielka Stodoła”, wybudowała rodzina Kimballów.

Obok tej samej drogi co Wielka Stodoła i gospodarstwo Martinów, przy skrzyżowaniu Grafton Turnpike z drogą numer cztery, znajdowała się jeszcze inna atrakcyjna nieruchomość: tętniący życiem sklep wielobranżowy prowadzony przez Guya Haskinsa, który mieszkał nad sklepem, gdy akurat nie sprzedawał cukierków za pensa, szynek do powieszenia u powały, czekoladek, krakersów, lodów, ziarna czy benzyny.

Przeglądając ofertę nieruchomości, Banks doceniał walory gospodarstw i sklepów, ale szukał czegoś z większym rozmachem. Zobaczywszy w 1900 roku ogłoszenie w gazecie, zakupił w północno-zachodnim Grafton

ogromną osiemsethektarową działkę z przepysznym domem, trzema stodołami oraz jednym z wartościowych zasobów naturalnych miasteczka: granitową wychodnią znaną jako Pinnacle (w tym samym miejscu miał w przyszłości chodzić po górach Tom Ploszaj).

Od północnej strony Pinnacle zwieszał się nad czterdziestopięciometrowym urwiskiem, ale od południa można było do niego dojść znacznie łagodniej, krętą ścieżką wystarczająco szeroką dla wozu zaprzęzonego w cztery konie. Nie ma wątpliwości, że Banks, który czasem nauczał o dążeniach człowieka do wzbicia się w powietrze jako sposobie fizycznego zbliżenia do Boga, uznał wzniosłość swojego otoczenia za dar duchowy – taki jednak, który można by jeszcze udoskonalić.

Jeśli człowiek ma wizję, nawet onieśmielających rozmiarów, wprowadzenie jej w życie jest często kwestią środków i sposobów. A Banks miał środki na to, by wprowadzić swój sposób w życie. Wkrótce przekonał kompanię mężczyzn, by na zakupiony przez niego szczyt góry wwiozła sprzęt budowlany. Na początku 1902 roku wzniesiono rusztowanie stalowej wieży. Była wspaniała. Wystawała czternaście metrów ponad najwyższy punkt Pinnacle, a po jej boku prowadziła drabina z metalowych prętów. Na szczycie przycupnęła niewielka, okrągła, drewniana platforma o średnicy dziesięciu stóp, jak wystawiona na półmisku ofiara dla samego Boga.

Szóstego czerwca 1902 roku wielki tłum zebrał się na zaproszenie Banksa, by wysłuchać inauguracyjnego kazania z przestworzy. Długi ciąg koni i pieszych piął się po wejściu południowym. Każdy mężczyzna zwieńczył niedzielne ubranie kapeluszem. Kobiety i dzieci miały na sobie wykrochmaloną biel. Niewidoma Belinda Stevens siedziała w podskakującym na wertepach wozie ciągnionym przez parę jednostajnie stąpających wołów.

Gdy wielebny Banks chwycił za żelazny pręt drabiny, wbiły się w niego oczy pięciuset gapiów. Wchodził coraz wyżej i wyżej. Stawka (jak wieża) była wysoka. Chciał zrobić z nich swoich parafian i wiedział, że wielu potencjalnych nowych wiernych wyciągających właśnie szyje przyszło tylko na widowisko. Banks liczył na swoje umiejętności mówcy, by zachować ich zainteresowanie dłużej, niż trwają drwiące ze śmierci popisy. Chciał, by wracali słuchać objawień boskiej chwały.

Słusznie wybrał temat widzenia proroka Habakuka. Cytował biblijne wersety.

– „Muszę wypatrywać i baczyć, co mi powie, co odpowie na moją skargę”<sup>[14]</sup> – krzyczał w morze podniesionych twarzy.

Głosząc to, Banks musiał kipieć z radości. Żadne kazanie nie spotkało się dotychczas z taką uwagą. Każdy ruch duchownego, każdy powiew flagi wskazujący na lekki poryw wiatru wciągały tłum coraz głębiej w słowo Boże.

Po zakończeniu kazania wniebowzięty Banks krok po kroku zszedł na ziemię. Trudno powiedzieć, ile uścisnął dłoni i otrzymał uśmiechów, zanim doznał przebłysku zrozumienia. Patrząc na człowieka czternaście metrów nad sobą, bardzo niewielu zgromadzonych usłyszało coś z tego, co rzeczywiście zostało powiedziane. Później opowiadano, że akustyka szczytu niosła słowa Banksa do pobliskich majątków lepiej niż do uszu tych, którzy stali u stóp wieży.

Choć dni osadników dawno minęły, Grafton trzymało się swoich przekonań o wolności osobistej, które sto lat później miały okazać się tak zachęcające dla nowego pokolenia libertarian. Zbudowano miasteczko niemal wolne od podatków i ingerencji państwa; miasteczko, gdzie człowiek miał swobodę wzniesienia majestatycznej, strzelistej ambony, z której był niemal niesłyszalny.

---

[13] Biblia warszawska, Ha 2,1.

[14] Tamże.

## Bitwa z baribalem

*Znałem jego rytm i czasy, jak on znał me, co jadł  
kaczany złociste nocą i chleb mi z domu kradł.  
Znałem jego spryt i siłę, jak on znał me, co brał  
pazurem kozę z zagrody, kiedym ja jeszcze spał.*

— Rudyard Kipling, *The Truce of the Bear* [Rozejm niedźwiedzia], 1898

Z głębokiego snu zbudziło Dianne Burrington gorączkowe beczenie. Farmerka zareagowała instynktownie, zrzuciła z siebie kołdrę i sięgnęła po żelazo.

Burrington nie wiedziała, czy rabuś to człowiek, zwierzę czy istota nadprzyrodzona, ale tak naprawdę jej to nie obchodziło. Nawet gdy jest zaspana i bosa, to nie ona pęka. To inni pękają przed nią.

Chwyciła strzelbę opartą o ścianę w kącie kuchni, tak na wszelki wypadek. I pistolet z kuchennej szuflady. Na wszelki wypadek.

Wypadła z domu – rozczochranego przedmurza cywilizacji w dziczejącym świecie.

Pomimo wszelkich starań obywatelsko nastawionych osób, takich jak Burrington, w ciągu dziesięcioleci po kazaniu Louisa Banksa z Pinnacle Grafton stopniowo osuwało się w entropię. W tamtych dniach wskazówka na zegarze oświecenia sprawnie strącała graftednie wilki, niedźwiedzie i drzewa, robiąc miejsce na domy, gospodarstwa i owce. Kiedy jednak jej

kapitalistyczny mechanizm stanął, zegar zaczął rdzewieć, a powolne blednięcie cywilizacji wyznaczyły pożary i powodzie. W latach 1935–2002 hrabstwo straciło 92 procent ziemi uprawnej. Pola obróciły się znów w nieprzebyte chaszczce, a potem gąszcz młodych drzew. Drogi, niegdyś utrzymywane z podatkowych dolarów, zniknęły pod gęstwiną jeżyn, cenionych przez żerujące baribale. Najbardziej uprawny region stanu stał się najbardziej zalesionym. A mimo że w pierwszych dekadach naszego wieku w lasach rozbija się obozowiska, dane z cenzusu pokazują, że jedna trzecia stałych domostw Grafton stoi pusta. Wtargnięcie zieleni zwiastują kroczące oddziały myszy budujących gniazda w domach i pod maskami samochodów. Jeśli się ze szkodnikami nie zawalczy, będą szykować grunt pod dalsze interwencje, które staną się udziałem większych zwierząt, wody, wiatru i roślinności. Stan obecnie uznaje Grafton za niemal jednolity obszar zamieszkiwania niedźwiedzi.

Rodzice Burringtonów – choć nieświadomie odegrali rolę w przebiegu Free Town Project, gdy sprzedali dom Babiarzom – spędzili całe życie na służbie społeczeństwu. June Bassett przez czterdzieści lat wozila graftońskie dzieci do szkoły (najpierw w antycznym autobusie należącym do komendanta policji) i prowadziła księgi miejskie jako skarbniczka. Z kolei John odśnieżał i naprawiał tyle dróg, ile mu się udało, jako miejski drogowiec (którą to funkcję miał ostatecznie przejąć po nim syn). W 1961 roku Bassettowie, mając dwadzieścia kilka lat, wydali siedem tysięcy dolarów na kupno 180 hektarów działki ponownie zalesionej ziemi w Slab City, na której stał zrujnowany budynek szkoły. Wówczas posesję porastały krzewy i gęste zarośla, tylko granitowe schody i wejścia do piwnic wyznaczały zarysy budynków, które albo spłonęły w pożarach wskutek wybuchu pieca do wypalania węgla, albo popadły w ruinę. Bassettowie zagospodarowali działkę, by nadawała się dla krów i owiec oraz



zmodernizowali budynek szkoły, instalując szambo i inne udogodnienia, dzięki którym dało się w nim zamieszkać. Gdy Dianne, która wychowała się w tym budynku, wyszła za mąż, wraz z małżonkiem wykopali trochę pozostałych po cegielni odrzutów z produkcji i zbudowali z nich palenisko.

W 1993 roku, sprzedawszy szkołę i część rekultywowanej ziemi Babiarzom, Dianne z matką włożyły całą energię w nowy dom. Zbudowany na wysokim, górskim pastwisku, wznosił się nad Grafton Center: drobna, usiana owcami wysepka trawy broniąca się przed nieodpartym przypiływem lasu.

Burrington zbiegała po schodkach ganku. Trzasnęły za nią frontowe drzwi. Towarzyszyło jej całe mnóstwo wątpliwości odnośnie do tego, co dokładnie wyszło z ciemnego lasu i groziło jej owcom. To była norma w Grafton. Dziwny, alchemiczny napar z mieszanki percepcji i rzeczywistości zmienił okoliczne lasy w wyjątkowy i obcy krajobraz zamieszkały przez zębate, mityczne stworzenia.

W wielu miejscach na świecie im głębiej zapuścić się w historię, tym bardziej niewyraźni i tajemniczy stają się mieszkańcy lasu. Rzeczywiście, pierwsi osadnicy europejscy w Grafton też dusili się pod niebezpiecznie ciężką mitologią demonów, diabłów, wiedźm i wampirów. Ale nowy las zyskał sobie własne, nowoczesne mity, które zatopiły szpony głęboko w zbiorowej psychice graftończyków.

Jeden powód jest taki, że w tutejszych lasach naprawdę mieszka kilka dziwacznych stworzeń. W 1890 roku zamożny i ekscentryczny spekulant ziemski Austin Corbin wybudował nowatorski rezerwat dzikich zwierząt o dwadzieścia mil od Grafton. Park Corbina otaczało prawie pięćdziesiąt kilometrów solidnej palisady mającej zapobiec ucieczkom importowanych gatunków, w tym muflona kanadyjskiego, rosyjskiego dzika, jelenia

kanadyjskiego oraz stada bizonów, które miało się stać największe na świecie.

Jednak – w duchu filmu *Park jurajski* – palisadę przerwał w 1938 roku Wielki Huragan w Nowej Anglii. Setki zwierząt uciekły z puszczy, a niektóre założyły mnożące się populacje. Do dziś zdarzają się udokumentowane przypadki dostrzeżenia wełnistych, szablozębnych dzików ważących ponad 300 kilogramów. (Dla porównania większość dorosłych niedźwiedzi czarnych waży dwa razy mniej, ale za to gigantyczny łoś występujący w tym regionie jest dwukrotnie większy i potrafi z rzadka stratować człowieka na śmierć). Huragan osiągający w porywach 300 kilometrów na godzinę przekształcił też krajobraz, równając z ziemią domy i wyrywając drzewa z korzeniami. Pozostałe po burzy hektary wiatrołomów i wiatrowałów utworzyły gęstą, niemal nie do przejścia płataninę martwego lasu. Sześć lat później, w 1944 roku, w hrabstwie Grafton pierwszy raz w New Hampshire udokumentowano pojawienie się kojota. Tu są one większe i wytrzymalsze niż w innych częściach kraju: testy genetyczne wykazały, że mają w sobie 30 procent wilka, a czasem dobierają się w watahy, by prześladować graftedźwiedzi spacerujących po leśnych ścieżkach z psami.

Burrington broni swoich pastwisk przed tymi potencjalnymi zagrożeniami za pomocą broni, donośnego głosu oraz elektrycznego płotu pod wysokim napięciem, który otacza cały teren. Niedźwiedzie czasem biegają wzdłuż ogrodzenia, szukając słabego punktu. Natomiast wilkokojoty wolą się przyciąć w nadziei, że nieostrożna owca zapuści się wystarczająco blisko, by masywny drapieżnik zdołał zanurzyć w niej zęby i wyrwać parujący kawałek baraniny na swoją stronę. Burrington już zastrzeliła takie hybrydy, ale nie da się ich wybić do cna, bo na spadek populacji reagują większymi i częstszymi miotami potomstwa, by zapełnić

pustkę. Nawet częste polowania nie zatrzymałyby postępującego dziczenia miasteczka, a epoka Free Town Project tylko przyspieszała tempo zmian.

Pewna liczba graftedyków twierdzi, że poza budzącymi respekt stworzeniami, których istnienie zostało porządnie udowodnione naukowo, lasy przemierza również nieudokumentowana megafauna. Pewien mężczyzna powiedział mi, że więcej niż raz zauważył ważki wielkie jak sokoły. Inny człowiek twierdził, że widział na tych terenach, uznawanych przez kryptozoologów za siedlisko Wielkiej Stopy (a przy tym oddalonych o zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od miejsca z najsłynniejszej w amerykańskiej historii relacji o porwaniu przez UFO, zdanej przez Betty i Barneya Hillów w 1961 roku), odciski łap ptaka znacznie większe od ludzkiej dłoni. Wielu ludzi w Grafton przysięga, że występują tam kuguary, gatunek, którego urzędnicy stanowi formalnie nie rejestrują.

Tak naprawdę nie można więc było mieć pewności, co lub kogo Burrington spotka, gdy wbiegnie bosą na mokrą ziemię, „ubrana na pół gwizdka”, z rąbkiem koszuli nocnej powiewającym między połami płaszcza, który porwała z wieszaka.

Ganek wychodzi prosto na trawiaste pastwisko omiatane silnym, wyjąłym wiatrem, który rzadko ustaje. Burrington popędziła w górę stoku i pod dłuższy bok stodoły, gdzie poprzez beczenie przebijał się dziwny, trąbiący ryk.

„Co on, do cholery, wyprawia?” – pomyślała sobie.

Rozpoznała trąbienie swojej lamy o imieniu Huragan. Gdy zwierzę niepokoiło się potencjalnym niebezpieczeństwem, zazwyczaj reagowało smętnym pomrukiem. Do porykiwania, przesywającego wołania pełnego agresji i furii, uciekało się tylko w prawdziwym kryzysie.

Burrington skrzyła za róg stodoły. Słabe światło świtania ukazało jej trwającą właśnie rzeź. Niedźwiedź, być może ośmielony udanymi

napadami na pobliskie obozowiska w Grafton, prześlizgnął się między drutami ogrodzenia elektrycznego, jak zawodowy zapaśnik wchodzący na ring. Zwabiony zapachem baraniny, nie zwrócił na ukłucie prądu więcej uwagi, niżby poświęcił pszczole broniącej miodu. A teraz próbował wbić zęby w któregoś osobnika spośród rozbieganego stada owiec.

Burrington zaszarżowała na podwórko. Większość zwierząt w popłochu znalazła schronienie w szopie, jednak jakaś grupa złożona z owiec i niedźwiedzia musiała stratować płot z taką siłą, że wyrwała druty z palika, odcinając je od źródła zasilania. Jedna spanikowana, walcząca owca zaplątała się całkowicie w siatkę.

„Chryste” – pomyślała Burrington. „Teraz się udusi”.

Odwróciła się plecami do niedźwiedzia, próbując żonglować parą broni, a jednocześnie wyciągnąć nożyce z kieszeni płaszcza. Dwa fachowe ciachnięcia uwolniły owcę, która wyglądała na cudownie niezranioną.

Burrington wstała i odwróciła się do niedźwiedzia. W jednej ręce miała strzelbę, w drugiej pistolet, a w oczach mocny błysk farmerki, która jeszcze nie piła dziś kawy. Baribal jednak, skoro jego plan cichego owcorwania dawno spalił na panewce, już uciekał w ukrycie ciemnego lasu. Jak się okazało, lama jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Wychowany przez owce Huragan je kochał. Owce były jego najlepszymi przyjaciółmi. On sam uważał, że jest mierzącą 175 centymetrów i ważącą 180 kilogramów olbrzymią owcą. A ponieważ czyniło to z niego największe i najtwardsze zwierzę w gospodarstwie, czuł się zastępcą szeryfki Burrington. Przez lata patrolował ogrodzenie, wypatrywał niebezpieczeństwa w lesie, czekał na deszczu z małymi i odprowadzał wieczorne ślamazary, idąc blisko, by mieć pewność, że trafią w nocy do stodoły.

Gdy baribal zbiegł, Huragan mignął koło Burrington i wparował na pastwisko.

– Huragan! – huknęła Burrington. – Nie!

Ale Huragan, samozwańczy stróż prawa pełną gębą, był teraz tylko smugą bieli goniącą po stoku za smugą czerni. Długą szyję wyciągnął przed siebie jak galopujący wielbłąd.

„Głupia lama” – pomyślała Burrington i sama zaczęła biec. W wyścigu zajmowała żalosne trzecie miejsce. Spoglądając w przód na ścieżkę, którą przecinał baribal, nagle zorientowała się, że nadchodzi kolejny kryzys.

Co on zrobi, gdy dobiegnie do płotu?

Porządne ogrodzenie, które zbudowała, by zatrzymywać niedźwiedzie poza nim, teraz zatrzyma niedźwiedzia w środku. Huragan był już bardzo blisko baribala, wręcz podgryzał jego krągły zad, więc zwierzę po dotarciu do płotu nie będzie miało innej możliwości, niż obrócić się i bronić, zabijając lamę.

Burrington z dwiema sztukami broni w rękach żarliwie zamarzyła o trzeciej.

„Powinnam chyba była wziąć coś większego, armatę czy coś” – pomyślała. „Pójść do domu po trzystaszóstkę czy zostać tutaj?”

Nie mogła oddać teraz celnego strzału, więc biegła dalej. Odbezpieczyła pistolet, na wypadek gdyby niedźwiedź skończył z Huraganem i poszedł na nią.

Tymczasem baribal, zapomniawszy chyba o płocie, z pełnym impetem władował się na sześć drutów pod wysokim napięciem i odbił od nich pod kątem, w wyniku czego obrócił się bokiem. A lama dalej biegła tuż za nim.

Pozbawiony innych możliwości niedźwiedź obrócił się i rzucił na Huragana z morderczym zamiarem. Walka była absolutną masakrą, tak krótką, że Burrington mogła tylko bezradnie patrzeć.

– Wtedy właśnie – opowiada mi – udało mi się zobaczyć to wszystko, co czytałam o lamach.

Huragan, rozpętawszy się do piątej kategorii w skali Saffira-Simpsona, natarł na niedźwiedzia jak rozmazany wir smagających kopyt i kęsających zębów. Ciosy lamy spadały głównie na gardło, klatkę piersiową i głowę niedźwiedzia. Tymczasem baribal warczał i nieskutecznie kłapał, najwyraźniej niezdolny do zahaczenia Huragana pazurem.

Posiniaczony i krwawiący niedźwiedź zebrał ostatki sił, jeśli nie godności. Przecisnął się przez dziurę w płocie i poszedł między wierzby, w kierunku rozległego bagna porośniętego gęstwiną krzewów, gdzie raczej nikt nie będzie go ścigał. Huragan, niemal nietknięty, dreptał wzdłuż linii płotu, parskając, porykując i tupiąc racicami.

Burrington zawróciła do domu po buty.

KSIĘGA DRUGA

## Wyboisty rozrost

*Żdźbła trawy wzrastają spomiędzy kostek bruku*

*I łapią słońce swoim płaskim bokiem,*

*Odbijając je*

*Złote i szmaragdowe*

*w oczy przechodniów.*

*A nad kostkami bruku,*

*Kwadratołapy i ciężki,*

*tańczy tresowany niedźwiedź.*

*Łapy bruk mu rani*

*I ma obręcz w nosie*

*Która boli;*

*Ale ciągle tańczy,*

*Bo go treser kłuje ostrym kijkiem*

*Pod futrem.*

*Teraz tłum gapi się i śmieje,*

*A chłopcy i dziewczęta przestępują nogami w rytm niedźwiedziego*

*tańca.*

*Widzą, jak się chwieje*

*W pyle szmaragdu i złota,*

*I są uszczęśliwieni.*

*Nogi niedźwiedzia drżą ze zmęczenia*

*Boli go grzbiet,  
A lśniące źdźbła trawy mroczą go i mylą.  
Ale ciągle tańczy,  
Przez ten mały, ostry kijek.*

— Amy Lowell, *Obwoźny niedźwiedź*, 1915



## Uzyskać utopię

*Pragnął wiedzieć, czy to możliwe, żeby nieustanne zewnętrzne stosowanie niedźwiedziego sadła przez młodych miejskich dżentelmenów niewyczuwalnie przepoiło te nieszczęśliwe osoby czymś z natury i charakteru niedźwiedzia. Po rzuceniu tej uwagi wzdrygnął się; lecz gdyby teoria po zbadaniu okazała się dobrze ugruntowana, natychmiast wyjaśniłaby wiele z nieprzyjemnego ekscentryzmu ich zachowań, który – z braku podobnego odkrycia – byłby zupełnie nieprzenikniony.*

— Charles Dickens, *Full Report of the Second Meeting of the Mudfog Association for the Advancement of Everything* [Pełne sprawozdanie z drugiego spotkania Stowarzyszenia na rzecz Promocji Wszystkiego w Mudfog], 1837

Ostateczny cel wolnomiasteczkowców opisała Ayn Rand w swojej powieści *Atlas zbuntowany*. Tam ukryta przed światem grupa przemysłowców zakłada w wąwozie zwanym Gardzielą Galta<sup>[15]</sup> wywrotowe społeczeństwo rządzone regułami całkowicie wolnego rynku. Kapitalistyczna utopia kontrastuje z resztą Stanów Zjednoczonych, gdzie pasożytnicze interwencje rządu doprowadzają do upadku współzależne przedsiębiorstwa, takie jak linie kolejowe, kopalnie miedzi czy huty, przez pozbawienie ich podstawowych surowców. Cały świat poza Gardzielą pogrąża się w ciemnym wieku bezprawia.

Wizja społeczeństwa opartego na rynku, którą Rand roztoczyła przed wolnomiasteczkowcami z Grafton, pchała ich do prywatyzacji i deregulacji wszystkiego, co tylko mogli. Przez długie siedem lat wraz z podobnie nastawionymi na oszczędność sojusznikami żywo sprzeciwiali się każdemu przepisowi i dolarowi podatku, jaki im się nawinął. Obłupywali budżet miejski z kosztów, zdzierając jedną usługę publiczną po drugiej jak pasy skóry.

Na zawsze zgasili większość lamp ulicznych, by obniżyć rachunki za prąd. Porzucili budowę długich odcinków polnych dróg, by oszczędzić na materiałach i sprzęcie. Oddalili wnioski o sfinansowanie takich fanaberii jak dekoracje bożonarodzeniowe czy fajerwerki na Dzień Niepodległości. A chociaż komisja zagospodarowania przestrzennego przetrwała, wolnomiasteczkowcy i bliscy im mieszkańcy wybebeszyli jej budżet, najpierw tnąc go z 2000 dolarów do 500, a następnie do symbolicznych 50. Jednak wbrew oczekiwaniom libertarian prawdziwe życie we Free Town Project zdawało się niemal przeciwieństwem fikcyjnej wizji Rand. W 2011 roku, podczas gdy reszta Stanów Zjednoczonych spokojnie toczyła się do przodu, dziury w usługach publicznych Grafton uparcie dawały o sobie znać i podkopywały morale mieszkańców.

Pomimo podjęcia kilku obiecujących wysiłków na miejsce usług publicznych nie pojawił się kwitnący sektor prywatny, tak jak u Rand. Teoretyczna, prywatna straż pożarna prowadzona przez Boba Hulla nie zajmowała się skutecznym gaszeniem pożarów. Targ rolny z wolnością w tle jakoś dychał przez pewien czas, ale potem znikł. Proponowana ochotnicza milicja nigdy nie została na dobre zawiązana.

Tymczasem nieustanne upuszczanie krwi zmieniało niegdyś tętniący życiem samorząd w symbol rozkładu społeczeństwa. Na tych kilku milach utwardzonych dróg miasteczka nienaprawiane pęknięcia w nawierzchni

rozrosły się w szczeliny, a następnie zakwitły jako trawiaste dziury. Po odrzuceniu przez głosujących wniosku o finansowanie w wysokości 40 tysięcy dolarów na zakup asfaltu i innych materiałów osaczeni urzędnicy miejscy uprzedzili, że Grafton grozi całkowita utrata dróg. Miasteczko otrzymało też formalne ostrzeżenie od stanu, że leżące na jego terenie dwa niewielkie mosty mogą runąć z powodu zaniedbania.

Biura urzędników Grafton ze stanu zwykłego obdrapania przeszły w ruinę. Sekretarz miejski i pozostali personel rozpatrywali dokumenty i skargi obywateli, stojąc pod nagimi przewodami elektrycznymi zwisającymi z sufitu niczym miedziana jemiola. Pieniądzy na wymianę zepsutego bojlera nie było, więc myli ręce w lodowatej wodzie. A gdy wreszcie doszło do uszkodzenia powłoki budynku, natura nie czekała ani chwili: deszczówka kapiała przez spore przecieki w suficie i wsączała się w ściany. Żywy strumień mrówek i termitów wpływał przez niewidoczne pęknięcia i pełzał po ścianach, sufitach, podłogach i biurkach, a jeśli nie ruszali się wystarczająco często, to też po ludziach. Tracey Colburn, pracownica administracyjna miasteczka (jedna z kilku osób, które nie posiadały broni palnej i nie interesowały się polityką), odeszła z pracy.

Libertarianie dalej wypalali usługi publiczne, a na ich zgłiszczach wcale nie wyrastała wyidealizowana kultura osobistej odpowiedzialności, ale zbieranina prowizorycznych leśnych obozowisk. Niektóre stały się przyczyną skarg na wycieki ścieków i niehigieniczne warunki życia. Inne wskaźniki również były niepokojące. Odsetek ponownego przetwarzania śmieci spadł z 60 do 40 procent. Stale rosła liczba dorocznie dokonywanych przez policję nowych wpisów na listę przestępców seksualnych: z ośmiu w 2006 roku do dwudziestu dwóch w 2010 roku, co równało się jednemu na sześćdziesięciu mieszkańców. W 2006 roku komendant Kenyon wraz z władzami stanowymi aresztował trzech

graftończyków w związku z działaniem w miasteczku metamfetaminowego laboratorium. W 2011 roku doszło w Grafton do morderstwa, pierwszego w żywej pamięci mieszkańców. Mężczyzna, oskarżony przez dwóch tymczasowych współlokatorów o bycie „darmozjadem”, zabił obu z broni krótkiej kalibru 9 milimetrów i 0,45 cala. Do jednego wypalił szesnaście razy. W 2013 roku policja strzelała ze skutkiem śmiertelnym do mieszkającego w Grafton sprawcy napadu z bronią w rękę. Liczba wezwań policji wzrosła w sumie o ponad dwieście rocznie.

W niejednej małej społeczności Nowej Anglii rosnące poczucie bezprawia może pociągnęłyby za sobą zwiększoną obecność policji. Jednak posterunek w Grafton cierpiał na tę samą anemię budżetową co wszystko wokół. Z powodu ograniczeń finansowych jego jedyny, dwunastoletni radiowóz często parkował u mechanika. Jak zapisał komendant (którego prośbę o podwyżkę odrzucono w głosowaniu w 2010 roku) w dorocznym raporcie, naprawy samochodu „spowodowały wiele przestojów w ciągu roku”.

Wszystkie te usługi publiczne – drogi, mosty, urzędy, światła, mobilność policji i tak dalej – poświęcono na ołtarzu jak najniższych podatków od nieruchomości.

O jakiej wysokości podatków dokładnie mowa?

Stawki podatków komunalnych w stanie New Hampshire (który, warto przypomnieć, nie pobiera podatku dochodowego ani podatku od sprzedaży) bardzo się różnią. Na przykład w Claremont, dawnym mieście fabrycznym, w 2010 roku wynosił on 11 dolarów 94 centy za tysiąc dolarów wartości domu. Claremont wydaje swoje przychody na bogactwo parków, infrastruktury, planowania gospodarczego oraz świadczenia z dziedziny bezpieczeństwa publicznego dla mieszkańców.

Stan prawnie wymaga od Grafton, podobnie jak od Claremont, utrzymywania służb ratunkowych, odśnieżania i naprawy dróg oraz mostów, odpowiedzialnego gospodarowania odpadami, ubezpieczeń i usług prawnych, wydawania pozwoleń na posiadanie psów, prowadzenia dostępnych powszechnie rejestrów miejskich i świadczenia innych usług uznanych za niezbędne.

Niewielkie miejscowości wiejskie najczęściej cienko przędą z powodu tych obowiązków. Natomiast niektóre przędą cienie niż inne. Dla przykładu Grafton i jego północny sąsiad Canaan mają podobne statystyki dochodów w przeliczeniu na gospodarstwo domowe, ale zupełnie inaczej wypełniają swoje zobowiązania. Mimo że większość urzędników w Canaan nazwałaby się raczej gospodarczymi konserwatystami, Grafton to przy nich geniusz wykręcania się od kosztów publicznych.

Tak jest od zawsze. Nawet pod koniec XVIII wieku, gdy Grafton i Canaan były sąsiednimi osadami, każda po kilkaset mieszkańców, Canaan z publicznych dolarów karmiło swoją milicję podczas szkoleń wojskowych, a Grafton zagłosowało przeciwko zapewnieniu wiktów. Tego typu postanowienia utrzymywały wtedy graftoński podatek na poziomie dwóch funtów brytyjskich na każdy tysiąc wartości nieruchomości. Mieszkańcy Canaan natomiast płacili dwa funty i trzy szylingi.

Obie społeczności miały taki sam cel fiskalny: zwiększanie zaludnienia. Jeśli miejscowość przyciąga i zatrzymuje mieszkańców, rozkłada obciążenie podatkowe pomiędzy większą liczbę podatników. Tak nakręca się spirala sukcesu gospodarczego i dobrobytu. Canaan i Grafton różniły się jednak co do sposobu osiągnięcia swojego celu. Pierwsza miejscowość chciała pozyskać mieszkańców dzięki usługom finansowanym z podatku. Ta druga – dzięki niskim podatkom.

Reprezentowane przez Canaan podejście etatystyczne opiera się na przekonaniu, że wybrani urzędnicy mają wyższe kompetencje w wydawaniu pieniędzy podatnika niż on sam. Z kolei postawa Grafton jest indywidualistyczna: ludzie cieszący się swobodą w wydawaniu własnych pieniędzy mają podejmować lepsze, bardziej racjonalne decyzje niż rząd.

Przez dwieście lat obie miejscowości trzymały się swoich różnic, przechodząc przez błyskawiczny rozkwit i powolny upadek nowoangielskiej gospodarki rolnej. Podczas boomu i aż do wojny secesyjnej zarówno Grafton, jak i Canaan czuły popchnięcie prężnych w epoce dobrobytu sił kapitalizmu. Populacja Grafton w 1850 roku rozrosła się do 1259 osób, a Canaan doszła nawet do 1687.

Po wojnie secesyjnej rolnictwo Nowej Anglii przeniosło się bardziej na zachód, przez co obie okolice straciły nieco ludności. Canaan odpowiedziało inwestycją w przyszłość. Zbudowało taką infrastrukturę publiczną, jaka miała przemówić do nowych mieszkańców.

Grafton miało inne nastawienie. W 1881 roku, gdy złoty wiek podarował skarbcowi nadwyżkę, na zebraniu mieszkańców zagłosowano za ustanowieniem roku bez podatków. A w 1909 roku, wkrótce po pierwszej odmowie sfinansowania straży pożarnej, Grafton zablokowało plan budowy posterunku policji za 150 dolarów. Kolejni komendanci przez osiemdziesiąt dwa lata nie mieli innego wyboru, niż pracować, przesłuchiwać podejrzanych i przechowywać akta we własnych domach.

W 2010 roku w Grafton mieszkało 1340 osób, czyli o włos więcej niż w 1850 roku. W tym samym czasie populacja Canaan sięgnęła 3909 osób – pomimo tamtejszych wyższych podatków.

Na tej podstawie można było założyć, że to w Canaan obowiązuje lepszy system podatkowy. Ale z drugiej strony – jak prawdopodobnie sądzili wolnomiasteczkowcy – sprawa mogła się mieć wręcz przeciwnie:

może po prostu podatki w Grafton wciąż były za wysokie. Miasteczko podwoiło swoje siły na wojnie z podatkami. W 2001 roku jego budżet zanotował 520 tysięcy dolarów wpływów podatkowych (liczba ta nie obejmuje innych źródeł przychodów, na przykład stanowych subsydiów). Budżet na 2011 rok obejmował tylko 491 tysięcy dolarów z podatków. Po uwzględnieniu inflacji oznacza to, że miasteczko obniżyło swoją siłę nabywczą o 25 procent – choć w tym samym czasie populacja wzrosła o 18 procent. Nie każdą usługę publiczną likwidowano. Wydatki w ramach niektórych pozycji budżetu wręcz się rozrastały. Zanim zainaugurowano Free Town Project, koszty prawne ponoszone przez miejscowość zazwyczaj nie przekraczały tysiąca dolarów rocznie. W 2004 roku było to 275 dolarów. Gdy jednak w Grafton pojawili się wolnomiasteczkowcy, do głosu doszło tam pieniądź. Rachunki za obsługę prawną miasteczka zaczęły rosnąć, a w 2011 roku doszły do 9400 dolarów.

Grafton ma również prawny obowiązek udzielania pomocy społecznej mieszkańcom o poświadczonych niskich dochodach. Przed początkiem Free Town Project kosztowało je to mniej niż 10 tysięcy dolarów rocznie. Do 2010 roku wydatki te wzrosły ponad czterokrotnie, czyli przekroczyły 40 tysięcy dolarów.

Grafton i Canaan odbiegły od siebie tak bardzo, że dziś nikt nie pomyślałby, że miały niemal identyczne początki w okresie osadnictwa. Po 150 latach tworzenia społeczności Canaan miało szkołę podstawową, kościoły, restauracje, banki, sklep z pamiątkami, dwie piekarnie, hotele dla zwierząt domowych, kuźnię, kilka sal zebrań, sklepy osiedlowe, farmy, ośrodek kultury, klinikę weterynaryjną i dziesiątki małych przedsiębiorstw, z których każde dodawało coś swojego do tożsamości mieszkańców i ich poczucia wspólnoty.

Z kolei Grafton posiadało jeden ledwie wiążący koniec z końcem sklep wielobranżowy, jedną atrakcję turystyczną w postaci kopalni Rugglesa, pakiet nagminnie niedofinansowanych usług publicznych oraz kościoł pod wezwaniem oryginalnych pomysłów Johna Connella.

Ale Grafton miało przecież niskie podatki. Czy też, ściślej, teoretycznie niskie podatki. Zakładałem, że po wielu latach oporu graftońska stawka podatkowa będzie stanowić ułamek canaańskiej. Odkryłem jednak, że różnica jest raczej skromna. Ponieważ w ciągu dekad Canaan utrzymało większe zaludnienie, wydawało znacznie więcej na sprawy publiczne, jednocześnie kontrolując stawkę podatku. Toteż w 2010 roku w Grafton wyniosła ona 4,49, a w Canaan 6,20 na tysiąc dolarów wartości nieruchomości. Oznacza to, że właścicielka wartego 150 tysięcy dolarów domu po roku dostalaby wezwanie do zapłaty 673,50 dolarów w Grafton, a 930 dolarów w Canaan.

Innymi słowy, podatnicy Grafton przehandlowali wszystkie wygody dostępne mieszkańcom Canaan za około 70 centów dziennie.

Czy względne powodzenie Canaan rzeczywiście mówi coś o podatkach, czy może to zbieg okoliczności? Przecież wysokie podatki potrafią wyprzeć ludzi z miejsca zamieszkania. To dlatego wielu regularnie głosuje przeciwko podnoszącym je publicznym fanaberiom, takim jak biblioteki, lampy uliczne, dobry stan dróg, baseny, korty tenisowe, jarmarki wiejskie, muzea, place zabaw i ogrody.

W 2019 roku grupa badaczy z Baylor University postanowiła sprawdzić, jak wygląda życie ludzi, którzy woleli niskie podatki od „fanaberii”. Przyjrzeni się danym z trzydziestu lat dotyczącym wydatków niekonieczne na usługi publiczne i zestawili je ze zgłaszanym przez respondentów poziomem szczęścia. Ich odkrycia wskazują, że sukces Canaan to nie fart, ale całkowicie przewidywalny skutek: amerykańskie



stany z dobrze dofinansowanymi usługami publicznymi mają szczęśliwszych mieszkańców niż takie, którym tego brakuje. Różnica odczuwanego szczęścia utrzymuje się we wszystkich segmentach społeczeństwa: biednych i bogatych, lepiej i gorzej wykształconych, po ślubie i bez niego, starych i młodych, chorych i zdrowych.

Naukowcy stwierdzili, że dane popierają zdroworozsądkowe przekonanie: „kiedy stany inwestują w dobra publiczne [...], często towarzyszy temu skutek w postaci zbierania mieszkańców we wspólnej przestrzeni i zwiększenia prawdopodobieństwa interakcji społecznych i zaangażowania”. Piszą, że z czasem „te subtelne interakcje pomagają wzmocnić więzi społeczne pośród mieszkańców i w ten sposób przyczyniają się do zwiększenia dobrostanu”.

Jest jedno zastrzeżenie. Wydatki publiczne towarzyszą szczęściu, ale być może wcale go nie powodują – zaznaczają autorzy badania. Prawdopodobne jest również to, że szczęśliwi ludzie o dowolnym poziomie dochodów po prostu przychylniej odnoszą się do wydawania wpłaconych podatków na wspólne cele.

Jeśli to prawda, skąpstwo Grafton wobec wydatków publicznych niekoniecznie powodowało nieszczęście mieszkańców. Niska stawka podatku w miasteczku mogła przecież równie dobrze być przewidywalnym rezultatem kolejnych lat osiedlania się tam nieszczęśliwych ludzi.

---

[15] W polskim przekładzie oryginalną nazwę „Galt’s Gulch” przełożono jako Wąwóz Galta, zob. np. Ayn Rand, *Atlas zbuntowany*, przeł. Iwona Michałowska-Gabrych, Wydawnictwo Zysk i Spółka, Poznań 2021, s. 769.

## Potyczki z płomieniami

*Wielki Słoneczny Budda w tej stronie Nieskończonej Pustki dał Wykład wszystkim zebranym pierwiastkom i energiom. [...] „W pewnym przyszłym czasie zaistnieje kontynent nazwany Ameryką. [...] Rasa ludzka w tamtej epoce popadnie w kłopoty, które ją przerosną, i zrujnuje praktycznie wszystko, pomimo swej silnej, inteligentnej buddyjskiej natury.*

*W tej przyszłej Epoce Ameryki przybiorę nową postać; uleczę świat z bezmiłosnej wiedzy poszukującej o ślepym głodzie: bezmyślnej furii, jedzącej pokarm, który jej nie zaspokoi”.*

*I pokazał się w swojej prawdziwej postaci MISIA DYMKA.*

— Gary Snyder, *Smokey the Bear Sutra* [Sutra Misia Dymka], 1969[16]

Ruch Free Town Project rósł w siłę, a wraz z nim utrzymujące się od pewnego czasu przekonanie, że zbyt dużo pieniędzy z podatków zabiera straż pożarna. Gdy jeden pożar od drugiego dzielił mile i dekady, ogień może zdawać się jedynie lekko niepokojącą rzadkością. Perspektywa indywidualna przysłania jednak druzgocące skutki pożarów – konsekwencje nie tylko dla bezpośrednich ofiar, lecz także dla całej społeczności.

Weźmy na przykład pewną noc w 1938 roku. Mary i Bill Watsonowie umościli się w swojej banieczce ciepła. Spali mocno, chronieni przed

mroźnym, zimowym powietrzem szroniącym szyby w oknach sypialni. W całym Grafton, dom w dom, odbywały się te same pomniejsze cuda ciepła: w swojej przemyślności człowiek potrafi sobie zapewnić nieco komfortu pośród przejmującego wiatru i śniegu. Watsonowie mieli wkrótce się przekonać, i to w najgorszy z możliwych sposobów, co to naprawdę znaczy mieszkać w miejscowości pozbawionej podstawowych usług publicznych.

Ich dom należał do niewielkiego kompleksu połączonych ze sobą zabudowań, obejmującego między innymi stodołę i warsztat samochodowy. Kupili go po przeprowadzce do Grafton z Massachusetts w 1927 roku, gdy z dziećmi chcieli zacząć nowy rozdział w życiu.

Warsztat okazał się roztropną inwestycją. W tamtym czasie nawet najzatatwardzialszy zwolennicy transportu konnego niechętnie przyznawali, że silnik spalinowy to nie przejściowa moda. Warsztaty samochodowe wyrastały jak grzyby po deszczu, korzystając z prawdziwego boomu motoryzacji.

Amerykański optymizm był w Grafton stłumiony, bo na własny, specyficzny sposób miasto musiało mierzyć się z finansowo druzgocącymi podatkami oraz fizycznie druzgocącymi niedźwiedziami. Mimo to Watsonom wiodło się dobrze. Reperowali samochody rolników i nauczycieli, robotników i turystów, hotelarzy, kolejarzy i sklepikarzy.

Około godziny 2.00 tej zimowej nocy coś innego niż chłód sięgnęło głęboko w fazę REM snu Watsonów, powoli wynurzając ich świadomość z coraz płytszych warstw zasnania. Był to zapach. Czarny i kwaśny. Jedno z małżonków obudziło się i zrozumiało, co się dzieje.

Tył stodoły stał w ogniu.

Watsonowie mieli niewiarygodne szczęście, że spostrzegli pożar na wczesnym etapie. Zdążyli poderwać dzieci z łóżek i wszczać alarm, zanim

płomienie przeniosły się na warsztat i dom.

Dojazd ze śródmieścia Grafton do warsztatu Watsonów zajęłoby wozowi strażackiemu jedynie kilka minut, ale dla rodziny nie miało to żadnego znaczenia. Częściowo dlatego, że w 1938 roku Grafton nie posiadało wozu strażackiego, a głównie dlatego, że Grafton nie miało straży pożarnej.

To nie był po prostu znak czasu. Przecież w 1938 roku straż pożarna w Hampton (New Hampshire) działała już od ponad stu lat. W 1890 roku Canaan wyposażyło swoją pierwszą brygadę straży pożarnej w haki, drabiny i węże; w 1892 roku w ślad za nim podążyło Enfield, zachodni sąsiad Grafton.

Graftońscy wyborcy nie życzyli sobie jednak wydawania pieniędzy na straż pożarną. Okoliczne miejscowości musiały więc dosłownie wchodzić za nimi w ogień.

Watsonowie załamywali ręce, a po drodze numer cztery pędził z Canaan wóz ochotniczej straży, który nawet zajęchał na miejsce, jeszcze zanim pożar ogarnął dom. Tymczasem sąsiedzi Watsonów w swojej dobrosąsiedzkości wynosili z domu meble i inne kosztowności, na wypadek gdyby stać się miało najgorsze.

Strażacy z Canaan musieli uporać się nie tylko z odległością, lecz także z niedostatkami graftońskiej infrastruktury, między innymi całkowitym brakiem hydrantów. (Problem ten rozwiązać miał finansowany z budżetu federalnego Cywilny Korpus Ochrony Przyrody, który wykopał kilka strategicznie położonych zbiorników retencyjnych, ale Grafton zaniedbało ich utrzymanie, aż wypełniły się mułem i stały bezużyteczne). Strażacy z Canaan użyli więc sprzętu, by wykuć otwór w lodzie na rzece Smith płynącej wzdłuż drogi numer cztery. Następnie swą jedyną pompą pobrali stamtąd wodę.

Warsztat i dom były jeszcze nietknięte pożarem. Watsonowie przyglądali się brygadzie z Canaan walczącej z płomieniami w stodole. Jednak gdy już się zdawało, że żywioł został opanowany, pompa zadławiła się błotem, co zatrzymało dopływ wody.

Strażacy rozpaczliwie starali się wyciągnąć pompę, a pożar rozgorzał na nowo. Watsonowie mogli tylko nerwowo dreptać tam i z powrotem, patrząc, jak piekło pochłania resztę stodoły, potem warsztat, a wreszcie – ku ich boleści – także i dom. Do rana z ich przedsiębiorstwa i gospodarstwa został tylko samotny komin: sterta osmalonych kamieni wystająca ponad opustoszały, ośnieżony krajobraz.

„Widok straszliwy” – napisał potomek Watsonów, relacjonując, jak w świetle poranka dostrzegli po raz pierwszy, że ktoś – zgoła nie po dobrosąsiedzku – połasił się na dużą część uratowanego z pożogi dobytku.

Dla stosunków sąsiedzkich i straży pożarnej był to zły rok. Spalenie się domu Watsonów należało do siedmiu niewyjaśnionych pożarów tamtego roku. Pojawiły się plotki, że wśród wzorowych obywateli prócz złodziei kryją się podpalacze.

Pomiędzy miasteczkami takimi jak Grafton a siłami przyrody utrzymuje się ciągle napięcie, dużo silniejsze niż w miastach rozpostartych na betonowych równinach. Z jednej strony kobiety i mężczyźni stawiają płoty, kopią rowy, strzygą trawę, wycinają drzewa i równają swoje otoczenie, by mieć przestrzeń i spokój. Z drugiej strony przyroda podgryza krawędzie, powoli, lecz nieubłaganie, rozkładając drewno i naruszając fundamenty za pomocą szeregu czynników. W Grafton do czynników tych należały muł, który zajął zbiorniki retencyjne, nieproszone niedźwiedzie burzące kurniki oraz najbardziej niszczycielskie z nich wszystkich pożary, palące wszystko, co stało na ich drodze.

Niekontrolowane zapłony budynków kawałek po kawałku spopielaly tkankę społeczną Grafton, wypychając miasteczko coraz dalej od oświecenia, o którym mówił Banks ze swojej ambony na Pinnacle: w nowy wiek barbarzyństwa.

W pewien poniedziałkowy poranek 1888 roku w Slab City wybuchł jeden z ogromnych pieców do wypalania węgla. Rozszalały pożar zniszczył kilka domów, a także na zawsze pogrzebał miejscową produkcję węgla drzewnego. Kilka lat później do samych fundamentów spalił się największy tartak Grafton, zdolny wytwarzać ponad milion stóp deskowych drewna rocznie. W 1904 roku pożar pochłonął dom i trzy stodoły wielebnego Louisa Alberta Banksa. (Banks przeżył katastrofę i nie przestał od czasu do czasu wygłaszać na wpół słyszalnych kazań ze szczytu Pinnacle). Dwa lata później, pewnego wiosennego niedzielnego poranka, na skutek wady komina spłonęła doszczętnie stacja kolejowa w Grafton Center wraz z kilkoma domami (kościół w Grafton Center na szczęście przetrwał).

W 1918 roku trzydziestojednoletnia matka ośmiorga dzieci Lucy Rollins niechcący postawiła na piecu baniak z benzyną. Od wybuchu zajęły się dom, stodoła, pobliski młyn oraz koszula nocna Rollins, a zatem i nieszczęsna gospodyni. Umierała w bólu przez kilka dni.

Były też inne ofiary. Spaliły się budynek mieszkalny dla robotników największego pracodawcy w miasteczku, United Mica Mine Company, a także stodoła Augusta, potomka kapitana Hoyta. Zniszczoną przez podpalacza szkołę na zawsze zabito deskami. Spłonęła Wielka Stodoła rodziny Kimballów w Bungtown. Tam też zgorzał sklep wielobranżowy. Ogień stopił lody i cukierki za centa, a zwisające z sufitu pyszne szynki wysmażył tak, że nawet najmniej wybredny niedźwiedź by nimi pogardził.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

W 1939 roku, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Watsonowie stracili dom i garaż, rada miasteczka wreszcie – wreszcie! – postanowiła zająć się problemem. Na zebraniu mieszkańców radni poprosili wyborców o zatwierdzenie wydatku w postaci pięciu rat wynoszących 400 dolarów rocznie (równowartość 4200 dolarów w 2019 roku) na zakup wozu strażackiego, pompy, węża i pomniejszego sprzętu.

Wyborcy się nie zgodzili.

Sześć miesięcy później, pewnej sierpniowej nocy około godziny 22.00, doszło do kolejnych strat w Bungtown. Pożar, który wybuchł w wyniku zwarcia w załadowanej sianem ciężarówce zaparkowanej w stodole gospodarstwa Martinów, spopielił ich posesję co do deski. (Można spekulować, że gdyby jeszcze stał warsztat Watsonów, rutynowy przegląd feralnego pojazdu pozwoliłby uniknąć katastrofy).

Przez kolejne pięć lat wyborcy mieli czas żałować pieniędzy, gdy płonęły domy.

Grafton nie posiadało systemu reagowania na pożary budynków. Natomiast państwo utrzymywało inspektorat przeciwpożarowy, który starał się zapobiegać pożarom lasu, wydając pozwolenia na wypalanie i edukując mieszkańców na temat bezpiecznego przechowywania materiałów łatwopalnych.

W 1942 roku, kilka lat po pożarze warsztatu samochodowego Watsonów, mężczyzna o nazwisku Les Seamans dodał tytuł inspektora przeciwpożarowego do listy swoich profesji. Oprócz tego był myśliwym, traperem, kopaczem ziemniaków, drwalem, garbarzem, robotnikiem fabrycznym, monterem płotów i ustawiaczem kręgli – z tego wszystkiego utrzymywał siebie i rodzinę. Seamans miał interes w tym, żeby miasteczku dobrze się wiodło. Wraz z żoną Marion, która była reprezentantką okręgu szkolnego, bibliotekarką oraz poczmistrzynią, wychowywał troje małych

dzieci. Jego brat służył jako szef policji. To ci ludzie starali się utrzymać Grafton w jednym kawałku.

Jako inspektor przeciwpożarowy Seamans dostrzegał skutki pożogi, i to nie tylko dla pechowców takich jak Watsonowie, lecz także dla Grafton w ogóle. Tylko w latach 1943–1948 doniesiono o pożarach w domach: Julii Custeau, Olifa Harrisa, rodziny Tuttle'ów, Franka Deana, Philipa Paighta, rodziny Grayów, Westona Rollinsa, rodziny Sullowayów, Laury Sweet, rodziny Tyrrellów, ponownie rodziny Sullowayów, George'a Barneya, Lestera Barneya (był to zły rok dla Barneyów) oraz w kominie domu dróżnika C.B. Loveringa. A to nie licząc pożarów lasu, na przykład tego, który szalał wokół Pinnacle Banksa, czy innego wzdłuż linii kolejowej Boston–Maine.

Ponieważ powiew kapitalizmu słabł, spalone nieruchomości nie zawsze odbudowywano. W latach 1940–1950 około 20 procent graftońskich domów zniknęło, wiele strawionych przez ogień. Tam, gdzie opuszczano dom, wpełzała przyroda. Na hektarach niedogłądanych pastwisk pięły się ku niebu drzewa, które w końcu spowijały ziemię na wpół permanentnym, przyjaznym niedźwiedzim półmrokiem.

Gdy jednak Seamans zaczął namawiać do założenia straży pożarnej, zderzył się ze stusiedemdziesięcioletnią tradycją niechęci do podatków. Niektórzy mieszkańcy miasteczka od podwyżki podatków woleliby już, żeby dom ich sąsiadów stanął w płomieniach. Po długich pertraktacjach Seamans z grupą zwolenników dobili targu w 1949 roku. Miasteczko zgodziło się wydać 1200 dolarów z budżetu na pompę oraz nieco sprzętu strażackiego – i właściwie nic więcej. Seamans i inni ochotnicy mieli gasić pożary za darmo, sami sobie kupić wóz i zbudować remizę na darowanej przez siebie ziemi.



I wreszcie im się to udało dzięki pieniądząom zebranyim na składkowych kolacjach i pokazach talentów. Zbudowali rozklekotaną remizę, a na fordzie kupionym z drugiej ręki zamontowali zbiornik o pojemności dwóch tysięcy litrów.

Mimo że przez siedemdziesiąt lat jej historii ochotniczą straż pożarną w Grafton nawiedzał brak funduszy, udało jej się zmniejszyć zasięg pożarów oraz zwolnić tempo spadku populacji miasteczka. Około 1970 roku z popiołów dawnej społeczności powoli wyłaniało się nowe Grafton. Obszar niegdysiejszego miasteczka złożonego ze skupisk wiosek i rozległych pastwisk objął pochowane po lasach, samotne domy. Nowe Grafton oferowało mnóstwo prywatności i niskie podatki.

Na początku lat 90. wyborcy przez trzy kolejne lata odrzucali propozycję sfinansowania nowoczesnej remizy, aż wreszcie wydali zgodę na wydatek w wysokości 25 tysięcy dolarów w 1993 roku (kolejnym złym roku dla rodziny Barneyów, której ogień zabrał wtedy dom oraz połączoną z nim stajnię). W ramach umowy ochotnicze zespoły ratownictwa zobowiązały się do złożenia „darowizny” w wysokości 15 tysięcy dolarów na cele projektu. Remiza była ostatnim dużym planem finansowym zatwierdzonym przez wyborców miasteczka. Miała stać się miejscem, w którym dzieje się wszystko w Grafton, dostępnym nie tylko dla strażaków, lecz także dla wszystkich mieszkańców jako sala zebrań.

Choć straż pożarna Grafton działała już w odpowiednio nowoczesnym budynku, nigdy nie miała budżetu dorównującego sąsiednim miasteczkom. W 2019 roku na ratownictwo pożarowe i medyczne Enfield wydało 220 tysięcy dolarów, Canaan – 261 tysięcy dolarów, a Grafton – 29 tysięcy dolarów. Duch ochotnictwa, który pozwalał gasić pożary w Grafton po taności, zaczął jednak zamierać. Zdarzają się akcje, do których wyjeżdża pusty wóz z samym kierowcą ochotnikiem.

Kierowca ten jest również nowym komendantem straży, który po zwerbowaniu kilku ochotniczych strażaków libertarian został wybrany na to stanowisko w 2007 roku stosunkiem ośmiu do dwóch głosów.

Nazywa się John Babiaryz.

Dotychczasowe życie poświęcił na odpieranie etatystycznych podatków i przepisów. Dziś Babiaryz jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo pożarowe ludzi i majątku Grafton. Podszedł do swojej roli poważnie – stara się rozbudowywać i modernizować straż.

Babiaryz nie popiera niektórych przepisów BHP, na przykład obowiązku zapinania pasów, ale na ogień patrzy inaczej, ponieważ bezmyślne obchodzenie się z nim może dotknąć niewinnych ludzi. A jak pokazuje ognista historia miasteczka, niepowstrzymany żywioł potrafi zniszczyć życie i mienie.

Prawie każdy strażak doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jaką tragedią jest śmierć w ogniu. Babiaryz pozostaje szczególnie wyczulony na te zagrożenia, gdyż autorytarne władze, które prześladowały jego rodziców, czasem posługiwały się ogniem jako bronią. Przed ucieczką do Ameryki jego ojciec zadarł z Sowietami, którzy ponoć palili wrogów publicznych żywcem; matka z kolei przeżyła nazistowski obóz pracy funkcjonujący w cieniu wieści o nieznanym liczbie ludobójczo spalonych Żydów.

– Spłonienie żywcem – mówi Babiaryz – to moim zdaniem jeden z najgorszych sposobów, w jakie może umrzeć człowiek.

---

[16] Smokey Bear od prawie osiemdziesięciu lat jest maskotką kampanii edukacyjnej Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych dotyczącej zapobiegania pożarom lasu. Na pierwszym swoim wizerunku (1947) postawny Miś Dymek, w dżinsach

i charakterystycznym kapeluszu amerykańskiego leśnika ozdobionym napisem SMOKEY,  
gasi ogień wodą z wiaderka.

## Kaznodzieja koloruje

*Ten właśnie dzwon posłał swoje pierwsze tony z wieży drewnianej kaplicy zbudowanej na zachód od jeziora Champlain w pobliżu potężnego potoku Świętego Wawrzyńca. Kaplica była pod wezwaniem Matki Boskiej Leśnej. Bicie rozbrzmiewało jak gdyby ku zbawieniu i uświęceniu pogańskiej dziczy. Wilk, gdy zręcznie skradał się przez zarośla, warczał na jego dźwięk; srogi niedźwiedź odwracał się grzbietem i posepnie oddalał; wystraszona łania drżała i prowadziła swe cielę głębiej w matnię.*

— Nathaniel Hawthorne, *A Bell's Biography* [Życiorys dzwonu], 1837

Po dekadach znoju w fabryce John Connell odkrył, że w zakupionym przez siebie kościele w Grafton Center może wreszcie żyć jak wolny człowiek.

Mimo że nie musiał już odbijać karty, chciał jak najlepiej wykorzystać swój czas. Tak więc samozwańczy pastor, zakrystian i mieszkaniec nowo utworzonego Kościoła Pokojowych Zgromadzeń zakasał rękawy, wydał nieco swoich topniejących oszczędności na słuszną ilość farby i innych materiałów, po czym zabrał się do roboty.

W pewnym sensie jego praca przypominała podejmowane w 1904 roku wysiłki wielebnego Louisa Banksa, który chcąc zbliżyć się do Boga, dobudował na graftedńskim Pinnacle śmiałej koncepcji ambonę. Choć Connellowi brakowało takich zasobów, jakie miał Banks, poszedł w jego

ślady, wprowadzając w życie równie śmiałą koncepcję elewacji kościoła. Na widok jego fantazji tradycyjnym wiernym z miasteczka opadły szczęki.

– Oczami wyobraźni – wspominała potem na zebraniu kobieta w białym swetrze – widziałam tylko Boga, który patrzy z góry i mówi: „Przebrałeś mój kościół za nierządnicę”.

Chodziło jej między innymi o fioletowy prostokąt wielkości boiska do koszykówki namalowany przez Connella na asfaltowym placu koło kościoła. Na tle prostokąta wzbijała się pod niebiosa rysunkowa biała gołębica.

Fiolet był kolorem Connella. Jego nasycony, królewski odcień wkrótce wykwitł plamami na białym, drewnianym płocie kościoła i pokrył framugi drzwi oraz większości (ale nie wszystkich) spośród jego trzydziestu okien. Connell w purpurę oblekł również kanty kościoła, krawędzie gzymsów oraz szczyt pięknej, starej iglicy.

Poza ulubionym fioletem Connell przepadał też za innymi kolorami. Do gołębicy na plamie fioletu dołączyło wkrótce jaskrawoczerwone serce obramowane na żółto na tle wyrazistej zieleni. Widok z drogi numer cztery Connell ożywiał dodatkowo kalejdoskopem zmieniających się rysunków kredą oraz zdobieniami płotu, które (obok fioletu) wskazywały też na łagodniejszą stronę usposobienia pastora, przybierały barwy pastelowe, niby-wielkanocne odcienie różu, żółci i błękitu.

Następnie Connell wypełnił podwórze kościoła swoistym lapidarium rzeźb ze znalezionych przedmiotów. W piramidzie z pustych aluminiowych prętów, na niewielkiej stercie drewnianych palet ustawił lustro w grubej ramie oraz metalowego lwa sięgającego człowiekowi do połowy uda. Pomalowane na biało drewniane obeliski upamiętniały zmarłych w wyniku „ciemnienia przez rząd”. Odłamki kamieni i betonowych płyt piętrzyły się w kopcach, poznaczone świętym dla buddyzmu zen rysunkiem *ensō*.

Oprócz tego były przeróżne dzwonki wietrzne, krucyfiks wielkości człowieka, znak drogowy z podmienionym napisem, tuzin masztów różnej wysokości z kolorowymi flagami oraz samodzielnie zbite ławki, z których można było podziwiać kakofoniczną chlubę Connella.

Niegdyś dostojny zabytek sprawiał teraz wrażenie, jak gdyby ktoś składował na jego terenie towary na pchli targ pochodzące z demontażu tanich atrakcji turystycznych: tutaj coś na kształt zielonego Gemini Gianta stojącego na parkingu baru w Illinois, tam jak gdyby części Blue Whale'a z dawno zamkniętego parku wodnego w Catoosie (Oklahoma), a wszystko okraszone zdrową szczyptą pokrytych graffiti samochodów jak z Cadillac Ranch w Amarillo (Teksas).

Żywiołowa osobowość Connella jaśniała w leśnym otoczeniu i czystym powietrzu gór Wolnego Miasta, nieskrępowana nadmiernymi ograniczeniami codziennych aktywności. Chciał promować postawę wolnościową w nowy sposób, który być może okazałby się skuteczniejszy tam, gdzie nie działała tradycyjna agitacja.

– Gdybyśmy mogli wygrać tylko dzięki argumentom intelektualnym, już dawno byśmy wygrali – powiedział raz grupie libertarian. – Musimy dotrzeć do ludzkich serc.

I tak Connell wyznaczył siebie na radosnego wojownika, pokojowego buntownika, który przyjechał do Grafton uczyć innych synergii wolności i pobożnego oświecenia. Głosił duchowość wśród członków ruchu libertariańskiego i politykę poza nim.

W niedzielę prowadził mało uczęszczane nabożeństwo w budynku. Obok zabytkowych drewnianych ławek – w których niegdyś klęczeli wierni na ukwieconych pogrzebach, ślubach i dożynkach – pod ścianami ustawił zbieraninę niepasujących do siebie sof i krzeseł. Connell nie kształcił się na kaznodzieję, ale popychał go kaznodziejski entuzjazm do głoszenia słowa.

Głosił je więc w całym miasteczku i na różne tematy. Na przykład mieszkańcy odwożący śmieci do punktu odbioru odpadów mogli spotkać tam „brata Johna” z transparentem w dłoni chętnego do opowiedzenia im o wadach proponowanych zmian w systemie łąw przysięgłych.

Niektórzy czuli się przez Connella besztani, a nawet zastraszeni. W spektrum ludzkiej komunikacji jego styl mówienia plasował się często w wąskim przedziale pomiędzy lekkim pokrzykiwaniem a głośnym pokrzykiwaniem. W libertariańskiej społeczności stanu New Hampshire był jednak postacią lubianą.

– Do swojej duchowości odnosił się z pasją, czasem chyba zbyt dużą – opowiada John Babiarz. – Pomyślałbyś, że jest na ciebie zły. Ale nie, taki po prostu miał ton głosu. Wydawał się zdenerwowany, ale wcale nie był. Miał swoje problemy, ale był z niego dusza człowiek.

Na wypadek gdyby głoszenie kazań okazało się nieskuteczne w zmienianiu ludzkich opinii, Connell jako miłośnik muzyki zawsze szukał okazji do zdjęcia gitary z ramienia i wybuchnięcia śpiewem. Pisał ludowe hymny o swojej miłości do New Hampshire, niechęci do Kongresu, podziwie dla ciemniejących libertarian i przede wszystkim o wolności.

„Przeszukują babci bagaż i dzieci w szkołach też, wchodzą bez pukania, wyważają drzwi” – śpiewał donośnie. „Na każdym rogu patrol, czujnik i kamera jest; państwem policyjnym ten kraj trąci mi”.

Connell nie był jednak typem, który tylko skarży się na problemy. Refren tej piosenki (którą zatytułował *Kraj stracił rozum*) propagował też rozwiązanie: nieposłuszeństwo.

„Idziemy już po wolność i mamy nowy plan; dziś niepokorność to jest myśl. Możecie dalej robić to, co tak nie wychodzi wam. Lub – jeśliście gotowi – za mną iść”.

Dla Connella słowa te nie były zresztą jałową abstrakcją.

Kiedy nie nauczał, nie malował i nie politykował, kroczył osobistą ścieżką biernego oporu. Czasem pościł w proteście przeciwko działaniom rządu, a w 2005 roku po huraganie Katrina wraz z innymi libertariańskimi aktywistami palił flagi Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. Publicznie demonstrował również w sprawie Edwarda i Elaine Brownów, mieszkającego w New Hampshire małżeństwa, którego opór wobec płacenia podatków zakończył się w 2007 roku oblężeniem domu z udziałem policji i uzbrojonego wsparcia. Pewnego razu Connell dostał mandat za przekroczenie prędkości i zjawił się w sądzie w spodniach od dresu i bez gotówki, ponieważ – jak wyjaśniał – był gotów iść do aresztu, ale nie zapłacić karę. (Państwo zgodziło się darować mandat pod warunkiem, że Connell nie popełni nowych wykroczeń w ciągu kolejnych sześciu miesięcy).

W tym samym niepokornym duchu Connell działał w Grafton. Wkrótce po zakupie kościoła wypełnił miejski wniosek o zwolnienie z podatku od nieruchomości ze względu na jej kościelność. Stawką był doroczny podatek w wysokości około trzech tysięcy dolarów.

Mimo że Connell po prostu szukał swojego miejsca w skrupulatnie kultywowanym pejzażu antypodatkowym Grafton, wiadomość na temat prośby o zwolnienie od podatku przeznaczone dla kościołów rozeszła się po społeczności jak fala uderzeniowa. Sprawa tak żywo zainteresowała ludzi, ponieważ unikanie komunalnych podatków od nieruchomości niepozbawione jest ironii: to gra o sumie zerowej. Za każdym razem, gdy komuś uda się nie zapłacić podatku, reszta miasteczka musi dopłacić różnicę. System uzasadnia więc bronienie własnych powodów do niepłacenia podatków, a jednocześnie krytykowanie powodów podawanych przez sąsiada.



Jako przykład warto podać, że w 2011 roku stan polecił, by wszystkie miejscowości rozważyły zwolnienie z podatków osób niewidomych. Graftońscy urzędnicy powiedzieli wyborcom, że przyjęcie tego przepisu będzie miało znikomy wpływ na budżet miasteczka, ponieważ w Grafton mieszka tylko jedna osoba niewidoma, która żyje z renty, więc i tak właściwie nie płaci podatków. Libertarianie nie protestowali przeciwko uldze konkretnie dla tej osoby – co byłoby już rażąco bezduszne – ale z przykrością sprzeciwili się ustanowieniu przepisu. Opór uzasadnili tym, że gdy świat się o tym dowie, do Grafton mogą zjechać się zastępy niewidomych milionerów, by skorzystać z luki. (Pomimo tych obiekcji przepis został przegłosowany minimalną przewagą, a w kolejnych ośmiu latach populacja niewidomych milionerów w Grafton utrzymała się na względnie stałym poziomie: zerowym).

W przypadku Connella, pomimo odprawiania nabożeństw niedzielnych i założenia niewielkiego banku żywności dla potrzebujących (tuż za drzwiami jego sypialni w kościele), większość miejscowych nie uważała Kościoła Pokojowych Zgromadzeń za organizację prawdziwie religijną. Częściowo dlatego, że nie należał on do żadnego rozpoznawalnego w kraju związku wyznaniowego, częściowo dlatego, że Connell nie miał dyplomu teologa, a zwłaszcza dlatego, że kościół wydawał się ośrodkiem bardziej politycznym niż duchowym, z poprawką na specyficzny charakter aktywizmu jego właściciela.

Choć przekaz Connella konsekwentnie pozostawał przy motywach pokoju, miłości i przebaczenia, ideały te wynurzały się z dziwacznej mikstury wpływów spoza głównego nurtu chrześcijańskiej dogmatyki. Ściany klatki schodowej prowadzącej do sanktuarium na pierwszym piętrze wytapetował kopiami eseju Henry’ego Davida Thoreau o nieposłuszeństwie obywatelskim oraz autobiografii Mahatmy Gandhiego. Zawiesił plakaty,

w tym reprodukcję *Stworzenia Adama* Michała Anioła, oraz prośbę o darowizny na libertariański fundusz edukacyjny umożliwiający „wybór szkoły”[17].

Mimo że zdaniem większości zwolnienie z podatku dla Connella odbyłoby się wbrew interesom mieszkańców, okazała mniejszość ludzi myślących bardziej twórczo zgodziła się – z podejrzeniem chrześcijańską wspaniałomyślnością – że John Connell tworzył kościoły. Co więcej, mniejszość ta dopuszczała myśl, że pomiędzy świętymi gajami choin, brzoź, klonów i jesionów Grafton mogły kryć się kościoły jeszcze nieodkryte.

Urzednicy miejscy szybko się zorientowali, że gdyby zatwierdzili wniosek Connella, w uświęconym światłocieniu lasu wkrótce mogłoby zrodzić się całe mnóstwo samozwańczych kościołów. Legion rozmodlonych pustelników klęczałby przed wszechmogącymi bóstwami – każdy przed swoimi – w podzięce za błogosławieństwo wolności od podatku.

Przyznanie mu ulgi najprawdopodobniej byłoby gwoździem do trumny usług publicznych w Grafton. Connell jednak zdawał się nie przejmować takim obrotem spraw.

– Podobno mamy w tym kraju wolność wyznania – powiedział. – Religia nie potrzebuje autoryzacji rządu.

Rzeczywiście argumentu Connella nie można było łatwo odrzucić. W Stanach Zjednoczonych zgodnie z prawem działa wiele organizacji, które nie pasują do powszechnego wyobrażenia o Kościele. To dlatego rząd federalny z niezwykłą swobodą podchodzi do definiowania misji „rozwoju duchowego”, czyli warunku niezbędnego do zwolnienia związku wyznaniowego od federalnego podatku dochodowego.

Samorząd może bezpiecznie oprzeć swoje rozpoznanie prawdziwie dobroczynnej organizacji na ustaleniach urzędu podatkowego [Internal Revenue Service, IRS], który zatwierdza działalność organizacji *non profit* na podstawie ustępu 501(c)3. Obejmuje on zarówno Kościoły, jak i świeckie organizacje dobroczynne. Żeby uzmysłwić sobie, jak szeroko przepisy definiują „publiczną organizację charytatywną”, warto wiedzieć, że Amerykanie poprzez zwolnienia od podatków utrzymują na przykład Narodową Ligę Hokeja, Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie Ameryki, Amerykańską Izbę Handlową, a także całą falangę marginalnych grup nienawiści, które szlachetnie realizują swoje dobroczynne powołanie, promując biały suprematyzm, nazizm i Państwo Islamskie.

Connellowi powiedziano, że jeśli IRS uzna Kościół Pokojowych Zgromadzeń za organizację dobroczynną, da to miasteczku podstawę do zatwierdzenia wniosku o zwolnienie od podatku, a jednocześnie nie wywoła zalewu bezpodstawnych roszczeń. Urzędnicy Grafton bardzo już chcieli zamknąć tę sprawę, ponieważ zdawało się, że za każdym razem, gdy znów pojawiała się w dyskusji, dwoje lub troje mieszkańców groziło zamianą swoich domów w kościoły.

Przed przeskoczeniem tej nisko postawionej poprzeczki powstrzymał Connella jeden drobny problem. Aby złożyć w IRS wniosek o przyznanie statusu organizacji *non profit*, należało podjąć z nim korespondencję. A żeby podjąć korespondencję z IRS, należało uznać go za prawny autorytet, z czym Connell dobitnie się nie zgadzał.

Niechęć do IRS Connell powiązał ze swoją postawą wobec przemocy. Sądził, jak zresztą wielu libertarian, że wszystkie nakazy rządu niosą ze sobą ukrytą groźbę przyłożenia lufy do skroni. Uważał wręcz za niestosowne tworzenie jakiegokolwiek osobowości prawnej poza własną osobą fizyczną.

– Tego kościoła nie stworzył rząd – mówił. – Ten kościół to kościół Boga, a nie rządu.

Skoro dyskusja najwyraźniej utknęła w martwym punkcie, miasteczko odrzuciło wniosek Connella o zwolnienie od podatku.

Ale Connell na tym nie poprzestał.

Po prośbie o możliwość niepłacenia podatków przeszedł do drugiego kroku w dwuetapowym planie opracowanym przez osadników w Grafton 230 lat wcześniej: zwyczajnie ich nie płacił.

Przez kolejne dwa lata miasto wysyłało mu wezwania wraz z dołączonymi listami opisującymi coraz surowsze konsekwencje prawne dalszego niepłacenia. Temat ten podjęty w wywiadzie do filmiku promującego sprawę libertariańską w New Hampshire wyraźnie rozplómił Connella. Pastor zaczął gestykulować, a w pewnym momencie zacisnął dłonie w pięści.

– Nie mogę i nie chcę zrobić tego, czego wymaga ode mnie rząd do uznania mojego kościoła za kościół.

Chwilę później wygłosił ponurą przepowiednię.

– W końcu przyjdą skraść ten kościół. A ja mogę obiecać tylko jedno.

Następne słowa wygłosił z wielką emfazą. Swym chropowatym głosem poprzysiągł:

– Z wnętrza tego kościoła nie wyjdzie żadna przemoc. Do tego nie dojdzie.

Tyle że o przemocy nikt przed nim przecież nie wspominał.

---

[17] Jako zwolennicy prywatyzacji szkolnictwa, libertarianie opowiadają się za tym, by rodzice wybierali dziecku szkołę na zasadach rynkowych. Sprzeciwiają się oni

obowiązującej w Stanach Zjednoczonych rejonizacji szkół, czasem proponując wręcz całkowitą likwidację publicznej oświaty. Dla rodziców niezamożnych przewidują talony i fundusze pozwalające zapłacić czesne w wybranej placówce.

## Polemika przy palenisku

*– Ten gbur – monologował, oddalając się uliczką – to stworzenie o pożałowania godnej strukturze. Okrutnik, który własną karę nosi wciąż w zanadrzu; niedźwiedź ogryzający samego siebie.*

— Karol Dickens, *Barnaba Rudge*, 1841[18]

Po ogłoszeniu Grafton Wolnym Miasteczkiem libertariańscy działacze rozpoczęli pokaz siły w nieprzerwanej grze oporu przeciwko miejscowym władzom.

John Connell brał w niej udział, nie płacąc podatków. Z kolei Jeremy Olson, Tom Ploszaj, John Babiarz i Bob Hull pozywali miasteczko o kwestie takie jak planowanie wyborów do poszczególnych komisji czy egzekwowanie nielegalności marihuany.

Często jednak okazja do obrony wolności nadarzała się szczęśliwym trafem, na ulicy. Tę metodę wolał zbliżający się do czterdziestki Mike Barskey, który przeprowadził się do Grafton z Kalifornii około 2009 roku. Szybki jak katarynka sposób mówienia Barskey’ego i jego bezgraniczna brawura doskonale wpasowały się w społeczność wolnomiasteczkowców. Jego nowi graftońscy przyjaciele postrzegali go jako regularnego i zaprawionego w bojach obrońcę swobód. Cały czas nosił przy sobie trzy różne urządzenia nagrywające, by dokumentować liczne małe

niesprawiedliwości, które najwyraźniej w jego obecności działały się nieustannie.

Barskey przepadał też za tego rodzaju ambitnymi dywagacjami, które częściowo nadawały Free Town Project jego frenetyczny impet. Wkrótce po przyjeździe do miasteczka wyjawiał plan budowy Gardzieli Grafton, nawiązującej do książkowej utopii stworzonej przez Ayn Rand. Budynek miał być własnością Barskey'ego i siedzibą prywatnego klubu, w którym libertarianie mogliby robić ze sobą nieograniczone niczym interesy. Aktywiści podchwycili pomysł, a Hull, który wtedy mieszkał z grupą wolnomiasteczkowców w graftońskiej alei Wolności, sprzedał Barskey'emu odpowiednią działkę przy drodze numer cztery w Grafton Center. Położony o półtora kilometra na północ od Kościoła Pokojowych Zgromadzeń Connella pas ziemi o wielkości ponad hektara był pusty, nie licząc szopy i resztek materiałów budowlanych pozostałych po poprzednim planie zagospodarowania. Teren rozciągał się w dół od drogi numer cztery w stronę dawnej linii kolejowej.

Pod koniec maja 2010 roku Barskey i Connell z grupką innych wolnomiasteczkowców zebrali się na działce w jasny, słoneczny dzień. Zamierzali oczyścić ją z roślinności oraz położyć kamień węgielny pod Gardziel Grafton. Około południa ekipa budowlana rozpałała sobie małe ognisko w palenisku zrobionym z kamieni, żeby upiec parówki na obiad.

Drogą numer cztery akurat przejeżdżał inspektor przeciwpożarowy z pobliskiego Enfield. Zatrzymał samochód i upomniał Barskey'ego, że od zapalonego bez pozwolenia ognia może zająć się szopa albo usypana w pobliżu sterta wiórów. Barskey odmówił jednak ugaszenia ogniska, rozumując, że niebezpieczeństwo jest w istocie bardzo niewielkie, a ochota na pieczenie parówek bardzo znaczna. Inspektor odjechał, ale skontaktował się z siwowłosym komendantem graftońskiej policji Merle'em Kenyonem.

Ten przyjechał na miejsce i również polecił Barskey'emu zgaszenie ogniska. Barskey ponownie odmówił. Nastąpiła nerwowa wymiana zdań, w ramach której Barskey oskarżył szefa policji, że bardziej od bezpieczeństwa publicznego interesuje go kontrolowanie niewinnych obywateli, a szef policji stwierdził, że Barskey i jego towarzysze są żałośni. Komendant Kenyon zadzwonił do Ochotniczej Straży Pożarnej w Grafton, by przyjechała i ugasiła ogień. Remiza mieściła się tylko o kilka kilometrów od działki, tak więc strażacy powinni byli zareagować błyskawicznie. Tyle że remiza nie miała zatrudnionego personelu, a jedyni wolni ochotnicy nie potrafili prowadzić wozu strażackiego. Wezwanie trafiło więc do Johna Babiarsza. Gdy ten dojeżdżał do Grafton spoza miasteczka, Barskey już zajadle bronił swoich swobód przed komendantem Kenyonem.

Kamerka Barskey'ego nagrywała pojedynek dwóch mężczyzn na opanowanie. Oparli się o samochód jednego z członków ekipy budowlanej. Rozmawiali z ostentacyjną, nieszczerą uprzejmością. Każdy czekał, aż drugiemu powinie się noga.

– Słuchaj, Merle. A masz pozwolenie, żeby się oprzeć o ten samochód?  
– spytał Barskey, niby od niechcienia.

– Nie, nie mam – odpowiedział komendant Kenyon z rękami założonymi na pokaźnym brzuchu. Mimo że jego rozmiary dawały mu przewagę, swoją powierzchownością raczej nie budził strachu. Jego szczere oczy o opadających powiekach spoglądały znad nosa przypominającego cząstkę arbuza. Mówił tonem cichym i swojskim.

– A ja owszem – powiedział wtedy Barskey, który od cichej swojskości najwyraźniej wolał licytację.

– To bardzo ładnie – odparł komendant Kenyon protekcjonalnie.



Barskey, wytrawny bojownik o wolność, chciał sprowokować bez specjalnej prowokacji. Postarał się więc ująć całą wymianę zdań jako obronę pojazdu przyjaciela przed tyranią opierania.

– No to... Masz zamiar podrapać lakier kaburą albo paskiem czy coś? – zapytał Barskey.

– Nie, nie ma takiego zamiaru – odpowiedział komendant Kenyon. – Naprawdę nie mam zamiaru nikomu robić problemów.

Na poboczu stała zaparkowana ciężarówka komendanta. Barskey zrobił więc zwrot w rozmowie.

– To czy mogę – spytał Kenyona – oprzeć się o twój samochód?

Komendant nie połknął przynęty.

– Skoro musisz – odparł z takim samym spokojem, jakby mówił „proszę bardzo”.

Przez wiele lat walki o wolność Barskey oszlifował sobie jednak strategię kłócenia się z ludźmi, którzy nie chcieli się kłócić z nim. Postanowił ją zastosować.

– Nie – oświadczył dobitnie. – Jak muszę, to nie.

Po czym dodał kolejną prowokację:

– Zagroziś mi, zakujesz mnie w kajdanki, zabierzesz na dołek, jak się oprę?

Pytanie postawiło komendanta Kenyona w trudnym położeniu. Nie mógł przecież obiecać, że nie podejmie żadnych działań, skoro Barskey bardzo wyraźnie szukał jakiejś granicy do przekroczenia. Ale komendant nie chciał narazić się na oskarżenia o hipokryzję. Postawił więc na ogólnik.

– Nie mam takiego zamiaru – powtórzył z ledwie wyczuwalnym napięciem strun głosowych.

– Nie masz takiego zamiaru – przedrzeźnił go Barskey. I przeszedł do nowej taktyki. Zamierzał rozkazywać komendantowi i podpuszczać go, by zaprotestował.

– Powiem tak – zagaił. – Proszę cię: a może byś się przestał opierać o jego samochód?

W tym momencie komendant Kenyon mógłby po prostu się wyprostować i zażegnać całą kwestię opierania się o karoserię. Ale zamiast tego uniósł brwi, wreszcie ujawniając skrywaną irytację. Pomyślał, że teraz to Barskey przesadził.

– Czyje to auto? – spytał.

– Jednego z tych tam – odpowiedział Barskey, wskazując na ekipę budowlaną. – Ja go zapytałem o pozwolenie.

Na filmowanej twarzy komendanta odmalowywały się po kolei przemykające myśli. Gdyby odmówił, musiałby cały czas opierać się o samochód jak idiota, aż nie przyszedłby właściciel pojazdu i nie kazałby mu się ruszyć. A wszystko to rejestrowałaby kamera Barskey’ego. Komendant postanowił więc zachować twarz w jedyny dostępny mu sposób. Podniósł się z maski samochodu. Jedną ręką, z dłonią skierowaną ku asfaltowi, zrobił gest w stronę Barskey’ego – gest zarówno uspokajający, jak i drwiący.

– Jak tam sobie chcesz – powiedział.

– Nie, nie jak tam sobie chcę – powtórzył po nim Barskey, widocznie sięgając po sprawdzoną sztuczkę. – Poprosiłem cię. Nic tam sobie nie chcę.

– Oczywiście, że – zaczął komendant Kenyon z miną parodiującą pójście komuś na rękę – nie chciałbym...

– Podrapać lakieru na cudzym samochodzie – przerwał mu Barskey, kończąc myśl komendanta własną, niekoniecznie z nią związaną.

Szef policji dokończył zdanie własnymi słowami. Zagięły one jednak w pomroce dziejów, ponieważ Barskey wyciął resztę tej rozmowy z nagrania. W ocenie libertarian film dokumentuje wybitny sukces w walce o obronę wolności. Albo przynajmniej stanowi świetny przykład tego, jak Barskey'emu udało się wyprowadzić komendanta Kenyona z równowagi.

Tego typu scenki rozgrywały się w Grafton bezustannie. Nieskończenie zmienne szczegóły odtwarzały tę samą męczącą dynamikę. Za każdym razem, kiedy wolnomiasteczkowiec został zatrzymany na poboczu za wykroczenie drogowe, przychodził do urzędu, stawał przed sądem albo dostawał oficjalny list, wykorzystywał okazję do żywotnej obrony swoich swobód, zazwyczaj tym samym wysysając soki z publicznych zasobów.

Różnica zdań w sprawie ogniska doszła do punktu zwrotnego po przyjeździe Babiara. Gdy strażak libertarianin parkował wóz, częściowo zastawiając drogę numer cztery, Barskey i jego ekipa się ożywili. Barskey dopiero co poznał Babiara na kolacji składkowej tydzień wcześniej. A teraz przyszły gubernator mógł wreszcie potępić to, co zdaniem Barskey'ego stanowiło rażącą interwencję państwa.

Babiarz przeciągnął jeden koniec węża strażackiego w poblize piekących się parówek. Koło Barskey'ego przeszedł, nie patrząc mu w oczy.

– Cześć, John – powiedział Barskey. – Nie chcesz mi powiedzieć „cześć”?

W tle jeden z przyjaciół Barskey'ego, libertarianin Russell Kanning, zauważył:

– Wiesz co, Mike, ja nawet nie wiem, czy ty powinieneś z tym facetem rozmawiać.

Gdy Kanning wypowiadał te słowa, Babiarz na chwilę przestał się szykować i pytająco spojrział na Barskey'ego, chcąc wy badać, czy jego

kompani mówią tak żartem czy serio. Po czym nieco niezgrabnie zapowiedział, że zamierza zgasić ognisko.

– Dziś jest ryzyko pożarowe klasy drugiej. Trochę tu sucho – uprzedził ich. Gestem wskazał stojącą na działce szopę. – Prawo mówi, że ognisko ma się palić przynajmniej piętnaście metrów od budynku.

– To nie jest ognisko – odparował Kanning.

– A co to jest? – spytał Babiarez.

– Palę odpady – odrzekł Kanning, piekąc akurat parówkę nad żarem.

Babiarez pozostawił zwiotczącego węża strażackiego na ziemi i odszedł w stronę wozu. Kanning i Barskey wyrazili zaskoczenie tym, że Babiarez najwyraźniej nie broni ich swobód.

– A więc Babiarez nie dał nam po prostu pozwolenia. Hm – zastanowił się Barskey.

Strażak wrócił z odpowiednią prądownicą do założenia na końcówkę węża. Komendant Kenyon pomógł utrzymać będący już pod ciśnieniem wąż i wkrótce we dwóch topili płomienie i węgle mieszanką wody i piany gaśniczej. Ekipa libertarian patrzyła.

– Gdyby się ktoś zastanawiał – skomentował Kanning, choć prawie na pewno nikt się nie zastanawiał – to jest niechciana ingerencja w nasze życie.

\*\*\*

Wiadomości o ugaszeniu ogniska rozeszły się, gdy wstawiono ten film do internetu. Na libertariańskim forum dyskusyjnym John Connell stworzył nowy wątek o inspektorze przeciwpożarowym z Enfield, który rozpoczął cały łańcuch działań służb. Inspektorowi, pisał Connell, „władza po prostu uderzyła do głowy i desperacko chciał w całą sytuację wprowadzić... BRONÍ!”.

Jednak większość nie skupiała się na inspektorze, tylko na Babiarczy. Libertariańsko nastawiona strona internetowa „New Hampshire Free Press” puściła artykuł (napisany przez żonę Kanninga), w którym stwierdzono, iż Babiarczy „pokazał, że libertarianin wybrany na jakieś stanowisko w mgnieniu oka zacznie zachowywać się jak każdy inny biurokrata po to, by utrzymać się w pozycji władzy”.

Po tym poście na Babiarczy, który akurat prowadził swoją trzecią kampanię przed wyborami gubernatorskimi, wylała się fala krytyki. Libertarianie, jego niegdysiejsi zwolennicy, nie pozostawili na nim suchej nitki, nazywając go małostkowym, skorumpowanym oprawcą, autorytarnym, apodyktycznym łobuzem i fetyszystą zezwoleń. (Libertarianie szczególną niechęcią darzą papiery mające władzę nad ich czynami).

Kiedy ktoś stwierdził, że Babiarczy jest Barskey’emu winien pieniądze za zanieczyszczenie ziemi chemikaliami, Barskey wspaniałomyślnie odmówił rekompensaty finansowej. Zażyczył sobie natomiast, żeby publiczne przeprosiny Babiarczy spełniły cztery wymogi, w tym zapewnienie, że strażak w przyszłości nie ugasi żadnego ognia w podobnych okolicznościach. Gdyby Babiarczy spełnił wszystkie cztery kryteria oraz wydawał się szczery, Barskey miał dopuścić możliwość, że „raczej” będzie się do niego znowu odzywał i da mu szansę odzyskania zaufania.

Babiarczy jednak nie miał zamiaru przeproszać. Jego zdaniem cały incydent przekroczył granicę pomiędzy zdrowym duchem walki o wolność a czymś znacznie groźniejszym.

– Dla nich to był żart – mówi kilka lat później, wspominając to zdarzenie. Babiarczy lubi się pośmiać, a nawet powygłupiać. Ale o ogniu zawsze mówi posępnie. – Nie. Sytuacja była poważna, zagrożenie wysokie. Palili ogień za blisko budynku.

Choć Babiarz publicznie pozostał lojalnym sojusznikiem, konflikt z Barskeym postawił go w szczególnym położeniu. Jego sąsiedzi nielibertarianie z Grafton przez lata piętnowali go za udział w zainicjowaniu Free Town Project. Przyzwyczaił się więc do krytyki z lewa. Teraz z kolei libertarianie zaczęli o nim mówić tak samo, jak zwykli wyrażać się o najgorszych lewicowych wrogach.

„Słowo takiego małostkowego etatysty jak on jest warte... Tak naprawdę ile?” – pisał na wolnościowych forach Joseph Brown, szczególnie kłótlivy wolnomiasteczkowiec.

Babiarz starał się nie brać tych nastrojów na poważnie.

– Jeśli myślisz, że ja jestem etatystą – mówił – to nie wiesz nic o gościu, który przyjdzie po mnie.

Incydent z ogniskiem i wydarzenia po nim prawdopodobnie odbiły się na jego wyniku w kolejnych wyborach na gubernatora. Babiarz miał nadzieję, że dojdzie do 4 procent, wymaganych do zagwarantowania partii listy wyborczej w kolejnych głosowaniach. Gdy poprzednio startował w 2002 roku, był już blisko, bo dostał 2,9 procent głosów, czyli 13 tysięcy. Po zgaszeniu ogniska libertarian jego poparcie spadło do 10 tysięcy głosów (2,2 procent).

Choć nie zmienił swojego zasadniczego światopoglądu, Babiarz czuł, że pomiędzy nim a pewną grupą wolnomiasteczkowców rośnie przepaść. Czy sprawa wolności sprowadzała się do zażartych debat o ognisku? Dziś opowiada mi o „miotaczach ognia” działających w ramach ruchu – ideologicznych potomkach Larry’ego Pendarvisa. Ich niszczycielskie orędownictwo podkopywało tak naprawdę powagę celów, które chcieli realizować i którym rzekomo byli wierni.

Babiarz postrzegał siebie inaczej. Coraz częściej opisywał swoje cele polityczne w kategoriach obrony, a nie ataku. Chciał zapobiec osunięciu się

Stanów Zjednoczonych w autorytaryzm podobny do nazistowskiego, jednocześnie utrzymując stanowisko w kwestii podatków i interwencji rządu.

Zbyt wielu członków Free Town Project, których Babiarcz wraz z żoną zaprosili do Grafton, zdawało się raczej tworzyć problemy, niż je rozwiązywać. Babiarczowie jednak mogli tylko stać z boku i bezsilnie patrzeć, jak różnice się pogłębiają.

– Nie rozumieją odpowiedzialności towarzyszącej libertarianizmowi – mówi Rosalie Babiarcz. – Nie chcą, by ktoś im coś narzucał, ale swoje pomysły chcą narzucać innym.

Wielu libertarian uważało, że zasadniczym powodem „skorumpowania” Babiarza było finansowanie straży pożarnej z podatków, czyli ich zdaniem z krwawych pieniędzy. Na wolnościowych forach rozgorzała debata o tym, w jaki sposób Grafton mogłoby sprywatyzować ochronę przeciwpożarową. Niektórzy stwierdzili, że niedobrowolną składkę z podatków na utrzymanie obecnej straży w wysokości siedmiu dolarów miesięcznie mogłaby zastąpić dobrowolna składka w wysokości siedmiu dolarów miesięcznie. Temu sprzeciwiono się ze względu na to, że ktoś może nie chcieć dobrowolnie zapłacić składki – i co by wtedy było?

Przywiązany do logiki dyskutantom trudno było poruszać się po grząskim gruncie mówienia o półobowiązkowej składce i nie używać słowa „podatek”. Dlatego z przyjemnością urwali debatę, gdy ktoś zaproponował, że darowizny można wysyłać do rzekomej prywatnej straży Boba Hulla wyposażonej w wóz do walki z pożarami lasu.

Connell, który przyjaźnił się z Babiarczem, odmówił przyłączenia się do słownej chłosty. Stwierdził natomiast, że wybór pomiędzy finansowaną z podatków strażą pożarną a prywatną remizą niepotrzebnie zamyka się w dwóch możliwościach.

„Może trzecią opcją jest własnoręczne ugaszenie ognia?” – pisał.

Głośny konflikt Barskey’ego i Babiara zapoczątkował nową tendencję wśród wolnomiasteczkowców. Kilka miesięcy po incydencie z ogniskiem, gdy Babiara przebywał na działce Boba Hulla, Barskey przyjechał kłócić się o własność form do betonu zabranych z terenu Gardzieli Grafton. (Okazało się zresztą, że formy zostały już wcześniej zwrócone). Muskularny strażak Jay Boucher kazał mu odejść i przeszedł do rękoczynów. Kilukrotnie mocno pchnął Barskey’ego, chcąc wyrzucić go z działki. Barskey oczywiście miał pod ręką urządzenia nagrywające, więc opublikował w internecie filmik z zajścia. Po każdej ze stron sprzeczki wyłonił się obóz sojuszników szukających winnych. Wolnomiasteczkowiec Joe Brown (ten forumowicz, który pomówił Babiara o etatyzm) zarzucał i Barskey’emu, i Boucherowi, że niepotrzebnie dopuścili do eskalacji konfliktu, zanim poznali wszystkie fakty.

– Dowiedzcie się wszystkiego, zanim pójdziecie się konfrontować – mówił.

Wolnomiasteczkowcy zaczęli jednak rozumieć, że z sytuacjami, z którymi tak łatwo uporać się w teorii, na forum dyskusyjnym, znacznie trudniej jest poradzić sobie osobiście. Wybuchły sprzeczki. Za każdym razem, kiedy w ramach tej społeczności dochodziło do konfliktu, ludzie dzielili się na dwa obozy, a czynom nielubianej połówki przypisywali etatyzm. Kiedy pewnego młodego człowieka pomieszkującego w domu wolnomiasteczkowca przyłapano w podejrzanych okolicznościach z uczennicą podstawówki, wypędzono go, czemu towarzyszyło sugestywne wymachiwanie kijem bejsbolowym. Oberwało się nawet Johnowi Connellowi, którego ktoś oskarżył o zachowanie na tyle niestosowne, że powtórzenie oskarżenia w druku równałoby się zniesławieniu. Doroczne statystyki interwencji policji prowadzone przez komendanta Kenyona



wykazują, że do 2010 roku liczba konfliktów cywilnych, do których wyjechał, wzrosła więcej niż dwukrotnie, a liczba konfliktów sąsiedzkich – niemal czterokrotnie w porównaniu z okresem sprzed Free Town Project.

Pod koniec 2010 roku Barskey ukończył budowę Gardzieli Grafton i otworzył jej podwoje. Miał to być moment przełomowy dla ruchu libertarian w miasteczku. Minąwszy stary kontener transportowy stojący przy podjeździe, odwiedzający mogli zaparkować w pobliżu dużej przyczepy kempingowej i wejść do betonowego budynku wykończonego drewnem. Wewnątrz Barskey, który mieszkał na tym terenie, podawał śniadaniowe burrito, burgery i lody, wszystko doprawione słodkim smakiem swobody. Wolnościowe przedsiębiorstwo nie utrzymało się jednak zbyt długo. Po kilku miesiącach zawitała do niego urzędniczka Departamentu Zdrowia i Pomocy Społecznej zajmująca się bezpieczeństwem żywności. Oznajmiła Barskey’emu, że musi spełnić te same wymogi formalne i sanitarne co inne lokale gastronomiczne. Wiosną 2011 roku, niecałe dwanaście miesięcy po otwarciu Gardzieli, Barskey ogłosił, że zamyka ją na stałe. Decyzja oznaczała, że z dużych projektów społecznościowych libertarianom pozostał tylko Kościół Pokojowych Zgromadzeń Johna Connella. Nie była to co prawda placówka handlowa, ale prowadziła dość udany program kulturalny, obejmujący niedzielne nabożeństwo, na które uczęszczało od jednej do ośmiu osób tygodniowo.

Kilku libertarian zaczęło się zastanawiać, czy w ostatecznym rozrachunku Free Town Project rzeczywiście był wart zachodu.

„Dla niektórych już jest za późno” – napisał jeden rozgoryczony libertarianin. „Ale jeśli jeszcze ktoś myśli o przeprowadzce do Grafton, bo też się ludzi, że to jakaś libertariańska utopia, niech się rozeźnia w rzeczywistości”.

Dla pokaźnej liczby wolnomiasteczkowców, którzy nie ustali w wierze, wewnętrzne sprzeczki nie były jednak głównym problemem. Utrzymywali, że wciąż tkwi on w zbyt wysokich podatkach, zbyt surowych przepisach, zbyt przytłaczającym etatyzmie i zbyt szerokim zasięgu władzy. Choć w codziennym życiu napotykali coraz więcej trudności, w głębi duszy byli idealistami i romantykami.

Jeszcze będzie lepiej – upierali się. Potrzeba tylko więcej wolności.

.....

[18] Karol Dickens, *Barnaba Rudge. Opowieść o rozruchach z roku 1780*, przeł. Tadeusz J. Dehnel, t. 1, Czytelnik, Warszawa 1956, s. 264.

## Przybór pączków

*Jedna łyżka miodu zaciekawi niedźwiedzia bardziej niż pół tuzina baryłek najlepszego octu. Misie tańczą, gdy pszczoły nie czują. Ale porzućmy to. Możemy [do tego powrócić] innym razem.*

— James Joyce, *Ulisses*, 1922[19]

Pani od Pączków pierwszy raz zobaczyła niedźwiedzia za domem, jeszcze kiedy żyła Królowna. Pewnego ranka gospodyni ciągnęła sanki wypełnione ziarnem, sianem i wodą dla krów, gdy spostrzegła baribala idącego w jej stronę leśnym duktem przebiegającym przez jej ziemię.

Mimo że podczas spotkania łomotało jej serce, Pani od Pączków spostrzegła też, że niedźwiedź jest chudy. Niemal zmizerniały. Nic dziwnego, że tak się ośmielił – biedaczysko rozpaczliwie szukało czegoś do jedzenia.

Niedługo potem, gdy po pojechaniu do miasteczka na pizzę Pani od Pączków skręciła na swój podjazd, reflektory jej samochodu oświetliły niedźwiedzicę z trójką potomstwa siedzącą na kamieniu. One też wyglądały na wygłodniałe.

– Poczulałam, że czegoś potrzebują, wie pan?

Kiedy baribale zaczęły plądrować jej karmniki dla ptaków, Pani od Pączków przede wszystkim miała nadzieję, że matka nabierze trochę tuszy przed nadchodzącą zimą. Wkrótce gospodyni zaczęła wysypywać ziarna

słonecznika prosto na ziemię. Gdy nadchodził niedźwiedź, Pani od Pączków siadała na ganku na piętrze domu i przyglądała się mu spomiędzy doniczek z kwiatami.

Do jedzenia ziaren baribal kładł się na brzuchu. Miękkim, różowym językiem zlizywał je delikatnie z ziemi, jak gdyby jedno po drugim.

Codziennie, gdy szła karmić krowy, Pani od Pączków zabierała za sobą osobne wiaderko dla niedźwiedzia. Ziarna słonecznika zrobiły się za drogie – niedźwiedzie w końcu jedzą więcej niż ptaki – więc zaczęła je karmić zbożem.

Z czasem Pani od Pączków poczuła się bliższa niedźwiedziowi na swoim podwórku. Było to zresztą zrozumiałe, bo rzeczywiście była mu bliższa. Zaczął przewidywać jej regularne dostawy. Wysypywała zawartość wiaderka pod drzewem i widziała, jak niedźwiedzica patrzy i czeka na skraju lasu.

Przez lata sprawy szły w różnych kierunkach: liczba niedźwiedzi – w górę, zahamowania kobiety i baribali – w dół, a koszt żywności przeszedł wszelkie oczekiwania.

Nie jest zupełnie jasne, w jaki sposób wieść o hojności Pani od Pączków rozeszła się wśród baribali. Jednak wkrótce stało się oczywiste, że jej pomocy potrzebuje całkiem pokaźna liczba leśnych niedźwiedzi. Gospodyni zaczęła wysypywać po dwa wiaderka ziarna dziennie, a potem cztery, rozłożone na jedno karmienie o wschodzie słońca i drugie późnym popołudniem. Nie chce powiedzieć, ile ją to kosztowało.

– Wstydzę się – tłumaczy. – Naprawdę.

Przyznaje tylko tyle, że wydatek stanowił znaczącą część jej comiesięcznego budżetu. Od ludzi słyszałem, że żeby odbierać ziarno, podjeżdżała pick-upem do rampy załadunkowej.

Zamiast czaić się na skraju lasu, niedźwiedzie czekały bliżej i bliżej prowizorycznych karmników Pani od Pączków, patrząc, jak kobieta kołysze się pod ciężarem dwóch wiader pełnych ziarna. Ostrożnie opróżniała po jednym kubelku pod każdym z dwóch drzew. Sterty o średnicy kierownicy samochodowej wykańczała tuzinem pączków posypanych cukrem pudrem, takich najtańszych z Market Basket.

Nie dało się tego uniknąć – niedźwiedzie w końcu zaczęły oczekiwać na jej przyjście tuż pod drzewami, przepychając się, by zająć najlepsze miejsca, jak domowe koty podniecone tym, że opiekun zaraz postawi na podłodze pełną miskę.

Wtedy zaczęła im wydawać polecenia. Strofowała je tak samo, jak odgania się psa od kawałka kotleta upuszczonego na kuchenną posadzkę.

– Idź mi stąd! – mówiła Pani od Pączków, nie podsypując ziarna, póki niedźwiedzie nie dały jej wystarczająco miejsca, by poczuła się bezpiecznie.

– Idź stąd, idź!

Z czasem zmieniała się definicja tego, co „wystarczające”. Niedźwiedzie dawały się przepłoszyć jedynie na kilka metrów od miejsca karmienia. Jak krągłe i dzikie leśne bóstwa żądające daniny przysiadły na kępkach trawy pogniecionej tysiącami kroków drepcących łap.

W zamian za niekończący się strumień ziarna Pani od Pączków dostawała niekończący się strumień rozrywki. Codziennie miała widok z bliska na grupkę niedźwiedzi stojących grzbiet w grzbiet, jedzących, posapujących i parsających. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć? A za niedźwiedziami przyszyły inne zwierzęta: jak bezszelestne leśne duchy spomiędzy drzew wynurzyły się kojoty i lisy, by również skorzystać z gościny.

Najlepsze były młode. Kiedy niedźwiedzica posyłała je na drzewo, podczas wspinania się po korze ich pazurki wydawały przyjemny, chrobocący dźwięk. Na jednym z drzew Pani od Pączków miała zamontowany talerz anteny satelitarnej. Czasami niedźwiedziątka przesuwały się w górę po śliskiej, plastikowej powierzchni tylko po to, by komicznie zjechać na krawędź talerza.

Baribale, które regularnie zabijały żywy inwentarz na wielu innych graftedńskich podwórkach, nigdy nie położyły pazura na Margerytce, Królownie ani na Montym, kiedy już się zjawił.

– Wszyscy się dogadywali – komentuje Pani od Pączków.

Tak, musiała zacząć zamykać koty w domu, bo kilka zniknęło w lesie. Ale nie skojarzyła tego z niedźwiedziami.

Raz do roku wspomnienie po epoce lodowcowej przetacza się po północnym wschodzie w postaci nowoangielskiej zimy. Coraz grubsza warstwa śniegu i brak pożywienia u większości niedźwiedzi wywołuje hibernację, tę magiczną sztuczkę oszczędzania energii. Ale w Grafton żaden sen zimowy nie skusiłby bardziej niż cukier i tłuszcz na wystawianych dwa razy dziennie bufetach u Pani od Pączków.

Była wytrwała. Karmiła niedźwiedzie przy dobrej i złej pogodzie. Czasem śnieg topniał, gęstniał i zamarzał, zamieniając łąkę za domem Pani od Pączków w niebezpieczną, śliską taflę lodu.

Pytam, czy się nie bała, że poślizgnie się i upadnie na plecy, otoczona przez górujące nad nią niedźwiedzie.

Tonem sugerującym, że zadałem niemądre pytanie, Pani od Pączków odpowiada, że tym się nie martwiła. Nie dlatego, że tak mocno stała na nogach, ale dlatego, że to się po prostu zdarzało.

– Przewracałam się cały czas – mówi.

Nawet kiedy upadała, baribale zadowalały się cierpliwym czekaniem, aż podniesie się i wysypie im ziarno. Ich więzi się zacieśniały. Mąż Pani od Pączków zaczął robić niedźwiedzim zdjęcia, które dalsi krewni oglądali podczas odwiedzin w ich gospodarstwie. Z czasem ludzie spoza rodziny usłyszeli o związku zaufania pomiędzy Panią od Pączków a jej niedźwiedziami. Brzmiało to jak historia z baśni.

W tamtym czasie u szczytu opadającej w dół łąki pod jej domem zaczęli gromadzić się sąsiedzi albo goście sąsiadów – pojedynczo bądź w grupkach po dwoje lub kilkoro – i przyglądać się niedźwiedzim z odległości, która zdawała się bezpieczna (ale taka nie była).

Sama Pani od Pączków nie należała do Free Town Project. Przyjaźniła się natomiast z niektórymi libertarianami, na przykład z Bobem Hullem, a jej obyczaj karmienia niedźwiedzi jak najbardziej zgadzał się z ich doktryną.

Zdaniem libertarian do Pani od Pączków jako właścicielki ziemskiej należą wszystkie zasoby naturalne na jej posesji: złoża ropy, drzewa, ale też przemieszczające się dzikie zwierzęta, takie jak niedźwiedzie lub gatunki zagrożone. Powiedziano mi, że w Grafton od czterech do pięciu rodzin świadomie karmi niedźwiedzie, a społeczność libertarian uważa to za ich niezbywalne prawo.

Kiedy w 2009 roku władze Alaski ukarały niejakiego Charliego Vandergawa grzywną w wysokości 20 tysięcy dolarów za nielegalne karmienie dzikich zwierząt, wolnomiasteczkowcy z Grafton uznali to za kolejny przykład przestępstwa bez ofiar, jednego z tych, na które uwzięły się „ogarnięte obsesją kontroli rządowe pasożyty”.

„Ten urząd nie służy ochronie zwierząt, tylko prześladowaniu ludzi, którzy kochają zwierzęta” – pisał jeden z libertarian. „Mam nadzieję, że

nigdy się nie dowiedzą, że na swoim podwórku karmię dzikie indyki, szare lisy, jelenie i niedźwiedzie”.

\*\*\*

Większość Amerykanów, w tym wielu mieszkańców Grafton, lubi niedźwiedzie.

Na niedźwiedzie nałożono każdy ludzki archetyp, który nieświadomości zbiorowej udało się usadzić na ich szerokich, włochatych grzbietach. Jedna opowieść opisze je jako przygłupie i pękate ofermy, a inna jako bezwzględnych, nieujarzmionych pożeraczy. Chyba jedynym punktem wspólnym jest to, że we wszystkich historiach niedźwiedzie symbolizują wciąż istniejącą poza granicami ludzkiej cywilizacji pierwotność.

Tymczasem przekonanie, że w niezagospodarowanych zakątkach Ameryki można odnaleźć nieskalaną niczym dzikość – wierne odbicie pradawnych czasów – jest po prostu mitem. Pojedynczego motyla można zakonserwować po przyszpileniu jego ciała do tablicy korkowej. Ale jak zauważają przyrodnicy tacy jak Bernd Heinrich, nie da się zamknąć pod kloszem czegoś tak złożonego i dynamicznego jak ekosystem.

Las wkradający się do Grafton tylko pozornie przypomina puszcę wyrąbywaną jeszcze przez europejskich osadników. Przed ich przybyciem Abenakowie strzelali z łuku do niedźwiedzi, łowili pstrągi srebrne w potokach przyszłego New Hampshire i mierzyli się z wilkami, jak oni tropiącymi na jelenich szlakach potężne, pięćsetkilowe wapiti. Ze ściółki podrywali preriokury dwuczube, a niebo nad nimi dosłownie czerniło się od ogromnych stad gołębi wędrownych.

Dzisiaj w New Hampshire nie ma pstrągów srebrnych, wilków, wapiti, preriokurów ani gołębi wędrownych, a i sam las utracił wiele gatunków drzew. Dąb wielkoowocowy i kasztan amerykański, będące niegdyś



istotnymi źródłami pokarmu niedźwiedzi, praktycznie wymarły od przywiezionych przez osadników chorób drzew, podobnie zresztą jak brzoza bagienna czy klon czarny. Wśród drzew atakowanych przez inwazyjne gatunki owadów można wymienić sosnę wejmutkę (rdza wejmutkowo-porzeczkowa), choinę (ochojnik wełnisty choiny), jesion (opiętek jesionowiec) i jodłę balsamiczną (ochojnik wełnisty jodły balsamicznej). W sumie w hrabstwie Grafton udokumentowano występowanie 268 gatunków inwazyjnych spośród 525 obecnych w całym stanie.

Zamiast więc pozwolić ekosystemowi utrzymującemu graftednie niedźwiedzie ewoluować na swoim miejscu przez kolejne eony, w ciągu ostatnich kilkuset lat bezładnie dorzucano do niego kolejne składniki.

Jeśli cofniemy się jeszcze dalej w czasie, dostrzeżemy, że jako najniebezpieczniejszy z gatunków inwazyjnych wsławili się rdzenni mieszkańcy Ameryki. Opowiada o tym Yuval Noah Harari w swojej książce *Sapiens*. Na długo zanim wynaleźli koło, pierwsi północnoamerykańscy intruzi przez dwa tysiąclecia prowadzili akcję niszczenia środowiska, wskutek której zginął każdy duży, mięsisty przedstawiciel megafauny na tym kontynencie. Lista wymarłych obejmuje amerykańskiego mastodonta i mamuta włochatego, ogromnego bizona pierwotnego, *Aiolornis incredibilis* (ważącego ponad dwadzieścia kilogramów ptaka drapieżnego o pięciometrowej rozpiętości skrzydeł), piźmowołu leśnego i wielkiego wielbłąda amerykańskiego. (Skamieniały szkielet takiego camelopsa znalazł na placu budowy supermarketu Walmart w Arizonie brygadzysta John Babiaryz, niespokrewniony z moim bohaterem). Prehistoryczni ludzie wytrzebili też północnoamerykańskie dwutonowe pancerniki, sześciometrowe leniwce, prawie trzystukilogramowe tygrysy szablozębne, wilki straszne oraz gryznie wielkości niedźwiedzi.

O niedźwiedziach wielkości niedźwiedzi nie zapominając. Badania genetyczne wskazują, że niedźwiedzie pojawiły się w Ameryce Północnej od około trzech do trzech i pół miliona lat temu i wyewoluowały w kilka odrębnych gatunków zajmujących różne nisze ekologiczne. Gdy ludzie myśliwi wbili swoje włócznie w kontynent, większość niedźwiedzi miała nie więcej szczęścia niż inne duże ssaki. W ciągu ostatnich 11 tysięcy lat *homo sapiens* wybił największe w dziejach niedźwiedzie krótkopyskie, rosłe na ponad trzy i pół metra i ważące ponad tonę. Doprowadziliśmy też do wymarcia kalifornijskiego niedźwiedzia grizli, żywiącego się między innymi ciałami wyrzuconych na brzeg waleni, trzystukilogramowego meksykańskiego grizli (który dotrwał do lat 60. XX wieku) oraz florydzkiego niedźwiedzia okularowego. Jednak podczas gdy niedźwiedziom mięsożernym i o innych specjalistycznych dietach nie udało się przetrwać takich katastrof jak epoka lodowcowa czy nadejście ludzi, niedźwiedzie czarne przeżyły ze względu na umiejętności rozwiązywania problemów, współpracy oraz adaptacji do prawie każdego rodzaju pokarmu.

Ta sama zdolność do adaptacji stała za odróżnieniem się dzisiejszych baribali z Grafton od niedźwiedzi czarnych wędrujących po lasach setki lat temu. Laboratoryjna modyfikacja genetyczna zwierząt odstręcza ludzi jako sztuczna i niewłaściwa. Jednak znacznie mniej kontrolowany eksperyment genetyczny zachodzi właśnie w laboratorium wielkości kontynentu. Jest to niezamierzony dobór naturalny niedźwiedzi próbujących przeżyć w towarzystwie współczesnego człowieka.

Baribale z New Hampshire tak różnią się od swoich pranieźwiadków sprzed zaledwie pięciuset lat, że można by je pomylić z innym gatunkiem. Są ucywilizowane – na dobre i na złe. Cywilizacja to potężna siła. Zmieniła zawziętych zbieraczy i łowców z paleolitu w ślamazarnych technokratów, których najczęściej retweetowanym postem w dziejach anglojęzycznego

Twittera może stać się błaganie o kurczaka w panierce: „HELP ME PLEASE. A MAN NEEDS HIS NUGGS”<sup>[20]</sup>.

Dzisiejsze niedźwiedzie czarne, niegdyś łagodni, a przy tym niekwestionowani królowie puszczy, również zostały potraktowane przez ludzki świat na opak. W przeciwieństwie do swoich przodków, zwierząt dziennych, współczesne baribale żerują w nocy – nie na pędrakach i dzikich jagodach, ale na swojej wersji nuggetsów, czyli kuchennych resztkach albo polach kukurydzy, najczęściej gorzej strzeżonych w nocy. Dostęp do tych kąsków wyjaśnia też, dlaczego dziesięć najcięższych zanotowanych w New Hampshire niedźwiedzi dostrzeżono (albo zastrzelono) od 1997 roku wzwyż. (Ważyły między 223 a 250 kilogramów). Badanie przeprowadzone w 2019 roku wykazało, że niektóre niedźwiedzie czarne z dostępem do bogatej w cukier ludzkiej żywności (na przykład pączków) pomijają sen zimowy; zaobserwowano też u nich szybsze starzenie się komórek.

Ponieważ obszary występowania niedźwiedzi zakreśla obecnie siatka dróg i ludzkich źródeł pokarmu, baribale często żyją wyspowo, w odizolowanych populacjach, co może mieć drastyczne konsekwencje dla ich puli genów. U części niedźwiedzi czarnych z New Hampshire zdiagnozowano niedawno gangliozydozę, chorobę genetyczną wpływającą na rozwój mózgu; u ludzi jej objawy obejmują dystonię i demencję. Zdaniem naukowców liczba baribali z Nowej Anglii cierpiących na tę chorobę wskazuje na to, że zachodzi wśród nich „efekt założyciela”. Gdy populacja zwierząt żyje w genetycznej izolacji od innych grup, grozi jej brak różnorodności genetycznej.

Podejście do życia współczesnego baribala również jest odmienne. Jego przodek mógł spędzić cały dzień, rozkoszując się żerowaniem, pewien tego, że nie ma naturalnych wrogów. Dzisiejszy osobnik bezustannie wypatruje

ludzi i tresowanych psów, których stado odbiera mu kalorie i czas, goniąc za nim nawet godzinami.

Wskutek tego niedźwiedź miota się pomiędzy wyjątkowymi zagrożeniami a wyjątkowymi kalorycznymi korzyściami niesionymi przez człowieka. Jest gorzej wyspany, bardziej nerwowy, bardziej zdesperowany i bardziej rozedrgany niż baribal, którego stworzyła niezakłócona przez człowieka przyroda.

Współcześni ludzie i ekolodzy z dobrymi intencjami rozprawiają o przywracaniu najwspanialszego ambasadora lasu na jego prawowity liściasty tron. Natomiast w rzeczywistości postępują podobnie jak doktor Victor Frankenstein: zszywają ze sobą skrawki życia, które mają pod ręką, w nadziei, że nowa istota posłuży potrzebom ludzkości, a nie obróci się przeciwko stwórcy.

Gdy usłyszałem o przeżyciach Pani od Pączków, trochę jej pozazdrościłem. Zawsze kochałem zwierzęta, więc z łatwością wyobraziłem sobie czystą radość na widok niedźwiedziątek baraszkujących pod okiem wygrzewającej się w słońcu matki.

W końcu jednak miałem się przekonać, że historia Pani od Pączków mniej przypomina animowaną baśń Disneya, a bardziej film *Dziwna para*. To opowieść o starszej kobiecie, która bezmyślnie zostawia swoje niedźwiedzie na trawniku i ganku innej starszej kobiety.

---

[19] James Joyce, *Ulisses*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013, s. 604. Przekład zmodyfikowany.

[20] W kwietniu 2017 roku licealista z Nevady zapytał na Twitterze sieć barów szybkiej obsługi Wendy's, ile razy inni użytkownicy musieliby podać dalej jego tweet, by otrzymał od firmy rok darmowych nuggetsów. Do wtorku 9 maja 2017 roku tweet Cartera

Wilkersona o nuggetsach („POMÓŻCIE PROSZĘ. GOŚĆ POTRZEBUJE NUGGSIKÓW”) podało dalej 3,43 miliona ludzi. Tym samym znalazł się na pierwszym miejscu rankingu, pokonując selfie z supergwiazdami zrobione przez konferansjerkę Oscarów w 2014 roku Ellen DeGeneres. W 2021 roku wiadomość Wilkersona pozostaje trzecim najpopularniejszym postem w historii Twittera.

## Surwiwalowcy się śpią

*Po jednej i po drugiej ręce starczył krok do ponurej, nieprzebytej dziczy, której splątany labirynt żywych, zwalonych i butwiejących drzew tylko jeleni i łos, niedźwiedź i wilk mogą łatwo zgłębić.*

— Henry David Thoreau, *The Maine Woods* [Lasy Maine], 1864

Adam Franz prowadzi mnie między drzewami do obozu surwiwalowców. Kiedyś o nim marzyłem, dziś go urzeczywistniłem. Nad nami, wzdłuż biegnącej wyżej polnej drogi, pełnią wartę strachy na wróble. Stoją w nierównym rzędzie, z przedstawiającymi Guya Fawkesa maskami anarchistów przyczepionymi do głów i pustymi puszkami po piwie przytwierdzonymi do rąk. Odstraszają porządek i trzeźwość.

Adam mówi, że surwiwalowcy osiągnęli masę krytyczną dopiero po kilku falstartach z różnymi paczkami znajomych. Wreszcie do jego przyczepy, na stałe zaparkowanej w lesie, dołączyło kilka namiotów. A potem jeszcze kilka. Czasem zachodził do nich jakiś wolnomiasteczkowiec i prosił o miejsce do mieszkania. Adam zawsze się zgadzał.

– To – mówi – jest Namiotowo.

Dłonią wskazuje skupisko namiotów, leżaków, grillów, plastikowych kontenerów, rozpostartych brezentów i różnorodnych kempingowych

rupieci porozrzucanych po względnie płaskiej pościeli ziemi przykrytej liśćmi.

– W zależności od tego, ilu jest ludzi, czasem mamy więcej namiotów. W weekendy bywa szaleństwo.

Z mojego doświadczenia wynika, że idąc do Tent City, odchodzi się od cywilizacji. Wspólne założenia, które podbudowują społeczeństwo – oglądalność programów telewizyjnych, indeks Dow Jones, sondaże przed wyborami prezydenckimi i tak, nawet podatki – znikają gdzieś, zastąpione namacalnymi przedmiotami znajdującymi się w zasięgu wzroku. Tu żeliwny garnek do gotowania; tam poskręcany korzeń do przestąpienia; w powietrzu choreografia słonecznego światła do nadawania nieciekawym stertom liści hipnotyzujących właściwości, gdy cała ściółka faluje jak sadzawka po każdym podmuchu wiatru w koronach drzew.

Tu jestem nie w społeczeństwie, ale w świecie. Jakaś część mnie pozostaje świadoma, że najbliższy Subway z kanapkami jest o dwadzieścia kilometrów stąd. Ale gdy stoję w lesie z Adamem, survival zdaje mi się znacznie mniejszą szajbą niż po przebudzeniu się tego ranka. Tutaj niedorzecznością nagle staje się fakt, że ludzie tracą tydzień pracy na robienie rzeczy, których nie znoszą, w zamian za białe kwitki symbolizujące zielone kwitki, które z kolei kiedyś symbolizowały żółty metal, ale teraz przedstawiają sobą jedynie zbiorowe urojenie wartości. Tutaj łatwo dać się uwieść apokaliptycznemu, survivalowemu przekonaniu, że postęp cywilizacyjny nie przejedzie nieuchronnie jak walec po przyrodzie, ale to przyroda przesądzi się z powrotem do naszego życia, przeżyje nasze kruche konstrukty, w końcu pokrywając świat dywanem z mchu i zarośli.

Grafton już przeszło półmetek tego procesu, a im dłużej Adam mieszka w Tent City, tym bardziej jego strategia reagowania na świat po upadku

przypomina zachowania baribali w lesie. W Tent City nie ma ogródka, bo ogródek – jak każda spizarnia – musiały być chroniony. Adam mówi, że nie zależy mu na odtworzeniu rewolucji agrarnej. On chce paleolitu z prawdziwego zdarzenia.

– Po co się wysilać, skoro można coś po prostu zerwać z drzewa? Z tyłu tej działki jest sporo ziemi. Tam rośnie mnóstwo jagód, malin i jeżyn. Chyba nawet mamy truskawki, nie mówiąc już o grzybach i innych jadalnych roślinach, buczynie i tak dalej.

Sztuka życia prymitywnego nie przychodzi Adamowi i jego towarzyszom łatwo. Na razie udało im się jedynie dojść do pewnej półdzikości, bo wciąż napotykają trudności natury logistycznej. Logistycznie trudne byłoby dla Adama na przykład zrezygnowanie z samochodu.

– Dalej żyjemy w świecie rzeczywistym. Dalej muszę mieć paliwo, żeby dojechać, gdzie chcę, wiadomo – mówi Adam.

Większość mieszkańców Tent City ma jakąś pracę, by móc zapłacić za tego typu rzeczy. Adam wolałby, żeby zaspokajali najpilniejsze potrzeby finansowe, przetwarzając naturalne zasoby działki w coś na sprzedaż, na przykład w rustykalne meble z bali. Wielu graftedończyków uprawia marihuanowe rabatki. Adam się wstrzymał, ponieważ w świetle prawa antynarkotykowego hodowla zioła pociąga za sobą ryzyko konfiskaty działki.

Inną trudnością logistyczną, z którą mierzą się surwiwalowcy, jest fakt, że większości albo wręcz wszystkim brakuje większości albo wręcz wszystkich umiejętności surwiwalowych do tego, by pozyskiwać większość pożywienia z lasu, nie mówiąc już o zupełnej samowystarczalności.

– Mam spotkać się z gościem, który nauczy mnie zbierać grzyby – mówi Adam. Przyznaje jednak, że ma pewne obawy, czy uda mu się nabyć



tę umiejętność. – Problem w tym, że jestem daltonistą.

Tak naprawdę im dłużej zwiedzam Tent City, tym bardziej oczywiste staje się dla mnie, że trud survivalu to – poza ogrzewaniem drewnem z lasu – głównie przedmiot teoretycznych dyskusji toczonych przy ogniskach podczas kolejnych imprez.

Adam prowadzi mnie za namioty. Uświadamiam sobie, że stały, niski pomruk w tle potężnieje do przytępionego ryku. To agregat na benzynę schowany gdzieś pośród mniej więcej kolistych ustawionych drewnianych domków wielkości komórek na narzędzia, z których żaden nie przypomina drugiego. Na ścianie jednego przybito niedźwiedzią skórę. Inny ozdobiono postrzępioną, wyblakłą flagą Konfederacji.

Adam mówi, że flaga stanowi znak różnorodności poglądów politycznych, tu, na marginesie społeczeństwa. Mimo że on sam jest zatwardziałym antykapitalistą, niektórzy spośród mieszkańców tej działki to libertarianie, a inni uważają się przede wszystkim za działaczy na rzecz posiadania broni.

– Tak że jest to zapewne jedyne miejsce na świecie, gdzie flaga Konfederacji wisi obok szyldu Berniego – mówi. Chodzi mu oczywiście o Sandersa, senatora z Vermontu, socjalistę i kandydata na prezydenta.

Koronnym osiągnięciem architektonicznym Tent City jest Glob, barakopodobna budowla, która dzięki podłączeniu do agregatu ma elektryczność, a zatem działający telewizor, odtwarzacz DVD, kuchenkę elektryczną i światło. Gdy Adam prowadzi mnie w jego stronę, dostrzegam, że Glob jest nawet w gorszym stanie niż przyczepa Adama. Wygląda, jak gdyby ktoś go pozbił ze starej wiaty na samochód i boazerii.

– Pozbijaliśmy go ze starej wiaty na samochód i boazerii – wyjaśnia Adam.

Nagle ryk agregatu ustaje. Następuje chwila dziwnej ciszy, dopóki pustki nie wypełnią śpiewy ptaków. W drzwiach Globu staje ciemnowłosa kobieta.

– To już koniec benzyny, Annie? – pyta Adam.

Annie mieszka tu z chłopakiem Markiem i nastoletnią córką.

– Ta. Mam pięć dolców, żeby się przejechać po więcej – odpowiada.

– Za chwilę ja pojedę – mówi Adam.

Zgodnie z jego komunistycznymi sympatiami nikt nie posiada elektrycznych udogodnień w Globie na własność. Z budyneczku korzysta każdy według potrzeb, a za benzynę napędzającą jego luksusy płaci każdy według możliwości.

Ogólnie rzecz biorąc, Annie lubi mieszkać pod ochronnym kloszem Tent City. Odpowiadają jej tutejsza wzajemna życzliwość i poczucie dystansu do problemów tego świata.

Ma tylko jedno zmartwienie.

– Po prostu chodzi o to, że nigdy nie byłam na tyle blisko takiego zwierzęcia – mówi niemal przepraszająco. – A są duże.

Chodzi jej oczywiście o niedźwiedzie. Dla surwiwalowców jedzenie fauny stanowi na razie problem głównie teoretyczny, ale możliwość bycia zjedzonym przez faunę to prawdziwe, doraźne niebezpieczeństwo. Baribale zawsze pojawiały się w Tent City jako nocni goście. Przewróciły grill, rozłupały zamknięty zasobnik z kukurydzą, przejrzały śmieci, zrobiły ogromną kupę na środku obozowiska. Jedna sterta odchodów wyglądała Adamowi na szczególnie niezdrową. Mieszkając w lesie, wyrobił sobie uważność na takie rzeczy. Widok przypominał mu, co się stało, kiedy pies teściowej zjadł torebkę Adderallu[21].

– Pies bawił się słabo – komentuje Adam.

Przez większość istnienia Namiotowa łatwo było lekceważyć niedźwiedzie. Widywano je jako włochate cienie, które pojawiały się od czasu do czasu i szybko zmykały w leśną szarówkę. Tego lata jednak cienie zyskały ciało i straciły chęć do ucieczki. Gdy któryś z surwiwalowców wjeżdżał samochodem do obozowiska, baribale grzebiące w śmietniku nie zdobywały się nawet na tę przyzwoitość, by rozproszyć się w świetle reflektorów. Uparcie siedziały, jakby rzucając ludziom wyzwanie.

Latem, około Dnia Niepodległości, jak opowiada Adam, miał miejsce nietypowo bezniedźwiedzi tydzień. W końcu odgadł przyczynę.

– Trzymam u siebie parę dwudziestolitrowych pojemników zużytej frytury. Mój samochód jeździ na taki olej, rozumiesz. I znaleźliśmy dwa czy trzy pojemniki, które zaciągnęły do lasu.

– Wypiły go – mówi Annie, zabierając mu puentę. Trzeba jednak mieć na uwadze, że pewnie słyszała tę historię już setki razy.

– Wgryzły się w nie i wypiły fryturę do ostatniej, kurwa, kropli – ciągnie Adam, jak gdyby tego nie usłyszał. – Wyobrażasz to sobie. A olej stał dobrych kilka lat.

Następnie baribale zaczęły się pojawiać w dzień. Migwały gdzieś na obrzeżach Namiotowa. Badały sytuację jak traper sprawdzający po kolei pułapki. Annie poczuła, że pewien niedźwiedź zwraca na nią szczególną uwagę. Kiedy rankiem wychodziła z domku, często czuła na sobie jego wzrok, zanim spostrzegła go w lesie.

– Zazwyczaj po prostu tam siedzi i na mnie patrzy – mówi.

Surwiwalowcy zaczęli czuć się nieswojo, więc postanowili zareagować. Najpierw wystawili przy koszach na śmieci znak: ZAKAZ WSTĘPU NIEDŹWIEDZIOM. To, że baribale umieją czytać, zdawało się raczej nieprawdopodobne, ale kto wie, prawda? Chwilę przedtem pozrywały i poniszczyły zamontowane na drzewach fotopułapki jednego

z mieszkańców, jak złodzieje, którzy wyłączają monitoring, żeby okraść sklep. Więc trzy słowa na znaku być może wcale nie wykraczają poza ich umiejętności. Tak czy inaczej, znak wzmocnił morale i solidarność ludzi w Tent City. Przypominał, że intruzami są tu niedźwiedzie, a nie surwiwalowcy.

Bardziej realną formę obrony stanowił „pistolet na niedźwiedzie” Adama, ten taurus judge, który mężczyzna zaczął przy sobie nosić przez większość czasu. Annie i innych uspokajał widok Adama maszerującego po obozowisku ze sporą czterystadziestką w dłoni. Jednak choć Adam często groził, że zastrzeli niedźwiedzia, nigdy tak naprawdę nie pociągał za spust. Jego wahanie brało się częściowo ze współczucia dla baribali, a częściowo z wiedzy, że zwłoki zwierzęcia mogą przyciągnąć niechcianą uwagę urzędników. Surwiwalowcy, jak większość graftedyków, nade wszystko przedkładali chęć pozostania niewidocznymi dla władz stanu.

Czekanie na katastrofę również zdawało się nierozważne. Wiadomo o kilku dobrze udokumentowanych przypadkach, kiedy baribale w środku nocy wywlekły obozujących Amerykanów z namiotów i ich zabiły.

Surwiwalowcy poszukujący pomysłów na obronę Tent City zbierali porady od innych uzbrojonych obozowisk na terenie miasteczka. Każde z nich odstraszało baribale inaczej. Adam wymienia kolejne pozycje z listy – pieprz kajeński, elektryczny płot, czujniki ruchu, pułapki, radia nadające na cały regulator – a ja zastanawiam się, jaka subtelna, ukryta dynamika ludzkiej percepcji powoduje, że obóz pełen ludzi wykształca sobie tak wysoką tolerancję na niedźwiedzie i na urządzenia do odstraszenia niedźwiedzi. Mieszkańcy Tent City wpadli wreszcie na pomysł jedynej w swoim rodzaju strategii wysokiego ryzyka i średniej satysfakcji. Adam pojechał kupić tajną broń.

Nie trzeba było długo czekać na jej użycie. Wydarzyło się to pewnego poranka. Adam spał właśnie w swojej rozwalającej się przyczepie, kiedy usłyszał wrzask Annie dochodzący z drugiego końca Tent City. Wskoczył z łóżka i krzyknął przez zasłonięte siatką okienko przyczepy.

– Annie, to ty? Pomóc ci jakoś?

Z odgłosów wynikało, że trzeba było pomóc. Adam nie miał czasu się ubierać. Chwycił za nowy odstraszacz niedźwiedzi i wyskoczył z przyczepy w samej bieliźnie.

– I widzę tego niedźwiedzia. Stał o tam, obok tego umierającego drzewa – relacjonuje Adam, wskazując na miejsce oddalone o około pięć metrów od centrum obozu. – Siedzi na ziemi. I tak na nas patrzy.

Adam podniósł krowi dzwonek, którego – jak mówi – surwiwalowcy używają tylko „w sytuacjach wyjątkowych”, i zaczął dzwonić nim, by przepłoszyć niedźwiedzia. Dźwięk poderwał baribala z ziemi. Ale zamiast odejść, zwierzę skierowało się prosto na Adama, jakby mężczyzna dzwonił, że podano do stołu.

Zdenerwowany Adam zaczął krzyczeć.

– Idź mi stąd! – zawołał, biorąc krok w tył i strofując niedźwiedzia jak psa. Jeszcze energiczniej potrząsnął dzwonkiem. – Idź stąd, idź!

Niedźwiedź pozostawał niewzruszony. Adam pstryknął zapalniczką i przystawił płomień do lontu innej nowej broni: paczki petard. Gdy pierwszy ładunek w rzędzie wybuchł z ostrym hukiem, baribal podskoczył gwałtownie, chwilowo zdezorientowany. Las wypełniły kolejne wybuchy, a niedźwiedź uciekł – na szczęście w stronę przeciwną niż tam, gdzie stał Adam.

– Przebiegł jakieś pięć metrów i stanął – opowiada Adam. – Bo petardy ucichły. Usadowił się tak osiem czy dziesięć metrów od nas i zaczął się nam przyglądać.

Wreszcie, ociągając się, baribal odszedł. Surwiwalowcy, pokrzepieni zwycięstwem, natychmiast zaczęli robić plany poszerzenia arsenału.

– Myślę, że powinniśmy też kupić fajerwerki – przekonuje Adam – żeby je posłać przeciw niemu. Będzie czuł, że jest atakowany.

Tymczasem Annie starała się przełamać swój naturalny strach. Pod nieobecność baribali łatwiej jej było uznać ich śmiałość za zwykłą przyjacielskość. Zmartwiła się, że nadmierna poufałość niedźwiedzi uczyni je łatwymi celami dla myśliwych. Też zaczęła rzucać w nie petardami. Adam jest dumny z jej postępów.

– Teraz, kiedy już parę razy była o pięć metrów od niedźwiedzia, chyba się przyzwyczajają. Rozumie, że to nie jest dzikie zwierzę, które zbliża się z agresją, gotowe zabijać – komentuje.

Mam wątpliwości co do takiego postawienia sprawy. Wiele razy już słyszałem, że niebezpiecznie pozwalać niedźwiedziom na przyzwyczajanie się do ludzi. Nigdy nie powiedziano mi natomiast czegoś, co teraz stało się dla mnie jasne: pozwalać ludziom na przyzwyczajanie się do niedźwiedzi jest co najmniej tak samo niebezpiecznie.

Dopiero później zorientowałem się, że Adam i Pani od Pączków, mieszkający względnie niedaleko od siebie, próbowali się porozumieć z prawie na pewno tymi samymi niedźwiedziami przy użyciu dokładnie tych samych słów: „Idź stąd, idź!”. Jednak podczas gdy Adam usiłował krzykiem zmusić baribale do odwrotu, Pani od Pączków chciała tylko, by okazały cierpliwość przed zbliżającym się podwieczorkiem.

To uwypukla, jak zagadkowi musieli się wydawać zmyślnym niedźwiedziom mieszkańcy Grafton. Każdy dom stanowił potencjalne źródło kalorii, ale ludzie go zamieszkujący mogli albo uciec, albo poszczuć je lamą, albo zaproponować posiłek, albo rzucać w nie petardami. Było się nad czym zastanawiać.

Zanim wyjadę z Namiotowa, pytam Adama, czy telefon do Departamentu do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt [Fish and Game Department, F&G] nie rozwiązałyby ich baribalowych problemów.

– Nigdy nie strzelę sobie w stopę telefonem do Ryb i Dzikich Zwierząt – mówi Adam.

Poza tym Adama zastanawia to, że choć w Grafton roi się od niedźwiedzi, inspektorzy nie pojawili się tu sami.

– A skoro ich nie widuję – mówi – to mi się zdaje, że mają braki kadrowe.

I tutaj Adam miał rację.

.....

[21] Ten lek na receptę stosuje się w Stanach Zjednoczonych przy leczeniu ADHD. Ponieważ zawiera on sole amfetaminy, bywa przyjmowany jako doping oraz w celach rekreacyjnych.

## Baribalowa biurokracja

*Autor wniósł, że byłoby to najpełniej i najbardziej zadowolająco spełnione, gdyby Rząd Jej Królewskiej Mości zlecił sprowadzenie do Anglii i utrzymanie z kosztów publicznych, a ku rozrywce obywateli, takiej liczby niedźwiedzi, dzięki której każdą dzielnicę miasta odwiedzałyby, powiedzmy, trzy niedźwiedzie tygodniowo. Żadnej trudności nie trzeba będzie ponosić w związku ze znalezieniem odpowiedniego miejsca na przyjęcie zwierząt, można by bowiem zbudować przestronny niedźwiedzi ogród w bliskim sąsiedztwie obu izb parlamentu, miejscu oczywiście najodpowiedniejszym dla takiej instytucji.*

— Charles Dickens, *Full Report of the Second Meeting of the Mudfog Association for the Advancement of Everything* [Pełne sprawozdanie z drugiego spotkania Stowarzyszenia na rzecz Promocji Wszystkiego w Mudfog], 1837

Graftońskie niedźwiedzie w pewnym sensie przysły z lasu, w innym – przyczłapały z odległego okresu prehistorii. Ale jeszcze w innym, równie prawdziwym sensie pochodzą one z inicjatywy stanu New Hampshire.

Każdy z baribali w Grafton został tam celowo umieszczony za sprawą zmian w polityce leśnej stanu, która wcześniej promowała raczej bezniedźwiedzi krajobraz. Zanim rozpoczął się Free Town Project, Grafton stanowiło już niewielką część ogromnego obszaru, na którym od



sześćdziesięciu lat trwała ekspansja niedźwiedzi, oklaskiwana przez obrońców dzikiej przyrody, fotografów i rekreacyjnych myśliwych.

Mimo wszelkich starań graftedników, by oderwać się od centralnych władz, losy miasteczka zależą również od tego, co dzieje się pod złotą kopułą stanowego Kapitolu w oddalonym o mniej niż godzinę jazdy Concord.

To tam wyłoniony przez wyborców kwiat New Hampshire gromadzi się, by rozwiązywać problemy obywateli, także te z niedźwiedziami. W XVIII wieku prawodawcy wyznaczali nagrody pieniężne, by wytrzebić niedźwiedzie na tych terenach. Wskutek tego do połowy XX wieku w większości stanu przestały one występować. Kilka pojedynczych, ocalałych osobników zaszyło się w górach, gdzie ludzie rzadko się zapuszczali.

W 1955 roku stan zlikwidował system nagród, a w 1956 roku zaczął finansować przybliżone spisy niedźwiedzi. Wtedy urzędnicy dowiedzieli się, że populacja baribali mieszkających w New Hampshire – co niezaskakujące – rosła.

W latach 60. i wczesnych 70. nastąpił rozkwit zainteresowania ochroną środowiska. Zwłaszcza na terenie Nowej Anglii wspierała ją zaiste wielostronna koalicja obejmująca myśliwych, hipisów i prawie każdego pomiędzy nimi. Dziś może się to wydać nie do pomyślenia, ale Agencję Ochrony Środowiska [Environmental Protection Agency] utworzył republikański prezydent Richard Nixon – a zaledwie czterdzieści pięć lat później inny republikański prezydent, Donald Trump, poprzysiągł, że „się jej pozbędzie”.

W tamtym okresie baribale z New Hampshire z publicznego zagrożenia stały się zasobem, którym stan miał zarządzać dla dobra wszystkich. W 1978 roku pierwszy raz zatrudnił biologa specjalizującego się

w niedźwiedziach. Ten przy pomocy komputera na karty perforowane śledził łowieckie statystyki zabijania niedźwiedzi.

Dzięki nowym przepisom baribalom powodziło się doskonale. Do 1989 roku stan powiększył swoją populację niedźwiedzi do blisko trzech tysięcy. Około 2010 roku w New Hampshire wręcz roiło się od niedźwiedzi. Z ponownego zalesiania, ograniczonego myślistwa i – aż za często – dostępu do ludzkich źródeł pożywienia korzystało ponad 6100 zwierząt.

O ile badaczom takim jak „zaklinacz niedźwiedzi” Ben Kilham można zarzucić, że zbyt koncentrują się na jakościowej analizie niedźwiedzia, o tyle stan zbłądził chyba w dokładnie odwrotny sposób – przy opracowywaniu polityki skupił się na dużych zbiorach danych ilościowych. Przez kilkadziesiąt lat Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt stanu New Hampshire przygotowywał pełne statystyk raporty o niedźwiedziach – średni wiek baribala, wydane licencje łowieckie, ataki na kury i tak dalej – by na ich podstawie zarządzać populacją. Co roku stanowi statystycy przy użyciu skomplikowanych algorytmów dochodzili do szacunków liczby niedźwiedzi na milę kwadratową w dziesiątkach odrębnych okręgów przyrodniczych. Tworzony przez dekady zbiór danych robi wrażenie. Ale też trochę wprowadza w błąd.

Jedną jego wadę stanowi niewielki zakres danych. Na podstawie raportów ustawodawcy mogą łatwo się dowiedzieć, ile kilogramów niedźwiedzia znajduje się w danym okręgu administracyjnym, lecz poza obfitością naturalnego pożywienia dane nie obejmują innych zjawisk, które mogłyby wpłynąć na zachowanie baribali. Nikt na przykład nie mierzy dostępności ludzkich odpadków spożywczych albo ewentualnych nielegalnych polowań i pułapek w lasach. Prawie wszystkie warte uwagi zdarzenia z udziałem niedźwiedzi w Grafton, od zakupu pączków po wybuchy petard, nie mieszczą się w tych danych.

O ile podejście ilościowe pozostawia pewne luki w rozumieniu niedźwiedzi, o tyle jeszcze gorzej wychwytuje ono fakty na temat ludzi. Stan New Hampshire zakłada, że istnieje bezpośrednia korelacja pomiędzy skargami mieszkańców a problematycznym zachowaniem baribali. W rzeczywistości jednak różni ludzie mają różny poziom tolerancji na niedźwiedzie – i bardzo różny poziom tolerancji na urzędników. Kiedy niedźwiedź pojawia się po raz pierwszy, by poszperać w śmietniku, skutkiem mogą być dziesiątki telefonów do inspektoratu, ale dziesiąta wizyta zwierzęcia w tym samym miejscu może już zostać przemilczana.

Natomiast w Grafton, gdzie powszechnie przeklina się władze stanu, a wolnościowcy wychodzą ze skóry, by tylko móc samodzielnie zajmować się swoimi baribalami, liczba telefonów do Ryb i Dzikich Zwierząt najprawdopodobniej drastycznie nie dorówna liczbie niepokojących spotkań ze zwierzętami.

Zdaje się więc, że w sprawie graftońskich niedźwiedzi obowiązuje polityka „nie pytaj, nie mów”[22]. Jest ona przy tym po części oparta na słusznym podejrzeniu, że stanowe „uniwersalne” porady w sprawie dzikich zwierząt mogłyby w niektórych przypadkach wręcz zwiększyć ryzyko ataku baribala.

Na szczęście stanowy Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt dysponuje pewnym narzędziem, które rekompensuje słabości podejścia bazującego na danych ilościowych. Zatrudnia on zespół wyszkolonych inspektorów wysyłanych na miejsce wystąpienia problemu z niedźwiedziem. Inspektor terenowy, który czerpie wiedzę z analizy setek spotkań ludzi ze zwierzętami, może prowadzić wywiady i poszukiwać przydatnych wskazówek na miejscu zdarzenia, by określić, czy dzieje się coś nietypowego.

W latach 70., kiedy zarówno populacja niedźwiedzi, jak i społeczność ludzi były niewielkie, system ten działał, mimo że całe terytorium stanu obsługiwało jedynie pięćdziesięciu inspektorów. Jednak około 2002 roku zaczęła się załamywać tradycyjna formuła finansowania departamentu oparta głównie na dochodach z wydawanych pozwoleń myśliwskich i wędkarskich. Sprzedaż pozwoleń wędła, a podatnicy nie chcieli się dołożyć. Departament zmuszony był więc ograniczyć liczbę personelu, zamknąć część placówek, odłożyć w czasie naprawę sprzętu i zwiększyć cenę pozwoleń na polowanie na niedźwiedzie czarne.

W 2007 roku New Hampshire zatrudniało już tylko trzydziestu dwóch inspektorów do spraw dzikich zwierząt (dla porównania sąsiedni stan Maine ma ich 130). Jeden pracownik przypadał średnio na 770 kilometrów kwadratowych terenu – chyba że były wakaty, zwolenienia lekarskie czy urlopy (a były codziennie), wtedy ta proporcja jeszcze bardziej się rozjeżdżała. Zredukowanie personelu o 34 procent stanowiło bardziej dramatyczny krok, niż może się wydawać. Przecież w 2007 roku w New Hampshire mieszkało dwa razy więcej ludzi i sześć razy więcej baribali niż w 1970 roku.

Rocznie stan zajmuje się średnio 635 skargami na niedźwiedzie. Stanowi to jednak tylko niewielki ułamek zadań departamentu. Inspektorzy do spraw dzikich zwierząt mają teraz wiele niebaribalowych zmartwień, ponieważ ich obowiązki zostały rozszerzone. Obecnie robią wszystko – od nadzoru nad wodowaniem łodzi po prowadzenie operacji ratunkowych na szlakach.

Istnieje ktoś, kto może naprawić sytuację. Oczywiście chodzi o legislaturę stanu New Hampshire, w której przedstawiciele wyborców tworzą prawa i rozporządzają zasobami, by rozwiązywać problemy społeczeństwa.

Gdyby stan tego chciał, mógłby znacznie zredukować liczbę problematycznych spotkań z baribalami – na przykład poprzez zmniejszenie populacji niedźwiedzi, przynajmniej w tych rejonach, gdzie gęstość zaludnienia może powodować konflikty. Do tego warto spisać dobre praktyki: zmusić ludzi do rozsądnego zajmowania się śmieciami i karmnikami, ustanowić ścisłe plany urbanistyczne, które ukształtowałyby zagospodarowanie terenu tak, by nie przyciągać niedźwiedzi, oraz zaostrzyć kary dla tych, którzy karmią dzikie zwierzęta. Należałoby także dofinansować Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt, by jego budżet pozwalał na skuteczne rozwiązywanie problemów. Inspektorzy mieliby wtedy więcej czasu na ocenę konkretnych sytuacji i uświadamianie obywateli.

Spodziewałbym się, że wszystkie te środki zostaną poddane intensywnym dyskusjom ustawodawców. W ostatnich dwudziestu latach zaprojektowano przecież przynajmniej piętnaście ustaw związanych z niedźwiedziami.

Tyle że tych piętnaście dokumentów raczej nie dotyczyło ludzko-baribalowych konfliktów. Dwa z nich – jedyne, które weszły w życie – podniosły cenę pozwoleń na niedźwiedzie. Większość pozostałych ustaw polegała na kosmetycznych zmianach w zasadach polowania na te zwierzęta, mających zapewnić lepszą równowagę pomiędzy interesami myśliwych i traperów a kwestiami etycznymi podnoszonymi przez postępowych aktywistów.

Dopiero w 2013 roku prawodawcy zajęli się ustawą mającą ograniczyć konflikt z niedźwiedziami poprzez wprowadzenie wymogu tego, by obywatele wytwarzający smakowite dla dzikich zwierząt śmieci „przechowywali lub wyrzucali takie odpady stałe w sposób odporny na

działanie zwierząt (tj. do zabezpieczonych przed niedźwiedziami śmietników i kontenerów)”.

Tego typu kroki skutecznie zmniejszyły liczbę skarg na baribale w parkach narodowych. Jednak wielu mieszkańcom stanu New Hampshire nowe prawo trąciło etatyzmem i podatkami. Należąca do legislatury Komisja do spraw Ryb, Dzikich Zwierząt i Zasobów wysłuchiwała zeznań mężczyzny, który bez dowodów przekonywał, że cięższe części odpornego na niedźwiedzie kontenera na śmieci stanowią zagrożenie dla dzieci. Śmietnik mógłby rzekomo uwięzić dziecko bądź obciąć mu głowę automatycznie zastrzaskującą się klapą (albo i jedno, i drugie). Najczęściej jednak podnoszono, że firmom wywozowym i właścicielom posesji nie można narzucić wydatku w postaci zakupu drogich kontenerów. Dwa miesiące po rozpoczęciu debaty komisja przegłosowała pogrzebanie propozycji stosunkiem głosów czternaście do zera.

Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt nie musi zawsze odwoływać się do ustawodawców. Może podejmować niezależne działania i wydawać własne zarządzenia. Na przykład w 2014 roku cztery niedźwiedzie zmarły wskutek masowego zatrucia czekoladą. Odpowiedni urzędnicy, zwróciwszy ponuro uwagę, że ten incydent „to prawdopodobnie przypadek najliczniejszej śmierci od czekolady w dziejach”, prawnie zakazali karmienia niedźwiedzi takimi słodyczami. Nie zaproponowano jednak podobnie szybkiego rozwiązania konfliktów między ludźmi a baribalami. Do czasu, aż ktoś wpadnie na pomysł, który nic nie kosztuje i zostanie dobrze odebrany politycznie, niedofinansowany Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt prowadzi wobec problemu niedźwiedzi przyjazną dla budżetu politykę: „to nie jego wina, tylko twoja”.

To właśnie jest główny, ukryty przekaz stałej kampanii edukacyjnej Ryb i Dzikich Zwierząt: „Widzę misie w New Hampshire – naucz się żyć

z niedźwiedziami”, która od 1996 roku ma za zadanie „promować tolerancję społeczeństwa wobec niedźwiedzi” i opiera się na założeniu, że wielu ludzi boi się tych stworzeń właściwie bez powodu.

Motorem kampanii jest pomoc w zarządzaniu śmieciami i karmnikami tak, by mniej przyciągały baribale. To nauka cenna, ale również wygodna dla stanu, ponieważ zrzuca skargę na skarżącego czy też jego sąsiadów, a nie na politykę stanu, która w zasadzie spowodowała do lasów niedźwiedzie.

Taniej jest nakazać ludziom zmianę zachowania, niż zainwestować w skuteczne procedury chwywania i przenoszenia (niedźwiedzi, nie ludzi).

Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt w bardzo realny sposób żeruje na baribalach, zarówno jeśli chodzi o dochód z pozwoleń myśliwskich, jak i życzliwość, którą zaskarbia sobie dzięki zarządzaniu gatunkiem flagowym dla ochrony przyrody. Nic więc dziwnego, że departament przesuwa górne granice „przepustowości” każdego obszaru, tak aby możliwie duży teren zapełniała możliwie duża liczba niedźwiedzi.

Pewne niepokojące sygnały świadczą o tym, że nawet gdy Ryby i Dzikie Zwierzęta starają się zmniejszyć liczbę niedźwiedzi, nie radzą sobie. Tak jak w czasach, kiedy niedźwiedzie nieuchronnie zagrażały osadnikom w regionie, stan nie ma funduszy ani siły roboczej do tego, by fizycznie opanować populację baribali. Przerzuca więc tę pracę na innych (choć za usługę nie płaci myśliwym, tylko każe płacić sobie).

W 1990 roku, gdy w lasach New Hampshire żyła solidna populacja 3500 niedźwiedzi, Ryby i Dzikie Zwierzęta pierwszy raz od dziesiątków lat zezwoliły na polowania w większości stanu. Przez kolejne kilka lat sprzedały dziesiątki tysięcy pozwoleń. W szczytowym momencie około 2001 roku było ich 17 tysięcy.

Myśliwi się cieszyli, pieniądze wpływały – a niedźwiedziom wciąż wiodło się świetnie. Choć tylko pomiędzy 2003 a 2004 rokiem ludzie zabili prawie półtora tysiąca niedźwiedzi, nie nadążali za ich rozmnażaniem. W 2005 roku baribale osiągnęły rekord liczebności wynoszący 4830 osobników.

Departament stwierdził, że tyle ich wystarczy. Postanowił powstrzymać rozmnażanie, zachęcając ludzi do polowania przez większą liczbę dni w roku. Biurokraci New Hampshire mieli plan stabilizacji populacji na poziomie 5100 osobników.

Ale najwyraźniej plan baribali New Hampshire był inny: zrobić jeszcze tysiąc niedźwiedzi.

Zwyciężyły zwierzęta. W latach 2006–2013 ich liczebność wzrosła o kolejnych 1140 osobników.

Urzednicy poprzednio martwili się, że populacja baribali jest zbyt krucha, by na nie polować. Teraz przekonywali się, że nie docenili odporności niedźwiedzi.

„Stało się jasne, że bujnej populacji niedźwiedzi naszego stanu nie zaszkodzą sporadyczne okresy wzmożonych polowań” – zapisali w dorocznym raporcie. Tak więc stan naprawdę podkreślił wystawianie pozwoleń. Podpisał ponad 10 tysięcy licencji na niedźwiedzie. Niektóre z nich pozwalały myśliwym polującym akurat na jelenie wykorzystać nieoczekiwaną okazję zastrzelenia niedźwiedzia, który miałby to nieszczęście się napatoczyć. Stan wydał również 1400 pozwoleń na nęcenie. Tak powstała sieć paśników załadowanych stertami (wtedy jeszcze legalnej) czekolady i żelków. Tam kryli się myśliwi gotowi na egzekucję głodnych baribali. Kolejne setki licencji pozwalały myśliwym na wykorzystanie wyszkolonych psów z GPS-em u obroży do śledzenia niedźwiedzi przed zastrzeleniem.



Stan praktycznie podawał myśliwym baribale na srebrnej tacy. Społeczność łowiecka zareagowała zapalem. Od 2013 roku liczba niedźwiedzi zabitych przez myśliwych w całym stanie (nie licząc nielegalnych polowań) zwiększyła się z 558 do rekordowych 1083 w 2018 roku.

A jednak rynek niedźwiedzia wciąż przejawiał tendencję zwykłą. W 2016 roku dyrektor wykonawczy Departamentu do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt oznajmił, bez cienia niepokoju w głosie, że populacja baribali znów wzrosła, tym razem do 6500. Do 2018 roku, nawet wobec wysokich progów wyznaczonych przez stan, liczbę niedźwiedzi trzeba było uznać za dużą w prawie każdym hrabstwie. W okręgu zarządzania zwierzyną, do którego należy Grafton, w latach 1998–2013 liczba niedźwiedzi się podwoiła. W 2018 roku przekroczyła zakładane progi o ponad 50 procent.

Zasadniczy rozdźwięk pomiędzy otwartym na baribale Departamentem do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt a nękanymi przez baribale, lecz niechętnymi władzom miejscowymi stworzył w Grafton mnogość możliwości zarządzania niedźwiedziami.

Ta właśnie dynamika natchnęła w 2005 roku dyskusję libertarian na temat tego, czy nie zorganizować regularnej, uzbrojonej milicji stanowej, która miałaby świadczyć usługi publiczne takie jak „obchodzenie się z dzikimi zwierzętami”, czyli niedźwiedziami i kuguarami New Hampshire.

Pomysł, jak wiele innych poddanych pod dyskusję w ramach Free Town Project, nigdy nie ruszył – i to chyba dobrze. Ale coś trzeba było zrobić. Dla niektórych – w tym Jessiki Soule z Bungtown – baribale robiły się już nie do zniesienia.

---

[22] Jest to nawiązanie do polityki „Don’t Ask, Don’t Tell” dotyczącej żołnierzy i żołnerek LGBT, stosowanej przez Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych w latach 1993–2001.

## Dolegliwości dozorczyńni

*Nic się wtedy nie rusza w uroczystych nawach wielkich drzew,  
a brzęk owadów zamiera gdzieś w dali, w obejmującej nas zewsząd  
ciemności. Czasem tylko mignie z daleka sylwetka krzywonożego  
zwierzęcia: mrówkojad lub niedźwiedź przemknie niezdarnie  
w pomroce lasu. Jest to jedyny ślad życia naziemnego, który  
dojrzałem w olbrzymiej puszczy nad Amazonką.*

— Arthur Conan Doyle, *Zaginiony świat*, 1912[23]

Gdy Kościół Zjednoczeniowy opuścił Grafton, Jessica Soule została. Zakochała się w przejażdżkach pick-upem po Bungtown z otwartymi oknami, chrzęstem kamyków pod kołami i promieniami słońca we włosach. Gospodarstwo, które kupiła, miało dwa osobne systemy ogrzewania w dwóch częściach domu, a do tego piecyk na drewno. Te i inne ekscentryczne elementy wyposażenia zostały po poprzednim właścicielu. Na tylnym ganku zainstalował on kuchenny zlew, przewidział miejsce na dwa stoły piknikowe i wyciął okienko w ścianie domu, by można było podawać jedzenie i zastawę bezpośrednio z kuchni do ogrodu.

Po porwaniu kociąt przez baribala w 1999 roku ten bezpośredni dostęp do ganku zyskał szczególne znaczenie dla Amber i reszty kotów. Soule nie pozwalała im już swobodnie wychodzić na zewnątrz. Na ganku stał blat, który można było podnieść i przymocować tak, by zakrył okienko.

W cieplejszych miesiącach zostawiała osłonę opuszczoną, żeby jej koty mogły swobodnie przemieszczać się pomiędzy domem a zabezpieczonym siatką gankiem i skorzystać z letniego wiatru.

Przez pewien czas Soule utrzymywała mocne więzi z Kościołem. W 2000 roku wielebny Moon dopłacił do jej podróży do Seulu, gdzie otwierał ośrodek medyczny łączący praktyki Wschodu i Zachodu. Do tego czasu jednak przywódca zdążył się zestarzeć, a jego dzieci wywierały wpływy na Kościół. W miarę postępowania zmian w strukturze władzy codzienne zaangażowanie Soule w działalność organizacji osłabło.

W 2003 roku u kobiety nasiliły się poważne problemy ze zdrowiem. Na ataki epileptyczne cierpiała od zawsze. Gdy była młodsza, uszkodziła sobie przez nie nerwy w nogach. Nie przestała chodzić, bo samodzielnie wdrożyła intensywny cykl fizjoterapii. Ale teraz znowu czuła, że jej nogi słabną. Zaczęła chodzić o lasce, zwłaszcza po nierównym terenie na własnym podwórku. Atak niedźwiedzia na kocięta sprawił, że stresowała się zbyt długim przebywaniem poza domem na chwiejnych nogach. Swoją miłość do spędzania czasu na świeżym powietrzu realizowała więc, otwierając zabezpieczone moskitierami drzwi i okna. Każdy powiew wiatru jak wiosenne porządki omiatał tradycyjny nowoangielski przedsionek od frontu domu przez duży pokój do tylnego ganku.

Gdy było wystarczająco ciepło, właśnie tam jadła kolację. Myślała o starych znajomych z Kościoła i drobnych pracach, które może jeszcze wykonać w domu, by mieć się czym zająć. Stamtąd oglądała jelenie i łosie przechodzące przez jej teren do strumyka na tyłach. Koty towarzyszyły jej albo i nie. Podczas spokojnie jedzonego posiłku przechodziły przez swój tunel ponad blatem w kuchni tam i z powrotem.

Pewnego dnia Soule siedziała w dużym pokoju, gawędząc sobie ze znajomą. Nagle ciszę przerwały dochodzące z tylnego ganku odgłosy kocięj

walki. Jednak kiedy Soule otworzyła drzwi, jej oczom zamiast kotów ukazały się dwa zaskoczone niedźwiedziątka patrzące na nią z przerażeniem. Soule miała tylko moment, by przyjrzeć się poboju: porwanym moskitierom, drzwiom niemal wydartym z zawiasów, kłakom sierści oraz doniczkom z kwiatami porozrzucanym jak kręgle na torze.

– Nie zapamiętałam żadnego obrazu z tego, co wtedy zobaczyłam – opowiada. – Trzasnęłam drzwiami. I powiedziałam: „O Boże, o Boże, o Boże”.

Soule zamknęła zasuwkę i popędziła do kuchni. Zastanawiała się, który widok byłby gorszy: mignięcie ogona jednego z ukochanych kotów właśnie wychodzącego okienkiem, by zobaczyć z ciekawości, co stało się na ganku, czy błyszczące oczy niedźwiedziątka ochoczo próbującego wcisnąć się do domu.

Rzeczywistość przeszła jej obawy. Niedźwiedzia łapa – łapa dorosłego baribala – wsunęła się przez otwór w ścianie i na ślepo macała kuchenny blat Soule. Grube pazury przewracały kubki i pojemniki z żywnością ze spiżarki, ale nie zdołały niczego pochwycić.

Kobieta nie miała ochoty oglądać niedźwiedziego cielska przyciśniętego do ściany na ganku. Po stronie kuchennej otwór można było zamknąć przesuwanymi drzwiczkami zamocowanymi ponad nim. Soule wrzasnęła i zatrzasnęła drzwiczki. Ich drewniana krawędź spadła na baribalowe ramię jak gilotyna, ale daleko jej było do ostrości, która mogłaby zrobić zwierzęciu krzywdę. Nagły ruch przestraszył jednak niedźwiedzicę, która wycofała łapę na moment wystarczający, by Soule zsunęła drzwiczki do samego dołu. Kurczowo je przytrzymując, czuła, jak baribal przyciska nos do cienkiej bariery, która nagle pojawiła się pomiędzy nimi. Następnie usłyszała delikatny, badawczy chrobot pazurów o drewno.

Soule krzyknęła do koleżanki, by ta wzięła młotek i gwoździe z pobliskiej szuflady z narzędziami. Gdy gospodyni wbiła pierwszy gwóźdź, baribal przestał napierać na deskę. W ciągu kilku minut drzwi zostały na stałe przybite do ściany, a na ganku zrobiło się cicho.

– Idź policz koty – poleciła Soule koleżance.

Gdy tylko gospodyni upewniła się, że wszystkie są obecne, wyszła na ganek i podniosła blat, by przykryć okienko również z tej strony.

– Zabiłam je gwoździami – opowiada. – I tak już zostało. Nigdy go nie naprawiłam.

W kolejnym tygodniu najęła kogoś, by zabezpieczył deskami tylny ganek. Drewniane ściany zatrzymywały niedźwiedzie, ale też światło słoneczne, wietrzyk oraz widok łosi, jeleni i strumyka. Raz spróbowała tam znów zjeść, ale nie było na co patrzeć poza pralką i suszarką, smutnym przypomnieniem, że trzeba zrobić pranie.

Poszła na kompromis, ale czuła się bezpiecznie.

Mijały lata.

Soule coraz gorzej się poruszała, a jej krąg znajomych malał. Gorzej znosiła też chłód, więc w zimie spędzała zbyt wiele czasu, siedząc w dużym pokoju pod przykryciem z koców i kotów. Dzwoniła do lekarzy, by pomogli jej przywrócić sprawność, i do sprzedawców gazu, by pomogli jej się ogrzać. Nie mogła jednak przeskoczyć faktu, że zarówno jej nogi, jak i ogrzewanie pomimo wysiłków nieuchronnie starzały się w starym domu.

Zimą 2011 roku musiała przetrzymać szereg szczególnie nieprzyjemnych zjawisk pogodowych ciągnących przez niebo nad Grafton. Burze śnieżne, mrozy i cyklony pozatropikalne podrywały deszcz i śnieg w powietrze jak confetti. Dla Soule chłód był czymś więcej niż temperaturą. Był prawdziwym bólem, łupiącym głęboko w kościach.

Zdiagnozowano u niej toczeń i osteoporozę. Zamieniła laskę na chodzik, a potem chodzik na wózek.

Tymczasem zaczęły ją męczyć nieustające konflikty z Departamentem do spraw Weteranów. Mimo że wygrała sprawę o świadczenia, teraz zdawało się jej, że urząd się na nią uwziął i celowo unika odpowiedzialności za dostosowanie jej domu do ograniczeń ruchowych. Na wózku nie mogła wjechać po schodach. Nie mieścił się pomiędzy ścianą a brodzikiem prysznic, żeby dojechać do toalety. Ministerstwo dało odmowną odpowiedź na jej prośbę o windę na wózek i remont łazienki. Wciąż była w stanie sama jako tako przesuwać się po parterze, ale kości stawały się coraz kruchsze, więc przerażała ją perspektywa upadku. Raz obięła się o ścianę i złamała łokieć. Strategicznie ułożyła więc na podłodze łazienki sterty ubrań, by zamortyzowały ewentualny upadek. Co dzień niepewnie przesuwała się z wózka na toaletę, chwytając się klamek i armatury jak sędziwy, spokorniały przez swój wiek Tarzan.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżała do przedsionka, poczuła zapach wiosennego powietrza przewiewającego przez siatki okien i drzwi. Delikatna, słodko pachnąca pieszczota na twarzy, nie tak mocna, by rozwiać jej włosy, przypominała o dawnych czasach. Nietypowo ciepła i sucha wiosna wygrzała jej ból z kości i obiecywała nadchodzące lepsze dni.

Kiedy Soule wychodziła, nie ufała już chodzikowi. Używała wózka nawet do załatwiania najkrótszych spraw. Najbardziej ekscytującym momentem dnia było dla niej często wyjście do skrzynki pocztowej, krótki, ale ważny wypad, który pozwalał jej zakosztować pogody i napełniał nadzieją, że przyjdzie jakaś koperta z dobrymi wiadomościami.

Otworzyła drzwi przedsionka. Padł na nią snop jasnego słonecznego światła, ciepłego, cudownego i oślepiającego. Ciągnął się za nią aż

w półmrok panujący w domu. Wydostała się z cienia, przejeżdżając przez wybój progu, i poczuła znajomy poryw wolności i niezależności. Haczykiem domknęła moskitierę i zaczęła zjeżdżać po rampie po pocztę. Jej oczy przyzwyczajały się do światła.

Niedźwiedź już zdążył zbliżyć się do niej na trzy metry. Wcześniej szperał w śmieciach, które trzymała w pobliżu podnóża pochylni. Teraz jej się przypatrywał. Próbował zrozumieć, co ta ludzka istota robi, kiedy przesuwają się na siedząco na wysokości jego oczu.

Zaskoczona Soule zrozumiała, że jej los spoczywa w łapach niedźwiedzia.

Nastała upiorna cisza. W oddali kobieta słyszała słaby pomruk pick-upa przejeżdżającego drogą numer cztery, ale wiedziała, że raczej nikt jej nie usłyszy, kiedy krzyknie. Coś jej podszeptało, że jeśli baribal stoi nieruchomo, ona nie powinna nic mówić ani się gwałtownie poruszać.

– Nie był wielki. Ale wystarczająco duży – mówi. – Nie był pewien, czy sobie ze mną poradzi.

Soule zaczęła się wycofywać w żółtym tempie. Sunęła do tyłu centymetr po centymetrze. Niedźwiedź patrzył, jak wózek podskakuje na progu i wsuwa się na ganek. Weteranka otworzyła sobie ramkę moskitiery. Ta zatrasnęła się za kobietą, przerywając dziwną ciszę, i zasłoniła jej widok baribala. Soule zamknęła drzwiczki, co prawda, tylko na marny haczyk, ale lepiej się dzięki temu poczuła. Uświadomiła sobie, że przez ten cały czas wstrzymywała oddech. Wypuściła powietrze, nie z sykiem, ale powoli, cicho. Gdy tylko baribal stracił Soule z oczu, podszedł bliżej. Zobaczyła jego łeb obramowany górną połową moskitiery. Patrzyli na siebie przez siatkę, wciąż w ciszy.

Soule miała nadzieję, że niedźwiedź nie wybada bariery i nie zorientuje się, jak jest lekka. Wymanewrowała wózkiem tak blisko wewnętrznych



drzwi, jak to było możliwe, i zaryzykowała spojrzenie za siebie, by zobaczyć, czy zmieści się we framudze. To była tylko chwila, ale gdy obróciła głowę w przód, zwierzęcia już nie było.

Z dziesiątek ludzi, z którymi rozmawiałem w Grafton, tylko dwie osoby zgłosiły przykre spotkania z niedźwiedziami Departamentowi do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt. Jedną z nich jest Soule. Tego dnia nie marnowała czasu. Krew wciąż szumiała jej w uszach, gdy czekała na linii, aż ktoś odbierze. Nie była zadowolona z odpowiedzi, co znowu świadczy o tym, że grafitowcy i departament mają problem ze znalezieniem wspólnego języka.

– Powiedziano mi: „Nie zaczepiać niedźwiedzi” – wspomina później Soule. – „Jeśli go pani sprowokuje, to nie wolno go potem zastrzelić”. Odpowiedziałam, że jak baribal jeszcze raz tak zrobi, umrze. A oni na to, że mnie aresztują, jeśli strzelę do niedźwiedzia.

Soule podjęła więc inne kroki, by się zabezpieczyć. Zadzwoiła do poczmistrzyni Grafton, napastliwie wręcz wesołej Debbie Clough. Ta zgodziła się doręczać pocztę na ganek Soule zamiast do skrzynki.

Kobieta założyła sobie na ganku szyby i solidniejsze drzwi, by zabezpieczyć przedsiónek. Teraz w domu nie było nawet tchnienia wiatru, bo nie ośmielała się zostawiać otwartych drzwi. Śmieci trzymała w środku, a wystawiała je dopiero na kilka godzin przed przyjazdem prywatnego przedsiębiorstwa wywozowego, które najęła do tego celu. Od tamtej pory, jeśli z jakiegokolwiek powodu musiała zapuścić się na własne podwórko, brała broń.

We wrześniu 2012 roku, pomimo modlitw Soule, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat zmarł wielebny Moon. Soule czuła się, jakby straciła rodzica. Gdy rodzina zmarłego zaczęła sprzeczać się o jego majątek i władzę, kobieta straciła zaangażowanie w Kościół.

Przez kolejnych kilka lat Soule walczyła z tymi samymi problemami: coraz gorszym zdrowiem, bólem podczas mroźnych zim, awariami ogrzewania i potyczkami z Departamentem do spraw Weteranów, które do niczego nie prowadziły. Wzmagало się jej poczucie odosobnienia. Po tym, jak libertarianie zaczęli wywierać silniejszą presję na budżet miasteczka, nie mogła mieć pewności, że droga do jej domu zostanie odśnieżona. Najgorzej było w okresie burz śnieżnych późną zimą, bo kończył się doroczny budżet na takie prace.

– I po prostu przestawali odśnieżać – opisuje.

Rzeczywistość Soule stała się oniryczna jak dreszczowiec, który po pierwszych dwóch aktach zaczyna się od nowa i gra tak w kółko. Napięcie rosło i ustępowało, nie dając ulgi kulminacji. Sypiała po cztery czy pięć godzin. Czasem usłyszała lub dostrzegła niedźwiedzia telepiącego się przed domem. Koty trzymała przy sobie. Ataki epilepsji się pogarszały. Rzadko w ogóle otwierała okna, ponieważ bała się, że baribale wywąchają jej śmieci, żywność albo koty i spróbują się włamać.

W 2016 roku zatelefonowała do lokalnej gazety. Chciała się przekonać, czy zdoła wstydem zmusić urząd, by przystosował jej dom do niepełnosprawności. Aparat zadzwonił na moim biurku.

Tamtej jesieni przyjechałem drogą numer cztery. To była moja pierwsza wizyta w Grafton. Droga przecinała na pół las, jednolity z wyjątkiem kilku mokradeł, z których wystawały kikuty drzew o korzeniach rozmoczonych stojącą wodą i oskarżycielsko dźgały w niebo.

Dom Soule w Bungtown obity był białym sidingiem. Metalowa pochylnia dla wózka zaskrzypiała pod moim ciężarem. Kilka minut zajęło Soule podjechanie do drzwi na zmotoryzowanym wózku. Od czterech lat żyła właściwie w zamknięciu. Miała na sobie koszulę zapinaną na guziki, a na to włożone dwa swetry. Na jednym ramieniu spoczywał starannie

zapleciony, kobiecy warkocz. Łagodził jej rysy, którym wiek, zmartwienia i oburzenie powoli nadawały androgyniczny charakter. Dużo schudła. Ważyła pewnie nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów.

– Ledwie udawało mi się zachować pozory. Odchodziłam od zmysłów – przyznaje potem. – Pewnie znowu by mi przyszedł do głowy skok pod autobus, gdybym tak dobrze nie wpoila sobie boskiej zasady.

Oczy przyzwyczały mi się do półmroku. Zobaczyłem ciemne, drewniane ściany pochylone pod dziwnymi kątami. Przez zamknięte okna powietrze stało, ciężkie od zapachu kotów kręcących się przy Soule i walczących o miejsce na jej kolanach, gdy przesiadła się na fotel w dużym pokoju. Ja usadowiłem się na wyjątkowo gruzłowatej kanapie przykrytej pikowaną narzutą. Podczas naszej rozmowy Soule użyła słów, które były dla mnie uderzające: „zanim przyszły niedźwiedzie”.

– Kiedyś wypuszczałam koty na zewnątrz. To jest – zanim przyszły niedźwiedzie.

To był dla mnie pierwszy znak, że coś szczególnego działo się w Grafton, że coś fundamentalnego uległo zmianie. Soule wyjaśniła, że dla niej zjadanie kotów przez baribale w Bungtown stanowiło moment nieodwracalnego załamania relacji ludzko-niedźwiedzich.

Zapytałem gospodynię, co z Amber, trzecim kocięciem, które przetrwało atak w 1999 roku pod kołdrą z opadłych liści.

– To ona – odparła Soule, wskazując na kotkę w kocim kolorze wtuloną w sam środek jej podołka niczym mrucząca królowa. Zmierzyliśmy się wzrokiem, ona mlecznych już oczu. Sierść Amber była tak zmierzwiona, że zwierzę wyglądało na wypchane, jak ulubiona zabawka dziecka naprawiana uparcie aż do dorosłości właścicielki. Z niedołęstwa nie potrafiła już chować pazurów. Ale niewątpliwie i bezspornie żyła, a przez to była najstarszą weteranką kocio-niedźwiedziej wojny w Bungtown. Moje

następne pytanie przerwał niespodziewany ruch jednej z fałd nierównej kanapy. To był kolejny kot.

– Chowa się – stwierdziła Soule.

Skończyło się tak, że napisałem o niej kilka artykułów do gazety. Departament oświadczył publicznie, że zajmie się tym problemem. Przyszło też kilka propozycji pomocy od osób trzecich. Sprawa jednak po chwili przycichła, a Soule wciąż nie miała możliwości bezpiecznego dostania się do łazienki czy sypialni na piętrze. Przyjechała do Grafton w poszukiwaniu wolności, a czuła się najbardziej w życiu unieruchomiona. Zaczęła myśleć, że miasteczko dosłownie ją zabija.

– Kocham swój dom – mówiła, rozglądając się bezsilnie wokół. – Ale kocham też życie. I chcę go tyle, ile to możliwe.

---

[23] Arthur Conan Doyle, *Zaginiony świat*, przeł. Tadeusz Evert, Wydawnictwo Itaka, Poznań 1993, s. 64.

## Podskórny pasażer

*Ja, opasany liną na biodrach, szedłem z uległością za kucharzem,  
który trzymał luźny koniec powroza bądź w wolnej ręce, bądź  
w swych potężnych zębach. Słowem, byłem prowadzony jak tańczący  
niedźwiedź.*

— Robert Louis Stevenson, *Wyspa skarbów*, 1883[24]

Jeśli w ogóle istnieje jakieś naukowe wyjaśnienie coraz dziwniejszego zachowania ludzkich i niedźwiedziich mieszkańców Grafton, sięga ono 1902 roku, kiedy to u południowego wybrzeża Morza Tyrreńskiego zacumował statek pasażerski. Wysiedli z niego pewien Francuz z żoną i małymi dziećmi. Zeszli po trapie, by pierwszy raz postawić stopę na spalonej słońcem tunezyjskiej ziemi.

Nie ma wielu zdjęć trzydziestosześcioletniego Charles’a Nicolle’a (głównie dlatego, że wtedy jeszcze nikt nie uważał go za wartego fotografowania). Opisano go jako wysokiego, szczupłego, uprzejmego i uważnego mężczyznę z wąsem i okrągłym czołem. Ubierał się w sposób tak pedantycznie oficjalny, że zapewne nie przeszkadzało mu nieco więcej krochmalu dodanego do trzaskająco sztywnych białych koszul.

Elegancja Nicolle’a zderzyła się z atmosferą Tunisu, stolicy zamieszkiwanej głównie przez Arabów, kipiącego kotła rozmaitych prądów politycznych i chorób, które znacznie zwiększały prawdopodobieństwo

poniesienia plugawej śmierci na ulicy. Poza miastem ciągnęły się niezliczone mile surowego, suchego krajobrazu, który w niczym nie przypominał zielonych, łagodnych wzgórz Francji ze wspomnień Nicolle'a. Karierę we Francji utrudniały mu napięcia personalne, które sięgnęły szczytu, gdy polityczny rywal usunął go z etatu na Uniwersytecie w Rouen. Nicolle z żoną Alice oraz dwoma synami, siedmioletnim Marcelem i pięcioletnim Pierre'em, przypłynął objąć stanowisko odrzucone przez starszego (i bardziej znanego) brata: posadę dyrektora Instytutu Pasteura w Tunisie, filii paryskiej instytucji.

Już od momentu przybycia do Tunezji Nicolle gorliwie propagował nieintuicyjne odkrycie Pasteura, że niewielkie bakterie potrafią wywołać olbrzymie problemy, takie jak masowe umieranie ludzi. Uważał się za żołnierza walczącego ze straszliwym wrogiem. „Gdyby te mikroorganizmy [...] miały jakikolwiek rozum albo minimalną inteligencję”, powiedział raz koledze, „mogłyby błyskawicznie zniszczyć i zlikwidować ludzkie populacje na tej planecie”.

Zdaniem Nicolle'a w Afryce najniebezpieczniejszy był tyfus. Ta powszechna wśród ubogich mieszkańców wsi choroba miała trzy zasadnicze objawy: gorączkę, wysypkę i ośpienie. W zamkniętych środowiskach, takich jak więzienia czy koszary, często rozrastała się do rozmiarów śmiertelnej epidemii.

Nicolle, w białym kitlu narzuconym na gruby węzeł wzorzystego krawata, spędzał długie godziny przy moździerzu, mikroskopie, drewnianych patyczkach, gazowym palniku Bunsena, szeregu zakorkowanych laboratoryjnych zlewek i słoików wypełnionych przezroczystymi płynami, a także najukochańszym jego narzędziem: strzykawce.

Strzykawka zachowywała się niczym pasożyt o szklanym odwłoku i metalowym, ściętym ryjku. Ożywała w dłoni Nicolle'a. Ssała krew z jednej żyły i zwracała do drugiej. Najpierw badacz podawał ludzką krew skażoną tyfusem makakowi. Potem miał różne owady i wstrzykiwał ich szczątki innym małpom.

Między iniekcjami Nicolle napisał list polecony do Paryża z prośbą o wysłanie szympansa. Gdy zwierzę dotarło, Francuz podał biedakowi dawkę ludzkiej krwi skażonej tyfusem. Szympanś zachorował. Nicolle ocalał – nie samo zwierzę, ale jego zakażoną krew, którą wyssał swą wierną strzykawką i podał kolejnym małpom, z powodzeniem zarażając je tyfusem.

W pewnym momencie to całe kłucie podsunęło Nicolle'owi pierwszorzędną myśl dotyczącą zasadniczej prawdy nauk eksperymentalnych: wszczepianie ssakom naczelnym śmiertelnych chorób jest kosztowne. Zajął się więc gryzoniami, wiedząc, że można je zarażać w bardzo rozsądnej cenie.

Od tamtej pory laboratorium Nicolle'a zawsze posiadało zapas niewielkich, ćwierkających gundii – gryzoni tak dobrze przystosowanych do suchego środowiska Afryki Północnej, że mogą całe życie przeżyć bez łyku wody. Aby gundie nie uciekały, Nicolle wprowadził do laboratorium populację swobodnie poruszających się kotów, które miały to samo zadanie, co rekiny w wodach zatoki otaczającej wyspę Alcatraz.

W 1903 roku doniesiono o epidemii tyfusu w więzieniu położonym kilkadziesiąt kilometrów na południe od Tunisu. Nicolle wraz z dwoma innymi lekarzami zaplanował wizytę, która okazała się zupełnym fiaskiem. Dla niego chwilowym, bo złapał przeziębienie i w ostatniej chwili ją odwołał, a dla pozostałych dwóch permanentnym: pojechali, zarazili się i zmarli. W sumie jedna trzecia lekarzy w Tunisie umierała na tyfus.

Ostrożnemu Nicolle'owi odwiedziny w więzieniach zdały się wobec tego zbyt niebezpieczne. Chciał jednak zobaczyć, jak tyfus funkcjonuje w obrębie całej populacji, nie tylko jednostki. Dlatego następnym razem, gdy wybuchła epidemia w całym kraju, udał się do najgorętszego miejsca akcji: szpitala Sadiki.

\*\*\*

Tunezja Nicolle'a bardziej przypominała Grafton, niż mogłoby się pozornie wydawać. Aby mieć pewne pojęcie na temat wspólnej dynamiki politycznej tych dwóch miejsc, warto zwrócić się ku opisom płodnego pisarza Guy de Maupassanta. Piętnaście lat przed przyjazdem Nicolle'a dostarczył on francuskiej publiczności żywego opisu szpitala Sadiki, który mieścił się w budynku dawnych koszar z łaźnią mauretańską i służył ówczesnie za zakład dla obłąkanych.

Zdaniem Maupassanta u szalonych Arabów i Afrykanów przetrzymywanych w Sadiki wykształciła się inna, bardziej przerażająca forma obłądzenia niż ta występująca w spokojniejszych zakładach europejskich. Opisywał pacjentów Sadiki jako mężczyzn „o twarzach zszarzałych i upiornych”, którzy „w swych celach podskakiwali w górę i w dół jak zwierzęta w menażerii”, wydając z siebie „ciągły, straszliwy śmiech”. Jeden człowiek, pisał Maupassant, „śmieje się i krzyczy, tańcząc jak niedźwiedź”. W swoim sprawozdaniu, chętnie powtarzanym przez francuskie czasopisma psychiatryczne, donosił, że większość Arabów przebywających w Sadiki sama na siebie sprowadziła szaleństwo przez palenie haszyszu. Sądził wręcz, że ich stan umysłu mu się udziela: on sam poczuł „oddech nierozumu wdzierający się w mą duszę; zaraźliwy i przerażający wyziew”. (Rzeczywiście, sześć lat później spowodowana syfilisem paranoja popchnęła Maupassanta do próby poderżnięcia sobie gardła, po której



został zamknięty w zacnym paryskim zakładzie, jak najwyraźniej preferował).

Przedstawiony przez niego kwiecisty i dość okrutny opis Afrykanów dotkniętych chorobą psychiczną był dla Francuzów bardzo wygodny. Do Tunezji zawitali niedługo wcześniej, i to w wątpliwych okolicznościach. Po kongresie berlińskim w 1878 roku, podczas którego prowadzono pertraktacje dotyczące panowania nad tym krajem, Francuzi potraktowali najazdy tunezyjskich plemion na okupowaną przez nich Algierię jako pretekst do ataku. Granicę przekroczyło 36 tysięcy żołnierzy francuskich. W 1881 roku formalnie ustanowiono protektorat.

Nie podobało się to oczywiście Tunezyjczykom, którzy nie mogli doczekać się niepodległości po upadku poprzedniego kolonizatora, czyli Imperium Osmańskiego. A trudno im było argumentować na rzecz samostanowienia, skoro Maupassant i jemu podobni opisywali Tunis, ich stolicę, w krzywym zwierciadle, ze szczególnym uwzględnieniem przytułków, burdeli i rysztołów (które – jak pisał wspomniany autor – „przesuwały swe powolne i mdlące błoto przez nasączoną brudem ziemię”).

Doktor Charles Nicolle brał więc udział w inwazji francuskich administratorów, którzy w dobrej wierze pragnęli nieść dzikim Maurom Tunezji wysokie standardy Francji. (Jako przykład tych wysokich standardów można wspomnieć, że w tamtym czasie we Francji kontynentalnej wskutek brutalnych demonstracji rząd został zmuszony ograniczyć dzień pracy francuskich kobiet i dzieci do zaledwie jedenastu godzin).

Tunezyjczycy, co zrozumiałe, niezadowoleni z nowego panowania Galów, prowadzili przedłużającą się kampanię zorganizowanego oporu. Taktyki walczących o wolność zaczynały się od przemocy na ulicach, a kończyły na zamachach.

Zgodnie z ustaleniami badaczy kolonializmu, na przykład profesora Daniela Butta z uniwersytetu oksfordzkiego, relacje władzy w okupowanej przez Francuzów Tunezji bynajmniej nie były jedyne w swoim rodzaju, ani nawet szczególne. O kolonializmie często myśli się jako o zjawisku z przeszłości, czarnej karcie w historii ludzkości. Butt idzie inną ścieżką, definiując kolonializm poprzez trzy zasadnicze cechy utrzymujące się do współczesności. Po pierwsze, kolonialni ciemniejący poddają sobie grupę ludzi, najczęściej ograniczając ich udział w decyzjach politycznych i sądowniczych. W tym przypadku Francja unieszkodliwiła rząd tunezyjski, zapewniając go wyznaczonymi Francuzami i ich sojusznikami.

Po drugie, według Butta kolonizatorzy wymazują rdzenną kulturę i w jej miejsce narzucają swoje obyczaje. Francuzi dokonali tego przez założenie sieci szkół, w których arabskie i afrykańskie dzieci uczono języka francuskiego i kultury europejskiej.

Po trzecie, Butt rozprawia się z przekonaniem o dobroczynności kolonializmu. Najeźdźcy wyzyskują podbitych, na przykład przez nakładanie niesprawiedliwych podatków. Francuzi bez skrępowania wykorzystywali naturalne zasoby Tunezji do budowy placówek zdrowia publicznego (takich jak Instytut Pasteura w Tunisie), urzędów i dróg. Wszystkie te trzy cechy charakterystyczne dopełniają się, tworząc pełny obraz kolonializmu proponowany przez profesora Butta.

Wyróżniki kolonializmu brzmiałyby znajomo w Grafton, gdzie pragnący wolności mieszkańcy od dawna duszą się pod butem najeźdźcy. Ale już to, czy byli nim europejscy osadnicy wypierający Abenaków, wolnomiasteczkowcy wnikający w szeregi miejscowych czy rząd amerykański nieprzestający roztaczać władzy nad wymykającym się spod kontroli Grafton, zależy od punktu widzenia.

\*\*\*

W szpitalu Sadiki Nicolle odkrył związek między wszami głowowymi a tyfusem. Dał światu gotową receptę: wybij wesz, a zakończysz zakażenia. Mimo że ogniska tyfusu wciąż pojawiały się na wiejskich terenach Tunezji, gdzie każde rozwiązanie proponowane przez władze francuskie spotykało się z nieufnością, za globalne skutki odkrycia przyznano Nicolle'owi Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Od tego czasu Instytut Pasteura w Tunisie nie zanotował podobnych osiągnięć.

Ostrożny niegdyś Nicolle coraz chętniej dawał odpór establishmentowi medycznemu i dążył do wolności osobistej. Rozwiódł się z żoną i pomimo jej usilnych protestów odesłał rodzinę do Francji. Podróżował po świecie, rozdając zatyfuszone gundie jako upominki dla swoich gospodarzy naukowców. Zaczął surowo krytykować w szczególności Instytut Pasteura w Paryżu, a w ogólności centralizację władzy i zasobów w medycynie.

„Niektóre rewolucje są użyteczne. To, co najgorsze, może okazać się koniecznością” – pisał. „Gdy maszyna jest zardzewiała albo mechanik głupi, egoistyczny, niedołączny, należy wymienić tę pierwszą, a wyrzucić tego drugiego. Proces będzie brutalny tylko wtedy, gdy spotka się z oporem”.

W pewnym momencie nowy apetyt Nicolle'a na ryzyko wzrósł, a jego pasja do igieł przybrała mroczniejszą postać. Goniąc za szczepionką na tyfus, brawurowo zaszalał z miksturą zainfekowanej krwi i kilku innych składników.

„Podalem ją sobie” – ogłosił wkrótce potem. Niezwykłe było już to, że w ogóle żył i był w stanie złożyć to oświadczenie, ale sam twierdził, że nie doznał żadnych negatywnych skutków. Niestety ta reakcja organizmu go ośmieliła.

„Następnie wstrzyknąłem ją kilkorgu dzieci...” – pisał. „Możecie sobie Państwo wyobrazić, z jakim przestachem zaobserwowałem, że zachorowały na tyfus”.

Na szczęście dla Nicolle’a dzieci (których nie wymienił z nazwiska) wydobrzały. Na nieszczęście: nigdy nie odkrył szczepionki. Dokonał tego wreszcie polski naukowiec [Rudolf Weigl – przyp. tłum.] znający prace Nicolle’a.

Choć Francuza zapamiętano głównie za pracę nad tyfusem, znacznie mniej nagłośniony aspekt jego badań miał się okazać równie ważny dla Grafton i całego świata.

Zacząło się od małej tajemnicy. W 1908 roku po niespodziewanej śmierci kilku gundii w laboratorium Nicolle dostrzegł w ich tkankach wątrobowych zarazki o intrygująco półksiężycowatym kształcie. Ze współpracownikiem wkrótce odkryli, że patrzą na mikroskopijnego, nieopisanego dotychczas pasożyta. Ochrzcili go mianem *Toxoplasma gondii*. Nazwa wynikała z pomyłki Nicolle’a, sądzącego, że w laboratorium trzyma „gondie”, a nie gundie; w przeciwnym razie prawidłowo nazwałby pasożyta *Toxoplasma gondii*. Gondia czy gundia, odkrycie było brzemiennie w skutki.

Inni badacze mieli wkrótce zaobserwować, że *T. gondii* nie występuje u wolno żyjących tunezyjskich gundii. Tak powstało kłopotliwe pytanie: skoro patogen nie pochodził z zewnątrz ani nie wprowadził go Nicolle swoją wierną strzykawką, to jak dostał się do odosobnionej populacji gundii w tuniskim laboratorium? Nicolle jednak, pochłonięty badaniami nad tyfusem, nigdy istotnie nie wrócił do kwestii *T. gondii*. Pytanie pozostało bez odpowiedzi przez następnych sześćdziesiąt lat. Kiedy naukowcy wreszcie ją znaleźli, Nicolle nie miał zbyt wiele do dodania – być może dlatego, że na długo przedtem zdążył sam umrzeć na tyfus.

Tymczasem naukowcy dowiedzieli się, że *T. gondii* zabija nie tylko gundie, ale w ogóle bardzo różne zwierzęta w bardzo różnych miejscach: wydry w morzu, króliki w Brazylii, pewnego kota w Nowym Jorku, owce w Nowej Zelandii oraz psy we Francji, Indiach, Tunezji i Stanach Zjednoczonych. I o ile powszechnie nie zdawano sobie sprawy z jego istnienia, o tyle pośród naukowców *T. gondii* został uznany za jednego z najbardziej wszechstronnych pasożytów świata, zdolnego do szturmu na narządy wewnętrzne niemal każdego ciepłokrwistego zwierzęcia na Ziemi.

Łącznie z ludźmi.

Mimo że toksoplazmoza (zakażenie pasożytem *T. gondii*) wiąże się u ludzi z szeregiem bardzo poważnych objawów (w tym śmiercią), raczej nie rzuca się w oczy, ponieważ u większości osób zdrowych pierwotniak po prostu zostaje pasażerem na gapę i nie wywołuje widocznych nieprzyjemnych skutków. A ponieważ nikt nie wiedział nic o konkretnych sposobach przekazywania *T. gondii*, najlepszą ochroną było długie gotowanie mięsa, co ludzie już i tak czynili, by chronić się przed różnymi innymi zarazkami.

Odpowiedź na tajemnicę zakażenia gundii przyszła w 1972 roku, kiedy badacze mieszczej się w Honolulu Pacific Southwest Research Station odkryli, że *T. gondii* występuje w odosobnionych populacjach szczurów, nietoperzy i ptaków mieszkających na niewielkich atolach – ale tylko jeśli żyją tam również koty. Inni naukowcy potwierdzili, że na pozbawionych kotów wyspach w Australii i Stanach Zjednoczonych nie ma pasożyta.

Powoli ujawniała się natura związku pomiędzy kotami a pierwotniakami. Choć larwy *T. gondii* potrafią wykluć się z jaj wewnątrz niemal każdego ssaka, nie rozmnażają się i nie składają kolejnych poza wnętrznościami kota. Następnie jaja rozprowadza po świecie kocia kupa. Inne zwierzęta, które miewają z nią do czynienia (łącznie z ludźmi, przez

ostatnich dziewięć tysięcy lat żyjącymi w bliskim sąsiedztwie kotów domowych), mimowolnie je przejmują i zostają nosicielami pasożytów.

Gdyby ktoś to powiedział Nicolle'owi w 1908 roku, zapewne wskazałby patrolujące laboratorium koty jako prawdopodobną przyczynę obecności *T. gondii* u gundii (czy, jak wolał badacz, gondii).

Rewelacje o kocim nosicielstwie potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznego pasożyta przełożyły się na falę ostrzeżeń medycznych dla ciężarnych kobiet, by trzymały się z dala od kuwet i innych miejsc, gdzie znajdują się kocie odchody. Około 2005 roku w literaturze naukowej nastąpił jednak szczególny zwrot.

Dla pasożyta, który żyje w gryzoniu, dostanie się do kota może być wyzwaniem. Szczur przecież raczej ucieka przed zapachem kociego moczu. Tymczasem naukowcy odkryli, że szczury zakażone toksoplazmozą nie wykazują strachu przed moczem kota – wręcz przeciwnie, zapach przyciąga je, a nawet podnieca.

Do manipulacji – doskonale służącej interesom pasożyta, a interesom szczura wcale – dochodzi, kiedy pierwotniak tworzy torbiele w mózgu szczurzego nosiciela. Cysty te zaburzają produkcję enzymu zwanego hydroksylazą tyrozynową, odgrywającego istotną rolę w wytwarzaniu sterującej doznaniem dopaminy. Panowanie nad poziomem dopaminy nie umożliwia pasożytowi bezpośredniego poruszania mięśniami nosiciela, ale daje coś jeszcze lepszego: wpływa na to, co się szczurowi wydaje przyjemne.

Nagłówki gazet błyskawicznie rozniosły po świecie wieść o tym, że pasożyt kontroluje mózgi. Artykuły czytały ssaki naczelne nawet nieprzypuszczające, że ich własne pochłonięte smartfonami zwoje mogą ulec temu samemu pasożytowi.

Do ssaków naczelnych przejętych tą wiadomością należał Robert Sapolsky, neuroendokrynolog na Uniwersytecie Stanforda studiujący oddziaływanie *T. gondii* na mózg.

„Masz szczura zakażonego tokso. Robi coś durnowatego, przed czym powinien z natury się płoszyć, to znaczy wchodzi kotu prosto do pyska” – powiedział Sapolsky. „To może jak będziesz miał zakażonego tokso człowieka, wykaże on skłonność do innych durnowatych zachowań, do których powinien żywić naturalną niechęć”.

Szczury nie mają monopolu na używanie hydroksylazy tyrozynowej ani dopaminy – przecież wszystkie ssacze mózgi, także te zamknięte w ludzkich czaszkach, posługują się dopaminą w tak zwanych przez naukowców procesach motywacyjnych. Są to istotne operacje poznawcze przyciągające nas do rzeczy pożądanых i przyjemnych, takich jak przytulanie i sernik, a odpychające od zagrożeń, takich jak strzały z broni palnej i fora na Reddicie.

Sapolsky powołał się przykładowo na badania wykazujące, że zakażeni tokso ludzie z trzy- lub nawet czterokrotnym prawdopodobieństwem zginą w wypadkach samochodowych związanych z brawurową prędkością.

Inni badacze odkryli, że za sprawą toksoplazmozy ludzie chętniej sięgają po *bondage* i masochizm w sypialni. Zakażonych mężczyzn cechuje wyższy poziom testosteronu i większa skłonność do lekceważenia przepisów prawa (takich jak zagospodarowanie przestrzenne czy zalecenia co do kontaktów ludzko-niedźwiedzich, by posłużyć się dwoma zupełnie losowymi przykładami). Badanie przeprowadzone wśród byłych żołnierek wykazało, że u zakażonych tokso częściej występują depresja, dezorientacja, gniew i dysforia. A ponieważ zarażeni mniej się obawiają negatywnych konsekwencji, częściej odbierają sobie życie czy też nałogowo się objadają.

Są tacy, którzy wierzą, że szczepionki powodują autyzm, a woda może być żywa. Ja natomiast rozwinąłem własną postrzeloną teorię: że w losach Free Town szczególnie istotną rolę odgrywała toksoplazmoza.

Czy pasożyty rzeczywiście przedstawiają graftedych jak foremki w piaskownicy? Odpowiedź na to pytanie jest niejasna. Zajmujący się toksoplazmozą naukowcy nigdy nie przebadali odsetka zakażeń wśród mieszkańców Grafton. Siłą rzeczy mam więc tylko poszlaki. Gdyby jednak chcieć sobie wyobrazić społeczność szczególnie podatną na epidemię *T. gondii*, mieszkańcy Grafton znaleźliby się w modelu: teren, na którym ludzie mieszkają w nietypowych siedzibach, niespełniających standardów czystości wody i kanalizacji, a pomiędzy ogrodami, lasami i sypialniami swobodnie poruszają się koty. Kultura tej społeczności obejmowałaby pogardę dla eksperckich porad urzędników zajmujących się przyrodą i zdrowiem publicznym, a zatem obniżone przestrzeganie norm społecznych, takich jak mycie rąk czy dogotowywanie dziczyzny.

A gdyby sobie następnie wyobrazić wpływ wysokiego odsetka zakażonych na tę społeczność, również wyszłoby to bardzo podobnie jak w Grafton: ogólna niechęć do władzy, ludzie podejmujący bardzo ryzykowne zachowania, szczególnie neurotyczne kobiety i napędzane testosteronem, podwyższone ryzykanctwo mężczyzn.

Moglibyśmy zbyć pomysł miasteczka opanowanego przez toksoplazmozę jako bankietową dykteryjkę – a zresztą może powinniśmy. Warto jednak pamiętać, że na tę imprezę prawie na pewno przyszedł też pasożyt. Jelitową kwaterę u gości dzieli z malinowymi margaritami i grzankami z wędzonym łososiem. Toksoplazmoza nie jest rzadką chorobą dotykającą garstkę osób znikomych na punkcie kotów. Jej powszechność wystarcza do tego, żeby wpływała na społeczeństwa, kultury i gospodarki narodowe.



Badacze szacują, że jedna na trzy osoby na świecie została zakażona toksoplazmozą. Niektóre populacje odznaczają się znacznie wyższym odsetkiem, zapewne związanym ze zjawiskami takimi, jak posiadanie kotów, kulturowe praktyki higieniczne oraz dostęp do nowoczesnej infrastruktury. W Stanach Zjednoczonych szacowany odsetek zakażonych to 11 procent, ale w innych krajach dochodzi nawet do 60 procent. Pewne badanie z 2018 roku dowiodło, że kraje o wysokim wskaźniku zakażenia wykazują się odpowiednio wysokim wskaźnikiem przedsiębiorczości – przypuszczalnie dlatego że pasożyt wywołał krótkie spięcie w tej części mózgu chorych, która zazwyczaj odpowiada za obawę przed plajtą.

Czytając artykuły naukowe, zastanawiałem się, czy libertariańscy kolonizatorzy Grafton uznaliby działania pasożyta za naruszenie ich wolności, czy może traktowaliby je bardziej jak kanibalizm za zgodą jedzonego, niefortunny skutek świadomej decyzji, by wejść w kontakt z kocią kupą.

Tę niepokojącą myśl na drugi plan odsunęła kolejna, jeszcze bardziej niepokojąca: czy nosicielami *T. gondii* są też niedźwiedzie?

Wkrótce zacząłem czytać badania amerykańskiego Departamentu Rolnictwa [US Department of Agriculture, USDA], który w 1995 roku zwrócił się do myśliwych o to, by wycinali zabitym baribalom serca i wysyłali je na testy do laboratorium w Beltsville (Maryland). Gdy niektóre serca dały pozytywny wynik badań na występowanie *T. gondii*, naukowcy wrzucili porcję zakażonego mięsa do blendera i podali je kotom, by zobaczyć, czy pasożyty występujące w organizmie niedźwiedzia były zdolne zakończyć swój cykl życiowy w kocie. Może to brzmi okrutnie i koszmarne, takie zresztą jest – ale nie aż tak w porównaniu z innymi praktykami stosowanymi w ramach programu USDA poświęconego toksoplazmozie. W 2019 roku laboratorium zamknięto, dziennikarze

ujawnili bowiem, że przez trzydzieści siedem lat kupowało ono martwe psy i koty z azjatyckich targów mięsnych i karmiło nimi rozmnażane na miejscu kocięta, a także usypiało i spopielalo tysiące kotów i kociąt.

Pomimo metod rodem z horroru badanie niedźwiedzich serc przyniosło ciekawe wyniki. Występowania toksoplazmozy w baribalach należało się spodziewać. Do tamtego momentu *T. gondii* pokazał się już we wszystkich stworzeniach od dzików po kangury. Zaskoczyło mnie natomiast to, jak wiele niedźwiedzi miało pasożyty w swoich płynach ustrojowych.

Żadne zwierzęta na Ziemi nie mają wskaźnika zakażeń tak wysokiego jak niektóre populacje niedźwiedzi czarnych: badanie z Pensylwanii wykazało 80 procent, jedna populacja w Karolinie Północnej zanotowała 84 procent, a inne populacje – niemal 100 procent.

Skłonność niedźwiedzi do niuchania, badania pyskiem, chapania i połykania wszystkiego, na czym mogą położyć swoje chciwe pazury, zapewne sprawia, że pochłaniają wiele rzeczy zawierających *T. gondii*.

W jaki sposób zachęcający do ryzyka pasożyt oddziałuje na zachowanie stu pięćdziesięciokilowego niedźwiedzia, który dosłownie z dwóch kilometrów potrafi wywąchać batonika znajdującego się w twojej kieszeni? Tego nikt nie wie. Większość badań prowadzona jest z punktu widzenia zdrowia publicznego. Ta perspektywa w dużej mierze pomija szkodliwe dla zdrowia aspekty bycia zaatakowanym przez niedźwiedzia. Nauka została w tym przypadku zaprzęgnięta w służbę zaleceń sanitarnych, a więc założenie jest takie, że to niedźwiedzie będą atakowane, a następnie jedzone, w związku z czym z zabitymi osobnikami należy obchodzić się higienicznie: odpowiednio oporządzać mięso i dobrze je gotować. Jeszcze inni naukowcy chcą chronić zdrowie publiczne dzięki opracowaniu szczepionki na *T. gondii*.

Wysiłek ograniczenia występowania *T. gondii* w równym stopniu, co od nauki, będzie zależał od polityki. Kiedy Charles Nicolle odkrył tajemnicę zarażeń tyfusem, ogniska tej choroby wciąż płonęły na wsiach, gdzie za sprawą głębokich podziałów pomiędzy francuskimi kolonizatorami a tunezyjskimi bojownikami o wolność raczej ignorowano zalecenia władz. Natomiast w dzisiejszej Ameryce różne społeczności i grupy demograficzne w odmienny sposób poddają się pasożytom i innym chorobom zakaźnym. Może więc uda się opracować szczepionki czy rozpowszechnić bardziej higieniczne praktyki polowania, ale powszechne szczepienia i patrzenie na ręce myśliwym to dokładnie takie działania, do jakich nieufnie odnosi się wielu graftedychów.

Libertarianizm całkowicie zbudowany jest na uroku dokonywania wolnego wyboru w sprawie posiadania broni palnej, poślubienia, kogo się chce, odebrania sobie życia, strzelania do niedźwiedzi, przeklinania w towarzystwie czy kupowania niezdrowych ilości napojów słodzonych w mieście Nowy Jork[25]. Urok ten ulatnia się, jeśli decyzje podejmuje pasożyt.

Poza tym, jak zauważa Robert Sapolsky, *T. gondii* może nie być jedynym takim zarazkiem na świecie. Badacz od lat propaguje teorię, że wolna wola to raczej coś, co ludzie wymyślili, by nie mierzyć się ze znacznie mniej zadowalającą rzeczywistością, w której za większość naszych decyzji odpowiadają kultura, reakcje chemiczne w mózgu, bakterie w brzuchu i – w szczególności – pasożyty.

.....

[24] Robert Louis Stevenson, *Wyspa skarbów*, przeł. Józef Birkenmajer, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków 1998, s. 129.

[25] W 2012 roku władze Nowego Jorku z burmistrzem Michaeliem Bloombergiem na czele zaproponowały wprowadzenie zakazu sprzedaży w lokalach gastronomicznych napojów słodzonych w naczyniach przekraczających pojemność 16 uncji (ok. 0,5 litra). Zakaz został uchwalony na terenie miasta w 2013 roku, ale rok później uznano go za niekonstytucyjny. Propozycja do tej pory ma swoich zwolenników i przeciwników.

## Plan pastora

*Niedźwiedź się ośmiela wkraść do jaskini lwa?*

*Raz spadła z góry łapa odebrałaby  
wzrok i męskość, życie samo, tobie.*

*Odejdź, bym cię nie przeklął  
I nie uczynił ohydą tego świata.*

— Alfred Lord Tennyson, *Becket*, 1884

Tę samą zimę, która łupała w kościach Jessikę Soule na początku 2021 roku, mocno odczuł też John Connell.

Za dnia Connell z przyjemnością oglądał, jak grube warstwy śniegu wygładzają krajobraz tak, że staje się zarówno nieskazitelny, jak i figlarny. Ponieważ mężczyzna miał swobodę spędzania dni tak, jak chciał, przechadzał się po cichych, mroźnych katedrach sosnowego lasu i w raketach śnieżnych wspinał na wzgórze, by u stóp zobaczyć iskrzący zimowy pejzaż. Bliżej domu zażywał ruchu, odśnieżając parking kościoła, aż twarz pod bielejącymi włosami przybierała kolor buraczanej czerwieni, a czubek nosa piekł od mrozu. Układał kopce z lodowych płyt i tworzył w ten sposób rzeźby w stylu sztuki zen, którym robił później zdjęcia. Znać w nich było oko fotografa amatora z artystycznymi aspiracjami.

Takie zajęcia pompowały mu rozgrzaną krew do każdej kończyny. Ale dużo gorzej radził sobie z zimnem, gdy nocą siedział pod dachem. Już na

początku stwierdził, że ściany kościoła są jak sito: znaczna część ciepła wytwarzanego przez stary piec przesączała się prosto do lodowatego świata zewnętrznego, a Connell marzył. Wiele godzin spędził pod nieszczelnym dachem Kościoła Pokojowych Zgromadzeń w swojej zastawionej gitarami kwaterze przylegającej z jednej strony do dużej, ale zagraconej przestrzeni głównej sali spotkań, a z drugiej do niewielkiej spiżarni.

Szybko kończyły mu się pieniądze na rachunki za media. Tak naprawdę szybko kończyły się mu pieniądze na wszystko. Przez swoje kanały w mediach społecznościowych wysłał komunikat ostrzegający przyjaciół kościoła, że fundusze szcupleją.

„To nie potrwa długo” – pisał.

Co gorsza, samorząd miasteczka zdawał się zdeterminowany, by wciągnąć Connella w jeszcze większe kłopoty finansowe. W grudniu mężczyzna otrzymał wezwanie do zapłaty podatku opiewające na 2186 dolarów i wiedział, że będzie jeszcze wiele następnych. Ponownie złożył w urzędzie wnioski o zwolnienie od podatków i ponownie – skoro nie miał statusu organizacji *non profit* nadawanego przez IRS – rada miasteczka zagłosowała za jego odrzuceniem.

Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Często publikował w mediach społecznościowych i na forach wolnościowych posty, w których uskarżał się swoim zwolennikom na urzędników.

„Zrobiło się poważnie” – pisał Connell. Obiecywał, że poświęciwszy już całe oszczędności emerytalne, by ufundować kościół, bardziej niż chętnie postawi wszystko – „moje życie, mój majątek i mój uświęcony honor” – w walce przeciwko podatkom.

Przez cały czas starał się też animować życie kościoła. Pewnego czwartkowego wieczoru gościł próbę chóru Richa „Dicka Angela” Angella

z przyjaciółmi. Śpiewali oni *Przewlekłe pastorałki świętego ziołaja* – serię parodii świątecznych klasyków, których słowa zastąpiono tak, by podejmowały tematykę libertariańską.

Gdy zima wreszcie rozluźniła chwyt, wiosna przyniosła Connellowi nie tylko ciepło, lecz także nadzieję. Wybawienie nadeszło – jak zresztą chyba niejednokrotnie – z góry.

Przemówił do niego Bóg – za pomocą tego samego wewnętrznego głosu, którym polecił byłemu robotnikowi fabrycznemu zakup kościoła.

Gdy Bóg przemawiał Connellowi prosto do umysłu, posługiwał się techniką komunikacji znaną wśród wierzących jako lokucja wewnętrzna. Kościół katolicki propaguje wierzenie, że można w ten sposób bezpośrednio usłyszeć Boży głos. Największy szkopuł tkwi jednak w tym, że nie wszystkie słyszenia pochodzą od Boga. Niektórzy ludzie nie potrafią odróżnić prawowitego przekazu od „lokucji fałszywych”, które biorą się albo od złych duchów, albo z podświadomości, przez co są wyrazem ludzkich pragnień.

Od wewnętrznych słyszeń zaczął się niejeden ogólnościowy ruch religijny (w tym Kościół Zjednoczeniowy skupiony wokół boskich objawień, które rzekomo były udziałem wielebnego Moona). Słowa Boga adresowane do Connella miały jednak mniejszy rozmach.

Connell naturalnie zakładał, że – skoro Bóg polecił mu porzucić wszelkie obawy o przyszłość i zainwestować oszczędności życia w kościół – dożyje końca swoich dni w tymże kościele, działając z boskiego nadania.

Jednak latem 2012 roku, kiedy skwar i susza zaczęły wzbudzać w niedźwiedziach w lesie palącą desperację, Connell miał słyszenie, że czysta misja Kościoła Pokojowych Zgromadzeń w istocie nie była

przedsięwzięciem długoterminowym. Miała ona potrwać tylko około trzech lat, z których dwa już minęły.

Termin objawiony Connellowi w lokucjach doskonale zbiegał się z datą 1 sierpnia 2013 roku, od której w jego rozumieniu miasteczko miało prawo zarekwirować nieruchomość za niepłacenie podatków.

Connell miał kolejne słyszenia. Powinien przygotować się na rozdanie wszystkiego, aby nie dać się okraść „czczącym Gubernatora Wszechmogącego sojusznikom łotrów” (jak zwał ich Bóg, co Connell odnotował w swoich postach na forach wolnościowych).

Według wyjaśnień Connella Bóg następnie przeszedł do konkretów. Poleciał, by nie rozdawać rzeczy natychmiast, a jedynie się do tego przygotować. Gdy nadejdzie czas, Bóg da Connellowi znak i dopiero wtedy wprowadzi on w życie plan pozbycia się wszystkich dóbr doczesnych. Bóg powiedział mu też, by nie ustalać terminu, w którym poszczególne członkowie rady miasta (nazywani przez Boga w jego wiekuistym dowcipie „radą łotrów”) mogą jeszcze wrócić na ścieżkę prawości.

Bóg przekazywał też Connellowi wsparcie emocjonalne. Gdy poleciał mu kupić kościół, przekaz głosił: „Nie martw się”.

I Connell się nie martwił.

Teraz Bóg rzekł: „Bądź cierpliwy i nieporuszony”.

Więc Connell postanowił być cierpliwy i nieporuszony. Gdy tak dumiał nad tym, co wie o boskim planie, wszelki niepokój odszedł jak ręką odjął. Plan nie uczyni go biednym i bezdomnym; pozwoli mu natomiast uciec od nakazu wezwania do zapłaty i dać nauczki urzędnikom prześladowującym go przez ostatnie dwa lata.

Plan ten miał zadziałać tak: układanie się z urzędem skarbowym jest wbrew zasadom wyznawanym przez Connella. Ale być może mężczyzna



mógłby obejść swoje zasady, oddając kościół komuś innemu, kto nie podziela jego niechęci do kontaktów z organami federalnymi.

Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakąś godną zaufania grupę, razem przeskoczyliby przez biurokratyczne płotki stojące na drodze do uczynienia Kościoła Pokojowych Zgromadzeń organizacją *non profit* i tym samym ominęli problem podatków.

Pomysł ten pojawił się chyba po raz pierwszy w rozmowie Connella z Jeremym Olsonem, informatykiem, który przeprowadził się w okolice Grafton z Massachusetts w 2007 roku. Olson był wschodzącą gwiazdą społeczności działaczy libertariańskich. W jego CV widniało planowanie zlotów motocyklowych w Canaan Lions Club, prowadzenie badań dla New Hampshire Liberty Alliance i wszystko pomiędzy. Był również dyrektorem organizacji Citizens for Criminal Justice Reform [Obywatele dla Reformy Wymiaru Sprawiedliwości] oraz zajmował pomniejsze stanowiska w samorządzie Grafton: jednego z zarządców niewielkiego portfolio funduszy powierniczych miasteczka oraz członka zastępczego rady zagospodarowania przestrzennego.

Olson pomógł Connellowi sporządzić listę osób, które razem z nim utworzyłyby organizację *non profit* i weszły do jej zarządu. Zaproponował ludzi związanych z Free Town Project. Zgodzili się na „założyciela” wolnomiasteczkowców Boba Hulla, który swojemu milczącemu usposobieniu zawdzięczał przydomek Cichy Bob; Jaya Bouchera, mieszkającego na posesji Hulla ochotnika w straży pożarnej Babiara (to Boucher mocno popchnął Mike’a Barskey’ego podczas dysputy o formach do betonu poprzedniej jesieni); Toma Ploszaja, niebędącego libertarianinem, ale zawsze jakoś angażującego się w sprawy libertarian; oraz trzydziestodwulatka Jamesa Reihera, kolejnego lokalnego działacza, który często pojawiał się na zgromadzeniach libertarian.

Plan zdawał się tak doskonałym unikiem, że wkrótce Connell z zapałem się nim chwalił, nawet publicznie. Choć wciąż czekał na znak od Boga, by wprowadzić go w życie, zaczął mówić ludziom, że planuje „zmiany w strukturze organizacyjnej”.

Connell chciał być pewien, że w razie gdyby Bóg polecił mu zrzeczenie się własności budynku kościoła, wciąż będzie mógł kontynuować duchowe dzieło. Jak relacjonował później, w długich rozmowach z Olsonem i innymi zastrzegał, że życzy sobie żelaznych zabezpieczeń wbudowanych w umowy. Musieliby mu pozwolić, aby dożył swoich dni w roli pastora rezydenta i zakrystiana w kościele ze swobodą prowadzenia działalności religijnej. Gdyby kiedykolwiek stwierdzili, że nie potrafią zgodnie współistnieć z jego działalnością, będą mieli możliwość przepisania nieruchomości z powrotem na niego. A żeby jeszcze utrudnić zarządowi *non profit* złamanie umowy, wszelkie zmiany miały być uchwalane jednogłośnie przez wszystkich jego członków, a nie w systemie większościowym.

Zdawało się, że Connell zadbał o każdy szczegół. Wszystkie te zapisy umowy – dożywotnia nominacja, jednogłośny proces decyzyjny, klauzule umożliwiające zwrot nieruchomości Connellowi – stanowiły zadanie na długie godziny pracy prawnika. To jednak trąciłoby biurokratycznym, rządowym bełkotem.

Zamiast tego więc tylko uścisnęli sobie dłonie.

## Buńczuczność baribala

*Kiedy zaś postępował drogą, mali chłopcy wybiegli z miasta i naśmiewali się z niego wzgardliwie, mówiąc do niego: „Przyjdź no, łysku! Przyjdź no, łysku!”. On zaś odwrócił się, spojrzął na nich i przeklął ich w imię Pańskie. Wówczas wypadły z lasu dwa niedźwiedzie i rozszarpały spośród nich czterdzieści dwoje dzieci.*

— 2 Księga Królewska 23–24, Biblia Tysiąclecia

Na początku 2012 roku przestał sypać śnieg, ale nie spadły deszcze. Ta wiosna była jedną z najsuchszych zanotowanych w New Hampshire. Po stuleciu nieubłaganego marszu na graftedych ciemny las pierścieniem otaczający miasteczko wreszcie przystanął. Głęboko pogrzebanym korzeniom dębów i buków przyroda przerwała nieustanną pogoń za wodą. Pozbawione pokarmu drzewa popadły w ospałą sędziwość, odmawiając zwierzętom pożywnego poczęstunku w postaci żołądki i buczyny.

Niedźwiedzie, dla których bukowe orzeszki stanowiły podstawę diety, zapewne tęsknie spoglądały na puste gałęzie i inne oznaki posuchy w przelewającym się zazwyczaj leśnym spichlerzu. Bez wody było mniej krzewów, mniej jagód, mniej traw i soczystych pędów. Jednego zasobu naturalnego nie brakowało: głodu.

Susza objęła ogromny obszar. W całym stanie rozdzwoniły się telefony na biurkach urzędników zajmujących się przyrodą. Populacje niedźwiedzi

osiągnęły rekordowe rozmiary, a teraz wychodziły z lasu, szukając w ludzkim bufecie ulgi od niedostatku naturalnego pokarmu. Tamtego roku zadzwoniło ze skargami ponad tysiąc osób. Czasem opisywano baribale szperające wokół domów jako śmielsze, bardziej zdesperowane i mniej płochliwe.

To w tych warunkach Jessica Soule znalazła się niemal oko w oko z niedźwiedziem na swojej pochylni dla wózka. Nieco wyżej, przy Wild Meadow Road, zniknął pies sąsiada. Zwierzę przykute łańcuchem do metalowego pręta pośrodku podwórka pozostawiło po sobie tylko trochę krwi. Gdzie indziej w Grafton niedźwiedzie groziły małemu psu na smyczy czy też przedostały się do pustostanu przez moskitiery. Nikomu nie stała się krzywda, ale w całym miasteczku rósł niepokój.

Nawet Dianne Burrington, władca właścicielka lamy Huragana, zaczynała się martwić. Przed 2012 rokiem setki razy chodziła na jeżyny wzdłuż nieużywanych leśnych dróg Grafton; gdy spotykała baribala, najczęściej po prostu ustępowała mu miejsca, przesuając się do kolejnej pobliskiej kępy krzewów. Tego roku jednak napotkała niedźwiedzicę, która najwyraźniej nie chciała, by jej ustąpić.

– Wcale się mnie nie bała. I to mi właśnie przeszkadzało – mówi Burrington. – Krzyknęłam na nią, kiedy była jeszcze dosyć daleko, ale ona półkolem zbliżała się do miejsca, gdzie stałam.

Przestraszona Burrington wycofała się do swojego pick-upa i odjechała.

\*\*\*

Zdawało się, że czyjaś krzywda to tylko kwestia czasu.

Tracey Colburn zawsze żyła we względnej harmonii z baribalami buszującymi wokół jej żółtego domku, dużej przyczepy kempingowej stojącej samotnie pośrodku lasu. Ogarniała ją lekka ekscytacja, gdy

dostrzegając niedźwiedzie wędrujące po szlaku u krawędzi należącego do niej terenu czy wspinające się na jej drzewa. Śmiała się, kiedy przetrząsały jej kompostownik i odrzucały na bok kapustę, komicznie nią wzgardziwszy.

Tracey odeszła z pracy jako administracyjna asystentka rady miasta, kiedy z nadejściem epoki Wolnego Miasteczka zrobiło się dziwnie. Wygląda jak aktorka Anna Kendrick, gdyby Anna Kendrick przekroczyła czterdziestkę, spróbowała postudiować, co przerwałaby jej rak piersi, a następnie męczyła się kolejnymi urzędniczymi i samorządowymi posadami na głębokiej prowincji New Hampshire. Tracey trochę dziwiło i raniło to, że większość ludzi nie potrafi odwzajemnić życzliwości, którą starała się darzyć świat.

W czerwcu 2012 roku Tracey nie miała już pracy. Z pieniędzmi było ciężko. Wysupłała jednak kilka dolarów, by w sklepie z używanymi rzeczami w Meredith kupić tacie na Dzień Ojca reprodukcję obrazu. Przedstawiała ona pracę kanadyjskiego malarza Roberta Atkinsona Foksa: niedźwiedzicę z dwójką młodych.

Znalazła też kilka dolarów na małą sztukę mięsa dla Kaia, wziętego ze schroniska mieszańca labradora z husky. Był uczulony na pszenicę i kukurydzę, więc starała się nie dawać mu taniej karmy dla psów. Mięso ugotowała w piątek.

Niebiosa wreszcie zesłały wystarczająco dużo wody, żeby zakończyć suszę, ale na uzupełnienie braku naturalnego pożywienia było już za późno. W efekcie deszcze nasyciły gorąc taką wilgocią, że samo powietrze zdawało się pocić.

Sobota była pierwszym dniem Tracey w nowej pracy: szklarni przy sklepie budowlanym w Bristolu. Po południu kobieta była bardzo zmęczona, wyczerpana temperaturą. Gdy przyjechała do domu, otworzyła okna i postanowiła, że zanim padnie na łóżko bez życia, powinna pokroić

sztukę mięsa dla Kaia. Potem otworzyła dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi, by wypuścić psa na siku.

Jej ganek był niewielki, dwa i pół metra na trzy. I, jak opowiada, „roił się od niedźwiedzi”.

\*\*\*

Dwa młode baribale, jak szacuje Tracey, ważyły po dziewięćdziesiąt kilogramów. Przyciały się z jej lewej strony na czterech łapach, niuchając z nosami przy drewnianych deskach tarasu. Kolejny, znacznie większy, może stuczterdziestokilowy niedźwiedź stał tuż przed nią. Czy do zakradnięcia się na taras popchnął je ukryty pasożyt? Tego nie można było stwierdzić.

Zanim Tracey zdołała zareagować, Kai wystrzelił na taras. Dwa mniejsze niedźwiedzie wygramoliły się na dół bokami ganku, a pies swoimi trzydziestoma kilogramami uderzył w największe zwierzę. Pies i baribal sturlały się po schodkach tarasu, zaciekle gryząc się nawzajem. U stóp schodów niedźwiedzica spróbowała schwytać Kaia pazurami, ale psu udawało się wciąż trafiać w jej zad. Obracał się za nią w kółko, kłapiąc u tyłów jej łap.

Krzyk bywa najlepszym sposobem na przepłoszenie niedźwiedzia, więc Tracey wydała z siebie nieartykułowany, dziki wrzask. Ale w tym przypadku drogę ucieczki zablokował baribalowi Kai. Krzyk Tracey wydał się okrzykiem wojennym.

Nie dostrzegła, że niedźwiedź szarżuje, aż znalazł się tuż przed nią.

– Ruszają się tak szybko, że nie jesteś w stanie... Powolne to one nie są – opowiada Tracey. – Idą jak burza. Niedźwiedź był na mnie chyba dosłownie po sekundzie. A biegają jak jelenie. Takie szybkie.

Niedźwiedź na oślep chlastał Tracey, orząc jej twarz i klatkę piersiową pięcioma ciężkimi szponami lewej przedniej łapy. Kobieta odwróciła twarz i uniosła ręce w obronnym geście, dłońmi do głowy. Pazury mocno pocharatały jej skórę prawego przedramienia i grzbietu prawej dłoni, przeszły przez szerokość ciała i odarły jeszcze skórę z lewego przedramienia – z taką siłą, że Tracey straciła oparcie pod nogami i upadła do tyłu na ziemię.

Przekręciwszy się na plecy, spróbowała stopami odepchnąć się w tył, w stronę domu, ale drzwi najwyraźniej musiały się wcześniej za nią zamknąć, bo uderzyła głową o szybę.

Kobieta wyciągnęła prawą rękę w stronę klamki, ale niedźwiedzica znów zaatakowała. Tracey była tak blisko, że mogła poczuć i usłyszeć oddech baribala. Ale nie pamięta ani zapachu, ani odgłosów, tylko przysłaniający jej świat niemy obraz ogromnej, włochatej głowy zwierzęcia, ciemnych oczu i ostrych zębów.

– Chciała mnie, kurka, zabić. Wiedziałam, że to robi, po prostu wiedziałam. Jej pysk był o tyle ode mnie – relacjonuje Tracey, wyciągając rękę przed twarz na około dwadzieścia centymetrów. – Patrzyłam jej prosto w oczy.

Wtedy Kai chyba znów ugryzł niedźwiedzicę w tylne łapy, bo oderwała się od Tracey i rzuciła z powrotem na psa. Nastąpiła kolejna wybuchowa runda zębów i pazurów, po czym baribal pędem uciekł do lasu. A warczący Kai za nim.

Tracey podniosła się i ledwie weszła do domu, drżąc od zalewu adrenaliny.

„Cholera, jestem ranna” – pomyślała. „I nie wiem nawet, jak bardzo. I pies mi zginął”.

Uchyliła odrobinę drzwi, by akurat spozrzeć Kaia wybiegającego z cienia w stronę domu.

– Husky biegają takim paradnym krokiem – tłumaczy Tracey. – Więc oto kroczy z lasu i wesoło się szczerzy. Jak gdyby to było jego najwspanialsze dokonanie. Dla niego to był, no, jak gdyby jego wielki pojedynek z niedźwiedziem.

Wtedy Tracey po raz pierwszy zerknęła na prawą rękę. Ból nie był duży – jeszcze nie – ale zrobiło jej się słabo. Niedźwiedź odwinął skórę z grzbietu jej dłoni, jak papier z gwiazdkowego prezentu. Ziejąca dziura ukazywała ścięgna, mięśnie i krwawą miazgę.

Tracey rozejrzała się bezradnie po kuchni. Wreszcie wzięła czystą ściereczkę i mocno owinęła ją wokół rany. Na powierzchni tkaniny natychmiast wykwitły czerwone róże.

Tracey nie wiedziała, czy niedźwiedź nie czeka w mroku nocy po drugiej stronie cienkich drzwi, ale w domu nie miała sygnału komórkowego, a na telefon stacjonarny nie było jej stać.

Nie mogła też poczekać na względne bezpieczeństwo, które nadejdzie, gdy przez gęste listowie przedostanie się światło dnia, by oświetlić leśną drogę na Sargent Hill. Do świtu było siedem godzin, a Tracey traciła za dużo krwi. Przesiąkły nią już koszulka i szorty, biała skóra jej gołych nóg była poznaczona krwawymi smugami, na podłodze niewielkiej jadalni powstały kałuże jak z rozlanego wina, czerwień poplamiała nawet bufet.

Jej samochód, stare, białe subaru, stał aż na drugim skraju podwórka, gdzie drzewa przysłoniły światło gwiazd, a cienie kryły nie wiadomo co. Żałowała, że nie zaparkowała bliżej. Ale teraz nic z tym nie można było zrobić. Dostać się do samochodu – to była jej jedyna szansa.

Przyszykowała się, by wyjść na zaplamiony krwią taras. Nocne powietrze wciąż było gorące, ale nie mogła przestać się trząść. Dreszcze



promieniowały na zewnątrz do jej lewej ręki, która teraz trzymała drżącą ołowianą rurę, i do prawej ręki, przyciśniętej do klatki piersiowej z pozałowania godną ściereczką obwiązaną wokół ziejącej rany.

Dopiero później, kiedy wiadomość się już rozeszła, ktoś zadał pytanie, jak mogło do tego dojść: Tracey Colburn, pięćdziesięciokilogramowa kobieta, czterdziestosześcioletnia była asystentka administracyjna w urzędzie miejskim w Grafton musi otworzyć drzwi, wejść w ciemność i biec w stronę, gdzie ostatnio widziała trzy baribale.

Kilka chwil później zatrzasnęła drzwi samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód ożył z pomrukiem, Tracey podkręciła obroty tak, że silnik zaryczał, triumfalnie zatrąbiła i zatopiła podwórko przed maską białym blaskiem reflektorów, chcąc przestraszyć niedźwiedzie.

Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie prowadzić. Samochód miał ręczną skrzynię biegów, a rozharataną prawą ręką, która zaczynała pulsować, nie mogła chwycić drążka zmiany biegów. Tracey siedziała w samochodzie. Trąbiła, myślała i krwawiła.

\*\*\*

Impas nie potrwał długo. Tracey wrzuciła jedynekę w starym subaru, niewygodnie sięgając mniej poszarpaną lewą ręką na drugą stronę ciała. Z krztuszącym się silnikiem wytoczyła się na podjazd, a potem na czarne jak smoła koleiny leśnej drogi. Intensywność bólu rosła, a ilość krwi w jej ciele malała.

Z obawy przed tym, że nie dotrze aż do miasteczka, wjechała na podjazd Boba, faceta, który mieszkał przy tej samej drodze.

Zadzwoiła do drzwi. Z okna wychyliła się głowa Boba.

– Niedźwiedź mnie zaatakował! – zawołała do niego. – Muszę jechać do szpitala. Zabierz mnie.

Mrużąc oczy, wydobył z ciemności jej drżącą sylwetkę.

– Poczekaj.

Głowa się schowała. Tracey stała tak, skrępowana, krwawiąc i zastanawiając się, czy nie powinna wrócić do samochodu.

Głowa Boba znów ukazała się w oknie.

– Yyy... Aaa... – zamruczał głosem gęstym od snu. Zdawał się nie rozumieć, co się dzieje. – Żartujesz, tak?

Tracey zaczęła krzyczeć.

– Nie, nie żartuję, bardzo mnie w tej chwili wszystko boli i, kurka wodna, zaraz tu zemdleję, jeśli nie zejdiesz do mnie i nie wsiądziemy razem do samochodu w tej sekundzie!

Nie było jasne, czy Bob cokolwiek z tego odbiera.

– Czekał – powtórzył.

I znowu zniknął jej z oczu.

\*\*\*

Gdy tylko Bob odzyskał pomysłu, zawiózł Tracey do remizy, małej oazy światła. Tam na dyżurze był komendant John Babiaryz, żaden miłośnik niedźwiedzi. Wykazał się więc pobudzeniem człowieka, którego właśnie wezwano do reakcji na długo spodziewany kryzys.

– Te cholerne niedźwiedzie!

Powtórzył się, głośnie.

– Te CHOLERNE niedźwiedzie!

Po zaledwie kilku minutach remizę zaludnili ratownicy medyczni. Tymczasem Babiaryz zadzwonił do Departamentu do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt w New Hampshire. Na jeden nieprzyjemny i niezręczny moment

zderżyły się dwa różne poglądy na temat zarządzania niedźwiedziami. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, przybrał powątpiewający ton.

– Minęło sto lat, od kiedy niedźwiedź ostatni raz zaatakował człowieka – powiedział.

Dane ilościowe, na które się powołał, nie zgadzały się jednak z danymi jakościowymi dostępnymi właśnie w Grafton. Więc Babiarz również na niego zaczął krzyczeć.

– Ale ja TU JESTEM! – odparł. – I widzę KREW!

W karetce ratownicza o imieniu Kathy łagodnie i współczująco uspokajała Tracey, lejąc sól fizjologiczną i dłubiąc przy kuchennej ściereczce, głęboko już zagnieżdżonej w skrzepłej krwi oblepiającej ścięgna i mięśnie kobiety.

– Bardzo mi przykro, że tak muszę zrobić – mówiła. – Ale trzeba to ściągnąć.

Każdy centymetr zdjętego opatrunku powodował u Tracey zaostrenie przeszywającego już bólu. To była tortura.

– O Boże!

Wreszcie zaczęła płakać, mówiąc przez łzy.

– Wie pani – zawodziła – ja już tyle przeszłam.

Nie chodziło jej tylko o zajście tej nocy. Myślała o zdarzeniach ze swojego życia w Grafton. Rak piersi, duszna szklarnia, komórka na minuty, która nie działała wewnątrz domu, kojoty śledzące każdy jej krok na spacerze.

– A teraz pieprzony atak niedźwiedzia!

Tracey szlochała.

– Nie wierzę w to.

\*\*\*

Na kolejne miesiące i tygodnie Grafton pokrył spocony, wrzący gniew, głupi w swojej chęci obwiniania kogo popadnie i niewybaczania nikomu. Zdawało się, że ludzie siłują się z niezliczonymi demonami z futra i gorąca: John Connell, wciąż czekający na znak od Boga, żeby sprzedać kościół za zero dolarów, wdał się w kłótnię z komendantem policji na temat tego, czy karanie przestępstw bez ofiar jest nękaniami; Jessica Soule zjeżdżała wózkiem po pochylni z workiem na śmieci w jednej ręce, a bronią w drugiej; Tracey Colburn leżała bezsennie w przesiąkniętej potem pościeli, nasłuchując odgłosów baribali na zewnątrz. Statystyki włamań i przestępstw związanych z narkotykami rosły, a dwie różne grupy ludzi zaczęły poważnie zastanawiać się nad tym, co poradzić na nadmiar niedźwiedzi w okolicy. Urzędnicy stanowi omawiali dziesięcioletni plan redukcji populacji, natomiast grupa graftedych brała pod uwagę odstrzelenie łba każdemu baribalowi w mieście.

Przez cały ten czas Pani od Pączków i garstka libertarian nie przestawali karmić niedźwiedzi, które potrzebowały więcej pożywienia niż kiedykolwiek wcześniej. Był to jednak suchy rok.

KSIĘGA TRZECIA

## Bezkresne ruiny

*Dałem niedźwiedzia, bizona,  
Dałem wam łanię i rena,  
Dałem cyrankę i bobra,  
Wypełniłem rojsty ptactwem,  
Wypełniłem rzeki rybą...  
Wyście niezadowoleni?  
Wy polujecie na siebie?  
Znużyły mnie kłótnie wasze*

— Henry Wadsworth Longfellow, *Pieśń o Hajawacie*, 1855[[26](#)]

---

[[26](#)] Henry Wadsworth Longfellow, *Pieśń o Hajawacie*, przeł. Roman Jackow, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960, s. 13.

## Myśliwi w masie

*W społeczeństwie nadciąga zmiana, wielka zmiana. Ale może to być przypadkiem nie ta zmiana, jakiej spodziewa się niedźwiedź.*

*Niedźwiedź mówi, że nas rozgniecie.*

*A co będzie, jeśli to my zgniemy niedźwiedzia?*

— Jack London, *Żelazna stopa*, 1908[27]

Niezależnie od tego, ile wykonam telefonów i do ilu drzwi zapukam, każdą odpowiedź, którą uda mi się wydobyć z głębin bezdennego akwenu tajemnic Grafton, obciążają trzy czy cztery pytania przyczepione twardo jak pąkle – milczące, o powykręcanych kształtach.

Jest tak zwłaszcza, kiedy łowię informacje o nielegalnym polowaniu na niedźwiedzie. Strzelać do niedźwiedzi zgodnie z prawem stanowym można tylko w sezonie, z pozwoleniem i zachowaniem zasad z długiej listy opisującej, na które zwierzęta można polować, jak zgłosić ubicie i jakiej broni wolno używać. Posługiwanie się czekoladą jest oczywiście surowo wzbronione.

Poza usankcjonowanymi przez stan praktykami pierwsza zasada zabijania niedźwiedzi właściwie pokrywa się z pierwszą zasadą zabijania ludzi: można to uczynić tylko w obronie własnej (choć w przypadku baribali liczy się również obrona psa czy kurnika).

A jednak słyszę pogłoski, że za fasadą rozsądnych przepisów trwa wstrętne, potajemne zabijanie niedźwiedzi. Pewien mężczyzna mówi mi, z wyczuwalnym gniewem, że poza sezonem znalazł za domem zranionego niedźwiedzia ze szczęką tak roztrzaskaną od kuli, że zwierzę nie mogło jeść.

Za każdym razem więc, gdy wyciągam z kieszeni notes, by utrwalić spontaniczny wywiad, nielegalne polowanie na niedźwiedzie należy do tematów, które chcę poruszyć. Czy do niego doszło? Kto to robi? I dlaczego?

Interesuje mnie zwłaszcza „dlaczego”. Gdyby mężczyźni w Grafton zabijali niedźwiedzie z powodu poczucia zagrożenia, byłby to ostateczny powrót do tak czczonej przez wolnomiasteczkowców przeszłości doby rewolucji amerykańskiej, gdy ogień wolności płonął jasno, a męstwo mierzyło się w zdartych skórach zwierząt.

O tym wszystkim myślę, gdy wspinam się po stromym, zarośniętym podejździe niedaleko od miejsca, gdzie została zaatakowana Tracey Colburn. Widzę, że jej otoczona drzewami przyczepa w końcu zostanie zupełnie połknięta przez las. Ostatnią linią obrony przed tą ewentualnością jest Tim Bowen, człowiek o twarzy przypominającej pączek, tak miękkiej i słodkiej. Mówi mi, że ma trzydzieści lat, ale brzmi na dwadzieścia, a wygląda na czterdzieści. Nie jest intruzem z Free Town Project, tylko rodzimym, graftońskim libertarianinem.

– Mamy media i Hollywood – mówi, siedząc u siebie na ganku. – Partię liberalną, czy tam demokratyczną. One się za bardzo zajmują mówieniem ci, jak masz żyć. Wiesz, że media chcą ci sprzedać jakiś produkt. A mnie te produkty guzik obchodzą.

Bierze oddech i wydaje z siebie coś pomiędzy jękiem a westchnieniem.

– Chyba że ser. To wtedy tak. Ser to jest jedna z moich ulubionych rzeczy. Gdyby Cabot<sup>[28]</sup> stało się słynne na całym świecie albo coś, toby mi się spodobało.

Na podwórku u Bowena rozpościera się historia jego zatrudnienia. Widzę dwa ręchy, którymi przez cztery lata jeździł na nocną zmianę w Walmarcie, dopóki auta wreszcie tego nie oprotestowały, co zmusiło go do rezygnacji z posady. Teraz pracuje w ogrodach, co potwierdza bateria rdzewiejących grabi i motyk opartych o przyczepę. Nie wyjaśnia przy tym, dlaczego jego własne podwórze pokrywa splątana i poprządkana psimi gównami trawa.

Delikatnie steruję rozmową. Zauważam, że wielu ludzi chyba nie czuje się bezpiecznie wobec takiej aktywności niedźwiedzi. Niektórzy – ośmielam się – mogą czuć się na tyle zagrożeni, że będą zmuszeni podjąć jakieś działania. Bowen zgadza się natychmiast. Nie kocha inspektorów, jak zaznacza, ale nie podoba mu się, kiedy ludzie zabijają baribale nielegalnie.

– To jak być Niemcem w Trzeciej Rzeszy i nie chcieć zabijać Żydów – mówi, zapewne w domyśle świadom, że oczywiście pomiędzy strzelaniem do niedźwiedzi a systematycznym ludobójstwem nie ma moralnego porównania. – Słyszysz o tym i wiesz, że to się dzieje, ale po prostu nie chcesz o tym myśleć.

Bowen chciałby zabrać głos przeciwko tym praktykom, ale obawia się, że w ten sposób trafi pomiędzy dwóch groźnych przeciwników. Dla niego jako pacyfisty nie jest przyjemna myśl, że mógłby zostać czy to zastrzelony, czy to zjedzony.

Przedstawiona przez Bowena wizja zabijania niedźwiedzi budzi moje zainteresowanie. Mówi on, zdaje się, nie o pojedynczym przypadku kłusownictwa, ale o pewnym schemacie. Kiedy pytam o nazwiska i daty, na chwilę milknie. Następnie wraca do tematu Departamentu do spraw Ryb



i Dzikich Zwierząt, który – jak twierdzi Bowen – liczy sobie zdziercze 35 dolarów za licencję łowiecką.

– Trzydzieści pięć dolarów to dużo pieniędzy – mówi. – Tyle mogę zarobić przez pół dnia, no ale palę i lubię się napić piwa, więc mam koszty poza rachunkami. I nie można żyć bez sera.

Bowen prawdopodobnie jest jedyną osobą, która wybiera pomiędzy serem a pozwoleniem łowieckim. Ale inni równie powściągliwie wypowiadają się na temat nielegalnych polowań na baribale.

Kiedy poruszam ten temat z Tomem Ploszajem, mężczyzna serwuje mi tradycyjną pozycję z graftońskiego menu pogawędek: Dobrą Radę. Mówi, że po przyjeździe do miasteczka sam dostał Dobrą Radę, kiedy zaczął zadawać za wiele pytań o to, jak się sprawy mają i kto komu co zrobił.

– W tym miasteczku jest sporo miejsc, gdzie nigdy nie wbiję łopaty w ziemię – mówi mi teraz spokojnym tonem. – Nie chcesz się na nie natknąć.

Gdy nic na to nie odpowiadam, objaśnia, podtrzymując kontakt wzrokowy:

– Jak będziesz zadawał za dużo pytań, może trafisz do dołu w lesie i nikt cię nie znajdzie.

Dobra Rada przyjmuje w Grafton wiele postaci. Czasem zdanie takie jak: „Jestem dumnym posiadaczem broni” wplata się niewinnie pomiędzy opis swoich pupili a obserwacje na temat pogody. Czasem przybiera formę plotki, na przykład napomknienia: „Facet wie, żeby się do mnie nie włamywać, bo mam sporo broni”, zapewne sugerującego, że ja też powinienem wiedzieć, żeby się do niego nie włamywać, z tego samego właśnie powodu. Albo ktoś taki jak kolega Ploszaja, niekonwencjonalnie myślący John Redman, walnie ci czasem na deskę rozdzielczą swój zapasowy magazynek.

Wspólnym mianownikiem tych wszystkich sytuacji był człowiek podejmujący szczególny wysiłek, by mi zakomunikować, że w łatwo dostępnym, ale nieokreślonym miejscu znajduje się broń palna, która może zostać wykorzystana przeciwko mnie.

No wiesz, gdyby przyszło co do czego.

\*\*\*

Moje pytania o polowanie na niedźwiedzie zyskują na ostrości podczas odwiedzin w ostatnim lokalu sprzedaży detalicznej w miasteczku, sklepie wielobranżowym przy drodze numer cztery. Nierówną, drewnianą podłogę zachował z czasów dobrobytu Grafton, ale beczki wypełnione krakersami zniknęły. Zamiast nich stoją podgrzewane terraria pełne obracających się kawałków pizzy, urodzonych w lodówce i skazanych na śmierć z przesuszenia. Nawet ten sklep, ostatnia ostoja handlu w Grafton, znajduje się w stanie upadku. Wiele miesięcy później ukradkiem usłyszę w bibliotece, jak dwie kobiety cmokają z niezadowoleniem na graftończyków, którzy ustawiają się w kolejce do nowoczesnej stacji benzynowej w Canaan, zamiast wspierać rodzimy sklep. (Lecz później, z kontrcmoknięciem, dodają, że sklep wielobranżowy sobie nie pomaga długo niepoprawianym błędem ortograficznym na szyldzie, który konsekwentnie opisuje dystrybutor ze zwykłą benzyną jako „standart”).

Wyszedłszy ze sklepu z napojem w dłoni, zagajam o niedźwiedziach do dwóch starszych mężczyzn siedzących na drewnianym ganku przed budynkiem. Mówią mi, że w niedalekiej przeszłości banda graftończyków jednego dnia wytropiła i zabiła trzynaście niedźwiedzi. Najpierw brzmia na zadowolonych z tego faktu, na zasadzie „te cholerne niedźwiedzie same się prosiły”, ale dla mnie nowa wiedza jest absolutną sensacją i najwyraźniej

odmalowuje się to na mojej twarzy. Kiedy wyciągam notes i naciskam, żeby podali szczegóły, mężczyźni wymieniają spojrzenia i przestają mówić.

Ta wizja zabijania niedźwiedzi – masowej egzekucji, nie dla sportu, nie na mięso, tylko dlatego, że się o to prosiły – znalazła się w centrum mojej uwagi. Skoro wiem, o co pytać, zaczynam zbierać strzępy informacji. Powoli wyłania się obraz niedawnego wielkiego polowania na niedźwiedzie.

Doprowadziły do niego oczywiście zdarzenia 2012 roku, kiedy to atak na Tracey Colburn popchnął zdesperowane w obliczu suszy niedźwiedzie i oszalałych z gorąca ludzi na krawędź załamania.

Gdy media podchwyciły i powtórzyły historię Colburn, stała się ona przedmiotem zaognionej dyskusji w miasteczku. Wielu graftedych uważało, że niedźwiedź był bez winy, ale pokaźna mniejszość uznała incydent za wezwanie do zbrojnej obrony społeczności. Pewnego dnia, po powrocie ze szpitala, Tracey wyszła ze znajomą na tarasik swojej przyczepy. Patrzący, po samotnej, leśnej drodze przy jej domu podskakuje pick-up z dużą, drewnianą skrzynią na pace. Mimo że do sezonu polowań na niedźwiedzie pozostało jeszcze wiele miesięcy, kabina jeżyła się od mężczyzn z bronią. Skrzynię, zbitą ze sklejki, wypełniały psy. Wystawiały głowy przez otwory, a ich nosy drgały na powietrzu, węsząc trop.

Kiedy myśliwi polują na niedźwiedzie z psami, czekają, aż ogary zaczną ujadać, a następnie wypuszczają je, by móc podążać za sygnałem GPS wysyłanym przez ich obroże. Często niedźwiedź zostaje osaczony na ziemi. Takie spotkanie może być śmiertelne zarówno dla niego, jak i dla psa. Czasem szuka schronienia na drzewie. W takim przypadku zazwyczaj nadciąga myśliwy i strzałem sprowadza go na ziemię. Mężczyźni przejeżdżający obok domu Tracey nie zwrócili na nią uwagi. A mimo że

wilgotne powietrze dobrze niesie trop, psy nie ujadają. Nigdy już ich nie zobaczyła.

Minęły miesiące. Było to długie, gorące, mokre lato. Napięcia wciąż bulgotały. Niedźwiedzie pozostawały aktywniejsze niż w mniej suchych latach, ale kolejnych ataków nie było. Z nadejściem jesieni opadły i temperatury, i emocje.

Tegoroczny niedostatek naturalnego pożywienia sprawił, że większość niedźwiedzi nabrała mniej sadła niż zazwyczaj. Gdy nadciągnęły jesienne chłody, zwierzęta postawiły na sen, zamiast spalać tłuszcz całą zimę. Późną jesienią grille były pochowane, a las do naga obrany z żołądź. Znaczna część baribali pochowała się w gawrach, gdzie mogła spać i śnić niedźwiedzie sny.

Wtedy uderzyli ludzie.

Miejscowi przyzwyczaili się, że w sezonie łowieckim w Grafton z lasu dobiegają odgłosy strzałów opowiadających o przegranych i wygranych bitwach. Bywa pojedynczy, pyszny trzask z broni fachowego strzelca i bywa paskudna, rozpaczliwa cisza pomiędzy dwoma strzałami (tym drugim na dobiecie). Wzgórza mogą dźwięczeć pogonią myśliwego za ulotną chwałą, potrójnym staccato, tak nieregularnym jak gorączkowe bicie serca, albo leniwą, niekończącą się kanonadą masowej egzekucji butelek po piwie, okrutnej, bo jeszcze do niedawna cele zgrabnie i dobrze pełniły swą służbę przy podawaniu napojów. Natomiast w 2012 roku, po zakończeniu sezonu łowieckiego i nadejściu chłódów, z lasu zaterkotała nowa opowieść kul.

W listopadzie Cheryl Senter, fotoreporterka spoza miasteczka, przygotowywała wyprzedaż majątku w domu swojej matki, która zmarła podczas letnich upałów. Senter przeglądała rozległy, stary, wiejski dom, podejmując małe decyzje o meblach i narzędziach oraz większe decyzje

o życiu. Wiedziała, że finansowo sprzedaż nieruchomości ma większy sens, ale to właśnie w tym budynku, kiedy była dzieckiem, rodzina spędzała lato. Podczas zmagania wartości sentymentalnych z praktycznymi jej myśli nagle przerwał huk wybuchu w lesie za domem. Zanim zdążyła się zorientować, że to był wystrzał z broni, doszły trzy kolejne, szybko po sobie.

– Tam, gdzie mieszkam, przyzwyczaiałam się do strzałów – mówi. Ale czegoś takiego nie słyszała nigdy. Rozległa się następna seria, a potem jeszcze następna. – Brzmiało to jak wojna w lesie.

Senter w panice odsunęła się od okien i stała, słuchając przeciągającej się kanonady. Brzmiało to, jak gdyby na posesję jej matki wdarł się pluton egzekucyjny.

– Bardzo dużo strzelającej broni. Ciągnęło się to i ciągnęło.

Gdy prawdziwy hałas ustąpił miejsca echem w jej głowie, Senter nie wyszła, by zbadać sytuację, ani nie zadzwoniła do Ryb i Dzikich Zwierząt, by zgłosić zasłyszany incydent. Jednak dom opuszczała w głębokim wzburzeniu.

„Po co było tyle strzałów?” – zadawała sobie pytanie. „Do czego potrzebny był im taki ogień?”

Tamtego roku inni też słyszeli nietypowe strzelaniny dochodzące z lasu. W kontekście legalnych polowań dźwięki te nie miały specjalnie sensu. Myśliwi przeważnie nie trzymają się w grupie. Nie strzelają wszyscy jednocześnie do tego samego celu niczym kompania z epoki wojny rewolucyjnej broniąca się zza kamiennego muru.

Kim byli strzelcy? Im więcej pytań zadawałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę z tego, jak dobrze pochowali się kłusownicy. Nie kryła ich jednak płatanina liściastych krzewów w lesie ani stojące pośród drzew resztki dawnych murów, lecz gęstwina relacji społecznych i kamienna kultura oporu przeciwko obcym. Czasem, gdy rozmawiałem z którymś

z graftedychów, dopadało mnie poczucie, że jego twarz to maska, a przez otwory spogląda na mnie dwoje oczu zabójcy niedźwiedzi. Ale nigdy nie mogłem być tego pewien.

Jasne zdawało się to: w miejscowości, która nie życzyła sobie, by przed niedźwiedziami chronił ją rząd, jedyną możliwością zdawała się samozwańcza sprawiedliwość. Tak jak chcieli tego libertarianie, każdy mężczyzna, każda kobieta i każdy niedźwiedź walczyli za siebie.

---

[27] Jack London, *Żelazna stopa*, przeł. Julian Stawiński, Iskry, Warszawa 1957, s. 80.

[28] Cabot to spółdzielnia mleczarska z siedzibą w stanie Vermont. Produkuje między innymi cheddar, jogurty, śmietanę i masło.

## Następstwa napaści

*Muszę Wam donieść o Susie. Dotkliwie prześladują ją sny; stale powtarza się sen o tym, że zjadają ją niedźwiedzie. Jak zapewne pamiętacie, jest dzieckiem poważnym i zamyślonym.*

*[...] Z powagą kogoś, kto uważa, że nie potraktowano go sprawiedliwie, powiedziała: „Ale Mamo, kłopot w tym, że nigdy nie jestem niedźwiedziem, a zawsze człowiekiem”.*

*Nie przyszłoby mi do głowy, że może być przewaga, nawet we śnie, w tym, by od czasu do czasu być jedzącym, a nie zawsze stroną jedzoną.*

— Mark Twain, list do przyjaciół, 1878

Wystarczył jeden atak niedźwiedzia, by przekonać Tracey Colburn do wyprowadzenia się z małego, żółtego domku w lesie.

Szukam jej i docieram do tego, który aktualnie wynajmuje. Stoi pośród kilkunastu domów mieszkalnych rozpościerających się na południe od zespołu budynków mieszczących w sobie remizę, urzędy i bibliotekę. Jeśli przyroda jest rozbestwionym tłumem oblegającym zamek cywilizacji, ta okolica stanowi ostatnią obywatelską twierdzę Grafton, jedno z niewielu miejsc, gdzie przesiadujący na gankach sąsiedzi mogą dostrzec nawzajem swoją obecność i czerpać z niej otuchę.

– Przepraszam za śmieci – kryguje się Tracey, stojąc na schodkach do domu w silnym letnim słońcu, ubrana w dżinsowe szorty do kolan. Po ranach na rękach zostały jej blade, białe blizny. – Sprzątam.

Przez dzień lub dwa po ataku, jak opowiada, pograżyła się w ferworze aktywności. Rozmawiała z odwiedzającymi ją miejscowymi reporterami, zaszczepiła się na wściekliznę i posłuchała przyjaciółki, która delikatnie zasugerowała, że nadszedł czas wyczyścić zaschniętą krew w jadalni. Jak się okazało, Kai jednak nie wyszedł cało z potyczki. Zawsze gdy Tracey szła z sypialni do łazienki albo do kuchni i wszędzie pomiędzy, pies plątał się jej pod nogami, kulejący, ale oddany i wesoły jak zawsze.

Po ataku baribala inspektor do spraw ochrony dzikich zwierząt przesłuchał Tracey i umieścił ogromną żywołapkę na jej podwórku. Gdyby niedźwiedź w nią wszedł, zamknęłaby się za nim ciężka krata, co uczyniłoby z pułapki gotową klatkę do transportu. Kiedy inspektor odjechał, Tracey z przyjaciółką zajrzały do środka, by zobaczyć, jaka przynęta tam tkwi. Był to jeden mały, lukrowany na różowo pączek.

Tracey nie chciała być sama w domu. Przekonała przyjaciółkę, żeby u niej przenocowała. Nocą, gdy leżała w łóżku, usłyszała, jak niedźwiedź (ten sam, który ją napadł, tego była pewna) uderza w bok pułapki. Była przekonana, że się złapał, ale gdy wstała rano, okazało się, że przebiegły baribal zaatakował klatkę z zewnątrz, a nie od wewnątrz. Pudło było puste, a pączek nietknięty. Kilka dni później inspektor usunął pułapkę i nigdy nie wrócił.

Tracey często myślała o niedźwiedzicy, która ją zaatakowała. Zastanawiała się, ile razy zwierzę zapuszczało się na jej podwórko albo ganek i jak często przyglądało się jej przez okno. Ale nie jak podglądacz. Podglądacze to ludzie, a ona utraciła zdolność antropomorfizacji dzikich zwierząt. Gdy niedźwiedzia głowa przysłoniła jej nocne niebo, z jej pamięci



zniknęły zupełnie przyjazne, kręcące nosem na kapustę misiaki. Zastąpiło je coś, co dzieli nagrodę przez ryzyko, a kalorie przez ból. Nie chciała już nigdy więcej znaleźć się po niewłaściwej stronie tych chłodnych obliczeń.

– Jeśli spojrzysz im w oczy, zrozumiesz – mówi – że są nam zupełnie obce.

W kolejnych tygodniach po ataku Tracey odtwarzała tę scenę w głowie, zmieniając scenariusz i rozważając inne możliwe skutki tego zajścia. W jednej z wersji włącza głośną muzykę, co odstrasza niedźwiedzie od szperania na jej ganku. W innej odsuwa zasłonę, zanim otworzy drzwi, i w porę dostrzega zwierzęta na zewnątrz. Albo widzi siebie, jak wbiega z powrotem do domu, zamiast krzyczeć, a niedźwiedź na nią nie szarżuje.

Przepisywała też scenariusz w drugą stronę. Niedźwiedź miażdży Kaia jednym ciosem i wraca do atakowania jej. Rozciąga ją na ziemi, a młode wyłaniają się z zarośli i otaczają ją, by uczyć się od matki, jak zabijać bezwłose naczelné żyjące na ich terytorium.

– Wiem, że to dziwne tak myśleć, ale mają ten instynkt – mówi Tracey. – Żeby uczyć młode.

Poza tym, że nie schwytał niedźwiedzia, Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt nie obronił też Tracey przed opinią publiczną. Przeciwnie, kilka godzin po ataku władze powiedziały mediom w całej Nowej Anglii, że niedźwiedzia przyciągnęła gotowana w tamtym czasie przez Tracey sztuka mięsa. Taka narracja zdjęła winę ze zwierzęcia oraz stanowej polityki, która doprowadziła do zagnieżdżenia się rekordowej liczby zdesperowanych w czasie suszy baribali w coraz bardziej samowolnym Grafton.

Ale nawet przy założeniu, że przyrządzanie mięsa we własnej kuchni jest lekkomyślnością, Tracey nie gotowała go rzeczonyj nocy. Po prostu

wyjęła ostygłą już sztukę mięsa z lodówki i w ciągu minuty czy dwóch pokroiła ją na blacie.

Biorąc pod uwagę to, że przerażająca scena z udziałem Tracey stanowiła najbardziej dramatyczny przykład konfliktu z niedźwiedziami w New Hampshire, od kiedy stan zaczął chuchać na populację baribali, byłem ciekaw reakcji Departamentu do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt.

Napisałem do Andrew Timminsa, najważniejszego badacza niedźwiedzi w stanie, z prośbą o kopie wszelkiej dokumentacji związanej z atakiem. Timmins odpisał, że taka nie istnieje: ani relacja ze zdarzenia, ani analiza zachowań niedźwiedzia, ani korespondencja urzędników. Jedynym formalnym zapisem całego incydentu był pojedynczy ptaszek pośród licznych ptaszków w rejestrze spotkań z niedźwiedziami wynikających z obecności ludzkiego pożywienia.

To jest wynik końcowy – i zarazem ostateczna słabość – podejścia ilościowego: potencjalnie śmiertelne przeżycie Tracey potraktowano na papierze nie inaczej niż myszkowanie baribala w śmietniku.

Nie winię jednak departamentu, który nie zawsze może sobie pozwolić na spojrzenie poza dane. Timmins był tak życzliwy i hojny, jeśli chodzi o czas mi poświęcony, jak tylko mogłem tego zapragnąć. Na moją prośbę o informacje odpowiedział propozycją, że podsumuje wspomnienia personelu zaangażowanego w incydent sprzed pięciu lat, łącznie z inspektorem, który ustawił pułapkę.

Relacja okazała się nieścista, i to w taki sposób, który podkreślał jeszcze winę Tracey. Gdy odpisałem Timminnowi z pytaniem o przyczynę braku dokumentacji i kwestie rozbieżności, przyznał, że adekwatność reakcji ucierpiała z powodu ograniczonych zasobów.

„Sprawa sprowadza się do tego, że każdego lata nasza garstka zajmuje się setkami skarg na niedźwiedzie. Biorąc pod uwagę rozmiar pracy,

szczegóły czasem przelatują nam przez palce” – pisał. „Nie wiem, dlaczego [inspektor] nie wypełnił szczegółowego raportu z każdym najmniejszym detalem. Mogę Panu powiedzieć z doświadczenia, że są sytuacje, w których ja też nie miałbym na to czasu”.

Choć Tracey nie została zdiagnozowana przez specjalistę, wykazywała objawy charakterystyczne dla zespołu stresu pourazowego. Serce nagle zaczynało jej kołatać. Złapała się na tym, że delikatnie przesuwa palcami po szwach, które pozostały po ranach zadanych jej przez niedźwiedzia. Najpierw izolowała się w domu, błagając krąg lojalnych znajomych i rodziny, by nie zostawiali jej samej. Próbowwała się przyzwyczaić do adrenaliny przepływającej przez jej ciało.

Gdy tak starała się wziąć w garść, powoli uświadamiała sobie pewną rzecz, od której robiło jej się niedobrze. Zakładała, że społeczność Grafton będzie jej współczuć. Jednak w rzeczywistości wielu mieszkańców winiło ją za atak.

Z biegiem lata kolorowe towarzyskie uprzejmości poopadały jak jesienne liście i odsłoniły surową, czarną korę ludzkiej natury. Pojawili się apologeci niedźwiedzi przekręcający fakty tak, by Tracey wydawała się za wszystko odpowiedzialna.

Niektórzy oskarżali ją o poszczucie Kaia na baribala. Mówili, że pies rozerwał zębami brzuch niedźwiedzicy i poszarpał młode, które w każdej kolejnej opowieści kurczyły się, aż doszły do rozmiaru bezbronnych noworodków. Tracey skusiła niedźwiedzie ziarnem dla ptaków, machała na nie miotłą, przyćpała, postawiła gorący gulasz na parapecie. Czuła się jak ofiara napaści seksualnej pytana, co zrobiła, by sprowokować sprawcę.

– Sądzą, że skoro to zwierzę, musiałam coś zrobić. A to nieprawda – mówi Tracey. – Nie zrobiłam nic poza pokrojeniem zimnego mięsa na blacie.

Wycofała się z widoku publicznego.

„Przez chwilę potrzymam się z dala od ludzi” – mówiła sobie. „Muszę tu zostać i wydobrzeć... Nie obchodzą mnie okrutne plotki. Nie obchodzi mnie to”.

Jeśli doświadczenie traumy ma jakieś dobre strony, jedną z nich jest z pewnością możliwość nauczenia się czegoś o sobie, pochwycenia palcami umysłu niedostrzeganego wcześniej źródła wewnętrznej siły.

Zajęło to wiele tygodni, zanim Tracey poczuła się komfortowo sama w domu. W połowie lipca zaczęła wychodzić na podwórko – nie aż na jego skraje, gdzie chropawe pnie klonów wciąż złowrogo przypominały o bliznach, ale na środek, gdzie świeciło słońce i rosła trawa.

Uderzenia adrenaliny były coraz słabsze i rzadsze.

Można by pomyśleć, że jednym z pierwszych kroków, może nawet najpierwszym w osobistym rozwoju Tracey, byłoby zdecydowane postanowienie, by nie zbliżać się do baribali, a zwłaszcza raz na zawsze powstrzymać się od krzyczenia na niedźwiedzie.

Tymczasem wkrótce znalazła się o metr czy dwa od kolejnego dzikiego baribala, znacznie większego. I – nie kłamię – też na niego krzyknęła.

Zdarzyło się to w domu znajomej, która zaprosiła Tracey na oglądanie starego samca, co dwa tygodnie, jak w zegarku, wykradającego słoninę z jej karmnika dla ptaków. Znajoma przekonała Tracey, że to okazja do konfrontacji z traumą. Ta sama teoria zachęca arachnofobów, by dali sobie posadzić na nagiej dłoni wyposażoną w kły tarantulę.

Wkrótce niedźwiedź – ogromny, jak mówi kobieta, największy, jakiego widziała w życiu – był u frontowych drzwi, nieświadom, że Tracey spogląda na niego przez okno, analizując wszystkie szczegóły. Wyglądał odpowiednio spokojnie.

– Mówimy na niego Teddy – powiedziała znajoma. – Jest w porządku.

Tracey lekko uchyliła okno.

– Teddy – powiedziała do niedźwiedzia. – Nie powinno cię tu być.

Jak gdyby nigdy nic podszedł do okna. Oddychała. Był masywny. Ale nie groźny.

Do czasu.

Nagle i bez ostrzeżenia Teddy podniósł się na tylne łapy, górując nad nią całym swoim ciałem. Tracey krzyknęła:

– Aaaaa! O Boże!

Odwróciła się od okna i pobiegła w głąb domu. Niedźwiedź, zaskoczony, obrócił się i wystrzelił w przeciwnym kierunku. Tracey wciąż krzyczała, ale tak naprawdę nie z przerażenia. Raczej jak na kolejce górskiej.

– Okej – powiedziała przyjaciółce, śmiejąc się i próbując złapać oddech. – To wystarczy.

## Konfrontacja kłusowników

*Ale nowy strzał zagrział – i położył nieszczęśliwe zwierzę trupem,  
a trzy pozostałe niedźwiedziątka pobiegły co tchu do matki...*

– Ernest Thompson Seton, *Grizli Uab*, 1900[29]

Kobieta prosi mnie, żebym nie ujawniał jej nazwiska. Boi się zemsty kłusowników.

– Raz-dwa spalą dom – mówi. – Już tak robili.

Dopiero gdy się zgodziłem, opowiedziała mi o pukaniu do drzwi, które usłyszała zimą 2012 roku, kiedy po zalesionych stokach Grafton spływały do doliny nagłe odgłosy salw.

Pod jej wiatą stał pewien mężczyzna z Grafton. Dość dobrze się znali. Nie widziała, kto z nim był – jak opowiada – ale z jego wypowiedzi wywnioskowała, że jeszcze czterech albo pięciu parkuje poza zasięgiem jej wzroku, gdzieś przy drodze.

Człowiek ten oznajmił, że grupa zamierza zabić niedźwiedzia zimującego na jej posesji. Kobiecie znane były zarówno gawra, jak i niedźwiedzica, która w ciągu lat kilkukrotnie wynurzyła się z jamy z miotem młodych. Kłusownik nie wspomniał o ataku na Tracey Colburn. Nie musiał.

– Nie chcę mieć z tym nic do czynienia – odparła.

Wtedy kłusownik poprosił ją, by przekroczyła linię pomiędzy neutralnością a współsprawstwem.

– Chcemy wiedzieć, czy wolno nam wejść na posesję – oznajmił.

W świecie rozdartym między prawem dżungli a prawem sali sądowej, między zabójcami baribali a ich obrońcami, każdy bywa zmuszony w jednej chwili zdecydować, czy odpowiedzią na jakieś pytanie narazi się któremuś z przeciwnych obozów. To wybór pomiędzy strachem a samozwańczą sprawiedliwością, między kłami niedźwiedzia a lufą pistoletu. Kobieta niechętnie łamała prawo, ale prawo było daleko, a przed nią stał kłusownik składający niewypowiedziane obietnice przyjaźni lub wrogości. Zlepione okruchy śniegu spadały z jego butów na próg jej domu.

Poza tym widziała, jakie żniwo niedźwiedzie zbierają wśród mieszkańców Grafton. Trzeba było coś z tym zrobić.

Odpowiedziała więc prędko, żeby nie dostrzegł wahania.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – odparła. – Nie będę patrzyła przez okno.

Wkrótce potem rozległy się strzały, długi zalew zemsty, krew wytoczona za krew rozlaną. Podczas egzekucji kobieta trzymała się z dala od okna. Nie chciała widzieć, nie chciała być widziana i na pewno nie chciała, żeby zbłąkana kula zrobiła z niej ofiarę zaostrzającej się wojny z niedźwiedziami.

\*\*\*

Nawet wysłuchawszy opowieści tej kobiety, nie potrafiłem sobie wyobrazić, że kłusownicy zabili zimującego niedźwiedzia. Czyn ten byłby kategorycznie nieetyczny w oczach zarówno stanu, jak i szanowanych organizacji łowieckich. Ponieważ praktykę tę tak powszechnie i namiętnie

się potępia, działania są prowadzone jedynie w sekrecie i nigdy nie wypływają żadne nagrania tego, jak one wyglądają.

To znaczy nie wypłynęły do kwietnia 2018 roku, kiedy to na Alasce wideopułapka na zwierzęta uchwyciła ojca z dorosłym synem szturmujących gawrę na odległych terenach wiejskich.

Filmik, rozpowszechniony przez Humane Society of the United States [Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami USA], ukazuje dwóch mężczyzn stojących obok siebie na nartach biegówek. Syn, którego przystojne rysy twarzy podkreśla gęsta bródka, ma nagi tors. Nieco zarośnięty ojciec wygląda niedbale w dzinsach i puchowym bezrękawniku, ale bez koszulki, oraz czapce myśliwskiej, pod którą mężczyzna nieumiejętnie próbuje ukryć cofającą się linię rzednących włosów. Podjeżdżają do cienia płytkiej niedźwiedziej jamy, częściowo ukryci w sosnowym igliwiu na gałęziach sięgających aż do śniegu na ziemi.

W środku zimy, wtulona w bezpieczny azyl swojej gawry, samica baribala często rodzi parę młodych, wtedy nie większych od wiewiórek. Zarówno dla noworodków, jak i dla matki te pierwsze kilka miesięcy to jedyna tak bezpieczna okazja do spokojnej intymności. Niedźwiedzica karmi młode do wiosny, w wyniku czego traci nawet 40 procent wagi, i na trzęsących się łapach wyłazi z jamy szukać pierwszego wiosennego posiłku. W przeciwieństwie do części zwierząt, które przez całą zimę znajdują się właściwie w stanie śpiączki, baribale zachowują zdolność do obudzenia się. Bywają wtedy jednak półprzytomne i niezborne.

Na wideo syn trzyma rewolwer, stojąc w rozkroku klasycznej postawy strzeleckiej Weavera, a ojciec celuje strzelbą myśliwską prosto w wylot jamy. Następnie obaj wypalają prosto w gawrę. Mikrofon, w który wyposażona jest wideopułapka, wychwytuje odgłosy: trzaski ognia i żałosne piski niedźwiedziątek. Ojciec, teraz znajdujący się o kilka metrów



od gawry, znów strzela, po czym przy życiu zostaje tylko jedna piszcząca sierota. Podczas gdy syn zbiera ze śniegu trzy, cztery, pięć łusek po nabojach, by pozbyć się dowodów, ojciec ostatni raz uważnie celuje i po raz kolejny wypala z broni do jamy. Piski natychmiast ustają. Po mozole wyciągnięcia ciężkiego ciała niedźwiedzicy z gawry ojciec i syn przybijają sobie piątkę rękami umoczonymi w czerwieni krwi.

– No, raczej nigdy nas z tym nie powiążą – mówi syn.

Następnie nożami skórują niedźwiedzicę, oddzielając futro od mięsa i tłuszczu, które jeszcze niedawno odżywiały jej młode. Wprawnie zwijają skórę w zgrabny pakunek.

– My się nie pierdolimy, tata – mówi syn, trzymając w jednej ręce kijki narciarskie, podczas gdy ojciec zakłada wypchany mięsem plecak. – W zasadzie to chodzimy, gdzie chcemy, żeby coś zajebać.

W filmiku przekleństwa są ocenzurowane. To absurdalny zryw przyzwoitości wobec makabrycznej przemocy, którą widz przed chwilą oglądał.

Dwaj mężczyźni pozostają zupełnie nieświadomi obecności kamery. Wciąż rejestruje, gdy wracają następnego dnia, by zebrać kolejne łuski oraz ciała dwóch niedźwiedziątek, które wynoszą w niewielkiej torbie. Materiał ten ostatecznie doprowadził do wyroków, w tym trzymiesięcznej odsiadki dla ojca.

Kobieta mówi mi, że coś takiego rozegrało się w Grafton tego dnia, gdy mężczyźni zmusili ją do udostępnienia przejścia do niedźwiedziej jamy na jej posesji. Teraz, gdy obejrzałem już wideo ojca z synem stojących obok siebie z lufami skierowanymi na gawrę, potrafię sobie wyobrazić, że tej zimy graftończycy usłyszeli wiele takich kanonad myśliwych stojących w półkolu wokół pojedynczego, nieruchomego celu zagnieżdżonego w ziemi.

Następnym razem, gdy kobieta spotkała członka obławy, powiedział jej, że tego dnia oczyścili Grafton z niedźwiedzi. Nawiedzono każdą znaną gawrę. Rozprawiono się z każdym baribalem, dorosłym czy młodym.

– Powiedział, że znaleźli je i opróżnili – mówi mi kobieta. Donosi, że zdaniem kłusownika zabitych niedźwiedzi „było trzynaście”. Wierzę jej. Liczbę trzynaście słyszałem również na ganku sklepu wielobranżowego. To znaczy, że tego dnia napadli przynajmniej cztery albo pięć rodzinnych gawr, a może więcej. Krytycznie podchodzę do nadmiernego przywiązania do statystyk, ale w tym przypadku stanowy rejestr skarg związanych z niedźwiedziami podaje liczby potwierdzające opowieść kobiety. Nawet w niechętnym inspektorom Grafton garstka osób, na przykład Jessica Soule, faktycznie co roku dzwoni do Ryb i Dzikich Zwierząt ze skargami. Przeważnie telefonów jest cztery albo pięć rocznie. W suchym 2012 roku naliczono tuzin (w tym jeden zapewne od Tracey Colburn).

W zapisach znajduje się tylko jeden rok, w którym nie zanotowano żadnej skargi z Grafton: 2013, w rok po niedźwiedziobójstwie dokonany przez kłusowników.

Kobieta opowiada mi jeszcze coś, co od nich usłyszała. Od kiedy przyjechałem do miasteczka, oni już dowiedzieli się o dziennikarzu, który zadaje zbyt dużo pytań o nielegalne polowania na baribale. Obawiają się, że moje zainteresowanie doprowadzi do jakiegoś śledztwa kryminalnego albo odebrania legalnie zdobytych pozwoleń łowieckich.

– Ustalili, że nie będą z panem rozmawiać – mówi kobieta. Ale kiedy naciskam, podaje mi nazwisko. Postanawiam, że nie zaszkodzi popytać.

\*\*\*

Po przypisaniu nazwiska domniemanego kłusownika do pewnego adresu w Bungtown podjeżdżam tam, by spojrzeć na zaniedbany dom ogrzewany

drewnem, którego sterta stoi oparta o jedną ze ścian. Na zewnątrz widać podwórko, zamienione w błotne grzęzawisko przez ciężkie koła jakiejś maszyny leśniczej, a wewnątrz szczeka złowieszczo duży pies.

Jeszcze zanim mój samochód zatrzyma się na poboczu przed domem, orientuję się, że to nie pierwszy raz, kiedy tu stoję, by zapukać do tych drzwi.

Wcześniej tego roku, zanim usłyszałem cokolwiek o nielegalnych polowaniach na niedźwiedzie, zatrzymałem się tutaj, by zadać kilka pytań. W tamtym czasie czujna postawa mężczyzny, który otworzył drzwi, wskazywała na głęboką nieufność. Wytłumaczyłem, że chcę posłuchać historii o baribalach z Grafton i je udokumentować. Zapytałem, czy on miał jakieś ciekawe spotkania z niedźwiedziami.

– Dopiero się wprowadziłem. Nie widziałem żadnych niedźwiedzi – odpowiedział i zamknął drzwi.

Uznałem to za jeszcze jedną z kilku nieprzyjaznych odmów, które usłyszałem w tamtym czasie na progach domów w tej miejscowości. Ale teraz wiem, że mężczyzna kłamał. Człowiek ten wychował się w Grafton, pochodził z rodziny głęboko zakorzenionej w społeczności, a z niedźwiedziami miasteczka żył od dekad. Tym razem wysiadając z samochodu, wiem, że mam znacznie mniej niewinne pytania, i nie spodziewam się ciepłego przyjęcia. Gdy podchodzę, gospodarz stoi na podwórzu, patrząc oczami połyskującymi jak mika. Jest tykowaty i umięśniony, a usta ma jak brzytwa. Zbrązowiała skóra jego czoła oddziela się ostrą linią od białej czapki włosów.

Nie chcę, by się okopał i znowu mówił, że mieszka w okolicy od niedawna. Dlatego zaczynam rozmowę, gdy tylko znajdę się w zasięgu jego słuchu. Zwracam się do niego po imieniu i ostrzegam najprzyjaźniej, jak potrafię, że wiem, kim jest.

Słucha mnie i patrzy wciąż kamiennym spojrzeniem. Wydaje się w tej rozmowie osobą trzecią, obserwatorem, a nie uczestnikiem. Kolejnymi zdaniemmi wypełniam przestrzeń między nami, tłumacząc, że rozumiem powody polowania i chcę przekazać je czytelnikom.

Gdy kończą mi się słowa, wreszcie nawiązuje ze mną kontakt w sposób ani przyjazny, ani nieprzyjazny. Mówi, że nigdy nie słyszał o żadnej obławie na baribale, a poza tym i tak nie wzięłby udziału, ponieważ częściowo pochodzi z plemienia Czirokezów i zabicie niedźwiedzia jest wbrew jego dziedzictwu.

Wyjaśniam, że nie staram się odebrać mu pozwolenia łowieckiego. Chcę tylko opisać polowanie, ale nie tak, żeby na niego wskazać palcem czy przysporzyć mu kłopotów.

– Tak czy inaczej, nie będę z nikim rozmawiał. Nie chcę mieć z tym nic do czynienia – mówi. – Możesz pan sobie wyjaśniać, ale nic mi do tego.

Chociaż nie przyzna się otwarcie do udziału w polowaniu, również udziela mi określonego typu Dobrej Rady.

– Jeśli się pan dowiesz o tym polowaniu, o którym ciągle pan mówisz, będziesz miał pan z tym kłopot. Bo oni powiedzą: „No, wsypał nas”. Dowiedzą się, kto to zaczął i dlaczego.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Krytycznie wypowiada się o „pieprzonych kretynach”, którzy w sezonie na niedźwiedzie wystawiają karmniki dla ptaków. Ale zdaję sobie sprawę, że więcej się od niego nie dowiem. Dziękuję mu za poświęcony czas i odchodzę.

– Nie wciągaj mnie pan w to – woła za mną. – Bo przyjdzie wojna, a ja się znajdę w samym środku.

Niedługo później wybieram numer do jego przyjaciela, kogoś, kto – jak słyszałem – również brał udział w obławie zimą 2013 roku. Gdy udaje mi

się do niego dodzwonić, przedstawiam się i mówię, że piszę o spotkaniach z niedźwiedziami w Grafton.

– Dopiero się wprowadziłem – odpowiada. – Nie widziałem żadnych niedźwiedzi, przykro mi.

Nie tylko wiem, że to nieprawda, ale też rejestruję, że powiedział niemal słowo w słowo to samo kłamstwo, które usłyszałem z ust tego drugiego człowieka. Zdaje mi się to wyreżyserowane.

– Aha? – mówię, próbując zamaskować sceptycyzm tonem przyjaznej pogawędki. – A kiedy pan przyjechał?

– Nie muszę odpowiadać na żadne pytania – mówi i rozłącza się.

Podejmuję kolejne próby skontaktowania się z kłusownikami i poproszenia ich, by odbyli ze mną szczerą rozmowę. Ale bliżej do odpowiedzi nie udaje mi się dotrzeć.

Tak czy inaczej, ich samozwańcze wymierzenie sprawiedliwości nieszczególnie pomogło. Chwilowo wywołało uszczerbek w populacji baribali, ale nic więcej. Inspektorzy Ryb i Dzikich Zwierząt dalej byli zbyt zapracowani, by interweniować, i lasy wkrótce znów zaroily się od niedźwiedzi. Graftończycy może myśleli, że mają problem z niedźwiedziami. Ale można równie dobrze powiedzieć, że mieli problem spowodowany przez odwrót ich zaprzysięgłego wroga: podatków.

---

[29] Ernest Seton Thompson, *Gryzli Uab*, w: tegoż, *Dzielny rogacz i inne opowiadania z życia zwierząt*, spolszczyła Marja Arct-Golczewska, Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa 1926, s. 14.

## Pastor popchnięty

*Pamiętasz, Filipie, starą bajkę  
naszego dzieciństwa? W niej niedźwiedź,  
Sięgając po miód, przewraca ul,  
I ślepnie od żądł? Jam tym niedźwiedziem*

— Henry Wadsworth Longfellow, *Judas Maccabaeus* [Juda Machabeusz], 1872

Dwudziestego pierwszego maja 2013 roku, podczas ciepłej burzy, która grzechotała o dach Kościoła Pokojowych Zgromadzeń i moczyła baldachim nagle bezniedźwiedzich lasów, Bóg powiedział Johnowi Connellowi, że oczekiwanie dobiegło końca.

– Przyszedł czas – powiedział Bóg.

– Opuść wszystko – powiedział Bóg.

I tak się stało.

Zanim Bóg przemówił, Connell wciąż opierał się groźbom miasteczka, że teren kościoła zostanie zajęty. Po opublikowaniu na Facebooku posta, w którym przypomniał, że zostało 120 dni do ostatecznego terminu, dostał SMS-a od córki, Theresy Rose Connell, mieszkającej w Massachusetts.

„Więc to oznacza... Że mogą go przejąć? Będziesz musiał go sprzedać?” – pytała. „Jaki jest plan?”

„Nie ma planu” – odpisał Connell. Z charakterystyczną smykałką do alegoryzacji własnego życia dodał, że mogą mu odebrać własność, ale nie

duszę.

Córka wyraziła solidarność i współczucie wobec stresu, który musiał odczuwać.

„Oddam go, zanim położą na nim swoje chciwe łapy” – napisał Connell. „...Wybacz, że tak powiem, ale – hmmm – PIEPRZYĆ ICH! Mam lepsze rzeczy na głowie. Na przykład pokój, miłość i przebaczenie”.

„Dawaj znać” – odpowiedziała córka.

Do czasu, gdy miasteczko zyskało prawo przejęcia nieruchomości Connella, Connell nie miał już żadnej nieruchomości do przejęcia. W sierpniu przepisał ją na spółkę pod nazwą Kościół Pokojowych Zgromadzeń. Jej zarząd składał się wyłącznie z wolnomiasteczkowców i ich sojuszników: Jeremy’ego Olsona, Boba Hulla, Toma Ploszaja, Jaya Bouchera oraz Jamesa Reihera.

Nowi dyrektorzy kościoła z łatwością przekonali urzędników, by dano im więcej czasu na rozwiązanie kwestii zastawu skarbowego. Mimo że środkiem ostatecznym każdego miasta przeciwko niesubordynowanym podatnikom jest konfiskata, urzędnicy pragnęli fiskalnych przychodów bardziej niż samej nieruchomości.

Wolność, którą Connell odczuł, kiedy kupił kościół, była niczym w porównaniu z wolnością doznaną, gdy go oddał. Nagle zwolniony ze wszystkich prawnych uwikłań, oddał się oddaniu i poświęcił świętości. Pojawiły się znaki, że zyskuje uznanie w społeczności jako postać uduchowiona. Dyrektorzy kościoła zapisali go do ogólnostanowego programu związanego z libertarianami, który dostarczał potrzebującym żywność na Święto Dziękczynienia. W jego ramach Connell rozdał około tuzina koszy. Dalej urządzał comiesięczne czytanie Biblii i prowadził inne programy. Rozpoczął nową inicjatywę artystyczną i zbudował relację

mentorską z młodym artystą, który w Bogu znalazł siłę, by odejść od narkotyków. Connellowi wszystko zaczęło się układać.

Ale ulga nie potrwiała długo.

\*\*\*

W kolejnym, 2014 roku trzyosobowa rada miasteczka Grafton zasiadła na rozkładanych krzesłach wokół okrągłego plastikowego stołu, by zdecydować o losie kościoła. Jarzeniowe górne światło remizy rzucało smętne cienie, które odesłały w zapomnienie piękny letni dzień na zewnątrz.

Runda kręcącej się w kółko papierkowej roboty i negocjacji pomiędzy radnymi a dyrektorami kościoła nie przyniosła żadnych podatkowych dolarów. Wpłynął natomiast nowy wniosek o zwolnienie z podatku, który należało odpowiednio rozpatrzyć, tak jak wnioski Connella.

Gdyby radni odrzucili leżący przed nimi nowy wniosek, miasteczko mogłoby ożywić dążenia do przejęcia nieruchomości. To byłby dokładnie ten scenariusz, którego zrzeczenie się kościoła przez Connella miało pomóc uniknąć.

Tom Ploszaj i Jeremy Olson, którzy lepiej odnajdowali się w biurokracji niż Connell, pragnęli zabezpieczyć się przed zastawem podatkowym. Dostarczyli kopie formularza rejestracyjnego spółki wykazujące, że są organizacją *non profit* uznaną przez stan New Hampshire.

Wtedy dyskusja zeszła na inne tory. Pytano, czy dyrektorzy potrzebują również formalnego uznania za organizację religijną lub dobroczynną, które wydawane jest przez urząd skarbowy, w celu ułatwienia zwolnienia od podatków federalnych.

Olson, który nagrywał obrady, zwrócił się do urzędników.



– Kiedy John sam prowadził kościół, zajął stanowisko, że nie chce mieć do czynienia z rządem federalnym – przypomniał im, mówiąc z akcentem nowojorskim tak ciężkim, że rykoszetował od ścian remizy. – John nie chciał kontaktować się z rządem federalnym. Nie chce z nimi rozmawiać. Nie chce podpisywać ich papierów.

Teraz jednak kościół miał nowych właścicieli i przywódców. Olson oświadczył, że nowy zarząd rozważył, czy złożyć wniosek w urzędzie skarbowym, i podjął decyzję.

– My również jesteśmy temu przeciwni. [...] Zarząd zdecydował się działać zgodnie z zaleceniami Johna. Nie musimy się zgłaszać do rządu federalnego.

Olson powołał się na przepisy IRS, które jego zdaniem przewidują, że czynne kościoły nie muszą być indywidualnie uznawane, o ile trwa w nich działalność religijna. Rozdał kopie listy osiągnięć kościoła – obejmujących spotkania wokół Biblii czy współpracę z miejscową Luterską Radą Ekumeniczną przy dystrybucji żywności dla ubogich – które jego zdaniem udowadniały religijny i dobroczynny charakter tej instytucji.

Przed radą miasta, w rzędzie składanych krzeseł, siedziały ramię w ramię cztery ponure członkinie społeczności, czekając na swoją kolej. Miały na sobie gładkie bluzki ujawniające ich podobny gust: ciemnofioletową, jasnofioletową, różową i jasnozieloną.

Ciemnofioletowa była przeciw:

– Jeśli przyjdą następni ludzie i poproszą o to samo... To niech będzie, ja też złożę wniosek, skoro to takie łatwe.

Jasnozielona także się sprzeciwiała:

– Z tego, co wiem, to moim zdaniem jest to oszustwo. I wcale mi się to nie podoba. Ja płacę, co powinnam.

Zgadzała się z nią Jasnofioletowa:

– Wydaje mi się, że tu jest konflikt ideologiczny. Jeśli nie uznajecie rządu federalnego, dlaczego my mielibyśmy [wspierać was] w waszych układach z rządem lokalnym, żebyście odbierali pieniądze mieszkańcom, którzy swoje podatki płacą?

Różowa powiedziała, że sama pracuje w radzie ekumenicznej, na którą powoływał się Olson, i wątpi w jego zapewnienia o jakiegokolwiek afiliacji.

– Nie sądzę, by do niej należeli – oświadczyła. (Nie nadmieniła, że Olson, jak się zdaje, nawet nie znał nazwy tej organizacji, która brzmi: Rada Ekumeniczna Doliny Mascoma. Co więcej, rada jest międzywyznaniowa, a nie luterańska).

Ploszaj wychylił się do tyłu na swoim składanym krzeselku, zakładając ręce na pokrywającym brzuch czystym, białym T-shircie. Wtedy jeszcze nie nosił się „na menela”, włosy starannie czesał, a brodę przycinał. Mówiąc spiętym głosem rodzica, który musi się tłumaczyć swoim pyskującym dzieciom, oprotestował bycie ocenianym przez osoby, które nigdy nie przyszły osobiście zaznajomić się z działalnością kościoła.

– Kościół jest otwarty dla wszystkich – powiedział urzędnikom. – Każdego i żadnego wyznania. Jeśli ktoś stwierdzi, że nie wejdzie do budynku ani nie postawi stopy na terenie, nie będziemy nikogo zmuszać. Nie użyjemy siły.

Rozłożył trochę ręce, wzruszając ramionami – jak gdyby to, że dyrektorzy kościoła nie będą fizycznie zaciągali niezainteresowanych na swoje zajęcia, stanowiło wielką niedocenioną cnotę.

– Mówi mi się, że musimy, musimy, robić rzeczy, które wcale nie są obowiązkowe. Tyle powiem – dodał. I natychmiast powiedział jeszcze o wiele więcej, serwując zebrany kolejną z serii tylko lekko zawoalowanych gróźb dotyczących tego, co się stanie, jeśli miasteczko będzie dalej starało się opodatkować kościół.

– Będziemy musieli przejść do kolejnego kroku... W grę może wejść język prawniczy. A żaden z nas nie jest radcą czy adwokatem – oznajmił.

Gdy przyszedł czas na głosowanie radnych, pierwszy z nich oświadczył, że popiera zwolnienie od podatku, a drugi, że jest przeciwny. O wyniku miał zadecydować ubrany w granatową koszulkę i szare rybaczki radny, któremu duża głowa na wątłym ciele nadawała wygląd zabawkowego podajnika do cukierków Pez. Mimo że brzmiał na niezdecydowanego, stwierdził, że wypowiedź Ploszaja o krokach prawnych „bardzo mu się nie spodobała”.

– To brzmi jak odwrócenie się plecami do społeczności – powiedział urzędnik, wiercąc się na krzeselku. Rozkrzyżował i znów skrzyżował ramiona, czekając na rozpoczęcie głosowania.

Większością głosów dwa do jednego zwolnienia od podatku odmówiono.

\*\*\*

Za sprawą głosowania Connell wrócił do punktu wyjścia. Groźba zajęcia nieruchomości wisiała nad nim jak miecz Damoklesa przytrzymywany jedynie przecierającym się sznureczkiem argumentów prawnych. Zgodnie z wolnomiasteczkowym obyczajem ciągnięcia urzędników państwowych po sądach dyrektorzy kościoła gotowi byli spełnić swoją groźbę prawnej bitwy. Powiedzieli Connellowi, że będzie musiał zostać przesłuchany przez ich prawników, by pomóc w nadchodzącej potyczce przed sądem.

Connell uznał to za bezpośrednią obrazę jego pryncypiów: dlaczego po latach obiecywania miasteczku, że nie podpisze żadnych rządowych dokumentów, dyrektorzy chcą wyegzekwować od niego takie posunięcie? Przypomniał im, że odpowiedzialność za rozwiązanie kwestii podatkowej

spoczywa na nich. Sprzeciwiał się „wykorzystaniu rządu do tego, by chronić kościół przed rządem”.

Za każdym razem, gdy dyrektorzy podnosili tę kwestię, czyli praktycznie zawsze, kiedy rozmawiali z Connellem, on przerywał rozmowę nowym powiedzonkiem:

– Polegam na Bogu, nie ludziach.

W kwietniu, po jednym z comiesięcznych niedzielnych nabożeństw, dyrektorzy zwołali oficjalne spotkanie przed budynkiem kościoła. Connell z zaskoczeniem odkrył, że zaprosili gościa. Był nim John Redman.

Ja miałem poznać Redmana z Ploszajem dopiero później, kiedy to folkowy wokalista położył mi naboże na desce rozdzielczej samochodu.

Radę interesował inny aspekt osobowości Redmana. Tak jak Connell parał się on zarówno przywództwem religijnym (a nawet odebrał częściowe wykształcenie jako duchowny kwakerski), jak i protestowaniem przeciwko wymiarowi sprawiedliwości (z ulubionym celem w postaci policji). Zarząd wyjaśnił, że jeśli Redman zostanie obsadzony jako współpastor, może uda mu się pomóc w sytuacji podatkowej poprzez udział w postępowaniu prawnym, w którym Connell partycypować nie chce.

Connell znał już Redmana jako zwolennika jego kościoła. Pomysł mu się spodobał. Zarząd przegłosował przydzielenie Redmanowi roli współpastora, a Connell rozesłał jego ciepłe, publiczne przedstawienie do wiernych (choć, mało subtelnie znacząc terytorium, nazwał w nim Redmana pastorem towarzyszącym, a nie współpastorem).

Pierwsze oznaki, że rzeczy mogą źle się potoczyć, przyszły szybko. Już na samym początku Redman jako współpastor zaprezentował się przed kościołem z „bardzo fikuśną” strzelbą, co zostało przez Connella odebrane jako niedorzecznie ostentacyjna ilustracja prawa do posiadania broni. Connellowi nie podobał się powiew militarystyki w tak bliskim sąsiedztwie

jego wielkiego malowidła z gołębkiem pokoju. Ufając, że rzeczy same się rozwiążą, trzymał język za zębami.

Poza tym miał inne doczesne zmartwienia. Być może wyobrażał sobie, że podstawowe potrzeby pokryje dzięki przychodom z tacy; jeśli tak, to się przeliczył. W październiku w wezwaniu do darowizn stwierdził, że nie jest w stanie zapłacić za ogrzewanie w kościele i z trudem kupuje sobie coś do jedzenia.

„Wydałem WSZYSTKO, co miałem; jestem (od prawie czterech lat i pół roku) NIEOPŁACONYM, PEŁNOETATOWYM, OCHONICZYM [sic] pastorem i kościelnym, dzięki któremu Kościół Pokojowych Zgromadzeń znalazł się w tym miejscu, w którym jest”.

Kiedy przyszła zima, sporadyczne datki pozwoliły Connellowi ledwie utrzymać się na powierzchni. Relacjonował, że czasami musi chronić się w schowku, pomieszczeniu nie wyższym niż metr dwadzieścia, ponieważ tylko w tej części kościoła temperatura przekracza pięć stopni Celsjusza.

„Ale jest mi całkiem w porządku z cierpieniem, żeby tylko utrzymać Kościół Pokojowych Zgromadzeń” – podsumował. W maju 2015 roku zaoferował sprzedaż trzech ulubionych gitar komukolwiek, kto zaproponuje sprawiedliwą cenę.

Zimy były trudne, ale długie, jasne dni lata traktowały Connella dobrze. Podobało mu się to, że szlak turystyczny idący wzdłuż starych torów kolejowych za kościołem prowadził ludzi tuż obok tylnych drzwi jego mieszkania. Connell oczyszczał szlak ze ściółki i wyrywał chwasty, by ten odcinek wyglądał schludnie. Często zaskakiwał przechodzących rzeźbami albo ustnym przekazem pokoju i miłości. (Tamtego roku stan New Hampshire, kierując się odmienną definicją „schludności”, nakazał Connellowi usunąć dzieła sztuki z publicznego pasa ziemi wokół szlaku).

W czerwcu trafił mu się szczególnie dobry dzień. Pracował w swoim ogrodzie zen, oczyścił szlak, rozmawiał o duchowości z turystami, w tym z jednym człowiekiem w kryzysie, jak określił go Connell. Słońce chowało się za horyzont, a na pogawędkę przystanęło jeszcze kilku wędrowców. Connell przyniósł gitarę.

– „Dawno mi powiedział ktoś, wpiery jest spokój, potem sztorm” – zaczął zachrypniętym głosem. – „Już wiem! To na burzę zbiera się”[30].

Connell dysponował szerokim, choć skupionym na latach jego młodości repertuarem piosenek pokoju, jak sam je nazywał. Śpiewał dla niewielkiej grupki słuchaczy, aż po słońcu została tylko resztką ciepła emanującego od żwiru z nasypu kolejowego.

Gdy wreszcie się pożegnał i poszedł odpocząć we wnętrzu kościoła, był rozradowany.

– Przekaz przebaczenia nadany i otrzymany – stwierdził i padł na łóżko.

Rosalie Babiarz wspomina dzień, w którym zaniósł Connellowi trochę truskawek ze swojej szklarni. Uwielbiał owoce. Zdawał się je kojarzyć z czystością i dobrem. Siedzieli na zewnątrz i jedli, w łagodnym słońcu rozkoszując się miękką, poznaczoną nasionkami skórką i soczystym mięszem. To ulubione wspomnienie Rosalie o Connellu.

– Był szczęśliwą duszą i chciał, żeby każdy też był szczęśliwy – mówi. – Chciał, żeby każdy był wolny.

To było ostatnie lato Connella w Grafton.

\*\*\*

W miarę jak przygasało ciepło lata, między Connellem a kochającymi wolność dyrektorami kościoła pojawiały się kolejne kości niezgody. Choć działalność religijna Connella różniła się od tej prowadzonej w kościołach głównego nurtu, z przerażeniem obserwował on mieszanie broni palnej

z wiarą. Sądził, że dyrektorzy odchodzą od najważniejszego pokojowego przekazu.

Do września ich relacje stały się tak kwaśne i nieprzyjemne, że dyrektorzy poprosili go o odejście z kościoła. Odmówił.

Były też inne konflikty. Piątego października, podczas związanego z kwestiami podatkowymi przygotowawczego przesłuchania, Redman stał się z przyjacielem dyrektorów kościoła Dave'em Kopaczem, przemawiającym barytonem aktywistą na rzecz posiadania broni z Massachusetts. Mężczyźni przyjmowali agresywnie przesadzone pozy jak uczniowie przed bójką na boisku.

Tymczasem Connell zaczął publicznie atakować Redmana. Kwestionował kwalifikacje współpastora, skarżył się, że używa on imienia Boga w przekleństwach, i twierdził, że Redmanem kierują „jego demony”. Oskarżył go o sprawdzanie zasięgu celownika laserowego na klatkach piersiowych żywych ludzi (czemu Redman zaprzeczył). Przypomniwał też o wcześniejszym paradowaniu z bronią po terenie kościoła.

Connell pytał w tekście: „Czy Kościół Pokojowych Zgromadzeń odchodzi od «Pokoju przez Przebaczenie» w stronę «pokoju zaprowadzanego siłą ognia»?”.

Dwudziestego dziewiątego października zacytował e-mailową ripostę Redmana.

„Straciłeś chyba panowanie nad sobą” – pisał Redman. „Nie masz ostatnio szczęścia. Nie udało ci się też do niczego dojść w Grafton”.

Connell zapozował do zdjęcia przed kościołem. Na nagiej klatce piersiowej namalował wielki cel strzelecki z czerwonym środkiem tarczy prosto na sercu. Wyjaśniał, że nawiązuje do domniemanych wybryków Redmana z laserowym celownikiem.

„Cel na mojej piersi to mój twórczy/artystyczny wyraz tego, co może wkrótce nadejść” – pisał do swoich zwolenników na wolnościowych forach.

Im mocniej Connell walczył o wolność, tym bardziej zaciskała się sieć jego ograniczeń. Znowu przyszyły krótkie i chłodne dni, ale jego nie było stać ani na gaz, ani na olej opałowy. Zaczął myć się w zimnej wodzie i wkładać wiele warstw ubrań w budynku.

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia Connell pobrał 30 dolarów ze swojego ostatniego konta bankowego. Oznajmił, że bilans pozostałych pieniędzy wynosi jeden dolar i jeden cent.

Eskalowała jego wojna na słowa z wolnomiasteczkowcami. Każdemu, kto go słuchał, opowiadał o nich jako o „obłudnych mistrzach zaboru” – czy to osobiście, czy to w serii postów na Facebooku i forach wolnościowych.

„Widzę coraz więcej przeblysków lęku i nienawiści w oczach i twarzach niektórych” – pisał. Oskarżył jednego dyrektora o kilkukrotne próby zastraszania go poprzez mignięcie kolbą ukrytego pistoletu.

Trzy dni przed Świętem Dziękczynienia, pierwszy raz w tym roku, temperatury spadły poniżej minus pięciu. Kolejnego dnia ledwie wspięły się powyżej zera. Kilka lat wcześniej libertarianie założyli linię telefoniczną Porc411 (nazwaną od ich ikony samoobrony, jeżozwierza [*porcupine*]), by łączyła kochających wolność mieszkańców całego stanu.

Teraz Connell zadzwonił na Porc411 i w rozwlekłym, sześciominutowym nagraniu na automatyczną sekretarkę skierowanym do całej społeczności oskarżył dyrektorów o porzucenie religijnej misji kościoła, będące „całkowitym zdradzeniem” ich umowy.

– Chcą mieć klub wolności – mówił. – Rządzą nimi jakieś bardzo ciemne siły.



Powiedział, że pomimo chłodu i nadchodzących świąt Ploszaj i Olson rozważają zmianę zamków w kościele, żeby go stamtąd wypchnąć.

Connell dodał, że zmienił zdanie odnośnie do zastawu podatkowego na kościół. Oświadczył, że kiedy stanie przed wyborem między wolnomiasteczkowcami a urzędnikami Grafton, „powie sędziemu, że to zupełne oszustwo i że rząd powinien zabrać ten budynek”.

---

[30] „Someone told me long ago / There’s a calm before the storm / I know! It’s been coming for some time”. Słowa pochodzą z piosenki Johna Fogerty’ego *Have You Ever Seen the Rain* (1970), śpiewanej również przez Bonnie Tyler czy Roda Stewarta.

## Sarkająca sąsiadka

*Na podłodze skóry niedźwiedzie, tygrysie. Wygodne kanapki, fotele, pod oknem fantazyjne poduszki. Jeden kąt urządzony z perską, olbrzymi baldachim, pod nim wędka nasadzona drogocennymi kamieniami. Przez uchylone drzwi widać było sypialnię, dalej łaźnię z marmurowym basenem o wartości mniej więcej czterdziestu tysięcy dolarów.*

— Upton Sinclair, *Grzędawisko*, 1906[31]

– Proszę nie pisać artykułu, który by to pochwalał!

„To”, czego starsza kobieta nie chce, żebym popierał, to karmienie niedźwiedzi przez jej sąsiadkę, którą znam już jako Panią od Pączków. Osoba ta, z napiętą pogardą, która sugeruje bardziej kosmopolityczne wychowanie, wypowiada się o Pani od Pączków, jak gdyby była ona jakimś anonimowym tłumem.

– Sądzę, że niejeden człowiek – mówi – tak się ludzi. Że to niewinna zabawa. Rozrywka dla gości.

Nazwę ją Berettą, bo udziela mi standardowej już Dobrej Rady, że jeśli kiedykolwiek włamię się do jej domu, mogę zostać zastrzelony, bla, bla, bla.

Lata, które Pani od Pączków spędziła na radosnym zadzierzganii więzi z niedźwiedziami, z perspektywy Beretty były śmiertelnie niebezpieczne.

Gdy tylko przychodziły baribale (czyli codziennie, częściej niż raz), Beretta wyglądała przez okno i patrzyła, jak szwendają się po trawie. Gdy niedźwiedzie ułamały gałęzie jabłoni Pani od Pączków, nikt się tym nie przejął, ale kiedy to samo zrobiły z jabłoniami Beretty, właścicielka wpadła w szal.

Zdaje się, że niechęć Beretty do niedźwiedzi bierze się w dużej mierze z ich wyglądu, który opisuje ona tak, że ja sam staję się nieprzyjemnie świadom własnej pucułowatości.

– To są takie wielkie, ogromne, grube zwierzęta – mówi. – Wyglądają jak zawodnicy sumo. Duże. Tłuste. I tak dalej. Zamiast zbierać jagody i łowić ryby, niedźwiedzie jedzą pączki i inną ludzką żywność, która – ciągnie Beretta – jest dla nich bardzo niezdrowa. Jak pan przeczyta etykiety, to dowie się, że jest też niezdrowa dla ludzi – dodaje, patrząc na mnie szelmowsko.

– Bardzo niezdrowa – zgadzam się potulnie.

Mimo że lubi zwierzęta, nie popiera tego, że w lasach Grafton żyją wynaturzone bestie: nienormalnie wielkie kojoty i inwazyjne dziki. W latach 70. naukowcy z Dartmouth zamontowali fotopułapki w tym regionie w poszukiwaniu dowodów na istnienie Wielkiej Stopy. Wie, że to niemądre. Nie wierzy w istnienie Wielkiej Stopy. Ale zapamiętała to na zawsze.

Podczas gdy Pani od Pączków nurzała się w disnejowskim świecie na wpół oswojonych niedźwiedzi, Beretta tkwiła w thrillerze, w którym w nieskończoność odsuwała suspens krwawego finału (jak to często czynią filmowe heroiny).

– Nie chcę zostać rozszarpana przez niedźwiedzia – podkreśla Beretta. – Naprawdę bardzo nie chcę.

Pewnego razu, kiedy przygotowywała się do wyjścia na ochotniczą zmianę w szpitalu, na zewnątrz zauważyła baribale. Zadzwoiła na policję i poprosiła o pomoc w dostaniu się do samochodu. Dyspozytorka zaproponowała, że pozostanie na linii, dopóki dzwoniąca nie znajdzie się bezpiecznie w pojeździe. Beretta, prawidłowo dedukując, że raczej nie doprowadzi to do niczego bardziej pomocnego niż dźwiękowe nagranie z jej poćwiartowania, odłożyła słuchawkę i wykręciła inny numer. Uprzedziła pracownicę szpitala, że z powodu nieprzewidzianej wizyty niedźwiedzia nie dojedzie na czas.

\*\*\*

Baribale to zapewne najbardziej doraźne, ale nie jedyne niebezpieczeństwo zajmujące Berettę. Do pasji doprowadza ją również Free Town Project. Widziała tłumek jego zwolenników w dniu wyborów.

– Ktoś miał na sobie kapelusz jak Kot Prot doktora Seussa. Zachowywali się jak wariaci – mówi Beretta, która głosuje niezależnie, ale ceni prawo i porządek. – Jeśli wszystko inne zawodzi, samozwańczą sprawiedliwość można dopuścić. Ale nie popieram chaosu – twierdzi. – Kto dał im do tego prawo? Pewnie Hatfieldowie z McCoyami[32].

Od czasu, gdy Free Town Project nabrał tempa, przez drzewny półmrok otaczający jej posesję przebijały się odgłosy wystrzałów – z AK-47, jak uważa Beretta. Nie podoba jej się pomysł niekontrolowanego ostrzału w lesie ani rosnącego bezprawia w Grafton i poza nim. Czasem zastanawia się, co by było, gdyby w miasteczku zebrał się wściekły motłoch.

– Nie mam skłonności samobójczych. Ale usiadłabym w wannie i przecięła sobie żyły. Gdyby wchodzili już na wzgórze – mówi. – Zawsze powtarzam, że u podnóża powinniśmy postawić most zwodzony.

Baribale zaczęły zajmować Berecie coraz więcej czasu i uwagi. Za każdym razem, kiedy wychodziła z domu do samochodu albo ogrodu, zanim opuściła bezpieczny próg, szybko sprawdzała, czy w pobliżu nie ma niedźwiedzi, tak na wszelki wypadek. Po zgrillowaniu steku na elektrycznym ruszcie (wymienia jego markę, Jenn-Air, bardzo elegancką) Beretta poddawała się kwarantannie na wiele godzin. Bała się wyjść na zewnątrz, pachnąc mięsem, żeby nie ściągnąć na siebie katastrofy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Beretta w obliczu niebezpieczeństwa jest niczym wędnący fiołek. Jako kobieta czynu zabezpieczyła się przeciwko wielkim, zapuszczonym niedźwiedziom za pomocą swojej kolekcji broni, która – jak sama właścicielka – jest niewielka, schludna i uporządkowana.

Ma swojego „małego glocka” i inny „malutki” pistolet kieszonkowy.

– Ale! – mówi, zawieszając głos, żeby mieć pewność, że słucham. Najbardziej lubi: – Poręczną berettę. Średnica szesnaście.

Nie jestem pewien, czy dzięki posiadaniu trzech egzemplarzy broni palnej czuje się trzykrotnie bezpieczniejsza niż z jednym, czy może posiadanie broni – jak chipsy czy urodziny – podpada pod prawo malejących przychodów.

Z biegiem lat Beretta zaczęła na poważnie myśleć o wyjęciu pistoletu (z zachwytem dowiaduję się, że jak postać z kryminałów Agathy Christie trzyma go w stojaku na parasole) i zastrzeleniu jednego z baribali Pani od Pączków. W toku rozmowy staje się jasne, że coś poza strachem stoi za jej myślami o przemocy wobec niedźwiedzi. W duchu ekonomii spod znaku dwóch pieczeni na jednym ogniu Beretta zastanawia się, czy nie zrobić dywanika z jednego z baribali baraszkujących przed jej drzwiami.

Poważnie.

Świeży niedźwiedzi trup kosztuje znacznie mniej niż grill Jenn-Air, jak mówi.

– Zdobyć niedźwiedzia to nic. Jeden pocisk, jeśli pan dobrze strzela – stwierdza.

Nie, trudność zaczyna się przy przerabianiu skóry na dywan z nieżywą głową wciąż połączoną z futrem, tak jak zobaczyć to można w ekskluzywnych domkach narciarskich oraz parodiach ekskluzywnych domków narciarskich.

Beretta kojarzy te dywany z obrazami luksusowego życia. Popytała u preparatorów i dowiedziała się, że kiedyś to kosztowało 800 dolarów.

– Ale teraz – mówi z nutą oburzenia w głosie – tak już nie ma. Tysiąc dolarów!

Astronomiczny koszt sprawił, że marzenie jest poza jej zasięgiem. Beretta dysponuje ograniczonymi środkami, jak mi wyjaśnia.

– Musiałabym nie jeść przez kilka miesięcy – mówi – tylko po to, by mieć dywan ze skóry niedźwiedzia.

Jej kolejnym pomysłem był kompromis pomiędzy pragnieniami a środkami: może potrafiłaby wymyślić mniej wystawną dekorację, która jednak wciąż objęłaby tak istotny element w postaci części baribalowego trupa. Choć dywan bez głowy zdecydowanie odpadał, mogła przystać na głowę bez dywanu, ustawioną tak, by witała gości ze stoliczka w przedsionku.

Nadzieje nie pożyły długo. Powiedziano jej, że głowa niedźwiedzia będzie kosztować mniej więcej tyle, ile cały dywan, co zdaje się niesprawiedliwe.

Patrzyła więc przez okno na niedźwiedzie głowy i niedźwiedzie skóry człapiące po jej podwórku, nieprzyjemnie obciążone wszystkimi tymi kośćmi, ścięgnami i sadłem narosłym od pączków.

---

[31] Upton Sinclair, *Grzędawisko*, przeł. Andrzej Niemojewski, Książka i Wiedza, Warszawa 1949, s. 269.

[32] Hatfieldowie i McCoyowie były to dwa wrogie wiejskie klany mieszkające odpowiednio w Wirginii Zachodniej i Kentucky. Kulturowe znaczenie ich trzydziestoletniej wojny (1863–1891) można przyrównać do rywalizacji fikcyjnych Kargulów i Pawlaków z trylogii Sylwestra Chęcińskiego. Ten pierwszy konflikt, oprócz tego, że historycznie udokumentowany, był jednak nieporównanie bardziej krwawy i brutalny. Doprowadził do licznych zgonów, masakry, bitwy, aresztowań i jednej kary śmierci.

## Pożegnanie pastora

*Oto byli zwiewni koloniści, swawolący wokół majowego drzewka; może niedźwiedzia tańczyć uczyli [...]. Często cała kolonia grała w ślepca, z sędziami pokoju i tak dalej. Wszyscy oczy mieli zabandażowane poza jednym ofiarnym kozłem, którego oślepieni grzesznicy ganiłi, nasłuchując pobrzękiwania dzwonków u jego szat. Powiada się, że raz ich widziano, jak przybranego w kwiaty trupa odprowadzali do grobu pośród uciechy i odświętnej muzyki.*

*A czy martwy się śmiał?*

— Nathaniel Hawthorne, *The May-Pole of Merry Mount* [Majowe drzewko w Merry Mount], 1832

Po burzliwej dla pomalowanego na fioletowo kościoła jesieni Connell obawiał się, że wszystko skończy się przemocą.

Dwieście lat nawałnic nie zdołało wyrwać z fundamentów i rzucić na wiatr prastarych, uświęconych belek świątyni. Teraz jednak na zewnątrz powiewy wiatru zdzierały karminowo zabarwione liście z gałęzi drzew i rozrzucały je na pewną śmierć na ziemi, a w środku wichry oskarżeń, kontroskarżeń, siłowych gierk i gróźb prawnych szargały reputacje i portfele wszystkich zaangażowanych.

Wielkie przeciąganie liny – w którym brali wtedy udział Connell, dyrektorzy, miasteczko oraz nowa grupa konserwatorów historycznych pragnąca zakupić nieruchomość i przywrócić ją do stanu przed-



Connellowskiego – spowijała ta sama mgła niezadowolenia, która otaczała całą społeczność wolnomiasteczkowców i obracała sąsiada przeciwko sąsiadowi w walnych bitwach o to, kto żyje jako wolny człowiek – ale wolny we właściwy sposób.

Na początku zimy bez ostrzeżenia przycichła cała ta gorączkowa, destrukcyjna energia. Kościół ogarnął spokój, jak gdyby kłótnie zamroził front jałowego arktycznego powietrza goszczący w regionie. Urzędnicy miasteczka i prawnicy libertarian rozerwali śmiertelny uścisk, odkładając potęgę długopisów na rzecz świętowania w domu.

Samopoczucie Connella najwyraźniej się polepszało. Na początku grudnia udało mu się zreperować piec i kupić trochę oleju opałowego. Choć nie przyszło proste rozwiązanie finansowych i prawnych problemów, które go oplątały, przestał rozpalać społeczność libertarian intensywnie osobistymi atakami na dyrektorów kościoła, a skoncentrował się na kwestiach teologii.

Zima 2015 roku rozpoczęła się na dobre, a Connell zaczął czytać pracę Thielemana J. van Braghta, holenderskiego anabaptysty, który w XVII wieku był częścią europejskiego ruchu reformacji religijnej.

„Dziś największym niebezpieczeństwem dla dusz naszych nie jest żadne konkretne wyznanie”, pisał w internecie Connell, cytując van Braghta, „ale jakakolwiek tradycja religijna, która splata się z doczesnymi układami i polega na wsparciu państwa. [...] Jestem przekonany, że rozpaczliwie potrzebujemy wyciągnąć się ze snu, który coraz bardziej przypomina śmierć”.

To cytat z wydanej w 1660 roku książki *Męczeńskie zwierciadło bezbronnych chrześcijan*<sup>[33]</sup>. Używając słowa „bezbronni” w odniesieniu do tej grupy chrześcijan, van Braght nawiązywał do praktyki niestawiania

oporu – cechy, którą zdaniem anabaptysty wykazywali męczennicy wymienieni w książce, w tym Jezus.

Wobec tego bierność Connella, nowo nabytą w trakcie tego chwilowego zawieszenia broni, może wyjaśnić właśnie anabaptystyczna idea niestawiania oporu. Ponieważ w swoim życiu publicznym zawsze orędownik on za cnotą biernego oporu, zdawał sobie sprawę, jak takie obyczaje mogą inspirować zmianę społeczną. To jego wiara w siłę biernego oporu zdecydowała o tym, że pojawił się w sądzie bez środków na zapłatę mandatu albo że odbywał solidarnościowe posty w imię spraw społecznych.

Anabaptystyczna doktryna niestawiania oporu idzie jednak jeszcze dalej po ścieżce pokoju. Jej podejście można niemal porównać do buddyzmu zen. Nie popiera ona na przykład bronięcia się przed pozwem sądowym czy lobbowania u władzy. Bezbronni męczennicy – nauczał van Braght – całkowicie oddali się woli Boga.

Bezbronność Connella została poddana próbie, kiedy po cichym okresie świątecznym pokój został zdruzgotany. Na pierwszym spotkaniu w 2016 roku rada miasta Grafton stwierdziła, że dyrektorzy kościoła zignorowali wszystkie terminy zapłacenia zaległych podatków, wtedy przekraczających 14 tysięcy dolarów.

Następnie rada zagłosowała za rozpoczęciem postępowania mającego na celu konfiskatę nieruchomości. Jeden z dyrektorów podał się do dymisji, a wakat objął Dave Kopacz, entuzjasta prawa do posiadania broni, z którym podczas październikowego przesłuchania John Redman wymieniał pogróżki jak na szkolnym boisku. Redman wolał zrezygnować z roli współpastora, niż pracować z Kopaczem.

Connell, mając chyba w pamięci anabaptystyczną doktrynę niestawiania oporu, nie skomentował tych zdarzeń publicznie. Niedzielnego wieczoru w małej enklawie ciepła, którą stworzył w kościele dzięki swojemu

bezcennemu zapasowi paliwa, obejrzał długi filmik, na którym czterech przywódców religijnych debatowało, kiedy dokładnie Jezus znów zejdzie na ziemię i będzie królował rodzajowi ludzkiemu.

„Co byście powiedzieli albo zrobili Jezusowi, gdybyście go spotkali na ulicy?” – zapytał na Facebooku.

Odpowiedział tylko jeden znajomy: „Siema! Piwka?”.

„Mogłem się domyślić” – odpisał Connell.

W poniedziałek na różnych swoich kanałach społecznościowych opublikował wiersz.

„Chrystus to nie rewolwer i nóż, przyjacielu. Chrystus to nie szczelba [sic] i miecz” – pisał. Do wiersza dodał obrazek przedstawiający Biblię wyrzeźbioną na kształt pistoletu.

„Czytaj Słowo uważnie, przyjacielu. Weź krzyż i idź za nim jak cień” – głosiła pieśń. „Weź krzyż i idź za Chrystusem, przyjacielu. Nie czekajmy na nowy dzień”.

\*\*\*

W czwartek 12 stycznia 2016 roku zimny front sprawił, że temperatury spadły do minus dziewięciu stopni. W najchłodniejszy dzień tej zimy silne wiatry wiały pośród piętrzących się północnych chmur, które zakryły rogale księżycy.

Wstał świt. Kilka promieni słońca z trudem przebiło się w stronę ziemi przez bezkresne zwały chmur. Wkrótce poddało się i dało przyćmić. Około 9.30 wiatr się uspokoił i mętne niebo posłało w dół malutkie, pływające rzeźby z lodu, zwiewne i nieskończenie liczne. Muślinowa woalka pokryła kościół, na chwilę przysłaniając feerię barw elewacji i przekształcając go z powrotem w sielankowy, nowoangielski budynek, urokliwy i święty zarazem.

Przed kościołem stało dwóch mężczyzn. Przyglądali się piórkom lekkiego dymu unoszącym się z drugiego piętra i dryfującym ku niebu.

John Babiaryz, kiedy po niego zadzwoniono, wskoczył do jedyne go wozu strażackiego w Grafton i popędził drogą numer cztery. Wyjeżdżając z zakola drogi, on też dostrzegł dym wysączający się z drugiego piętra. Brak widocznych płomieni dał mu powody do ostrożnego optymizmu. Może to tylko drobny pożar w kuchni.

Strażaków wchodzących do płonącego budynku obowiązują zasady BHP: dwóch w środku, dwóch na zewnątrz. Dwaj strażacy wchodzi, przy czym nawet na chwilę nie mogą się stracić z oczu, a pozostali dwaj nadzorują ich z zewnątrz, gotowi ratować ratowników.

Tyle że Babiaryz był sam. Widział, że oba pojazdy Connella stoją zaparkowane na podwórku, ale właściciela nigdzie nie było. Pospiesznie zarzucił więc na plecy zbiornik z mieszkanką tlenową, trzydzieści minut życia zmieszczonych w plecaku, i włożył na twarz podobną do pyska maskę.

Wszedł przez frontowe drzwi. Świat na zewnątrz był szarym czyścem, ale w środku panowało smoliste piekło. Fale dymu i gorąca szły od niewidocznych płomieni.

Babiaryz krzyknął, ale nie dostał żadnej odpowiedzi.

Nie ośmielił się wejść do wnętrza kościoła na więcej niż kilka kroków. Parter był labiryntem szpargałów Connella. Budynek nie miał izolacji, co oznaczało, że ogień mógł rozprzestrzenić się wzdłuż ścian i podłóg z przerażającą szybkością. Istniało znaczne ryzyko, że kiedy Babiaryz zostawi za sobą prostokąt światła, zgubi się i sam utknie w kościele.

Potrzebował wsparcia.

A ono nadchodziło. Akurat drogą numer cztery jechał w stronę Canaan John Redman w swoim charakterystycznym kaszkiecie i lenonkach. Minął

kilka pędzących z naprzeciwka wozów strażackich.

„Oho”, pomyślał Redman. Zadzwoił do Toma Ploszaja. Ten odpowiedział, że nie może rozmawiać, bo już jedzie na miejsce zdarzenia z Center Harbor, znad jeziora położonego mniej więcej godzinę drogi od Grafton. Ani Redman, ani Ploszaj nie wiedzieli, gdzie jest Connell.

Gdy z Canaan nadciągnęła pierwsza zmiana strażaków, postanowili oni, że nie mogą natychmiast wrócić do budynku. Według dobrych praktyk przy wejściu do płonących pomieszczeń trzeba uwzględnić fakt, że wdychany dym może zabić ofiarę w mniej niż sześć minut. W ciągu dziesięciu minut drewniana więźba może nie wytrzymać nawet w nowym budynku. W tym przypadku dodatkowe niebezpieczeństwo stanowił brązowy dzwon usadzony na pionowych belkach sięgających aż do ziemi. Liczył sobie metr osiemdziesiąt średnicy, a ważył ponad dwie tony. Mógł więc wymierzyć szybki wyrok śmierci każdemu, kto wszedłby do środka.

Do godziny 10.00 strażacy otoczyli kościół, odcięli prąd i przekierowali ruch z drogi numer cztery na szosę przy kopalni Rugglesa. Redman był już na miejscu. Trzęsąc się w swoim polarze, zaczął robić zdjęcia.

Dym buchający z pierwszego piętra był teraz gęstszy. Jeden strażak wszedł przez okno od strony północnej, z dala od dzwonu, a w pobliżu kwatery Connella. Wyszedł po kilku minutach, nie zobaczywszy śladu po mieszkańcu kościoła.

Wszczęto kolejny alarm, by nadeszły posiłki z innych miejscowości.

Lebanon i Hanover posłały swój drogi sprzęt: wozy z rozkładanymi drabinami wyposażonymi w kosze. Trudno było powiedzieć, z którego miejsca w budynku wydobywa się dym, zanim ucieknie i wtopi się w szare niebo. Zaczęły formować się grupki gapiów, ludzie dreptali w śniegu i wymieniali się strzępami informacji.

Spekulowali, na ile kościół jest łatwopalny i czy duży, otwarty strych to wada czy zaleta. Na korzyść kościoła przemawiały jego kasztanowe belki, które nie tak szybko zajmują się ogniem.

– Na pewno jest tam jakiś pięciotonowy dzwon, który wisi ledwie na sznureczku – powiedział ktoś.

Początkowo zdawało się, że pożar można opanować. Strażak położył na dachu drabinę i podziurawił go długim bosakiem, którym uderzał raz za razem, by ciepło zaczęło uciekać ze środka. Gdy otworzył dach, hakiem narzędzia wyciągał płonące kawałki drewna, które zsuwały się następnie po dachu w stronę rynny.

Strażacy nagle stanęli do pojedynku z wielogłową hydrą. Za każdym razem, gdy dostrzegli języczek ognia, rozchylali dachówki czy deski elewacji, by zalać to miejsce wodą – ale tylko po to, by natychmiast dostrzec płomień w innej części budynku. Dwóch ratowników z Hanoveru, którzy stali w koszu na szczycie drabiny, za pomocą piły mechanicznej rozcięło oblicówkę. Uwolnione w ten sposób ciepło i dym spaczyły dół pomalowanej na fioletowo ramy okiennej nad nimi. Inna para stała w koszu uniesionym na wysokość dzwonnicy. Dłońmi w rękawicach strażacy wyrywali listwy z okiennic, ponieważ do wnętrza wieży spływały z dołu unoszone prądami ciepła cząsteczki sadzy.

Wczesnym popołudniem John Babiarz udzielił wywiadu jednej ekipie wiadomości. Okulary i wielki, biały hełm nadawały mu chłopięcy wygląd, któremu jednak natychmiast przeczył poważny wyraz twarzy. Strażak skupił się na małej pociesze: choć prawie wezwał koparkę, żeby zburzyć kościół, teraz sądził, że można go odratować.

Chwilę później, po jego odjeździe, na miejscu zdarzenia pojawiła się Rosalie z ciastkami oreo i wodą dla strażaków. Przed dom wyszedł sąsiad

i ustawił u siebie na ganku termos z gorącą czekoladą, którą częstował każdego.

Wczesnym popołudniem rozeszła się plotka, że w kuchni znaleziono ciało, ale władze tego nie potwierdziły. Gdy komendant policji Russell Poitras (następca emerytowanego już komendanta Kenyona) powoli przejeżdżał samochodem obok Redmana, ten wołał do niego, aż policjant zatrzymał się i otworzył okno.

- Wiemy już coś? – spytał Redman.
- Nie mogę ci nic powiedzieć – zastrzegł Poitras.
- Kto będzie identyfikował ciało? – indagował dalej Redman.
- Wkrótce się tym zajmę – odpowiedział Poitras, ruszając.

Gdy tylko komendant znalazł się poza zasięgiem, Redman się roześmiał. Na jego długich włosach, które wymknęły się z kucyka, lśnił śnieg.

– Nic mi nie może powiedzieć – skomentował drwiąco. – Jak mi wszystko powiedział!

Ponad głowami strażaków dwa małe ptaszki, kominiarczyki, wlatywały do dzwonnicy i wylatywały z niej najwyraźniej nieprzejęte dymem i poruszeniem.

– Wciąż trzymam się nadziei, że to tylko któryś z pieprzonych manekinów Johna – powiedział przyglądający się wszystkiemu libertarianin.

– No, na pewno nie – odparł Redman. – Nie po tym, co powiedział mi Russell.

Jeden z gapiów podłączył kamerkę do przetwornicy swojego jeepa, by móc udokumentować stratę historycznego dziedzictwa.

Podjechał Tom Warner, pastor Millbrook Church. Zanim jego zgromadzenie sprzedało Connellowi kościół, spędził w nim dwadzieścia

dwa lata i wygłosił tysiąc kazań.

– To zbyt smutne, żeby tu stać i patrzeć, jak się pali – powiedział wreszcie. I odjechał.

Nie zdążono ugasić ognia przed zmrokiem. Zespoły strażaków ustawiły wielkie reflektory punktowe. Światło odbijało się od żółtych i srebrnych odbłasków na kombinezonach.

Mniej więcej w tym czasie odnaleźli ciało. Początkowo nie chcieli go identyfikować publicznie.

– Ofiara jest płci męskiej – oświadczył umięśniony, gładko ogolony zastępca inspektora pożarowego Keith Rodenhiser. – Tyle możemy powiedzieć.

Babiarz znów porozmawiał z mediami. Wypowiadał się spokojnym, profesjonalnym tonem, ale poniżej oblepionej śniegiem szyby hełmu błyszcząły udręczone oczy. Na jego ramiona opadły kolejne płatki śniegu, ale ich nie strząsnął.

– Sądzę, że dzięki wzajemnej pomocy poradziłyśmy sobie świetnie – mówił, wciąż podkreślając pozytywy. Jego spojrzenie nieustannie błądziło. – Żeby, cytuję, utrzymać budynek w jednym kawałku.

Kiedy wreszcie ugaszono pożar, budynek wciąż stał, częściowo dzięki kasztanowym belkom. Pokrywał go jednak całun wody, popiołu i lodu. W konstrukcji ziały dziury. Nie przejmowały się tym tylko kominiarczyki.

W dzień lub dwa po pożarze, kiedy ciało zidentyfikowano jako Connella, wiadomość wstrząsnęła wolnomiasteczkowcami. Ostatecznie stwierdzono, że zmarł z powodu zaccadzenia. Trójka jego dorosłych dzieci wyraziła głęboki żal, a także upubliczniła pozyskaną od śledczych informację, że w organizmie Connella nie było narkotyków ani alkoholu. Jego córka zrobiła ankietę, w której prosiła ludzi, by się wypowiedzieli, czy



ich zdaniem popełnił samobójstwo, padł ofiarą zabójstwa czy zginął w wypadku albo z boskiej ręki. Wyniki ankiety były niejednoznaczne.

Trzy lata później stanowi śledczy wciąż uznają sprawę za nierozwiązaną. Nie jest jasne, czy ściśle przestrzeganie przepisów pożarowych – takie, jakiego unikali wolnomiasteczkowcy i Connell – jakkolwiek zmieniłoby bieg wydarzeń.

Russell i Kat Kanningowie, którzy byli z Connellem szczególnie blisko, opublikowali długie, serdeczne teksty o utraconym przyjacielu. Joe Brown, autor czasem uszczypliwych postów na forach wolnościowych, również wylewnie wypowiedział się na temat poświęcenia Connella dla pokoju.

„Był człowiekiem honorowym, uczciwym, przyzwoitym i życzliwym. [...] Może nie zmienił mojego życia, bo i tak szliśmy obaj w podobnym kierunku [...], ale ktoś, kto idzie w tym samym kierunku, może ci podać rękę, gdy ścieżka jest stroma i kamienista. [...] Byłeś bardzo kochany, przyjacielu, i ci, którzy Cię kochali, nigdy Cię nie zapomną” – napisał.

Były to piękne słowa. Pokazały przy tym, jak Connell, mimo swojej ekscentryczności, stabilizująco wpływał na społeczność Grafton, które coraz bardziej przypominało miejscowość z Dzikiego Zachodu. Gdyby nie jego nieustanne wezwania do zachowania pokoju, ludzie z jego otoczenia mieliby jeszcze jeden powód mniej do powstrzymywania się od tego rodzaju ulicznej sprawiedliwości, która czasem towarzyszy dążeniom do surowego indywidualizmu.

Trzy lata po śmierci Connella Joe Brown wdał się w sprzeczkę z innym kierowcą na poboczu drogi numer cztery. Obaj mężczyźni wieźli w samochodach swoje małe dzieci. Drugi kierowca ponoć uderzył Browna pięścią, a Brown strzelił mu w brzuch.

Free Town Project trwał.

---

[33] W holenderskim oryginalne pełny tytuł brzmi: *Het bloedig tooneel, of Martelaers spiegel der doops-gesinde of weerloose christenen, die, om't getuygenis van Jesus haren salighmaker, geleden hebben, ende gedood zijn, van Christi tijd af, tot desen tijd toe.*

## Popularyzacja prerogatywy

*Lecz Amerykanie już podbili Kalifornię. W czerwcu 1846 roku około trzystu amerykańskich osadników, przekonanych o nieuchronności wojny i obawiających się ataku, zbuntowało się, wywiesiło flagę z wizerunkiem niedźwiedzia grizli i ogłosiło Kalifornię niepodległą republiką.*

— John Bach McMaster, *A Brief History of the United States* [Krótka historia Stanów Zjednoczonych], 1909

Miesiąc po śmierci Connella, w lutym 2016 roku, na mównicę w sali konferencyjnej hotelu Radisson w Manchesterze (New Hampshire) przed grupę około pięćdziesięciu libertarian i reporterów wyszedł wykładowca Dartmouth College.

Nad czołem miał ciemną grzywkę opadającą jak u psa maltańczyka, z kolei z twarzy przypominał młodego mopsa. Zbyt duży, ciemny garnitur na szczupłej sylwetce jeszcze potęgował wrażenie chłopiwości.

– To jest – zaczął – wielki dzień w historii wolności człowieka.

Zrobił pauzę na wiwaty, po czym podjął:

– Brzmi to górnolotnie, ale naprawdę wierzę w prawdziwość moich słów.

Przemawiał Jason Sorens, były stażysta Cato Institute, znany z napisanego w 2001 roku eseju, który jako pierwszy nawoływał

amerykańskich libertarian do skoncentrowania swojej siły wyborczej tak, by mogli – jak przypominał teraz publiczności – „zadać sobie najpełniejszy praktyczny trud stworzenia społeczeństwa, w którym rola rządu ogranicza się do ochrony praw jednostki do życia, wolności i własności”.

Esej stał się ziarnkiem, z którego wyrósł Free Town Project. Kiedy jednak Sorens go pisał, nie zamierzał zainspirować libertarian do przejęcia miasteczka – ale do przejęcia całego stanu. A kilkanaście lat niezgrabnych, topornych dążeń w Grafton ani trochę nie osłabiło jego entuzjazmu.

Przez cały czas, kiedy rozwijał się Free Town Project – od przyjęcia Larry’ego Pendarvisa przez Johna Babiarsza w remizie w 2004 roku do spłonięcia Kościoła Pokojowych Zgromadzeń w 2016 roku – inni libertarianie ciężko pracowali nad znacznie świetniejszym planem, zwanym Free State Project [Projekt Wolny Stan].

Rozpoczęty w 2003 roku projekt miał na celu urzeczywistnienie pomysłu na utopijną strefę wolności. Grupa ochotników zaczęła namawiać libertarian, by podpisali uroczystą deklarację zamiaru przeprowadzenia się do stanu New Hampshire w celu przekształcenia tamtejszych relacji władzy i tamtejszej kultury.

Według założonego planu inicjatywa zostanie uznana za „odpaloną”, gdy deklarację podpisze 20 tysięcy osób. Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy i czy Free State Project przekroczy ten wysoki próg. Ale w momencie zwolnienia Triggera wszyscy, którzy podpisali dokument, mieli się rzeczywiście przeprowadzić.

Zbierający podpisy wolnostanowcy zorganizowali kampanię marketingową promującą New Hampshire jako najlepsze miejsce do życia. Ich przekaz niemal nie różnił się od mainstreamowych reklam turystycznych, choć od czasu do czasu dochodziło do gwałtownego zwrotu akcji.

Na przykład zgrabnie zaprojektowana strona internetowa Free State Project chwali zapierające dech w piersiach, malownicze widoki New Hampshire, piesze wędrówki wzdłuż appalaskich szlaków, a na dodatek stanową konstytucję, która „jednoznacznie chroni prawo obywateli do rewolucji i nie zawiera przepisów w szczególności zabraniających secesji”.

Inne cechy New Hampshire przyjazne wrażliwym na wolność to między innymi: duża liczba klubów strzeleckich i prywatnych strzelnic oraz możliwość polowania na baribale; brak podatku dochodowego, podatku od sprzedaży i podatku od zysków z kapitału; a także jego status jako jedynego stanu zjednoczonego, który nie wymaga ubezpieczenia AC i OC do posiadania samochodu i nie karze nieubezpieczonych.

Wobec takiej argumentacji oświadczeniu trudno było się oprzeć. Jego podpisanie zdawało się bezpośrednim, konkretnym krokiem w stronę stworzenia libertariańskiego państwa, wielkim marzeniem wyrażonym jednym pociągnięciem pióra. Niektórych z pierwszych sygnatariuszy przekonywała legalizacja marihuany, innych niechęć do wojny, a jeszcze innych niechęć do podatków.

Wielu skarżyło się na osobiste doświadczenie opresji w państwie policyjnym. Byli przepodatkowani, przeregulowani i skrzywdzeni. Sorens opowiedział publiczności, że zaczął doświadczać opresji już w dzieciństwie, kiedy to klasowy łobuz popchnął go na asfalt, w wyniku czego uszkodzony doznał ukruszenia zęba. Wspominał, jak kazano mu podpisać oświadczenie, że kopnął tamtego chłopca i sprowokował atak. niesprawiedliwość przypisał politycznym koneksjom łobuza, którego matka zasiadała w radzie szkoły. Z kolei prezeska Free State Project Carla Gericke wspominała początki opresji w postaci przerażających ćwiczeń antyterrorystycznych z użyciem bomb zapalających detonowanych przez policję w szkole dla dziewcząt z internatem, do której uczęszczała w RPA.

Doświadczenia wszystkich sygnatariuszy deklaracji Free State Project zdawały się wpisywać w ten ogólny wzorzec rządowych nadużyć i ucisku. Ludzie zaczęli składać podpisy: liczone najpierw w dziesiątkach, potem w setkach.

– Kula śniegu już się toczy – skomentował Sorens.

W ciągu pierwszych kilku lat od rozpoczęcia projektu New Hampshire przyciągało kolejnych libertarian. Stan stał się *de facto* ośrodkiem ich amerykańskiej społeczności. Zgromadziła się tam mała armia ofiar bzdurnych mandatów drogowych, ciężaru alimentów nałożonych przez zimnych sędziów sądów rodzinnych oraz niesprawiedliwego traktowania ich dzieci przez szkolnictwo. Liczba uczestników dorocznego festiwalu wolności PorcFest urosła z kilkudziesięciu zapaleńców założycieli do tysiąca osób w 2007 roku (nie licząc niedźwiedzi, które ponoć włóczyły się wtedy po polu namiotowym) i do ponad dwóch tysięcy osób w 2016 roku, co Gericke nazwała największym zgromadzeniem libertarian na świecie.

Mimo podobnej genealogii Free State Project znacząco różnił się od Free Town Project swoją wymową. Podczas gdy wolnomiasteczkowcy byli obcesowi i radykalni, wolnostanowców cechowały ogłada i wyrafinowanie – co zdaje się nieskończenie trudne do osiągnięcia ze względu na to, że libertarianie z definicji znajdują się na politycznym skraju i głoszą opinie, które rzadko dają się powściągać, nawet w obliczu obowiązków wynikających z objętego przywództwa.

Organizatorzy Free State Project starali się rozładować to napięcie, odzegnując się od politycznie problematycznych Larrych Pendarvisów tego świata. Do takich znanych kontrowersyjnych wolnostanowców należał Ian Freeman. Plusem było to, że Freeman prowadził popularny wolnościowy podcast o międzynarodowym zasięgu, który przyciągnął wielu mieszkańców New Hampshire; minusem, że od dawna wierzył

w możliwość zgody osób niepełnoletnich na seksualne relacje z dorosłymi. Gdy w 2016 roku wypłynęło nagranie audio Freemana wygłaszającego ten pogląd w 2010 roku, Free State Project zerwał umowę o wzajemnej promocji z jego podcastem oraz oficjalnie wycofał wszelkie zaproszenia do udziału w organizowanych przez siebie wydarzeniach (choć Freeman pozostał ważną postacią w libertariańskich kręgach).

Innym wolnostanowcem, który zasłużył sobie na ostracyzm, okazał się Chris Cantwell. Dał się poznać w całym kraju jako uczestnik niesławnego wiecu „Unite the Right” w Charlottesville w 2017 roku, podczas którego biali nacjonaści maszerowali z ogródkowymi pochodniami w dłoniach, skandowali slogany nienawiści do Żydów i atakowali przechodniów, a jeden wjechał samochodem w tłum kontrademonstrantów i zabił jedną osobę. Cantwella nazwano „płaczącym naziem”, ponieważ rozkleił się, usłyszawszy zarzut karny za nielegalne użycie gazu łzawiącego. Po wyrzuceniu Cantwella z Free State Project Freeman przeprowadził z nim wywiad w swoim podcaście. Głównym wnioskiem gospodarza z tej rozmowy było to, że Cantwell porzucił libertariańskie pryncypia na rzecz marzenia o rządach autorytarnych, które zdaniem Freemana byłyby zbyt etatystyczne.

Organizatorzy Free State starali się trzymać ludzi takich jak Freeman i Cantwell na marginesie marginesu. Odżegnali się nawet od kontrowersyjnej części eseju Sorensa sugerującej, że państwo libertariańskie powinno wykorzystać groźbę secesji jako stawkę w negocjacjach z rządem federalnym. Te i liczne inne dążenia do tego, by wprowadzić ruch do głównego nurtu polityki, zaczęły się opłacać.

Kiedy w 2016 roku Sorens stanął na mównicy, z zapalem ogłosił, że po trzynastu latach zbierania podpisów pięciomiesięczny skok o 2500 nowych sygnatariuszy pozwolił Free State Project dotrzeć do progu 20 tysięcy.

Osiągnięto Trigger. Stało się logiczne, że zaraz będzie można odcinać kupony od ciężkiej pracy popularyzacji libertarianizmu.

– Strzelamy z pistoletu startowego. Czas na masową migrację miłośników wolności do New Hampshire! – powiedział Sorens.

Hotelowa publiczność poczuła się „odpalona” w najlepszym sensie tego słowa. Ich entuzjazm nie ustawał, gdy na scenę weszła Gericke.

– Jesteśmy kagankiem wolności dla reszty świata. Przyszłość Free State maluje się w jak najjaśniejszych barwach – powiedziała Gericke, co wywołało kolejny aplauz. – Powiem: najpierw New Hampshire, a potem cały świat!

Natychmiast po konferencji prasowej wolnostanowcy wprowadzili swoje pottriggerowe plany. Organizatorzy robili wszystko, co mogli, by utorować bratnim idealistom drogę do New Hampshire. Ochotnicze centra telefoniczne dzwoniły jednocześnie do setek sygnatariuszy, by pomóc im wprowadzić deklarację w czyn. Samochody pełne wolontariuszy wyjeżdżały, by powitać nowych i pomóc im rozładować ciężarówki przeprowadzkowe oraz nawiązać relacje z innymi członkami społeczności.

Mimo że Free State Project już wcześniej przyciągnął tysiące ludzi do New Hampshire, Trigger tchnął w ten ruch nowe życie i zwabił kolejnych sojuszników politycznych.

Należał do nich niezależny kandydat na prezydenta Vermin Supreme, który wkrótce po zwolnieniu Triggera oświadczył, że dołącza do Partii Libertariańskiej. Starającego się o urząd prezydenta od lat 90. Supreme’a łatwo rozpoznać po charakterystycznym wizerunku: długiej, siwej brodzie i równoważącym ją w szczególny sposób czarnym kaloszu noszonym na głowie.

– Partia Libertariańska to jedyna partia, która pozostaje w zgodzie z moim najważniejszym stanowiskiem: przeciwko państwu, przeciwko



wojnie i przeciwko władzy – oświadczył Supreme. Jego program w dużej mierze sprowadza się do następujących punktów: wprowadzenie nakazu mycia zębów, sprezentowanie każdemu Amerykaninowi darmowego kucyka, rozpoczęcie badań nad podróżami w czasie oraz wprowadzenie powszechnego przysposobienia do apokalipsy zombie. W sondażu z 2017 roku, w którym zostało uwzględnionych siedmiu innych aspirujących libertariańskich kandydatów na prezydenta, Supreme, który uzyskał 8,2 procent głosów, zajął trzecie miejsce.

Na prezydenturę wolnostanowcy mają na razie nikłe szanse, ale wreszcie weszli do politycznego mainstreamu w New Hampshire. Udało im się zyskać władzę i wpływy w stanowej legislaturze. W wielu przypadkach, aby umożliwić sobie zwycięstwo, startowali z list demokratów czy republikanów. Choć kandydaci tacy jak Tom Ploszaj, Jeremy Olson, Tim Condon czy Ian Freeman ponieśli wyborcze porażki, Bob Hull zdobył miejsce w parlamencie New Hampshire jako republikanin. Wolnostanowcy odnieśli kilka ustawodawczych zwycięstw wokół przekonań, które czasem dzielali z lewicą, a czasem z prawicą, takich jak legalizacja małżeństw jedнопłciowych, cięcia budżetu stanowego i rozluźnienie rejonowości szkolnictwa.

Po Triggerze libertarianie szybko nabrali wiatru w żagle w działaniach w legislaturze New Hampshire. W 2017 roku trzech młodych ustawodawców – dwóch republikanów i demokrata – ogłosiło, że zmieniają przynależność partyjną, by stworzyć tym samym libertariański klub poselski. W 2019 roku wolnostanowcy mieli w swoich szeregach dwudziestu reprezentantów stanowych, nie wspominając o licznych członkach rad szkolnych i miejskich oraz komisji samorządowych.

Ze wsparciem nowych wolnostanowych ustawodawców legislatura stanu New Hampshire zniosła wymaganie pozwolenia na noszenie

naładowanej, ukrytej broni oraz zlikwidowała kary za posiadanie niewielkich ilości marihuany czy haszyszu. Przegłosowała też decyzje o deregulacji kryptowalut, legalizacji prywatnych spotkań pokerowych, wymogu uzyskania nakazu sądowego przez policję przed rozpoczęciem śledzenia sygnału telefonii komórkowej, wyłączeniu warkoczykarek z konieczności posiadania pozwolenia fryzjerskiego, legalizacji fajerwerków, zezwoleniu pubom-browarom na wytwarzanie cydru, obcięciu podatków od zysków z przedsiębiorczości oraz wyeliminowaniu astronomicznej liczby 1600 przepisów stanowych, z których wiele uznawano za zdezaktualizowane.

Poza parlamentem stanowym libertarianie pracowali nad samowystarczalnymi infrastrukturami kulturowymi i gospodarczymi. Kto znał się na nowych technologiach, pomógł New Hampshire wskoczyć na pierwsze miejsce w kraju pod względem użycia bitcoina *per capita*. Libertarianie zakładali firmy takie jak LBRY, która zaprojektowała internetową technologię informacyjną służącą do wymykania się spod nadzoru rządu. (Jej protokoły napisał programista Lex Berezhny, strażak z Grafton i jeden z nielicznych wolnomiasteczkowców, którzy wzięli stronę Johna Babiara podczas awantury z ogniskiem).

Ponadto Russell Kanning (dla odmiany jeden z przeciwników Babiara podczas tejże awantury) z pomocą Iana Freemana założył Shire Society, którego przedsięwzięcia obejmują między innymi sieć parafii Wolnego Kościoła Shire, inspirowanych częściowo Kościołem Pokojowych Zgromadzeń Connella. W Wolnym Kościele Shire pod wezwaniem Miecza odbywają się praktyki, takie jak komunia z alkoholowym cydrem, walka na piankową broń białą i „rytuał placka z owocami”. Toczą się kolejne prawne bitwy o zwolnienie od podatku z przyczyn religijnych.

Pomimo swoich dalekosiężnych wpływów libertarianie z New Hampshire, częściowo osłonięci mainstreamowymi przynależnościami partyjnymi, cieszyli się możliwością dyskretnego działania. Przeciętny gość Murphy's, baru w miasteczku Manchester, nie orientował się, że to firma libertarian i pierwsze miejsce na świecie z bankomatem bitcoina. Nie zdawał sobie sprawy, że jeśli wstąpi na nabożeństwo w miejscowym kościele, trafi być może na walkę na piankowe miecze. I z pewnością nie przewidywał, że wkrótce po Triggerze niedźwiedzie problemy Grafton zaczną rozszerzać się na cały stan.

Oczywiście nie można zrzucić wszystkiego na karb Triggera. Ale zdaje się, że 2016 rok był punktem krytycznym dla długo dojrzewającej kwestii zarządzania niedźwiedziami, zamykającej się z jakiegoś powodu w granicach Wolnego Stanu New Hampshire. Sąsiedni Vermont, posiadający mniej więcej tę samą liczbę niedźwiedzi i hektarów ziemi co New Hampshire, notuje o około połowę mniejszą liczbę skarg na niedźwiedzie.

W latach 2013–2015 Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt w New Hampshire zabił w sumie sześć niedźwiedzi zachowujących się w sposób niepokojący, w tym jednego, który wszedł do czyjś domu. Z kolei po Triggerze, w latach 2016–2018, z ramienia stanu zabito dwadzieścia siedem niedźwiedzi, z których czternaście wkroczyło do ludzkich siedzib.

Ale nawet to nie zadowoliło osób zmartwionych wzrostem aktywności baribali – częściowo powodowanym zapewne przez niesfornych karmicieli, a częściowo przez kolejną suszę. Ludzie zaczęli brać sprawy w swoje ręce. W 2018 roku miejska policja w Cornish zastrzeliła niedźwiedzia zachowującego się groźnie na posesji właścicielki żłobka. Mieszkaniec innej miejscowości strzelał ze skutkiem śmiertelnym do trzech baribali

próbujących rozłupać jego ule. Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt oszacował, że w latach 2016–2017 obywatele zabili 120 niedźwiedzi na nielegalnych polowaniach, w wypadkach samochodowych oraz w ramach cywilnych interwencji z bronią palną w ręku. W 2019 roku kilka bliskich spotkań z niedźwiedziami skłoniło władze federalne do zamknięcia pola namiotowego na terenie White Mountain National Forest.

Zdawało się, że to tylko kwestia czasu, zanim nawykły do ludzi niedźwiedź napotka nieuzbrojonego, nieobytego z baribalami człowieka. Szkoda tylko, że przytrafiło się to Apryl Rogers, siedemdziesięcioletniej kobiecie mieszkającej w skromnym, parterowym domu w Groton, mniej niż trzydzieści kilometrów od Grafton.

W nocy, około 1.15, Rogers, która mieszkała sama, usłyszała hałas dobiegający z kuchni. Gdy wjechała do niej wózkiem, zobaczyła, że pomieszczenie wypełniają rozrzucone śmieci, niedźwiedzie gównem oraz srający niedźwiedź, który najwyraźniej wszedł przez niezaryglowane drzwi.

Tracey Colburn wytykano, że krzyczała na baribala, przez co zapewne poczuł się sprowokowany. Rogers zareagowała wręcz przeciwnie – kiedy go dostrzegła, siedziała na wózku cicho. „Starałam się zachować spokój” – relacjonowała później. Zachowywała spokój, kiedy niedźwiedź się do niej zbliżył, w ciszy usiadł koło niej, a następnie zaczął kołysać łbem z boku na bok. Zachowywała go aż do momentu, kiedy zwierzę zaatakowało.

– Nagle – mówi – po prostu dał mi popalić.

W przeciwieństwie do Colburn Rogers nie zdążyła podnieść rąk, by to na nie przyjąć siłę ciosu.

– Wpił się w moją twarz i ją rozszarpał – opowiada.

Baribal poharatał jej policzek i skórę głowy, połamał kości twarzy, spowodował pęknięcie kręgów szyjnych i wyłupał lewe oko.

Rogers nie pamięta, co stało się potem. Rozmazane ślady krwi wskazują na to, że dowlekkła się do telefonu, który skropiła czerwienią, a następnie zdołała zamknąć drzwi, przypuszczalnie po wyjściu niedźwiedzia.

Podczas gdy Rogers przebywała w szpitalu, co łącznie z rehabilitacją miało zająć miesiąc, Ryby i Dzikie Zwierzęta wkroczyły do akcji, znów przeinaczając zdarzenia tak, by uniewinnić niedźwiedzia i politykę stanową odpowiadającą za jego obecność.

– Po pierwsze – powiedział dziennikarzowi major Jim Juneau – ataki niedźwiedzi są skrajnie rzadkie. W tym przypadku trudno to nazwać atakiem.

W rozmowie z innym reporterem Juneau zapewnił niedźwiedziowi tyle niewinności, ile tylko się da przy pomocy manipulacji podmiotem zdania.

– Niedźwiedź zareagował w panice. Niestety – relacjonował – pani odniosła obrażenia.

Inspektor do spraw dzikich zwierząt, ten sam, który przyjechał po ataku na Tracey, dokładnie zanotował, jakie to spożywcze przestępstwa popełniła gospodyni – czyli żadne.

– Przy frontowych drzwiach znajdowała się pusta torba po ziarnie dla ptaków – komentował. – W domu była również karma dla kotów. Niedźwiedź oczywiście się nią zainteresował.

Choć Rogers nie miała w ogródku ani karmnika dla ptaków, ani grilla, urzędnicy stanu wykorzystali okazję do nakazania obywatelom usunięcia tych rzeczy. „Ludzie powinni zachowywać się odpowiedzialnie, wiedząc, że w okolicy są niedźwiedzie” – karcili. Problemem nie jest to, czy to stan, czy społeczność wolnościowców nie mają racji w swoim podejściu do kwestii zarządzania niedźwiedziami. Sęk w tym, że te dwa podejścia są całkowicie niekompatybilne i żadna ze stron nie ma możliwości wpływu na drugą.

Ten dysonans rozprzestrzenił się na cały stan. Władze usiłowały ustalać limity akceptowalnej liczby niedźwiedzi, a libertarianie dalej promowali kulturę nieposłuszeństwa obywatelskiego i praw indywidualnych, łącznie z prawem do karmienia bądź zastrzelenia niedźwiedzia na własnym podwórku. W powietrzu wisiał dalszy rozwój konfliktu. Jego stawką były kolejne niedźwiedzie zgony, a być może również ofiary w ludziach.

Colburn i Rogers należały do kobiet marginalizowanych, żyjących ze skromnych środków w małych miejscowościach na głębokiej prowincji. Żadna z nich raczej nie potrafiłaby zrobić takiej afery, która naruszyłaby *status quo*. Zastanawiałem się, co by było, gdyby baribale zagroziły ludziom uprzywilejowanym i politycznie wpływowym.

Nie minęło wiele czasu, a się tego dowiedziałem.

## Sprzeciw socjety

*Ostatecznie, by zadowolić publiczność, fantazyjną nazwę trzeba zastąpić rozsądną, jednoznacznie opisową. Wielka Niedźwiedzica pozostawała Wielką Niedźwiedzicą – choć nierozpoznawalną – przez tysiące lat; i ludzie narzekali na ten temat, słusznie zresztą; jednak gdy tylko stała się ona własnością Stanów Zjednoczonych, Kongres zmienił ją w Wielką Chochlę, i tak każdy jest zadowolony, i nie mówi się już o rozruchach.*

— Mark Twain, *Following the Equator* [Wzdłuż równika], 1897

Jeśli Grafton jest krnąbrnym przyszywanym dzieckiem stanu New Hampshire, to Hanover jest jego ukochaną córką, której aż chce się wciskać ciasteczko za ciasteczkiem w grzecznie wyciągnięte dłonie. Urocza miejscowość, licząca około 11 tysięcy mieszkańców, leży mniej więcej trzydzieści minut drogi i kilka widełek dochodowych na północ od Grafton. Korzysta ona z politycznych koneksji swoich samorządowców i przedstawicieli, którzy dbają, żeby kibicującym małym piłkarzom mamom, grającym w squasha tatom i zarządzającym portfolio akcji maklerom nie brakowało gładkich dróg, sprawnego zagospodarowania środowiska i wielomilionowych grantów.

W Hanoverze siedzibę ma Dartmouth College, którego odznaczeni licznymi nagrodami dziekani wypuszczają w świat kolejnych

przyozdobionych wstęgami absolwentów, a ci z kolei przeznaczają regularne darowizny na rzecz pokrytej bluszczem *Alma Mater*. Naukowcy ze szkoły medycznej Dartmouth nie tylko nie są zakażeni *T. gondii*, ale i zbadali oraz wyizolowali różne odmiany genetyczne tego pasożyta.

Przyjemne w Hanoverze (a miasteczko wprost nurza się w przyjemnych rzeczach, od niedrogich koncertów skrzypcowych po darmowe dla wszystkich wycieczki po historycznym obserwatorium Shattuck) jest to, że poprzez agresywną politykę zagospodarowania przestrzennego udało się osiągnąć fantastyczną równowagę pomiędzy rozbudową miasteczka a terenami zielonymi. Na osławionej ulicy korporacji studenckich Dartmouth hałasują rozpustne domówki studentów pierwszych lat, ale na zewnątrz łania z młodymi delikatnie skubie dobrze przystrzyżony trawnik. Okazałe rezydencje mieszczą się na niezbyt rozległych osiedlach mieszkalnych otoczonych lasami, jeszcze ciekawszymi za sprawą szlaku Appalachów, rzeki Connecticut oraz zadbanych ścieżek rezerwatu przyrody Greensboro Ridge.

Do zasobów naturalnych Hanoveru należy także Mink Brook, wesoły strumyczek wijący się zakolami przez lasy miasteczka.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Grafton została napadnięta Tracey Colburn, pewien baribal zaczął się wdrapywać na stromy brzeg wyznaczający granicę rezerwatu przyrody Mink Brook, a po drodze degustował zawartość karmników dla ptaków i kompostowników wyższych sfer Hanoveru.

Ponieważ niedźwiedzica mieszkała w Hanoverze, nadano jej imię, a ponieważ lubiła strumień, nazwano ją Mink. Została celebrytką, pupilką lokalnych mediów.

W okolicach pełnych studentów, dokładnie tak ostrożnie obchodzących się z kartonami po pizzy i pojemnikami po chińszczyźnie, jak można się



tego po nich spodziewać, Mink szybko poczuła się bardzo komfortowo wśród ludzi. Przewracała karmniki. Wspiniała się do śmietników i wystawiała głowę ze środka, by czujnym okiem spojrzeć na przechodzących.

Odpowiedzialność za śmiałość Mink w dużej mierze przypisywano starszemu agentowi nieruchomości, który lubił wystawiać przed dom sterty pożywienia, by przyglądać się, jak Mink je. On jednak wystrzegał się mieszanki ziaren w promocyjnej cenie i supermarketowych pączków, które wystarczyły w Grafton, podsypywał za to wysokiej jakości niełuskane ziarna słonecznika i polewane syropem klonowym kreple z piekarnio-śniadaniowni karmiącej profesorów Dartmouth. Gdy jej dobrodziej zmarł, Mink niczym uboga wdowa zaczęła nagabywać resztę miasteczka, i to z trzema młodymi depcącymi jej po piętach.

Wtedy Mink z młodymi naprawdę przesuwała już granice akceptowalnego szperania. W poszukiwaniu jedzenia zapuszczała się do garaży. Raz siedziała pod tyrolką na placu zabaw hanowerskiego liceum, przyglądając się sunącym ponad nią dzieciakom niczym zawodnik sumo, który nie spuszcza z oczu sunącej dokoła baru taśmy z sushi. Zaatakowała psa i bardzo go poraniła. Jedno z niedźwiedziątek wpadło nawet do jacuzzi w czyimś ogrodzie, nie zdając sobie chyba sprawy, że w wannie znajduje się dziewięcioletnia dziewczynka. Dziecko krzyczało, jakby je ze skóry obdzierali, ale nic mu się nie stało.

Drażnienie dobrze sytuowanych rozpętało nawałnicę oburzenia i teatralnych gestów. Część śmietanki Hanoveru oburzała się na nieuprzejmość niedźwiedzia wobec ludzi, podczas gdy inni oburzali się na oburzenie zachowaniem niewinnego dzikiego stworzenia. Cykl oburzenia się nakręcał, a ludzie patrzyli na sąsiadów z piedestałów tak wysokich, że śmiertelnicy pełzający po powierzchni ziemi ledwie ich dostrzegali.

Każda z oburzonych osób rozumiała jedno: coś należało z Mink zrobić. Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt posłuchał.

W 2017 roku, po tym jak para niedźwiedziątek weszła ludziom do domu w Hanoverze, Andy Timmins, biolog pracujący dla stanu New Hampshire, z innymi inspektorami ustawili pułapki, by schwytać całą rodzinę z zamiarem poddania jej eutanazji. W swojej argumentacji Timmins przekonywał, że skoro baribal przyzwyczał się do ludzi, zmiana jego nawyków żywieniowych może być ekstremalnie trudna.

– Kiedy ich zachowanie przekroczy pewną granicę, trudno im będzie znów stać się dzikimi niedźwiedziami.

Jak można się domyślać, nadzwyczaj rozsądne wyjaśnienie spotkało się z oburzeniem.

Nic dziwnego, że nikomu nie podobał się pomysł eutanazji baribali – a z powodu chronicznego niedofinansowania niejednokrotnie już wykonywano ten zabieg za kulisami gospodarowania przyrodą. Nikt jednak nigdy wcześniej nie postawił Hanoverowi przed nosem moralnej przykrości zabicia niedźwiedzia.

Wkrótce do lokalnych gazet pisali lekarze z apelem o oszczędzenie niedźwiedzi. Podobne prośby opublikowano na popularnych stronach internetowych Dartmouth College i w mediach. Dwie różne petycje *Ratunek dla Mink* zdobyły prawie 13 tysięcy podpisów.

W Grafton opinia publiczna podzieliła się na zwolenników strzelania i niestrzelania do baribali. W Hanoverze propozycje rozwiązania impasu były odpowiednio różne: niektórzy chcieli, żeby rząd wydał górę pieniędzy na zmianę zachowania Mink, podczas gdy inni chcieli, żeby rząd wydał górę pieniędzy na schwywanie i przewiezienie Mink do cudzego ogródka.

Jako że to był Hanover, obie strony dostały, czego chciały.

Elitarni gracze pociągali za wszystkie dźwignie, jakie akurat mieli pod ręką, aż w sprawę zaangażował się gubernator Chris Sununu. Skreślił eksperckie zalecenia własnego biologa stanowego i nakazał Rybom i Dzikim Zwierzętom opracować plan, który pozwoliłby przeżyć rodzinie baribali.

Tak więc w długi weekend majowy[34] trzy roczne niedźwiedziątka schwymano i przetransportowano do Pittsburga, odległej miejscowości w New Hampshire pod granicą z Kanadą. Tymczasem Mink zniknęła z okolicy w poszukiwaniu partnera.

Wrzawa ucichła do wiosny 2018 roku, kiedy to Mink wróciła do miasteczka z czwórką nowych niedźwiedziątek. Bez ceregieli patroszyła karmniki i kosze na śmieci, ucząc tych taktyk swoje stadko. Jeszcze bardziej zdecydowanie zalecano eutanazję, ale już wiadano, że plan ten nie ma szans na realizację.

Oburzeni hanoverczycy dobrze wiedzieli, co robić: wydać jeszcze więcej.

I tak w 2018 roku międzyrządowa grupa zadaniowa, złożona z zastępcy komendanta straży pożarnej w Hanoverze Mike'a Hinsleya, biologa Andrew Timminsa oraz urzędnika z federalnego programu zarządzania niedźwiedziami Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych, podała Mink środek uspokajający i włożyła jej obrożę na sygnał radiowy oraz jaskrawy kolczyk, by można było śledzić każdy jej ruch.

Niektóre osiedla mieszkalne wystawiły coś w rodzaju straży sąsiedzkiej, która jednak nie monitorowała przestępczości, ale obserwowwała karmniki i niestarannie utrzymane pojemniki na śmieci. Po zgłoszeniu obecności Mink urzędnicy miejscy Hanoveru wysyłali mieszkańcom SMS-y informujące o „kodzie czerwonym”, by uważniej obchodzili się z rzeczami mogącymi przyciągnąć baribala, a uniwersytet wysyłał podobne

wiadomości studentom. Mieszkańcom polecono chowanie grillów w pomieszczeniach, usunięcie karmników i bezpieczne przechowywanie kontenerów aż do samego rana, gdy śmieci są wywożone, zamiast wystawiania ich poprzedniego wieczoru. Dyrektywy te egzekwowano pod groźbą pięćsetdolarowej grzywny. Miasteczko polecało również zakup odpornych na działania niedźwiedzi pojemników na śmieci po 280 dolarów.

Hinsley został zwiadowcą kampanii mającej na celu zniechęcenie Mink. Gdy mój pracodawca, dziennik „Valley News”, wysłał mnie, bym towarzyszył Hinsleyowi w jego zadaniach, powoli przemierzaliśmy jego SUV-em ulice osiedli mieszkalnych, szukając oznak obecności źródeł ludzkiego pożywienia i rozmawiając z ludźmi na zewnątrz o najnowszych działaniach.

W pewnym momencie Hinsley zjechał na pobocze i wystawił antenę oraz urządzenie do śledzenia lokalizacji, które popiskiwało na niego z różną szybkością i głośnością, co pozwalało mu w realnym czasie wykryć położenie Mink.

Kiedykolwiek przyłapał niedźwiedzicę na zapuszczaniu się do ludzkich osiedli, konfrontował się z nią, wykorzystując metody, których nauczył go zaklinacz niedźwiedzi Ben Kilham. Utrzymywał kontakt wzrokowy, mówił stanowczo i podchodził do Mink, wyrażając dominację. Potencjalnie śmiertelna niesforność Mink trwała do czerwca, kiedy to schwytano ją i przeniesiono ponad 300 kilometrów na północ. Cztery młode zabrano do przystosowanego sierocińca dla baribali prowadzonego przez Kilhama.

Kontrast z graftedem zarządzaniem niedźwiedziami nie mógłby być wyraźniejszy. Życie baribala w Hanoverze jest zagrożone, więc stan New Hampshire porusza niebo i ziemię, by potraktować niedźwiedzie zgodnie z życzeniem mieszkańców. Baribal zagraża życiu kobiety w Grafton, a stan

New Hampshire markuje starania, by go schwytać, a następnie incydent szybko wyparowuje z wyobraźni mieszkańców.

W korespondencji ze mną Andy Timmins przyznał, że stanowy system zarządzania niedźwiedziami nie ma wbudowanej żadnej oceny priorytetów, która wyróżniałaby przypadki zranień ludzi czy psów przez baribale.

„Niechętnie nazywamy je «atakami niedźwiedzi», bo ich za takie nie uważamy” – pisał. „Jednak kontakt fizyczny pomiędzy niedźwiedziem a człowiekiem nie jest normą i raczej powinniśmy rejestrować te zdarzenia w osobnym dokumencie”.

Powiedział, że – w wyniku mojego zapytania – zamierza napisać osobny formularz dla tychże „nieataków”.

„Częściowo tak opóźniam stworzenie podobnego formularza z powodu swojego zaniepokojenia faktem, że wielu ludzi chce zrobić z niedźwiedzi agresywnych złodziei” – pisał. „Podtrzymuję, że tak nie jest. Z mojego doświadczenia wynika, że najczęściej w przypadkach fizycznego kontaktu z niedźwiedziami ludzie (zazwyczaj z psami) wywołali u niedźwiedzia uczucie bezpośredniego zagrożenia, stąd reakcja defensywna (machanie łapami, uderzenia)”.

Dodał też, że brak dokumentacji przypadku Colburn wynikał po części z tego, jak ustrukturyzowano dane w formularzu. Został on zaprojektowany tak, by śledzić działania podjęte w celu załagodzenia konfliktu z niedźwiedziem, a nie rejestrować ostrość danego konfliktu. Tymczasem w Hanoverze saga z Mink w roli głównej zyskała niespodziewany ciąg dalszy. W 2019 roku jej radioobroża zasygnalizowała, że niedźwiedzicy udało się wrócić do Hanoveru bardzo okreśną trasą, obejmującą wędrówkę przez ponad półtora tysiąca kilometrów i przeprawę przez rzekę Connecticut. Historia trafiła do ogólnokrajowych wiadomości.

„I'm back bitches!” – powiedziała niedźwiedzica (według konta na Twitterze założonego pod jej imieniem). „Gdzie pączki?”

Gdy Mink po długiej podróży wróciła do domu, ludzie przygotowali się na kolejne psoty, ale tym razem z zaskoczeniem odkryli, że nie wykazywała żadnych nietypowych zachowań względem nich. Miesiące wędrówki przyzwyczyły ją chyba do diety paleo, przedkładającej żółędzie nad brzegi pizzy.

Historia Mink pokazuje, że w miejscach, gdzie widać silne zaangażowanie obywatelskie, stanowcze egzekwowanie dobrych praktyk związanych z ludzką żywnością i wolę polityczną, nawet najgorszy przypadek baribala przyzwyczajonego do ludzi można rozwiązać tak, że każdy będzie szczęśliwy.

Problem polega na tym, że stanu i lokalnych urzędników nie stać na czynienie wszędzie takich samych wysiłków. A dopóki ta sytuacja się utrzyma, skuteczne zarządzanie niedźwiedziami będzie miało miejsce tylko na podwórkach elity.

---

[34] W USA weekend majowy jest pod koniec miesiąca z okazji zawsze wypadającego w poniedziałek święta poległych żołnierzy Memorial Day.

## Epilog eksperymentu

*Otóż i pogoń za mną! Zginąłem!  
Ucieka ścigany przez niedźwiedzia.*

— William Szekspir, *Zimowa opowieść*, 1623[35]

Nikt wtedy tego nie dostrzegł, ale ten sam Trigger, który powołał do życia Wolny Stan, wybrzmiał jako dzwon pogrzebowy dla Wolnego Miasteczka.

Libertariańskich kolonistów, którzy z nieopanowanym optymizmem i entuzjazmem wdarli się szarżą do Grafton dwanaście lat wcześniej, prześladowały różne nieprzyjazne siły. Trwały wewnętrzne porachunki, zainicjowane między innymi ogniskiem Barskey’ego. Ludzie dzielili się na frakcje, a na wcześniej radosnych rytuałach palenia amerykańskiej flagi i festiwalach zagościła atmosfera napięcia. Do tego doszedł fakt, że niektórzy z najbardziej wpływowych uczestników projektu zaczęli umierać. W 2012 roku ruch stracił Lloyda Danfortha, czciciela wolności z Hartfordu (Connecticut), który załapał się na posadkę urzędnika stanu cywilnego; Connell zginął w pożarze w 2016 roku; a na początku 2019 roku największy właściciel ziemski w Grafton i jego reprezentant we władzach stanowych, Bob Hull, zmarł na raka.

Nic jednak nie wysysało soków życiowych z Wolnego Miasteczka tak szybko jak Wolny Stan. Grafton przez wiele lat było najbardziej widocznym i najważniejszym lądowiskiem dla tych, którzy chcieli włączyć

się w tworzenie libertariańskiej utopii. Po zwolnieniu Triggera stało się ono po prostu jeszcze jednym miasteczkiem w stanie z wieloma możliwościami.

Nieprzerwany wcześniej strumyczek napływających kolonizatorów wysechł. Nowi wolnostanowcy omijali Grafton na rzecz takich miejsc jak dwudziestotrzytysięczne Keene. Keene miało trzykrotnie większy podatek od nieruchomości niż Grafton, a do tego restrykcyjne plany zagospodarowania przestrzennego, ale najwyraźniej libertarian przyciągały miejskie atrakcje, takie jak własna drużyna bejsbolowa, kort tenisowy i boisko do koszykówki, trawiasty plac z estradą, place zabaw, odrestaurowany Teatr Kolonialny, zadbane parki oraz tętniący życiem pasaż handlowy – a wszystko dobrze obsłużone dzięki zdrowym, odżywionym podatkami usługom komunalnym.

Ludzie spod znaku „Wolne Keene” pod przewodnictwem Iana Freemana trafiali na nagłówki za codzienne publiczne palenie marihuany o godzinie 4.20 po południu czy zaczepianie funkcjonariuszy obsługujących parkomaty i wrzucanie monet do maszynki stojącej przy samochodzie obcych ludzi, by przedłużyć im czas parkowania i uniemożliwić władzy wystawienie mandatu.

Tym razem inne wybryki znalazły się w świetle reflektorów. Grafton nie pozostały żadne wielkie plany do ogłoszenia, żadne akcje przeciągania dorocznego zebrania walnego miasteczka do dwunastogodzinnej mordęgi, żadne kamery godzące w urzędniczkę, która stara się odpowiedzieć na agresywne pytania o wolność i kontrolę.

Ludzie pakowali się i wyjeżdżali z Grafton, a na ich miejsce nie przybywali nowi rekruci. Pozostali ci najzagorzalsi, lecz oni w dużej mierze zasymilowali się z ludnością Grafton. W wyborach prezydenckich w 2016 roku zaledwie trzydzieści trzy osoby zagłosowały na kandydata libertarian



Gary'ego Johnsona. (Pozostali woleli Donalda Trumpa od Hillary Clinton: 367 do 297 głosów).

Obecność libertarian malała. Zapadła cisza.

W tym nowym bezgłosie niedobitki po pierwszym Wolnym Miasteczku Ameryki mogły wreszcie ocenić szkody. Pozostali w Grafton jak gdyby obudzili się po hucznej domówce i przypomnieli sobie ze zgrozą, że oto szalała ona w ich własnym domu.

Jadę samochodem do Grafton pewnego ranka w 2019 roku, mam trochę czasu do zabicia, więc robię sobie wycieczkę po zmianach zaprowadzonych za Free Town Project. Posuwam się drogą numer cztery na wschód. Mijam Kościół Pokojowych Zgromadzeń. Brezentowe płachty zatrzymują około 90 procent deszczu, a jedynym znakiem życia są kominiarczyki, które zasiedliły już nie tylko dzwonnice, ale i całe wnętrze budynku.

Po drugiej stronie ulicy zauważam wykonany domową metodą plakat wskazujący gościom drogę do robiącego największe wrażenie przyrodniczego dobra Grafton, czyli kopalni Rugglesa. W ciągu 215 lat ciągłego działania z kopalni wydobyto minerały warte 30 milionów dolarów. Jako niespodziewana atrakcja turystyczna w latach 60. stała się ona dla Grafton kołem ratunkowym. Jednak w 2016 roku lokalna gazeta podała do wiadomości, że kopalnię zamknięto i wystawiono na sprzedaż. Smutną wieść nieco rozweselono sprytnym nagłówkiem *Mine Could Be Yours*[36]. Nawet napis NA SPRZEDAŻ doczepiony pinezką do plakatu wygląda żałośnie.

Kieruję się dalej na południe drogą numer cztery i docieram do sklepu wielobranżowego, który zamknął się na stałe w 2018 roku, czym pozbawił miejscowych możliwości zatankowania „standartowej” benzyny. Gdyby nie wierna klientela w postaci kotów kurzu, prawdziwych myszy i pajaków, stałby zupełnie pusty.

Kopalnia Rugglesa i sklep, choć skromne, stanowiły dwa największe miejsca pracy w Grafton. Taka strata zdruzgotałaby pewnie niejedną miejscowość, ale w Grafton zdawało się, że prawie nikt i tak pracy nie szuka. W 2018 roku urzędnicy twierdzili, że nie wiedzą już, co robić, bo nie potrafią znaleźć pracowników do odśnieżania i czyszczenia poboczy miejskich szos.

Kiedy błędę po leśnych drogach, dostrzegam, że nie tylko kopalnię Rugglesa oznaczono tabliczką NA SPRZEDAŻ. Podobne znaki pyszną się na podwórkach przed domami: ich druciane stojaki zwieńczone są uśmiechniętymi, jakby w samozadowoleniu, twarzami agentów nieruchomości z Canaan i innych bogatszych miejscowości. Szacunki cenzusowe pokazują, że niemal jedna trzecia z ośmiuset mieszkań w Grafton stoi pusta, a pomiędzy 2010 a 2017 rokiem populacja nieco zmalała.

Przetaczam się obok zamieszkiwanego przez Johna Babiarza ceglanego budynku szkoły w Slab City i skręcam w Dean Road. Tam mijam dom mężczyzny o imieniu Danny Coutermarsh. W październiku 2017 roku, kiedy stanowa policyjna grupa zadaniowa stawiała się na jego posesji z nakazem przeszukania, znalazła u niego ponad dwadzieścia noży, których jako karany za poważne przestępstwa nie powinien był posiadać, a także pistolet maszynowy uzi, którego już naprawdę nie powinien był posiadać.

Broń była odkryciem niepokojącym, choć niezupełnie niespodziewanym, biorąc pod uwagę popularność pistoletów maszynowych w New Hampshire.

Samochód podskakuje na źle utrzymanej leśnej drodze oznaczonej kamieniami i gałęziami drzew. Docieram do Tent City, gdzie Adam Franz tłumaczył mi, jak jego zdaniem żyłoby się niedźwiedziom przy społeczeństwie libertariańskim.

– Tak czy inaczej, nie byłoby dobrze – mówił. – Czy doprowadziliby je w tym rejonie do wymarcia, czy pozwalali ludziom karmić je aż do przerostu populacji, równowagi nigdy by nie osiągnięto.

Aktywność niedźwiedzi zepchnęła na boczny tor plany Adama związane z założeniem społeczności surwiwalowców. Gdy jego judge'owi i fajerwerkom nie udało się skutecznie odstraszyć niedźwiedzi, surwiwalowcy stwierdzili, że potrzeba bardziej zdecydowanych działań.

Anarchokomuniści z Tent City zdecydowali się na posunięcie, które dziwnie przypominało działalność Donalda Trumpa na południowej granicy Stanów Zjednoczonych: budowę pięknej, potężnej palisady, która miała odgradzić od nich niedźwiedzie.

Skombinowali trochę metalowej siatki, palet i innych resztek materiałów budowlanych, po czym zabrali się do działania. Spoglądam w dół skarpy, przez sylwetki stróżujących tu strachów na wróble, i dostrzegam w lesie owoce ich pracy. Wszystkie chatki w sercu Tent City łączy ze sobą ostrokół, który teoretycznie mógłby zablokować niedźwiedziom dostęp do ludzi w środku. Niektóre odcinki płotu zwieńczono puszkami po napojach wypełnionymi śrutem do wiatrówki, tak by głośno grzechotały, jeśli niedźwiedzie spróbują przedostać się do środka nocą. „Oto kolejna ironia”, myślę. „Ci, którzy w tę stronę lasu zaszli w poszukiwaniu najwyższej wolności, muszą się barykadować w prowizorycznej fortecy, by zachować minimum bezpieczeństwa, którego nie zapewniało im państwo”.

Choć strefę ich zamieszkania otacza ogrodzenie, dziwnym sposobem zgromadzone przez surwiwalowców śmieci – leżaki, wiadra, części samochodowe i brezentowe płachty zwisające z drzew – rozpełzają się wokół. W przeszłości obozowisko sprawiało wrażenie bliskiego naturze, ale

teraz wygląda jak miejsce po przejściu tornada, które porwało stodołę rupieciarza i rozrzuciło jej zawartość na tym skrawku lasu.

Nie widziałem natomiast ludzi. Te same odpływowe siły, które podmywają Free Town Project, niszczą Tent City.

Okolo 2016 roku prowadzone przez Franza wolne życie zaczęło zderzać się z rzeczywistością na szereg nieprzyjemnych sposobów. Jako zagorzały orędownik edukacji dał się wybrać do zarządu biblioteki. Jednak jego osobiste dziwactwa wywoływały więcej tarc, niż zamięłowanie do nauki potrafiło załagodzić. Ludzie zaczęli się skarżyć, że śpi w bibliotece. W połowie listopada 2017 roku został zatrzymany przez policję za jazdę samochodem w stanie nietrzeźwym i nie stawiał się na wezwanie do sądu w lutym 2018 roku, co spowodowało decyzję o tymczasowym odebraniu mu prawa jazdy. Kilka miesięcy później złożył oficjalną rezygnację ze stanowiska członka zarządu. Wkrótce potem wyprowadził się z Tent City i w ogóle z Grafton.

Gdy odjeżdżam spod Tent City, jest mi trochę smutno, że zostało doprowadzone do tak opłakanego stanu. Później usłyszę, że kilka osób wciąż mieszka na dziko na tym terenie, ale Adama nie ma, ustała synergia z innymi obozowiskami, a ogniska i nocna rozpusta się skończyły. Na dobrą sprawę Tent City wymarło i czeka na to, aż powoli wchłonie je las.

\*\*\*

Nie mam więcej czasu do stracenia, więc jadę dalej. Powracam na drogę numer cztery. Za oknem przesuwiają się kolejne znaki NA SPRZEDAŻ, a wreszcie popadające w ruinę budynki miejskie. Wjeżdżam na jedno z trzech miejsc parkingowych u mojego celu: przed biblioteką publiczną w Grafton, otwartą na trzy godziny każdego środowego poranka. Pod

południową ścianą niewielkiego budynku stoi pęknięta przenośna toaleta, którą dziewięć lat temu miasteczko kupiło z drugiej ręki i podreperowało.

Biblioteka jest chyba najbardziej przyszłościowym miejscem kontaktu tej społeczności z aspiracjami do kultury, edukacji i wspólnoty. Służy rodzicom uczącym dzieci w domu, zimą organizuje imprezy z jazdą na sankach i budowanie domków z piernika. Poza nią mieszkańcy nie mają dokąd iść, więc wpadają skorzystać z internetu albo pożyczyć puzzle i porozmawiać o najnowszych wieściach czy zjeść kawałek ciasta pojawiającego się jak w zegarku co środę rano. Ciasta piecze siostra bibliotekarki, Onshin, buddystka i rekonstruktorka historyczna okresu wojny secesyjnej, która pewnego razu powiedziała mi, że na Halloween jest najstarsza spośród dzieci zbierających cukierki. W skrócie biblioteka w Grafton jest dokładnie taką utrzymywaną z podatków fanaberią, jaka według badania Baylor University z 2019 roku spaja społeczność i uszczęśliwia ludzi. Między innymi dlatego na jednym z zebrań w miasteczku obywatelsko nastawiona mieszkanka Sue Jukosky nazwała ją „sercem i duszą naszej społeczności”.

W środku wita mnie bibliotekarka Deb Clough, która pełni również obowiązki poczmistrzyni (ta sama, która dostarczała Jessice Soule pocztę pod drzwi, żeby weteranka nie musiała schodzić z ganku).

Poza sowimi okularami Clough nie wpisuje się w stereotyp bibliotekarki. Jest bezpośrednia, rubaszna, krzepka i przyjacielska. Zamkniętą przestrzeń biblioteki wypełnia wartkim strumieniem dźwięcznego trajkotania na wszelkie tematy. Jest też filarem wspólnych imprez: kiedy w 2018 roku ceremonii zapalenia bożonarodzeniowych lampek zagroziła przerwa w dostawie prądu, Clough uratowała sytuację dzięki przywiezieniu własnego agregatu.

Mówi, że kiedy założyciele Free Town Project sprowadzili się do miasteczka, szybko przyczepili jej etykietkę etatystki.

– Poszła plotka, że stoję na czele ruchu przeciwko Free Town Project, a moją kwaterą główną jest biblioteka – opowiada.

Libertarianie z zasady nie popierają publicznego finansowania bibliotek, a rzekomy etatyzm Clough sprawiał, że ta instytucja musiała ucierpieć w ramach projektu Wolnego Miasteczka. Gdy zapytałem o to Babiara, wykrzywił twarz.

– Czy biblioteka czemuś służy? Ech, być może – skomentował. – Ale z dostępem do internetu mogę się dostać do całej wiedzy świata, jeśli tylko potrafię wklepać zapytanie. Czy wydałbyś więcej na bibliotekę niż na remizę? Nie sądzę. Trzeba mieć priorytety.

Budynek biblioteki wzniesiono w 1921 roku za zaledwie cztery tysiące dolarów, głównie z bloczków betonowych. Wyróżnia się jednak kilkoma ciekawszymi elementami architektonicznymi, takimi jak podłogi z litego drewna, boazeria angielska oraz panele ze zdobnie tłoczonych cynowej blachy na górnej części ścian i suficie. Niestety w ciągu stu lat od budowy biblioteki nikt jej znacząco nie odnowił. Dostrzegam pęknięcia na ścianach. Wiem też, że komin przecieka, dachówki się kruszą, a w piwnicy zdarzają się podtopienia.

Canaan dorocznie wydaje na swoją bibliotekę około 160 tysięcy dolarów, a pobliskie Enfield – 180 tysięcy. Placówka graftedowska dostaje natomiast tylko około 10 tysięcy dolarów w gotówce, a do tego niekończącą się litanię narzekań.

Jednak za każdym razem, kiedy zwolennicy biblioteki mobilizują dążenia do budowy porządnej siedziby albo zwiększenia finansowania, napotykają mur niechęci oraz obelgi ze strony zarówno libertarian, jak i czujnych na podatki urzędników miasteczka. Podczas jednego z zebrań,

gdy Jeremy Olson usłyszał, że prawo stanowe nakazuje przyznawać wynagrodzenie personelowi bibliotek publicznych, wniósł najwyraźniej na poważnie, żeby biblioteka obeszła przepis, płacąc pracownikom jednego dolara za godzinę. Inny przeciwnik zasugerował, że darmowe wi-fi w placówce naraża miasteczko na prawne konsekwencje łamania praw autorskich.

Nie pomogli też miejscowi przywódcy. W 2010 roku budżet miasteczka objął niewielkie podwyżki dla każdego z urzędów, z wyjątkiem biblioteki, której przydział został rozproszony inaczej. Innym razem radni polecieli zarządowi biblioteki nie przechowywać rzeczy na doroczny kiermasz we wspólnym magazynie komunalnym, ale w jej zawilgoconej, zagraconej piwnicy. A w czerwcu 2018 roku, po długiej dyskusji o braku pochylni dla wózków przy bibliotece, Babiarz zupełnie ją zamknął ze względu na niedostępność dla osób z niepełnosprawnościami. (Otwarto ją ponownie po montażu rampy).

A jednak biblioteka trwa. Gdy siadam z kawałkiem ciasta i podłączam laptop, do głowy przychodzi mi myśl, że biblioteka publiczna może stać się ośrodkiem renesansu Grafton. To tu, chroniony wiedzą i serdecznością, jasno pali się płomyczek obywatelskiej dumy, podsycając nastrój, który być może pewnego dnia doprowadzi do odzyskania przywiędłej infrastruktury miasteczka i odparcia napierającej na nie zewsząd dziczy.

Clough ma nadzieję na lepsze widoki dla biblioteki po przejściu ostatniej politycznej burzy. „Epoka Wolnego Miasteczka”, mówi mi, „właśnie dobiega końca”.

– W ciągu ostatnich kilku lat wielu z nich po prostu zniknęło z powierzchni ziemi – relacjonuje. – Tak jak mooniści w latach 80. Przeżuliśmy ich i wypluliśmy. W Grafton już tak jest.

---

[35] William Szekspir, *Zimowa powieść*, przeł. Gustaw Ehrenberg, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1871, s. 61.

[36] Oznaczającym: „Kopalnia może być twoja” albo „To, co moje, może być twoje”.



## Porzucenie pączków

*Na kogo patrzy lew łagodnym okiem?  
Nie na to zwierzę, co mu do jaskini  
Wcisnąć się pragnie! Leśna niedźwiedzica  
Czyżż dłoń liże? Zapewne nie tego,  
Coby w jej oczach chciał wydrzeć jej młode.*

— William Szekspir, *Król Henryk VI. Część trzecia*, 1591[37]

Pewnej nocy w 2017 roku Beretta usłyszała dźwięk za drzwiami, jak gdyby ktoś próbował się do niej włamać.

Sięgnęła po swoją poręczną berettę kalibru 16 i przygotowała się do strzału w cokolwiek, co przejdzie przez drzwi. Jednak odgłosy wkrótce się oddaliły. Beretta spróbowała z powrotem położyć się spać. Rankiem wyszła na zewnątrz. Przy ścieżce dostrzegła odcisk łapy.

„O Boże” – pomyślała. „Czy pod moje drzwi przyszła Wielka Stopa?”

Jej dzieci wciąż się z niej śmieją. Wiedziała, jak mówi, że to nie jest Wielka Stopa. Podkreśla to kilkakrotnie, tak żebym ja wiedział, że ona wiedziała, że to nie legendarny stwór.

– Na pierwszy rzut oka łapa wyglądała – relacjonuje – jak te pokazywane w głupich programach w telewizji.

Ze śladów wywnioskowała, że węszący wokół domu niedźwiedź zatrzymał się przy frontowych i bocznych drzwiach.

Beretta zadzwoniła ze skargą do komendanta Poitrasa.

Poitras (sam polujący na niedźwiedzie) ogólnie utrzymuje, że baribale nie stanowią w Grafton problemu. Może poza skłonnością do napadania na kurniki, ule i zagrody. Latem 2015 roku, kiedy ustawiał basen u siebie na podwórku, usłyszał hałas i wyjrzał za taras, by dostrzec, że zza balustrady podchodzi do niego baribal. Nie zdawał się jednak groźny. Poitras z żoną stwierdzili, że popatrzą, jak wyciąga się na podjeździe i odpręża.

– Był bardzo łagodny – powiedział mi Poitras. – Bardzo komfortowo się czuł w pobliżu ludzi.

Ale to właśnie takie spotkania popychały Berettę w ciemne zakamarki jej umysłu, tam, gdzie chowa fantazje o dywanach z niedźwiedziej skóry. Kiedy zadzwoniła do Poitrasa, by poskarżyć się, że niedźwiedź, a oczywiście bynajmniej nie Wielka Stopa, myszkował przy jej drzwiach, komendant odpowiedział, że nic nie może z tym zrobić.

\*\*\*

Gdy pierwszy raz spotkałem Panią od Pączków, wciąż radziła sobie z konsekwencjami wizyty przedstawiciela Ryb i Dzikich Zwierząt.

Zacząłem od powolnego przejazdu przed jej domem. Przystanąłem, by przez lornetkę spojrzeć między drzewa. Przyjechałem o 8.00, bo słyszałem, że to wtedy gospodyni karmi niedźwiedzie.

Niczego jednak nie dostrzegłem.

Było chyba za wcześnie, by pukać, więc wróciłem koło 10.00. Czuję nerwowy odruch napięcia mięśni za każdym razem, gdy w Grafton pukam do czyichś drzwi i ktoś otwiera. Nigdy nie wiadomo, kiedy usłyszysz Dobrą Radę.

Jednak w tym przypadku, gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłem Panią od Pączków, kobietę sprawiającą wrażenie przyjazne niczym dobra wróżka.

Kiedy zaprosiła mnie do środka i przedstawiła swoim kotom, poczułem przypływ ulgi. To Dobry początek, a Rad na razie brak.

Pani od Pączków pokazała mi wiele dowodów swojego długotrwałego romansu z graftedskimi baribalami. Oto drzewo, na które wspinały się młode, by wejść na talerz anteny satelitarnej. Tu dwa stanowiska do karmienia, z trawą wydeptaną przez lata niedźwiedzich wizyt. Wręczyła mi kalendarz własnej roboty ze zdjęciami baribali zrobionymi głównie przez jej męża.

– W zeszłym roku mąż nazwał jednego z nich Darth Vader. Inny nazywa się Pan Ważniak – opowiadała. – Chociaż myśleliśmy, że to Pani Ważniak.

Samych niedźwiedzi Pani od Pączków jednak mi nie pokazała.

Spytałem o konkrety związane z karmieniem. Gospodyni zaczęła mówić o Departamencie do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt. Jak wielu miejscowych, posługuje się skrótem F&G, ale wymawia go bardzo szczególnie, tak że w jej ustach brzmi raczej jak „fe, gie”.

Na przykład: „Fe, gie przyszło mnie prześladować”.

Do dziś nie zna przyczyny zdarzeń, które zaszły w Święto Pracy 2016 roku. Po karmieniu niedźwiedzi o godzinie 16.00 Pani od Pączków usłyszała pukanie, otworzyła drzwi i zastała na swoim ganku inspektora do spraw dzikich zwierząt.

Zadawał jej pytania o nawyki karmienia niedźwiedzi – pytania, na które odpowiedzi zdawał się już znać. Poinformował ją, że może być ścigana sądownie za naruszanie porządku publicznego, i wręczył jej wydrukowaną kopię odpowiednich przepisów prawa.

Wtedy Pani od Pączków przemówiła do inspektora pierwszy raz od czasu, gdy wszedł do jej domu.

– Zasługuje pan na obcięcie budżetu – powiedziała.

Po jego odejściu była zła i zdenerwowana tym zdarzeniem, które odebrała jako zarówno najście, jak i oskarżenie sformułowane przez odległych nieznajomych. Zadzwoiła do komendanta Poitrasa, ale powiedział jej, że nic nie może z tym zrobić.

Panią od Pączków najbardziej zabolalo to, że najwyraźniej istniały podwójne standardy dla Grafton oraz elity stanu.

– Powinien pan porozmawiać z tymi ludźmi w Hanoverze. Tam się dzieją straszne rzeczy – mówiła mi. – A nikomu nie grożą sądem. Ciekawe dlaczego.

Do tego, żeby przestać karmić niedźwiedzie, przekonał ją prawnik. Gdy Pani od Pączków do niego zadzwoniła, stwierdził, że legalność karmienia nie jest sprawą jednoznaczną. Odwołał się jednak do jej wrażliwości.

– Wie pan, zapytał, jak bym się czuła, gdyby komuś stała się krzywda – relacjonowała gospodyni.

Choć Pani od Pączków nie obawiała się nawet upadku pośród dzikich niedźwiedzi, otrzeźwiła ją niewidzialna groźba wymiaru sprawiedliwości. Kończyła się epoka Wolnego Miasteczka. Wkraczały prawo i porządek. I tak następnego ranka została w domu. Starła się znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby nie myśleć o czekających na zewnątrz głodnych niedźwiedziach.

– To był, że tak powiem, parszywy dzień – wspominała.

Uczucie było okropne. Nawet nie spojrzała na zewnątrz, gdzie zapewne baribale powstały przez chwilę z nadzieją, a potem poszły dalej przewracać grille i śmietniki w okolicy.

– Więc – zaczęła, a w zmarszczkach wokół jej oczu pojawiły się błyski łez. – To by było na tyle.

– Było pani smutno? – spytałem. Wiadomo, że odpowiedź to: zdecydowanie tak, ale miałem nadzieję, że powie coś, co pomoże mi

przekazać głębię jej żalu.

– Tak – odpowiedziała.

I powtórzyła:

– Tak.

I jeszcze dwa razy:

– Tak. Tak.

Gdy szykowałem się do wyjścia, zacząłem zagadywać gospodynię, żeby ją rozweselić. Odprowadziła mnie do drzwi.

– Słyszałam, że od kiedy przestałam je karmić, rozgrzebują wszędzie worki na śmieci. Ale tu nie przychodzą – powiedziała nieco tęsknie.

Gdy szedłem do samochodu, Pani od Pączków stała w progu, wciąż zgaszona. Znajac szczególną wrażliwość mieszkańców Grafton na włamania, uprzedziłem ją, że gdyby doniesiono jej o tajemniczym osobniku obserwującym jej domostwo tego ranka, niech się nie martwi – to byłem ja.

Ton jej głosu się rozjaśnił. Powiedziała, że nie martwi się o włamania.

– Wyjelibyśmy broń – zawołała wesoło, machając mi na do widzenia.

---

[37] William Szekspir, *Król Henryk VI. Część trzecia*, przeł. Jan Kasproicz, [w:] *Dzieła Williama Szekspira*, t. IV: *Dramaty królewskie*, red. Henryk Biegeleisen, Księgarnia Polska, Lwów 1895, wyd. 2, s. 212.

## Dzielność dozorczyń

*Dzieje się ze mną to samo, co, jak sądzę, stanie się z biednym, nieszczęsnym białym niedźwiedziem, którego oglądałam na przedstawieniu. Tak głupieje od tego odwracania się w przód i w tył na wąskiej przestrzeni, że nie przestałby tego robić, nawet gdyby go wypuścili. Człowiek przyzwyczajają się do świadomości nieszczęścia. Złe to przyzwyczajenie.*

— George Eliot, *Młyn nad Flossą*, 1860[38]

Mimo że życie Jessiki Soule przybrało gorszy obrót, nadal kochała Grafton. Gdy angażowała kogoś, by zawiózł ją do lekarza, nigdy nie nudziły jej się lasy i potoki przesuwające się za oknem pick-upa czy pojawiające się duchy z jej życia w Kościele Zjednoczeniowym moonistów.

– Powinnam się cieszyć, że pożyłam tak długo – stwierdza. – Ale tak naprawdę nikt nie chce umierać. Każdy chce żyć dalej.

Pewnego dnia Soule podjechała wózkiem na ganek, rozejrzała się za niedźwiedziami, zjechała po pochylni, minęła skrzynkę pocztową i wytoczyła się na podjazd. Zazwyczaj kiedy się tu zapuszczała, wynajęty pomocnik asekurował ją podczas wsiadania do wysokiej kabiny pick-upa, ale tym razem nie powiedziała nikomu, co zamierza.

– O ile nie jesteś w nastroju, by wskoczyć pod autobus, to chcesz żyć – komentuje. – A ja skakanie pod autobus mam już daleko za sobą.

Soule otworzyła sobie drzwi po stronie kierowcy i sięgnęła do kierownicy, by się jej chwycić. Wywindowała się z wózka do kabiny i ostrożnie usadowiła w pozycji. Serce jej waliło, ale nie z wysiłku.

– Śmiertelnie się bałam – opowiada.

Soule stała na skraju decyzji. Spojrzała w swoją przyszłość w Grafton i przepowiedziała sobie szybkie słabnięcie i śmierć. Gdyby jednak się wyprowadziła, zostawiłaby za sobą wątłą siatkę pozostałych jej jeszcze przyjaciół i członków rodziny – ludzi, którzy pomagali jej załatwiać sprawy i jeździć do lekarzy. Jeśli ma podjąć decyzję o wyprowadzce, musi wiedzieć, czy jest w stanie prowadzić samochód.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Pick-up ożył z pomrukiem. Silnik drgał jak narowisty, gotów do biegu koń pełnej krwi.

Prawa noga Soule była zbyt słaba, by naciskać hamulec. Kobieta nie mogła więc bezpiecznie wrzucić biegu. Dlatego znów złapała się kierownicy i przesunęła bliżej środka kabiny. Lewą, silniejszą nogą wdepnęła hamulec z całej siły i wrzuciła D. Wstrzymując oddech, powoli zwolniła pedał. Pick-up szarpnął do przodu i zjechał podjazdem do Wild Meadow Road, tą samą ścieżką, którą jeździła lata temu na teren kościelnego letniska.

Pierwszy raz od lat Soule poczuła przyływ samodzielności.

„Wciąż umiem jeździć” – pomyślała, parkując z powrotem na podjeździe. „Mogę się przemieszczać”.

Po powrocie zaczęła dzwonić do ludzi z pytaniem, czy nie daliby dobrego domu jej kotom.

Jadąc Wild Meadow Road ostatni raz, nie prowadziła sama. Zapłaciła pewnej kobiecie, by pojechała z nią. Ruszyły drogą numer cztery do I-89, potem I-91 na południe, a wreszcie na zachód, poza New Hampshire.

W miarę jak Grafton niknęło coraz dalej i dalej za nią, czuła kolejne fale zdenerwowania. Ale parła naprzód. Na zachód, poza Nową Anglię, na zachód, przez nieskończone Wielkie Równiny i dalej.

Zdeterminowany kierowca może pokonać prawie półtora tysiąca kilometrów dziennie, ale Soule odkryła, że męczy się podróżą. Codziennie z pomocnicą robiły mniej niż połowę tego dystansu. Zatrzymywały się na posiłki i noclegi w niedrogich hotelach. Przejechanie 4300 kilometrów zajęło im sześć dni. Gdy dotarły do nowej siedziby Jessiki, domu w Arizonie, który wcześniej należał do jej brata, była wyczerpana.

Pomocnica Soule wniosła jej rzeczy do domu. Następnego dnia odleciała samolotem do New Hampshire. Gdy tylko weteranka została sama, w jej obcym nowym domu nastąpiła cisza. Uwydatniało ją jeszcze nienaturalnie jasne światło słońca, które zdawało się ją sondować z każdego okna.

W ciągu następnego dnia czy dwóch Soule zajęła się rozpakowaniem pudeł w nowej kuchni i nowej sypialni. Nie przywiozła ze sobą wiele, ale skupiała się na szczegółach, starała się czerpać przyjemność z ustawienia talerzy w szafkach czy bibelotów na półce. Czasem korzystała z balkonika, żeby podnieść się z wózka i sięgnąć gdzieś wyżej. Nie opuszczała jednak domu.

Soule oddzieliła się tysiącami kilometrów od leśnej głuszy Grafton, ale okazało się, że głusza to stan umysłu, nie tylko geografia. Skoro Soule pozostawała w izolacji, dzikość narastała wokół niej sama z siebie. Z biegiem dni na powlekaną metalną kłamce frontowych drzwi zaczęła odkładać się cieniutka, ledwie widoczna warstwa pyłu, rozdrobnionych ziaren arizońskiej gleby i dawno spalonych meteorytów, miękkich kawałeczków wełny i syntetycznych włókien z odzieży i koców.



Soule nie zwracała na to uwagi. Cokolwiek leżało po drugiej stronie drzwi, było jasne i onieśmielające. Tu miała swoje rzeczy, ułożone tak, jak jej się podobało.

„Popatrz!” – zachwycała się w duchu. „Wózek swobodnie wjeżdża do łazienki!”

Czas mijał. Za dnia odpoczywała, ale noce od czasu do czasu przynosiły atak padaczkowy, który paraliżował ciało. Z powodu zapalenia ucha odkładał jej się płyn. Czasem po przebudzeniu świat wirował jak na karuzeli.

W takich chwilach myślała o tysiącach kilometrów dzielących ją od przyjaciół z Grafton. Nawet kiedy ściany sypialni w końcu wracały na swoje stałe miejsca, nie była w stanie znów zasnąć. Ciemne rozłogi zmartwień kołatały się bez ustanku z jednego końca umysłu na drugi.

Czy popełniła straszny błąd?

W Grafton sąsiedzi pozostawali odlegli, odgradzał ich gruby bufor leśnej gęstwiny. Tu jej dom otaczały inne. Czuła się naga. Kiedy wyglądała przez okno, widziała ludzi na ulicach, mnóstwo ludzi idących tam i z powrotem w nieznanym celu. Wszyscy byli nieznajomi. Soule powiedziała sobie, że wyjdzie na zewnątrz, gdy poczuje się trochę lepiej. Jeszcze nie wydobrzała po podróży.

Warstwa kurzu na jej kłamce przyrastała wraz z maleńkimi cząstkami pyłków dziwnych roślin, których nazw Soule nie znała, śladów jej martwego naskórka i włosów przemieszanych z okruchami życia poprzednich mieszkańców domu oraz żerującymi na jej skórze pajęczakami wielkości czubka szpilki i ich odchodami. Na kłamce powstała miniatura całego chaotycznego ekosystemu tego domu.

Pewnego popołudnia, około tygodnia po przyjeździe Soule do Arizony, jej małą głuszą zatrzęsła wrzawa. Drobiny kłaczek i pajęczych sieci wciąż

opadały spod sufitu. Ale wtem przeszła przez nie wibracja, która strąciła setki cząsteczek z klamki i puściła je w podróż po delikatnych jak szept prądach powietrza w dużym pokoju Soule.

Nastąpiły kolejne drgania, puls po pulsie wprawiające drobinki kurzu w dryf. Soule je usłyszała. Były odgłosem cywilizacji, basem piosenki, przenikającym ściany i okna jej nowego domu.

Dotoczyła się do okna i zerknęła przez okiennice. Na zewnątrz zobaczyła ludzi stojących wzdłuż ulicy w małych grupkach, gawędzących i pijących z plastikowych kubeczków. To był piknik sąsiedzki.

Soule sprężyła się, chwyciła za klamkę i – nic o tym nie wiedząc – w jednej chwili zgładziła maleńką głąszkę rosnącą w jej domu. Gdy otworzyła drzwi, pokój zalało światło. Niepewnie wyjechała na chodnik, starając się schować nieufność za uśmiechem.

Choć wiedziała, że powinni ją zajmować głównie ludzie na ulicy, nie mogła nie zauważyć rozpościerającego się nad nią nieba. W Grafton lubiła patrzeć na kłęby białej bawełny sunące na krystalicznym tle. Ale zawsze był to tylko mały wycinek ograniczony konturami pomarszczonej, wąsatej od drzew twarzy Nowej Anglii.

– Tutaj od razu są przygnębieni, jeśli na niebie pojawi się chmurka – mówi. – Był czerwony zachód słońca. I wielkie, niebieskie niebo, od jednego horyzontu do drugiego.

Zanim się spostrzegła, ktoś wcisnął jej do ręki plastikowy kubeczek. Zaczęła rozmowę z rodziną mieszkającą naprzeciwko. A potem, nagle, ze wszystkimi.

– Znają mnie – relacjonowała mi potem. – Dbają o mnie ze względu na mój wiek. A ja czuję, że dodaję im pogody ducha.

Ktoś jej powiedział, gdzie jest najbliższy hipermarket Walmart, aby mogła zrobić zakupy. W kolejnych dniach zaangażowała kogoś, żeby z nią

pojechał. W sklepie Soule jechała na zmotoryzowanym wózku i zarządzała zakupami.

Gdy zapalenie ucha jej przeszło i Soule odzyskała równowagę, odkryła, że jej nogi wydają się mocniejsze niż w Grafton. Następnym razem wstała przy balkoniku i zrobiła kilka chwiejnych, eksperymentalnych kroków. Przez ostatnie sześć czy siedem lat nie była w stanie.

Zaparkowała wózek przy łóżku i zaczęła korzystać z balkonika do poruszania się po budynku. Spędzała długie godziny na ganku za domem, dziwiąc się brakiem nowoangielskich owadów.

Po długim zimnie Grafton, gdzie jedna bolesna zima przechodziła w drugą, jej ciało piło żar i suchość rozpalonych do czerwoności popołudni. Gniewny krzyk jej stawów przeszedł w nadąsane pomruki.

Z ganku miała widok na góry Superstition, łańcuch, który – podobnie jak baribal – nosi ślady kultury naczelnych żyjących w jego cieniu. Dla Apaczów, niegdyś korzystających z tych gór jako fortecy przeciwko europejskim intruzom, stanowiły one bramę do świata podziemnego. Przed białymi osadnikami roztaczały obietnicę kopalni złota Lost Dutchman, opisanej w legendzie o błyskawicznym bogactwie, która na wielu poszukiwaczy sprowadziła śmierć.

Dla Soule, która spędziła wiele godzin, wpatrując się w skalne wypiętrzenia, łańcuch był źródłem chłodnych wietrzyków zbiegających po stokach i łaskocących ją w szyję. Niosły one zapowiedź lepszej przyszłości – tam, gdzie się zdawało, że żadnej nie będzie.

– Wierzę w leczenie duchowe – mówi Soule. – Że można zmienić bieg życia swoim nastawieniem. Póki oddychasz, masz szansę zmienić siebie i świat dookoła.

Następnym razem, kiedy Soule z pomocnicą wybrała się do Walmarta, wózek pozostał w domu. Po kilku takich wycieczkach pomocnicy też już

nie wzięła.

W arizońskim Phoenix Soule powstała z popiołów. O własnych siłach chodzi do ogródka. Patrzy na czerwone skały i bezgraniczne niebieskie niebo. Robi jeden objawiony krok za drugim, wiedząc, że jest wolna.

---

[38] George Eliot, *Młyn nad Flossą*, przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Świat Książki, Warszawa 2008, s. 453.

## Wolność we wspomnieniach

*Niedźwiedź, wilk, ryś, żbik, jeleń, bóbr i kuna zniknęły; wydra obecnie rzadko, jeśli w ogóle, jest tu widywana; a norka mniej powszechnie występuje niż niegdyś.*

— Henry David Thoreau, *Excursions* [Wycieczki], 1863

Gdy mój czas spędzony w Grafton dobiegał końca, stwierdziłem, że koło fortuny będzie toczyć się dalej. Pojawią się kolejni gracze i inne konflikty, które – choć nowe – przebiegną ścieżkami wydeptanymi przez poprzednie pokolenia. Konflikty ludzi z dziką przyrodą nie przestaną się zdarzać. Akcję wciąż będą napędzać pasożyty. Żyjący w odmiennych realiach ludzie będą próbowali zmusić się nawzajem do posłuszeństwa.

Oznaki były wszędzie. Free Town Project ustępował miejsca Free State Project. W 2017 roku trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym ucierpiała Tracey Colburn, ryś naskoczył na plecy osiemdziesięcioletniej pielęgnującej róże w ogrodzie i ją poszarpał. W kolejnym roku inny ryś zaatakował dwie kobiety w pobliskim Hartfordzie (Vermont). Oba koty działały pod wpływem pasożytów wścieklizny.

Pani od Pączków powiedziała mi, że jej zdaniem sadzenie roślin, w których gustują niedźwiedzie, takich jak słoneczniki i borówki, zostanie prawnie zabronione. Czasem niedźwiedzie jedzą roślinę, zanim ona jeszcze zakiełkuje.

– Równie dobrze mogłabym po prostu położyć je na ziemi – komentowała Pani od Pączków. – A one przecież są zasadzone.

Tracey Colburn wciąż mrozi resztki jedzenia, żeby niedźwiedzie ich nie wywęchały. I rozważa kupno pistoletu. Nie ze względu na niedźwiedzie, jak wyjaśniła. Ze względu na Grafton.

– Każdy ma chociaż jeden – powiedziała mi. – Wydaje mi się, że jestem jedyna.

Gdy zachorowała lama Huragan, Dianne Burrington uszyła szelki i podpięła je do kosza traktora, by zwierzę mogło ustać na nogach. Ale to nie pomogło. Weterynarz powiedział, że zawinił nicien *Parelaphostrongylus tenuis*, który swojego gospodarza może przymusić do chodzenia w kółko, oślepić i pozbawić lęku przed ludźmi. Następca Huragana, Eddie, nie był dobrą lamą strażniczą. Nawet w deszczu nie chciał stać.

Pomimo licznych wezwań do życzliwości po śmierci Johna Connella libertarianie i miasteczko dalej spierali się o wezwanie do zapłaty podatku za Kościół Pokojowych Zgromadzeń. Wreszcie spisali umowę, która miała gwarantować amnestię podatkową pod warunkiem, że libertarianie załatają powłokę budynku, tak by nie niszczyły go żywioły. Trzy lata później biegły budowlany orzekł, że kościół grozi zawaleniem. Obie strony wróciły do prawnej bitwy.

Departament do spraw Ryb i Dzikich Zwierząt w New Hampshire uznał, że w rejonie Grafton liczba niedźwiedzi stała się zbyt duża. W 2015 roku ustalono cel zmniejszenia populacji o 34 procent w porównaniu z jej wielkością z 2013 roku. Osiągnięcie go może zająć dziesięć lat.

Babiarz powiedział mi, że nie jest pewien, jak długo jeszcze podziela straż pożarna w Grafton, która polega na kurczącej się grupce ochotników i ostatnich tchnieniach sprzętu. Jeśli pożar wybuchnie w dzień, ochotnicy są

w pracy (czyli w miasteczkach, w których można jakąś pracę dostać). Wtedy społeczność Grafton zdana jest na pomoc z innych miejscowości. Babiarz stwierdził, że zanim wsparcie się pojawi: „Mogę walczyć z ogniem sam i zasadniczo trzymać go w ryzach”.

Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem, wyszedł ze swojego zagraconego biura w remizie i opowiedział mi, dlaczego w ogóle przyczynił się do startu Free Town Project.

– Chciałem utrzymać to, co mamy, i przestać robić kroki wstecz – wyjaśnił. – Widziałem, jakie są trendy. Coraz więcej przepisów, aż już nic nie możesz zrobić na własnej posesji. A jeśli przyjdą ludzie i zażądają kolejnych usług, Grafton przestanie być niedrogim miejscem do mieszkania.

Jednak Free Town Project się wypalił. Babiarz uznał, że długofalowe skutki eksperymentu społecznego będą znikome – „mignięcie na radarze” – jak topniejący w słońcu grad po czerwcowej burzy.

Ja nie mam wątpliwości, że Grafton znowu trafi na nagłówki w jakiś dziki, nieprzewidywalny sposób. Tutejsza gleba może i jest kamienista, ale za to stanowi podatny grunt dla marzeń. A ludzi zawsze będą pociągać miejsca, gdzie można wymknąć się spod społecznego nadzoru i kultywować własny, prywatny świat.

Właśnie tę właściwość, zdaniem Babiarza, pomijano w każdej rozmowie o Wolnym Miasteczku. Nie rozumieli tego buńczuczni libertariańscy koloniści. Nie rozumiał tego rozmiłowany w regulacjach rząd stanowy. A już na pewno nie rozumiały tego krótkowzroczne media.

– Nie dostrzegają – powiedział – że to miasteczko już było wolne.

## EPILOG

# Strażak i niedźwiedź

*Mówimy o odejściu od życia naturalnego, jak gdyby życie sztuczne nie było również naturalne. Najgładsza dwórka w buduarach pałacu ma naturę zwierzęcia, szorstką i pierwotną jak biały niedźwiedź, wszechmocny dla swoich własnych celów.*

— Ralph Waldo Emerson, *Nature* [Natura], 1844

Było lato 2016 roku.

Pomiędzy budynkami gospodarskimi dała się dostrzec wysoka, szczupła sylwetka komendanta straży pożarnej. Z młotkiem w dłoni i gwoździemi w zębach wzmacniał kurnik, starając się sprytem dorównać zdeterminowanemu baribalowi, który zdawał się zawsze go szpiegować. Choć władza rządu rozszerzała się na każdą sferę społeczeństwa, przynajmniej w Grafton grożące kurom niedźwiedzie wciąż pozostawały w gestii właściciela ziemi.

– To jest potwierdzone prawo – orzekł Babiaryz. – Jeśli jakaś prywatna organizacja chce ratować baribale, musi mnie przekonać, żebym do nich nie strzelał. Mam swoją broń. Mam swoje kule. To jest moje rozwiązanie.

Po starciu z udziałem AR-15 Babiaryz i niedźwiedź sprzęgli się we wzajemnie napędzanym cyklu niszczenia i wzmacniania kurnika. Początkowo skromny kurnik powstawał z ruin jako coraz solidniejsza kurza forteca.



Jednocześnie Babiaryz wprowadził strategię odstraszenia niedźwiedzia bólem.

Na elektrycznym płocie rozwiesił plastry boczkę, by razić baribala prosto w pysk. Zainstalował pułapki, choć ograniczała go perspektywa pozwów ze strony niepowołanych osób przechodzących przez jego teren, które natknęłyby się na kurnik.

– Nie ma wybuchów, żadnego wystrzeliwującego wielkiego bumerangu ani nic z tych rzeczy – powiedział Babiaryz tonem człowieka, który poszedł na kompromis. – Ale jeśli przejdiesz przez to okienko, to będzie bolało.

Z ziemi wokół kurnika wystawało dwadzieścia błyszczących czubeczków. Babiaryz przysypał deski nabite gwoździami tak, by pokaleczyły podeszwy łap baribala. W jedną deskę wkręcił śruby, żeby zrobić większe szkody. Ta nosiła ślady po pazurach, a jedna śruba została ułamana.

– Tak, przeszedł prosto przez nią. Ale wiesz co? Oczywiście go zraniłem. Krew się lała – opowiedział mi komendant. – Wokół zrobiło się pięknie czerwono.

We wrześnie niedźwiedź, który chciał zgromadzić zapasy sadła na zimę, wreszcie stał się zbyt zuchwały. Babiaryz złapał go na gorącym uczynku, siedzącego na zadzie jak dziecko przy ognisku i uczującego.

„Siedzi zaraz tutaj!” – pomyślał Babiaryz. „I sobie chrupie kurę”.

Kura należała do Babiaryza. Uciekł od niedźwiedzia, popędził w dół wzgórza i wpadł do swego domu w starym budynku szkoły. W środku, płytko oddychając, napędzany adrenaliną, porwał z garderoby rugera 44 magnum.

Miał broń. Wybiegł z powrotem na zewnątrz. Pod jego skórą krążyły duchy pierwotnych łowców. W słońcu zwały mu się źrenice. Niedźwiedź szedł pod górę, ku schronieniu za linią drzew.

Babiarz szarżował w dzikie ramiona lasu. Tysiąc tysięcy bakterii w jego trzewiach śpiewało tajemnicze pieśni. Broń była w dłoni. Domostwo za plecami. A on wymierzał sprawiedliwość. Miał broń.

Palec zahaczył o chłodny metal spustu. Magnum z szarpnięciem przebudził się w dłoni. Grom wystrzału wdarł się w ucho środkowe, łamiąc niezliczone maleńkie włoski i zmieniając odbiór dźwięku.

Kula przeszła bokiem. Baribal, czując niebezpieczeństwo, parł pod górę, teraz szybciej.

Mężczyzna przeciął pokryty wyrwanymi piórami spłachetek ziemi. Synapsy słały frenetyczny elektryczny puls do ukrytych zakamarków mózgu. Tu ziemia była dzika, a zatem do ujarznienia; tu, z dala od gryzipiórków i poborców, on był prawem.

Oddech przyszedł szybko. Tlen wpłynął w mięśnie. Mężczyzna mógł oddać jeszcze jeden, może dwa strzały, nim niedźwiedź zniknąłby po drugiej stronie linii drzew. Z palcem na spuście gnał po pochyłości, która niegdyś była polem rolnika, placem zabaw ucznia, żerowiskiem niedźwiedzia, paliwem pożaru. Mózg zalały mu substancje chemiczne.

Naczelnny wycelował znowu. Miał broń. Miał broń. Wystrzelił.

Wreszcie wolność.

## PODZIĘKOWANIA

Podziękowania są okazją do załagodzenia głównego strukturalnego problemu książki, mianowicie tego, że uznanie mylnie przypisuje się pojedynczemu „autorowi”, podczas gdy (co również dotyczy teorii ewolucji i kilku wielkich wojen) słuszniej powinno ono przypaść szeregowi cichych „trudzieli”. Niepełną listę tych, którzy zasługują na serdeczne podziękowania, otwierają: redaktorka Athena Bryan, która wystrzeliła mnie z bramki startowej, oraz redaktor Ben Adams, który powłókł mnie przez linię mety. Oboje obdarzyli mnie nieskończoną mądrością, uczynnością i wsparciem. Jestem również wdzięczny innym członkom zespołu PublicAffairs, w tym Cindy, Melissie R., Melissie V., Amy, Chrisowi i Clive’owi. Wielkie podziękowania należą się mieszkańcom Grafton, którzy w swojej życzliwości pozwolili mi dokumentować to, jak na ich życie oddziaływały baribale i Free Town Project, a właściwie oba te zjawiska. Byli to między innymi: Tom Ploszaj, Tim Bowen, Tracey Colburn, „Beretta”, Rosalie Babiarz, Russell Poitras, Onshin, Ellen Kraus, Adam Franz, Annie, Cheryl Senter, Steve Darrow, John Redman, Dave Thurber, Fred Duefield, „Pani od Pączków” i Dianne Burrington. Szczególnie dziękuję Johnowi Babiarzowi, Jessice Soule, Deb Clough oraz bywalcom Biblioteki Publicznej w Grafton. Ponadto, choć nigdy go nie poznałem osobiście, drobiazgowo udokumentowane pisma historyka Grafton Kena Cushinga na temat przeszłości miasteczka okazały się kluczowe dla rozdziałów historycznych. Bezcenną wiedzę i porady dali mi specjaliści od niedźwiedzi Ben Kilham i Andrew Timmins, specjalistka od ludzi Mary Flanagan, redaktor Seyward Darby oraz personel magazynu

„Atavist”, agent Ross Harris, przyjaciele Martin Frank i Sam Eaton, zespół „Valley News”, a także pisarze Mike Finkel, Lisa Rogak, Don Hough i Rob Wolfe. Za wsparcie i wkład dziękuję też rodzinie: Jennifer Vincent, Johnowi Hetlingowi, Marcowi Hetlingowi i Marjorie Hetling. I oczywiście mojej żonie Kimberly za niezachwianą wiarę we mnie.

Chciałbym również podziękować niedźwiedziom, że podczas kilku dzikich spotkań mnie nie zjadły.

Na razie.

## POSŁOWIE

*Panicz Murray w dniu mojego przyjazdu liczył sobie około jedenastu lat. Był ładnym, postawnym i zdrowym chłopcem, z reguły prawdomównym i dobrodusznym i gdyby tylko odpowiednio nim kierowano, niczego nie można by mu było zarzucić. Teraz jednak swoim zachowaniem przypominał dzikiego niedźwiadka – był hałaśliwy, gwałtowny i niesforny, niczego nie wiedział i nie potrafił ani niczego nie chciał się nauczyć.*

— Anne Brontë, *Agnes Grey*, 1847[39]

*A co było dalej?*

Po premierze wydania w twardej okładce we wrześniu 2020 roku to pytanie zadawano bez wątpienia najczęściej.

Najprostsza część odpowiedzi na to pytanie dotyczy kościoła w Grafton. Zrujnowany przez pożar budynek wciąż pokryty jest sadzą, co jednak ma szansę wkrótce się zmienić za sprawą organizacji pozarządowej Mascoma Valley Preservation, która zaraz po katastrofie zaczęła zbierać pieniądze na wyremontowanie kościoła i przywrócenie mu dawnej świetności. W 2020 roku darowałem jej na aukcję egzemplarz *Niedźwiedziej przysługi*; wnioskowała też o grant na rzecz rozwoju gospodarczego z amerykańskich podatków.

Dzięki książce pozyskano 28 dolarów; dzięki grantowi – 315 tysięcy. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Ta odpowiedź nie daje jednak pytającym satysfakcji. Ludzie chcą wiedzieć, co stało się dalej – w szerszym znaczeniu. Jak potoczyły się losy dziwnego i ekscentrycznego ruchu Free Town Project, gdy jego członkowie przedstawili swoje pomysły reszcie stanu? Czy tym wszystkim energicznym działaczom libertariańskim udało się nagiąć New Hampshire do swojej kochającej wolną wolę woli? Co dziś słyhać u ludzkich i niedźwiedziach mieszkańców Grafton?

*A co było dalej?*

Mówiąc krótko: sporo. Zdarzyło się wiele rzeczy. I żadna z nich nieszczególnie wskazuje na to, żeby kaskada absurdu puszczona przez twórców pierwszego Wolnego Miasteczka Ameryki miała w najbliższym czasie przestać płynąć.

Doszło na przykład do kolejnego ataku baribala, tym razem w Canaan (sąsiedniej miejscowości). Pewnego skwarnego wieczoru w czerwcu 2020 roku mężczyzna, który właśnie zdejmował klimatyzator z paki swojego pick-upa, poczuł wpijające się w jego plecy niedźwiedzie pazury. Na szczęście, gdy zaczął krzyczeć i odpychać baribala, zwierzę uciekło w noc.

Atak ten pokazał, że następstwa *laissez-misizmu* Grafton w zarządzaniu niedźwiedziami ciągną się do tej pory. Było to jednak małe piwo w porównaniu z innymi przedziwnymi opowieściami o niedźwiedzach, falami opływającymi świat. Każdą przedstawia się jak ciekawostkę ku uciechu czytelników. Tylko latem 2020 roku przeczytałem następujące doniesienia o: baribalach wstępujących do supermarketów; niedźwiedziu, który przedawkował kokainę; kanadyjskiej powieści o relacji seksualnej pomiędzy kobietą a niedźwiedziem; niedźwiedziu uderzonym przez pijanego zwiedzającego polskie zoo; baribalu pływającym w jeziorze z głową zaklinowaną w wielkim, plastikowym pojemniku po chrupkach

Cheez-it oraz niedźwiedziu wykastrowanym przez włoski rząd za ucieczkę z wybiegu i zjadanie osłów. Był też niedźwiedź nielegalnie oznaczony nalepką zwolenników Donalda Trumpa z napisem „Make America Great Again”, były niedźwiedzie zwłoki, które wywołały pożar po porażeniu zwierzęcia prądem z linii elektrycznej, niedźwiedź włamujący się do samochodu dostawcy pizzy, niedźwiedzie starające się o tytuł czempiona korpulentności na sponsorowanym przez rząd Tygodniu Tłustego Niedźwiedzia, niedźwiedzie wyrywające z zawiasów drzwi do wynajmowanych komórek magazynowych, stary niedźwiedź polarny leczony na artretyzm komórkami macierzystymi, dziki niedźwiedź karmiony ciasteczkami prosto z ust jakiegoś idioty oraz liczące 22 tysiące lat ciało niedźwiedzia jaskiniowego odkryte w wyniku topnienia wiecznej zmarzliny.

Te opowieści i tysiąc podobnych czegoś mnie nauczyły.

Niedźwiedź jaki jest, każdy widzi. Ale też: niedźwiedź jest taki, jak opiszą go ludzie.

Może to być komiczny fajtłapa, szwarczarakter z horroru czy szlachetny dziki, ale często stanowi emocjonalną podpórkę istniejącą głównie po to, by upewnić myśliwego o jego sile czy ekolożkę o jej moralnej wyższości. Gdy ludzie projektują swoje kulturowe stereotypy na baribala czy populację baribali, sprawiają, że często trudne do przewidzenia zmiany zachodzą w rzeczywistych zwierzętach. Czasem, tak jak w Grafton, zmiany te niczym bumerang ostatecznie mierzą w ludzi, którzy pofolgowali swoim najbardziej lekkomyślnym skłonnościami do antropomorfizacji.

Chodzi mi o to, że nie tylko niedźwiedzie odpowiadają za te nagłówki.

\*\*\*

Spółeczność libertariańska w Grafton wciąż puchnie od palących marzeń, jęczących się jak nieopatrzone rany. Działacze wyciągają na światło dzienne kolejne pomysły, jednocześnie fascynujące i odrzucające publiczność.

Popularność zyskuje ostatnio zwłaszcza jeden z takich pomysłów.

Ciepłym niedzielnym wieczorem w czerwcu 2016 roku przed gmachem urzędów federalnych imienia Norrisa Cottona w Manchesterze zebrało się trzynastu libertarian. Mieli na sobie koszulki, spodnie khaki, był nawet jeden kilt. Ich twarze przejawiały różny stopień zarośnięcia, od wąsa jak Tom Selleck po wikińską brodę.

Choć to polityczni ekstremiści, zdawali się całkiem mili. Znajdujący się wśród nich anarchista był na tyle uprzejmy, by trzymać w dłoniach informujący o tym transparent. „Zapytaj mnie, o co chcesz!” – głosił napis. „Życzę cudownego dnia ☺”.

Jedna z nielicznych gładko ogolonych twarzy należała do Dave’a Ridleya, byłego wolnomiasteczkowca. Pięćdziesięciolatek miał na czole opaskę frotté, która oddzielała łysinę od malującej się na jego twarzy, nawet w spoczynku, zamyślanej miny spotęgowanej przez gęste brwi, okulary w czarnych oprawkach i dźwięczny głos.

Nadszedł czas na nową sprawę, większą niż Free Town Project, większą nawet niż Free State Project. Ridley zorganizował to wydarzenie jako początek dążeń do utworzenia pierwszego Wolnego Narodu Świata. Proponowany plan zakładał między innymi pokojową secesję New Hampshire.

Zaledwie 238 lat po pierwszej nieudanej próbie odłączenia się Grafton od USA Ridley i jego sojusznicy chcieli, by New Hampshire proklamowało niepodległość, zerwało z rządem federalnym i zaczęło samo decydować



o sprawach takich jak waluta (i kryptowaluty), szosy międzystanowe, segregacja rasowa i sprzedaż heroiny.

– Secesja jest jak zabieg chirurgiczny – powiedział później Ridley. – Przeraza. To nie jest coś, co robi się bez powodu. Ale czasem jest konieczna, jak operacja.

Ridley jest znaną postacią w kręgach libertarian. W połowie pierwszej dekady XXI wieku złożył propozycje dwóch ustaw stanowych. Jedna dotyczyła prawa do posiadania broni, a druga ułatwiłaby manikiurzystkom uzyskanie pozwolenia na wykonywanie zawodu (wizja wyjętych spod prawa manikiurzystek od dawna przyprawia libertarian o chichot). W 2006 roku w ramach politycznego popisu Ridley pojawił się w miejscowym urzędzie skarbowym z antypodatkowym transparentem i odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania personelu. Trzy tygodnie później na progu jego domu stanęli funkcjonariusze z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Rozpoczęło się sześciomiesięczne postępowanie sądowe, podczas którego w końcu go aresztowano. Odmówił zapłacenia grzywny za nielegalne rozprowadzanie druków ulotnych i spędził cztery dni w areszcie za nieposzanowanie sądu.

W kręgach libertarian idea secesji była kontrowersyjna. Co bardziej powściągliwi członkowie Partii Libertariańskiej w New Hampshire bali się, że to kolejny niecodzienny pomysł, który zepchnie ich polityczne wpływy na margines. Chcąc jednak dogodzić ludziom takim jak Ridley, czasem przystawali na półśrodek: secesja to krok zbyt ekstremalny, ale groźba odłączenia mogłaby poskutkować ustąpieniem rządu federalnego w wielu wolnościowych kwestiach.

Jednak spektakularny sukces protestu przed urzędem w Manchesterze wywarł nową presję na stanowych przywódców libertarian, by przyjęli pomysł niepodległości New Hampshire. Media, którym apetyt zaostrzyło

ówczesne referendum dotyczące brexitu, szeroko donosiły o zgromadzeniu Ridleya. Zachęcony tym organizator podjął współpracę z garścią innych działaczy, w tym Russellem Kanningiem (jednym z wolnomiasteczkowców, który piekł parówki nad ogniskiem ku niezadowoleniu Johna Babiarsza) oraz Ianem Freemanem (libertarianinem z Keene, którego niepopularna opinia o braku ograniczeń wiekowych zgody na seks sprawiła, że Free State Project się od niego odzegnał).

Doskonale świadom, że New Hampshire było pierwszą kolonią, która proklamowała niepodległość w 1776 roku, Ridley wraz z sojusznikami spróbował pójść w dawno zatarte ślady ojców założycieli. Libertarianie rozdawali ulotki w czasie obchodów Święta Niepodległości. Na tle ścian z nieotynkowanej cegły, kanap i biurek, czyli wystroju The Shell, tajnego klubu wolnościowców w starym młynie na rzece Salmon Falls w Rollinsford, wygłaszali płomienne przemowy. Udawało im się organizować kolejne, większe manifestacje secesjonistów, w tym jedną w Portsmouth, która zebrała zwolenników z całego stanu. W Manchesterze, na niewielkim skwerze zdominowanym przez placówkę UPS i jadalnię Mr. Mac's Mac and Cheese, zapaliły się światła w małym biurze mieszczącym teraz Fundację na rzecz Niepodległości New Hampshire [New Hampshire Foundation for Independence] prowadzoną przez Carlę Gericke.

Wystarczyło kilka miesięcy, a w listopadzie 2016 roku ich wysiłki wydały owoce.

Partia Libertariańska New Hampshire zerwała z ogólnokrajową Partią Libertariańską przez oficjalne dodanie do swojego programu zapisu o secesji. Takie posunięcie nadało pomysłowi wiarygodność i permanentność wśród libertarian. Słowa te, umieszczone w statucie partii stanowej po punktach nazywających podatki kradzieżą, a pracę seksualną

korzystaniem z praw człowieka, brzmiały: „Mieszkańcy New Hampshire mają jedyne i wyłączne prawo rządzić samymi sobą jako suwerennymi, wolnymi i niezależnymi jednostkami”.

Pomysł trafił więc oficjalnie do głównego nurtu – to znaczy: głównego nurtu marginesu.

Jest to jakiś początek.

\*\*\*

To chyba jest dobry moment, żeby powiedzieć więcej na temat tego, co było dalej. Co zdarzyło się w Grafton?

Pomyślałem, że w miarę słabnięcia wpływów Free Town Project obywatelsko nastawieni mieszkańcy miasteczka odzyskają nad nim kontrolę i rozpoczną kampanię inwestycji w społeczność, rekompensującą straty ostatnich kilkunastu lat.

Tak jednak się nie stało.

Pomimo zmiany warty Grafton pozostało miejscem, gdzie zeznanie podatkowe darzy się podobną sympatią, co leczenie kanałowe zębów, banksterów z Wells Fargo czy e-mailowe oferty nigeryjskich książąt.

Na początku 2020 roku przywódcy miasteczka spotkali się, by opracować roczny budżet operacyjny do poddania pod głosowanie mieszkańców przed wiosną. Wrota finansowej służby się nie otworzyły. Wręcz przeciwnie, siły konserwatyzmu fiskalnego skutecznie przekonały mieszkańców, że wynoszący 1,2 miliona dolarów budżet można jeszcze ograniczyć. Ścięli go o włos, siedem tysięcy dolarów w porównaniu z poprzednim rokiem.

Na początku 2021 roku przywódcy miasteczka usłyszeli doniesienie, że będący w ruinie urząd miejski ma problem z odprowadzaniem wody. Należało naprawić lub wymienić część podłogi. Na tym samym spotkaniu

wyrazili też zaniepokojenie tym, że utrzymanie choinki w okresie świątecznym podniosło rachunek za prąd o 30 dolarów. Zastanowili się nad użyciem wyłącznika czasowego, tak by drzewko nie świeciło w godzinach nocnych. Następnie zaproponowali kolejne okrojenie budżetu na wydatki samorządowe o 25 tysięcy dolarów.

Gdy wyborcy zebrali się na głosowanie budżetowe, stali też przed innym wyborem: Richard „Dick Angel” Angell, w przerwie od publikowania na Facebooku mrożących krew w żyłach historyjek o obrzezaniu, wysunął swoją kandydaturę na urzędnika miejskiego.

Głosujący zatwierdzili wychudły budżet, ale odrzucili wniosek Dicka Angela. Nie zgodzili się też na inicjatywę, która pozwoliłaby bibliotece odkładać pieniądze na nowy budynek. Była to tylko ostatnia z kłód rzucanych placówce pod nogi na drodze do remontu.

Spór w Grafton trwa. Niektórzy wciąż sądzą, że najniższe podatki zachęcą przyjezdnych do przeprowadzki do miasteczka.

Według oficjalnych stanowych szacunków demografowie spodziewają się, że w 2020 roku cenzus wykaże niewielką zniżkę populacji.

\*\*\*

### *A co było dalej?*

Po ustanowieniu secesji celem programowym libertarianie dalej startowali w wyborach na różne stanowiska. Spychali New Hampshire na wody – zależnie od perspektywy – kusząco nieznane bądź niegościnne dla ludzi rozsądnych.

W 2018 roku Ian Freeman wystartował do Senatu Stanowego z programem dobrowolności podatków i całkowitej legalizacji narkotyków. W tym samym roku był szefem sztabu Arii DiMezzo, reprezentującej rzadkie połączenie anarchistki, satanistki i libertarianki. Jej różowe włosy

i dziury przyciągały mniej uwagi niż hasło wyborcze: „Aria DiMezzo na stanowisko szeryfów”<sup>[40]</sup>.

Ani Freemana, ani DiMezzo nie wybrano.

Jedną kadencję w legislaturze New Hampshire odbył jednak inny wolnostanowiec, Keith Ammon, by pod jej koniec zaproponować tak zwaną ustawę Jetsonów. Weszła w życie w 2019 roku. Tak New Hampshire zostało pierwszym stanem zjednoczonym, który zatwierdził użycie latających samochodów (lub – mówiąc ściślej – niewielkich samolotów łatwo przeobrażających się niczym transformery w pojazd drogowy, coś jak amfibia, tylko latająca). W świetle prawa pojazdy nie wymagają kontroli stanowej.

Dwudziestego ósmego stycznia 2019 roku współzałożyciel Wolnego Miasteczka Bob Hull zmarł w łóżku w wieku pięćdziesięciu trzech lat w obecności bliskich przyjaciół, w tym Johna Babiara. W 2020 roku jego mandat w legislaturze objął Lex Berezny, kochający kryptowaluty programista, który również służył w ochotniczej straży pożarnej w Grafton. Berezny z innym strażakiem Tomem Ploszajem (wreszcie wybranym do stanowego parlamentu w 2020 roku) dołączyli do Tony’ego Lekasa i innych prawodawców związanych z Free State Project.

Vermin Supreme, kandydat znany z noszenia kalosza na głowie, przegrał z Jo Jorgensen, profesorką psychologii na Clemson University, głosowanie dotyczące nominacji na kandydata na prezydenta. Na potencjalnego wiceprezydenta Jorgensen wybrano jednak przyjaciela Supreme’a, Spike’a Cohena, co uznano za gałązkę oliwną wyciągniętą do fanów obejmującego podróże w czasie i jednorożce programu ekscentryka. Z kolei kandydatka Jorgensen największy szum medialny zrobiła wokół siebie, gdy ugryzł ją nietoperz i musiała poddać się kuracji zapobiegającej wścieklicznie.

Ruch secesjonistyczny nie zyskał na żadnym z tych zdarzeń.

A potem na niepodjejrzejającej niczego planecie nastał mający okryć się niesławą rok 2020.

Tamtej wiosny Dave Ridley podjechał do zamkniętego szlabanem wjazdu na szlak w stanowym parku przyrodniczym, otworzył okno samochodu i rozpoczął rozmowę z pracownikiem obiektu.

– Nagrywam to – oświadczył dość autorytarnym tonem. – O co tu chodzi?

Ridley, były kamerzysta lokalnej stacji telewizyjnej, najbardziej znany jest wśród libertarian jako niezależny praktyk „dziennikarstwa gonzo” – jak sam deklaruje, raczej nie trafnie – czy też „partyzanckiego dziennikarstwa”, którym ono być może jest.

Na tym konkretnym filmiku nagabuje pracownika o mocnych ramionach, równie mocnym miejscowym akcencie i porządnym brzuchu. Mężczyzna wykazuje się tak pogodnym spokojem, jaki tylko może odczuwać człowiek całkowicie pogodzony z misją cięcia drewna przy samotnej, gruntowej drodze.

– Jest zamknięte od ośmiu tygodni – odpowiada pracownik. – Parę tygodni temu ścisnęło się tam jakieś 150 samochodów, tak że nie mogły przejechać pojazdy uprzywilejowane. Gubernator kazał zamknąć.

– Okej – naciera Ridley – ale w jaki sposób uniemożliwienie ludziom rekreacji zmniejsza...

Mężczyzna, uprzedzając stwierdzenie, przerywa Ridleyowi. Wyjaśnia, że park nikogo nie powstrzymuje od zażywania sportu.

– Pan pojedzie na Moulton Road 128, tam jest główne wejście do parku.

Po dalszej wymianie zdań Ridley uderza w bardziej osobisty ton.

– Będzie pan zwracał część pensji podatnikom? – pyta. – Skoro pan może pracować...

– Proszę pana – odpowiada mężczyzna z mieszaniną satysfakcji i godności w głosie – wszystkie stanowe parki utrzymują się same. Podatnik za to nie płaci.

– ...skoro pan może pracować – ciągnie niewzruszony Ridley – a podatnicy w wielu przypadkach nie?

Pracownik parku otwiera usta.

– Ten park... – zaczyna i urywa. Przecież właśnie to tamtemu tłumaczył. – Ten park sam za siebie...

Ridley wcina się, dobrze już rozgrzany.

– Oni tu chcą przyjeżdżać między innymi dlatego, że rząd im zakazał chodzić do pracy.

– No – odpowiada pracownik – na to ja już nic, proszę pana, nie poradzę.

– Może pan odejść – proponuje Ridley. Podnosi głos i powtarza: – Może pan odejść z pracy!

Mężczyzna zauważa, że ma rachunki do zapłacenia.

– My wszyscy mamy – najeżdża na niego Ridley – a pański rząd nam nie pozwala pracować.

Pracownik parku bierze ten komentarz dosłownie. Wie tyle, że równie dobrze Ridley mógł faktycznie zostać zwolniony z pracy z powodu rządowych przepisów związanych z pandemią.

– Proszę pana – mówi życzliwie – jeśli pan spojrzy na ogłoszenia, zobaczy pan, że sporo ludzi szuka pracowników, nawet teraz. Jestem tego pewien.

Podczas całej tej wymiany zdań Ridley podtrzymywał ton konfrontacyjny. Ale po tych słowach zachowuje się, jak gdyby ktoś nacisnął przełącznik.

– Pomimo gniewu doceniam, że odpowiedział mi pan na pytania. Nie każdy biurokrata by tak zrobił – mówi i śmieje się, serdecznie, choć nieco wymuszenie, by pokazać ludzką twarz.

– No dobrze – żegna się. – Bezpiecznej pracy!

I odjeżdża.

Całe to spotkanie Ridley uznał za sukces. Powstały filmik umieścił na najbardziej eksponowanym miejscu swojego kanału na YouTube. Przez dziewięć miesięcy zebrał on 1163 wyświetlenia, w tym moje.

Kanał Ridleya wypełniają materiały z podobnych drobnych starć z bibliotekarkami, rachmistrzami, policjantami, strażnikami więziennymi, miejscowymi oficjelami, polityczkami, taksatorami, urzędniczkami czy pracownikami szkół wyższych. Postawa Ridleya często sprawia, że zostaje on wyproszony (albo wygoniony).

To było często samotne przedsięwzięcie. Ale w miarę jak pandemia zbierała swoje żniwo, podejście Ridleya do reakcji rządu zaczynało zyskiwać popularność.

\*\*\*

*A co było dalej?*

W Stanach Zjednoczonych pandemia poskutkowała lawinową presją rządu i urzędników zajmujących się zdrowiem publicznym, która miała na celu zmniejszenie wskaźników zarażeń. Obywateli zmuszono do zachowania dwóch metrów dystansu, ograniczenia zgromadzeń pod dachem i noszenia maski w miejscach publicznych.



Rządowe napinanie mięśni sprawiło, że republikanie i libertarianie zjednoczyli się przeciwko wspólnemu wrogowi w niespotykanym dotąd stopniu. Nigdzie chyba nie było to lepiej widoczne niż w New Hampshire, gdzie niechęć do maseczek wybrzmiewała – jak wiatry grubianina – donośnie i dumnie.

Na politycznej scenie stanęły dekoracje do specyficznym amerykańskiej tragedii, która w trzech krótkich aktach rozegrała się w stanowej legislaturze.

Akt pierwszy odbył się 20 listopada. Grupa republikanów, która świeżo zdobyła większość w parlamencie, podkreśliła swoje przywiązanie do wolności na zgromadzeniu w kurorcie narciarskim, pod dachem, w dużej mierze bez masek. Jeden z nich, Dick Hinch, nazwał republikanów-antymaseczkowców patriotami i „grupą wolnościową”. Oczarowani, poprosili go, by został ich liderem – a on na to przystał.

Akt drugi przypadł na 1 grudnia. Hinch, pod słownym ostrzałem demokratów i prasy, przyznał, że „bardzo niewielka liczba” republikanów, którzy byli z nim w kurorcie, zachorowała na koronawirusa. Następnego dnia przy pełnej sali Hinch został obrany na spikera stanowej Izby Reprezentantów.

Akt trzeci rozegrał się 9 grudnia. Hinch przewodził Izbie nieco ponad tydzień. A potem zmarł na koronawirusa. Pięć dni później rząd federalny wypuścił pierwszą powszechnie dostępną transzę szczepionki.

Ironia ta byłaby komiczna – gdyby nie była tak smutna.

Parlament New Hampshire dostarczył niezwykle wymownego przykładu człowieka, który zmarł w imię zasady nienoszenia masek. Ale wariacje na ten sam temat można było zaobserwować w całym kraju. W listopadzie 2020 roku zespół badawczy w Yale pod kierownictwem Antona Gollwitzera na podstawie dostępnych publicznie danych wykazał,

że mieszkańcy hrabstw o największej liczbie zwolenników Partii Republikańskiej zarażają się koronawirusem i umierają statystycznie częściej niż inni Amerykanie, nawet przy uwzględnieniu dodatkowych czynników.

Gdy debata o maseczkach podniosła stawkę partyjnych afiliacji do życia i śmierci, obserwatorzy – w tym dziennikarz polityczny Tom Elias – sięgnęli po przykłady z historii, by pokazać, że pandemia tworzy stan niestabilności, uchylający drzwi do secesji.

Rzeczywiście: ku ucieście libertarian secesjonistów w New Hampshire kwestia suwerenności wreszcie znajdowała sobie miejsce w sercach milionów Amerykanów. Sondaże we wrześniu 2020 roku i marcu 2021 roku wykazały, że od 30 do 40 procent Amerykanów opowiada się za secesją swojego stanu – czyli znacznie więcej niż te 24 procent, które na podstawie ankiety podał Reuters sześć lat wcześniej.

Te i wiele innych oznak secesjonizmu przekonały mnie, że muszę nauczyć się jeszcze więcej o miejscowym ruchu w New Hampshire. Zacząłem kontaktować się z secesjonistami, ponieważ chciałem przeprowadzić z nimi wywiady.

W końcu odezwałem się też do Dave’a Ridleya.

\*\*\*

*A co było dalej?*

W korespondencji e-mailowej Ridley natychmiast zgodził się ze mną porozmawiać, choć postawił warunek i zasygnalizował problem logistyczny. Warunek był taki, że życzył sobie nagrywać naszą rozmowę. Kwestia logistyczna miała związek z jego zapełnionym kalendarzem.

Odpowiedzi od niego przychodziły w dziwnych godzinach nocnych. Dostępny był głównie wieczorami. To wzbudziło moją ciekawość. Czy

pracował na nocną zmianę?

Gdy w końcu się połączyliśmy, zapytałem go o to. „Odpowiedź jest prosta” – wyjaśnił Ridley. Nasze harmonogramy były względem siebie przesunięte, bo ja żyłem w trybie dwudziestoczterogodzinnym, a on w trybie dwudziestoczerościorogodzinnym.

Ridley codziennie kładzie się spać piętnaście minut później niż my wszyscy, przedłużając sobie dzień pracy (bądź rozrywki). (Co mniej więcej trzy miesiące musi zrównoważyć to w kalendarzu przez ominięcie jednego dnia, czyli przeskoczenie bezpośrednio na przykład z 3 czerwca do 5 czerwca). To również oznacza, że czasem prowadzi nocny tryb życia, i ja akurat złapałem go w sowej fazie cyklu. Przyznał, że istnieją praktyczne minusy tego rozwiązania, ale da się z nimi żyć.

– Nie zgodziłoby się to z pracą w korporacji. Więc obciąłem wydatki i nie pracuję w korporacji.

Rozmawialiśmy z Ridleyem w niewypowiedzianym porozumieniu, że mamy odmienne poglądy polityczne. Stwierdziłem, że widocznie narażenie się na drwiny było dla niego odpowiednią ceną za zwrócenie uwagi na sprawę, o którą walczył. W kilku rozmowach telefonicznych i e-mailowych nieodmiennie odnosił się do mnie otwarcie, bezpośrednio i przyjaźnie.

Ridley nie uważa, żeby inspirowany przez libertarian ruch secesjonistyczny był na progu sukcesu. Trzeba raczej powiedzieć, że jest na progu niebycia wypędzonym śmiechem z każdego pomieszczenia, w którym się go przywoła. Wizję Ridleya i jego sojuszników w jednym kawałku trzymają ślina, drut i listy do redakcji.

– W tej chwili – wyjaśniał – nie ma warunków do secesji. Przyjdą później, zapewne wtedy, kiedy administracja Bidena przeceni swoje siły. Albo kiedy federalne wydatki doprowadzą do hiperinflacji. To będzie punkt zapalny.

Ciekawie dowodził jednak, że secesja to nie absurdalny ani nawet szczególnie nierealny pomysł. Ridley sądzi, że blisko jej do legalizacji małżeństw jednopłciowych – wieloletniego postulatu libertarian, który zmienił się z mrzonki w rzeczywistość w niecałe trzy dekady. Porównał też sprawę do najnowszej historii Słowenii.

– W 1988 roku w Słowenii nikt nie mówił o niepodległości – opowiadał. – Trzy lata później ją mieli.

Ridley lubi powoływać się na przykłady ze świata jako dowody, że secesja jest możliwa. Wiele lat temu podróżował po Europie i na własne oczy obserwował dążenia niepodległościowe Słowenii, Bośni i Chorwacji. Dobrymi przykładami są Estonia i Katalonia – jak opowiadał – bo niepodległość osiągnęły przy ograniczonym użyciu przemocy.

Ridley stwierdził, że wszystkie przykłady mają ze sobą coś wspólnego: nadużycia rządu.

Ciężar około 200 tysięcy stron przepisów prawa federalnego najwyraźniej doskwiera Ridleyowi. Gęstwina jest zwarta i niezrozumiała, ale można w niej znaleźć podstawę do wtrącenia kogoś do aresztu.

– Jeśli o mnie chodzi, jest lęk, że musimy żyć pod władzą Stanów Zjednoczonych – wyjawiał. – Lęk, że urząd skarbowy będzie cię ścigał za najmniejszy błąd, który jego zdaniem jest poważny. Że antyterrorysty wyważą ci drzwi.

Zauważyłem, że w świecie okrojonych rządów straszliwszym panem staną się korporacje, niekontrolowane stosownymi przepisami.

Zgodził się, że rząd stanowy New Hampshire jest „nieco mniej niegodziwy niż Google”. Ale Waszyngton to większe zło niż tamte dwa razem wzięte.

Inni secesjoniści często przedstawiają argumenty fiskalne, by przekonać tradycyjnych, niechętnych podatkom konserwatystów. Na swojej stronie

internetowej Fundacja na rzecz Niepodległości New Hampshire podaje – bez źródła – że ten stan odzyskuje tylko 70 centów z każdego dolara, którego płaci rządowi federalnemu w podatkach.

Liczba ta kłóci się z wnioskami Rockefeller Institute of Government zajmującego się badaniem tej problematyki. Instytut donosi, że choć w ostatnim czasie zdarzały się lata, w których New Hampshire wpłacało do federalnego skarbcza więcej, niż dostało, w sumie stan w latach 2015–2019 zyskał na tym związku 1,2 miliarda dolarów.

Ridley raczej nie powołuje się na argument, że New Hampshire traci pieniądze na rzecz rządu federalnego. Twierdzi, że nawet jeśli stan na tym korzysta, to kosztem podatników w innym miejscu. Bez odpowiedzi pozostaje jednak pytanie, czy ci mieszkający gdzieś indziej podatnicy chcieliby, żeby New Hampshire w ich imieniu odłączyło się od USA.

Niepewność odczuwana przez libertariańskich aktywistów żyjących pod panowaniem rządu amerykańskiego szczególnie uwidoczniła się w e-mailu na temat Iana Freemana, który wysłał do mnie Ridley.

Kiedy Freeman startował do Senatu Stanowego w 2018 roku, powiedział lokalnej gazecie, że egzekwowanie przepisów prawa przez rząd nieuchronnie prowadzi do wykorzystania siły. „Najpierw będzie groźba listowna. Jeśli jej nie posłuchasz, to w końcu pojawią się pod drzwiami mężczyźni z bronią i coś ci zrobią” – opowiadał.

Rzeczywiście, w marcu 2021 roku pod drzwiami Freemana pojawili się mężczyźni z bronią i coś mu zrobili.

Akurat ci mężczyźni byli funkcjonariuszami FBI. Co mu zrobili? Aresztowali go. Freemana wraz z pięciorgiem innych libertarian z New Hampshire (w tym anarchosatanistką Arią DiMezzo) oskarżono o pranie pieniędzy w ramach machinacji obejmującej kryptowaluty oraz fałszywe klasyfikowanie dochodu jako datków na organizację religijną. Oskarżyciele

nie podali nazwy organizacji. Freeman działał w inspirowanym dziełem Johna Connella Wolnym Kościele Shire, tym od walk na piankowe miecze i szarlotkowych rytuałów.

Według Ridleya następny krok do secesji nastąpiłby, gdyby wniósł on do legislatury stanu projekt ustawy niepodległościowej, a ten zostałby potraktowany przynajmniej z taką uwagą, żeby nagłośnić sprawę – jeśli nie z głośnym poparciem. Ridley mówi jednak, że trafił na własną etyczną przeszkodę, która powstrzymuje go przed podjęciem tego kroku.

– To chyba moja pięta achillesowa, ta niechęć do działania tak jak wszyscy – stwierdza.

Ridley oszacował koszt rozpatrzenia projektu ustawy na dwa tysiące dolarów z pieniędzy podatników. Ponieważ z zasady sprzeciwia się podatkowi, nie wniesie propozycji i nie zapłaci kosztów jej rozważenia. A jako facet, któremu budżet dyktuje dwudziestoczerociąggodzinna doba, sam nie wyłoży pieniędzy.

Ma nadzieję, że w pewnym momencie pojawi się darczyńca z dwoma tysiącami dolarów, który pokryje koszt.

Jak na razie Ridleyowi pozostaje czekanie.

A co się stanie potem? Możemy tylko zgadywać.

---

[39] Anne Brontë, *Agnes Grey*, przeł. Magdalena Hume, Wydawnictwo MG, Warszawa 2012 (e-book).

[40] W większości Stanów Zjednoczonych urząd szeryfa, przypominający stanowisko szefa lokalnej policji, jest obieralny.

## SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog. Strażak i niedźwiedź

Księga pierwsza. Na skraju puszczy

1. Konsumpcja kotów

2. Perypetie podatkowe

3. Logiczny libertarianin

4. Kwartet kolonistów

5. Ożywiony odzew

6. Duchowa dozorczyń

7. Niedźwiedzia nauka

8. Stanowczy surwiwalowiec

9. Sympatyczka stworzeń

10. Wdrażanie wolności

11. Pomysłowy pastor

12. Bitwa z baribalem

Księga druga. Wyboisty rozrost

1. Uzyskać utopię

2. Potyczki z płomieniami

3. Kaznodzieja koloruje

4. Polemika przy palenisku

5. Przybór pączków

6. Surwiwalowcy się sypią

7. Baribalowa biurokracja

8. Dolegliwości dozorczyńi

9. Podskórny pasażer

10. Plan pastora

11. Buńczuczność baribala

Księga trzecia. Bezkresne ruiny.

1. Myśliwi w masie

2. Następstwa napaści

3. Konfrontacja kłusowników

4. Pastor popchnięty

5. Sarkająca sąsiadka

6. Pożegnanie pastora

7. Popularyzacja prerogatywy

8. Sprzeciw socjety

9. Epilog eksperymentu

10. Porzucenie pączków

11. Dzielność dozorczyńi

12. Wolność we wspomnieniach

Epilog. Strażak i niedźwiedź

Podziękowania

Posłowie

Karta redakcyjna



Matthew Hongoltz-Hetling,  
*Niedźwiedzia przysługa. Jak w amerykańskim miasteczku nie powstała  
libertariańska utopia (i co nieco o baribalach)*

Tytuł oryginału: *A Libertarian Walks Into a Bear: The Utopian Plot to  
Liberate an American Town (And Some Bears)*

Warszawa 2022

Copyright © by Matthew Hongoltz-Hetling, 2020

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2022

This edition published by arrangement with PublicAffairs, an imprint of  
Perseus Books, LLC, a subsidiary of Hachette Book Group, Inc., New York,  
New York, USA. All rights reserved.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67075-27-5

Przekład: Aleksandra Paszkowska

Redakcja: Aleksandra Żdan

Korekta: Aleksandra Czyż

Redaktor prowadzący: Patryk Walaszkowski

Projekt okładki: Patryk Mogilnicki

Zdjęcie na okładce: Kimberly Hongoltz-Hetling



Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Jasna 10, lok. 3

00-013 Warszawa

[redakcja@krytykapolityczna.pl](mailto:redakcja@krytykapolityczna.pl)

[www.krytykapolityczna.pl](http://www.krytykapolityczna.pl)

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w redakcji Krytyki Politycznej (ul. Jasna 10, lok. 3, Warszawa), Świetlicy KP w Trójmieście (Nowe Ogrody 35, Gdańsk), Świetlicy KP w Cieszynie (al. Jana Łyska 3) oraz księgarni internetowej KP ([wydawnictwo.krytykapolityczna.pl](http://wydawnictwo.krytykapolityczna.pl)), a także w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek